

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 399

ISBN 2-7168-0060-X

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Martin MALIA

WIECZNIE POWRACAJĄCA POLSKA

*Nie jest konieczna nadzieja, aby działać,
nie są konieczne sukcesy, aby wytrwać.*

Pascal

1.

„Solidarność”, pierwsze wolne związki zawodowe w komunistycznym państwie” — tymi słowami rozpoczynano większość komentarzy na temat Polski po wielkim strajku sierpnia 1980 roku. Słowa prawdziwe, ale nie oddające całej prawdy. Podczas szesnastu miesięcy działalności otwartej oraz dwudziestu miesięcy działalności podziemnej coraz bardziej oczywiste staje się, że „Solidarność” pełni podwójną rolę: ze względu na to, że pracodawcą nie był po prostu kapitalista, lecz monolit komunistyczny, rzeczą naturalną było przekształcanie się związku w ruch, mający na celu emancypację całego społeczeństwa spod kontroli partyjnego państwa; ponadto, ponieważ panujący ustrój był narzucony z zewnątrz — ruch ten nabierał coraz więcej cech ruchu wyzwolenia narodu spod dominacji Rosji Sowieckiej.

Wszystko to oczywiście nie mogło być powiedziane otwarcie, ale dawało się przekazać za pomocą bogatego języka polskiego symbolizmu. Pierwszym sygnałem, już w sierpniu, był słynny emblemat „Solidarności”, na którym czerwone, poszarpane litery na białym tle przedstawiają pochód strajkujących robotników, niosących biało-czerwoną polską flagę. Bliższa religijnej symbolika śmierci i zmartwychwstania narodu wyraża się w ogromnych krzyżach, które na stanowcze żądanie związkowców zostały wzniesione w Poznaniu, Gdańsku i Gdyni dla uczczenia ofiar „ludo-

wej” ojczyzny w latach między 1956 a 1970. Pełna symbolicznej treści jest również ballada kabaretowa „Żeby Polska była Polską...”, która stała się hymnem szesnastomiesięcznego okresu wolności.

Ale czym jest właściwie ta Polska, do której odwołują się wszystkie strony, nawet generał Jaruzelski, który wprowadzony przez siebie stan wojenny nazwał „wybawieniem narodu”? Na szczęście wiele ostatnio opublikowanych książek ułatwić może cudzoziemcom zrozumienie zjawiska określanego mianem „polskości”. Perspektywa historyczna tej literatury jest szczególnie na czasie, ponieważ zadaje kłam stereotypowym poglądom rozpowszechnianym przez dziennikarzy po wydarzeniach osiemnastego roku na temat „Solidarności”.

Według tych konwencjonalnych poglądów „Solidarność” była po prostu tym, za co się podawała: niezależnym ruchem związkowym, takim, jakiego mogłaby sobie życzyć każda dojrzała klasa robotnicza. Poszerzona wersja tej tezy — bez spoglądania wstecz dalej niż na ostatnie dziesiątki lat — głosi, że polski komunizm, będący jakby zniekształconą formą socjalizmu, przyczynił się do uprzemysłowienia zacofanego społeczeństwa i zaszczerpił w nowej warstwie proletariackiej przekonanie, że reżym ten jest, lub powinien być, państwem robotników. „Solidarność” zatem postanowiła „trzymać rząd za słowo” i starać się realizować przynajmniej proklamowane ideały. Zaletą takiego poglądu jest jego prostota. Podoba się on również cudzoziemcom, ponieważ demokracja robotnicza cieszy się szerokim poparciem wśród ludzi postępowych. O wiele zaś trudniej jest kolportować wśród cudzoziemców ideę „polskości”, ponieważ łatwo można zostać posądzonym o parafianstczyznę.

Powyższy stereotyp ma natomiast pewien mankament: co prawda wraz z komunizmem nastąpiło istotnie uprzemysłowienie całej wschodniej Europy, przede wszystkim zaś Rosji, ale w żadnym kraju poza Polską nie powstał tak potężny ruch na rzecz demokracji — ani na Węgrzech, ani w Czechosłowacji, a już najmniej w samym Związku Radzieckim. Można więc wywnioskować, że decydującym czynnikiem jest polska tradycja, a nie sam proces uprzemysławiania. W istocie, jakkolwiek „Solidarność” była w pierwszym rzędzie związkiem zawodowym, była zarazem ową „wiecznie powracającą falą” — tyle, że całkowicie pokojową — klasycznej, polskiej walki powstańczej o niepodległość i demokrację. Lub o „samorządną” republikę, jak to zostało ujęte w programie związku, w oczywistym nawiązaniu do polskiej Wspólnoty Narodów.

Każdy, kto choćby trochę zna Polaków, zaskoczony jest ich nieprawdopodobną pamięcią historyczną. Fakt, że ta pamięć często zawiera tyleż faktów, co mitów, ma znaczenie drugorzędne; istotne jest to, że Polacy przeżywają swoje współczesne losy jako część historii w stopniu nieporównywalnym z innymi krajami Europy. Nie ma chyba drugiego narodu, w którym tradycje narodowe i kulturowe dominowałyby tak całkowicie nad świadomością społeczną i klasową jak u Polaków — chyba, że u długoletnich współmieszkańców ongiś istniejącej Wspólnoty Narodów, czyli u Żydów.

Polska nie jest bowiem takim krajem jak Anglia, czy nawet Czechy, które od zarania swoich dziejów nie zmieniły miejsca na mapie. Polska natomiast przesuwała się na mapie Europy wschodniej od Bałtyku aż po morze Czarne i z powrotem, i od Odry aż poza Dniepr i z powrotem; dawne polskie miasta jak Wilno i Lwów znajdują się obecnie po stronie sowieckiej, a miasta do niedawna niemieckie jak Gdańsk i Wrocław są obecnie miastami polskimi. Polska jest w większym stopniu wspólnotą duchową, ideą czy też aktem wiary, niż konkretnym obszarem na kuli ziemskiej. Zamieszkują ją ludzie mniej nastawieni na „tu i teraz”, a bardziej na idealizowaną przeszłość, w której szukają kompensaty dla nieznośnej teraźniejszości oraz nadziei na lepszą przyszłość — i pod tym względem znowu pewne podobieństwo do Żydów.

Swoistość polskiego dramatu polega na bezprecedensowym stoczeniu się od narodowej wielkości do poziomu narodowego unicestwienia. Niewiele brakowało aby Polska, znajdująca się w XVI wieku u szczytu swojej potęgi, stała się jednym z mocarstw permanentnie figurujących na mapie Europy — ze wszystkich najbardziej liberalnym. Straciła jednak wszystko podczas rozbiorów w XVIII wieku staczając się w otchłań niewoli, zagrażającej bytowi narodowemu. Od tamtego czasu dążeniem Polaków jest zadać kłam temu pozornie ostatecznemu wyrokowi historii i na przekór wszystkim trudnościom odbudować wielkość swojej ojczyzny. Te aspiracje wytworzyły tradycję kulturową dość szczególną, a zarazem typowo polską, mieszanekę wolnościowej demokracji, barokowego katolicyzmu i romantycznego patriotyzmu. Aby to zrozumieć, należy poznać zarys polskiej historii, biorąc za przewodnika profesora Daviesa i jego bardzo kompetentną *God's Playground: A History of Poland*.

To dwutomowe dzieło stanowi prawdziwy *tour de force*. Autor odnosi się krytycznie do polskich mitów patriotycznych,

wykazując zarazem pełne zrozumienie ich głębszego znaczenia, jak to widać w samym tytule, opartym na starym przysłowiu. „Boże igrzysko” oznacza bowiem, że kraj ten jest zabawką w rękach bogów lub złośliwego losu, ale że może również stanowić scenę dla prawdziwej boskiej komedii. Dzieło Daviesa ma zakres encyklopedyczny, o ujęciu na przemian tematycznym i chronologicznym. W rezultacie otrzymujemy spójną, niedogmatyczną analizę historyczną, wymierzoną w uprzedzenia czytelników, którzy żyją „na wyspach lub pół-kontynentach” własnych koncepcji. Książka ta, piękna pod względem stylistycznym, pozostanie przez wiele lat ostateczną historią Polski w języku angielskim. Obecnie uzupełnić ją można jedynie atrakcyjnie wydany przez profesora Fedorowicza zbiorem artykułów czołowych polskich historyków, jak Bronisław Geremek, Henryk Samsonowicz i Józef Gierowski, aktywnych w okresie „odnowy” 1980-1981.

2.

Dzieje, o których te książki opowiadają, zaczęły się tysiąc lat temu, od chwili narodzin Pierwszej Polski, tzn. od dynastii piastowskiej. W X wieku Słowianie z pół — Polanie — chcąc stawić opór niemieckiej ekspansji od zachodu, utworzyli luźną strukturę państwową między Odrą a Wisłą. Decydującą nowością w tym nowo powstałym księstwie było przyjęcie chrztu świętego (w 966 roku), powodującego uznanie państwa, bezpośrednio z Rzymu a nie z rąk Niemców, należących także do Świętego Cesarstwa Rzymskiego. W ślad za tym przyszła niezależna korona królewska i Polska stała się państwem całkowicie autonomicznym, w przeciwieństwie do Czech, rozwijających się w ramach Cesarstwa.

Po zwykłych kolejach losu, upadkach i odnowach charakterystycznych dla tamtego okresu, podczas którego nastąpiła utrata Śląska i Pomorza na rzecz Cesarstwa, królestwo piastowskie zaczęło w XIV wieku odgrywać poważną rolę na scenie europejskiej. Ziemie królestwa były ludne i zamożne. Powstawały miasta, zamieszkałe przeważnie przez przybyszów niemieckich i potem żydowskich. Otworzył swoje podwoje uniwersytet w Krakowie. Za panowania Kazimierza Wielkiego, ostatniego króla z dynastii Piastów, Polska była w pełni rozwiniętym państwem, średniego rozmiaru. Poziomem rozwoju dorównywała Czechom, z tym, że w przeciwieństwie do nich leżała poza granicami Cesarstwa i stanowiła najdalej na wschód wysuniętą placówkę łacińskiego chrześcijaństwa, *antemurale christianitatis*, jak została naz-

wana. Chwalebne to osiągnięcie, ale trudno powiedzieć, że szczególnie oryginalne.

Ta pierwsza, „zachodnia” Polska stanowiła — jak wykazała historia — zarodek drugiej, o wiele większej, rozciągającej się daleko na wschód. Była nią Rzeczpospolita Obojga Narodów. Niezwykłość sytuacji Polski i jej potęga w Europie wzięły swój początek w jej wschodniej orientacji, do dziś przechowywanej w zbiorowej świadomości narodowej.

Zwrócenie się ku wschodowi nastąpiło około 1386 roku, w następstwie małżeństwa następczyni tronu piastowskiego z Jagiełłą, Wielkim Księciem Litwy, ostatniego pogańskiego państwa w Europie. Zawarty został układ między Polską a Litwą w obronie przed Zakonem Krzyżackim, ustanowionym w poprzednim wieku dla nawracania pogańskich Prusów, osiadłych wzdłuż wybrzeża bałtyckiego, między Gdańskiem a Królewcem. Ponieważ Zakon ten stanowił teraz zagrożenie dla Litwy, przyjęła ona bez stawiania oporu chrzest z rąk Polaków, po czym oba połączone narody wspólnie złamały potęgę teutońską w bitwie pod Grunwaldem w 1410 roku. Księstwo pruskie stało się wasalem Polski, która dzięki temu uzyskała bezpieczną granicę zachodnią.

Unia Polski z Litwą pociągnęła za sobą jeszcze donioślejsze skutki na wschodzie. Wielkie Księstwo Litewskie zajmowało obszar trzykrotnie większy od Polski, rozciągając się nie tylko na etniczną Litwę, ale również na obecną Białoruś i Ukrainę. Było to w gruncie rzeczy państwo „ruskie”, aby użyć w tym wypadku terminologii anachronicznej, i — z wyjątkiem samej Litwy — prawosławne. Litwa rozrosła się do tych rozmiarów dzięki temu, że jej książęta stanowili dla swoich poddanych prawosławnych lepszą ochronę przed Tatarami i muzułmańskimi Turkami niż drugie państwo ruskie — Moskwa.

Unia polsko-litewska stała się przyczyną trzech doniosłych historycznie zjawisk: powstało największe państwo w ówczesnej Europie; Polska przekształciła się w państwo wielonarodowe i wieloreligijne; zarysowała się sytuacja nieuniknionego konfliktu z Moskwą z powodu krajów prawosławnych, wchodzących w skład Wielkiego Księstwa. Tym niemniej, jak długo szala nie przechyliła się na korzyść Moskwy w połowie XVII stulecia, Polska przeżywała swój złoty wiek.

Początkowo więc między obu narodami ograniczała się do dynastycznej unii personalnej panującego rodu Jagiellonów. Z czasem jednak arystokracja Wielkiego Księstwa Litewskiego spolonizowała się językowo i kulturowo i — nawet na ziemiach, gdzie

przeważało prawosławie — przeszła na katolicyzm. Ostatecznie Litwa — słabszy partner — zagrożona również ze strony Iwana Groźnego, zmuszona była zawrzeć stały i organiczny związek z Polską, zatwierdzony traktatem lubelskim w 1569 roku. Tak powstała polsko-litewska Wspólnota Narodów, lub — jak stwierdza profesor Davies — właściwszym określeniem byłoby „rzeczpospolita” (dosłownie *respublica*), nie tylko dlatego, że tej nazwy wówczas używano, ale i dlatego, że ówczesne instytucje miały w większym stopniu charakter republikański niż monarchistyczny. Najbardziej bowiem uderzającą cechą nowopowstałego państwa było nie tyle jego znaczenie na arenie międzynarodowej, ile jego wyjątkowy ustrój, do dziś niezbyt dobrze rozumiany przez Zachód.

Ustrój ten opierał się na hegemonii jednego tylko stanu — szlachty. W warstwie szlacheckiej istniał oczywiście podział, zależnie od majątku, wpływów i pozycji danej rodziny. Magnaci stanowili grupę bardzo niewielką. Reszta to była zwykła szlachta, częściowo posiadacze ziemscy, a w części prawie równie ubodzy jak chłopci. Jakkolwiek rozróżnienia takie są ważne, nie powinny przesłaniać faktu, że z punktu widzenia prawnego i politycznego szlachta stanowiła jeden stan i wszyscy, którzy do niej należeli, mieli identyczne prawa. Była to prawdziwie egalitarna grupa, która tworzyła „naród szlachecki”. Szlachta polska była najliczniejsza w ówczesnej Europie, obejmowała bowiem blisko 10 % ludności kraju.

Na skutek liczebnej przewagi szlachta zdominowała inne stany, podporządkowała sobie miasta, Żydów uczyniła swoimi pośrednikami w swoich interesach, a chłopów — poddanymi. Mimo wszystko anachronizmem byłoby atakowanie tej nierówności wobec prawa, ponieważ w całej Europie przywileje pierwotnie przysługujące tylko panom, na zasadzie powolnego „przeciekania”, stawały się własnością powszechną, jak to było np. z przywilejem *Magna Carta*.

W owych czasach w całej Europie na wschód od Elby przytłaczająca dominacja szlachty — szczególnie w stosunku do chłopów pańszczyźnianych — była zjawiskiem normalnym. W Rosji i w Prusach podobny układ stał się podstawą dla przyszłej autokracji; w Polsce natomiast ten „raj szlachecki” był podłożem dla konstytucjonalizmu. Powszechnie używane określenie „demokracja szlachecka” nie jest przesadne, ponieważ proporcjonalnie liczba ludzi uprawnionych do głosowania w Rzeczypospolitej polskiej była tak duża, że np. Anglia osiągnęła ten poziom dopiero po reformie prawa wyborczego w 1867 roku.

Rzeczpospolita szlachecka miała szansę okrzepnąć, ponieważ przez dłuższy czas sąsiedzi nie stanowili takiego zagrożenia, które wymagałoby wprowadzenia monarchii absolutnej. Poczynając od XIV wieku szlachta stopniowo wymuszała na koronie swobody prawne i osobiste oraz prawa polityczne. W 1433 roku statut *neminem captivabimus*, przypominający angielskie *habeas corpus* z 1679, zagwarantował pełną nietykalność każdego szlachcica.

Decydującym punktem zwrotnym były jednak Statuty Nieszawskie (1454), mocą których król, chcąc znaleźć w szlachie przeciwwagę dla magnaterii, zobowiązał się, że bez zgody sejmików ziemskich nie będzie ustanawiać nowych praw, podatków i zwoływać pospolitego ruszenia. Doprowadziło to pod koniec stulecia do zwołania pierwszego Sejmu walnego, złożonego z posłów wybranych przez sejmiki ziemskie, pełniących rolę stałych „kontrolerów” monarchy.

Ustrój ten został ostatecznie ukształtowany w roku 1573. W tym czasie Rzeczpospolita była głęboko wciągnięta w bardzo zróżnicowane ruchy Reformacji europejskiej, poczynwszy od luteranizmu i kalwinizmu po arianizm Braci Polskich i inne radykalne sekty, którym patronowała niezależnie myśląca szlachta. Świadomość praw jednostki stanowiła podstawę powszechnej tolerancji religijnej, dzięki której Polska zajęła wyjątkowe miejsce w Europie, jako państwo „bez stosów”.

W tym samym roku monarchia, już przedtem formalnie elekcyjna, po wymarcu dynastii Jagiellońskiej stała się realnie elekcyjną, związaną wyraźnym konstytucyjnym zobowiązaniem króla do przestrzegania „złotej wolności”. A co jeszcze bardziej wyjątkowe: każdy szlachcic miał prawo osobiście uczestniczyć w elekcji i podczas każdego *interregnum* wiele tysięcy z tego prawa korzystało. Suwerenność stała się całkowicie własnością narodu.

W rezultacie decydującym elementem w tym systemie były sejmiki ziemskie, które udzielały swoim posłom tak szczegółowych instrukcji, że Sejm, praktycznie rzecz biorąc, mógł działać jedynie na zasadzie jednomyślności. Początkowo oznaczało to, iż każdą nową ustawę poprzedzały ostre targi dla osiągnięcia zgody, co było uzasadnione rozmiarem i wielonarodowością państwa. I w tym przypadku istniały również analogie: konstytucja związkowa republiki holenderskiej lub amerykański kongres kontynentalny za czasów, kiedy trzynaście kolonii było jeszcze suwerennymi państwami.

W 1652 roku „jednomyślność” w polskim wydaniu zesłała na manowce, przekształcając się w *liberum veto*, „nie pozwalam”.

Dawało to każdemu posłowi możliwość zerwania sejmu, co unieważniało również wszystkie poprzednie uchwały. Antidotum na to prawo było równie niebezpieczne w skutkach: pojawia się instytucja konfederacji, będącej prawem do zawiązywania się szlachty w zbrojne grupy dla osiągnięcia określonych celów. Decydowano tam większością głosów, poza Sejmem zniewolonym przez *liberum veto*. Owo „prawo do sprzeciwu” ma również swoją logikę i analogie historyczne, ale w połączeniu z *liberum veto* instytucja konfederacji stawała się coraz kosztowniejsza w skutkach. Najpierw magnateria, umiejętnie wygrywająca lęk szlachty przed *absolutnym dominium*, uzyskała w połowie XVII wieku możliwość udaremniania egzekutywy królewskiej. Następnie w XVIII wieku państwa ościenne mogły przez swoich agentów ingerować we wszystkie sprawy Polski.

Początkowo zasada „złotej wolności” oparta była na trudnym do zakwestionowania prawie „nic o nas bez nas”. Z czasem jednak przekształciła się w paradoksalnie brzmiącą przechwałkę „Polska nierządem stoi”, którą można odczytać na dwa sposoby: siła Polski leży w tej wolności; ale inaczej rozumiane słowo „nierząd” — mogło oznaczać, że w Polsce panuje anarchia. Od tego momentu zaczął się upadek Rzeczypospolitej.

Pierwszym katastrofalnym ciosem był „potop” w połowie XVII wieku. W 1648 roku w wyniku krwawego powstania Kozaków i chłopów na Ukrainie połowa tych ziem przeszła pod panowanie Moskwy. Szala przechyliła się na korzyść Wschodu, a niekorzyść Polski. W 1655 pod jakimś pretekstem dynastycznym nastąpiła inwazja Szwedów, podjudzanych przez magnatów, którzy sądzili, że zmiana króla wpłynie na zwiększenie ich swobód. Potop szwedzki zalał cały kraj. W 1657 Księstwo Pruskie połączyło się z Brandenburgią i w ten sposób na zachodzie Polski powstało państwo-rywal. Naród szlachecki uczynił jednak jeszcze jeden desperacki wysiłek. W 1683 roku, w ostatnim prawdziwie mocarstwowym zryw, wyruszył król Jan Sobieski na odsiecz Wiednia, oblężonego przez Turków, ratując całą Europę od zagłady chrześcijaństwa.

Podczas tych zmiennych kolei losu, ukształtowała się nowa świadomość narodowa. Nastąpił znak równania między „Polak” a „katolik” — przynajmniej wśród tej części obywateli, do których odnosiły się oba te pojęcia. W obliczu zagrożenia przez luteranckich Szwedów, prawosławnych Moskali i muzułmańskich Turków, dawny luksus różnowierstwa mógł prowadzić do zdrady; szlachta gromadnie wróciła pod skrzydła Rzymu. Zapanował okres surowej, nieco teatralnej i wielce emocjonalnej pobożności,

charakterystycznej dla okresu kontrreformacji. A jednak, podczas gdy w Czechach i na Węgrzech powrót do katolicyzmu nastąpił w znacznej mierze przy użyciu siły, w Polsce odbył się dobrowolnie i bez prześladowania nadal licznych innowierców.

Dobrowolne nawrócenie wyjaśnia w dużym stopniu szczególnie więź, jaka istnieje w Polsce między katolicyzmem i uczuciami narodowymi, a także „złotą wolnością”. Symbolem nowego polskiego przymierza w 1656 roku, podczas „potopu”, jest powierzenie Polski w opiekę Matce Boskiej Częstochowskiej przez Króla Jana Kazimierza (Częstochowa była dopiero co dzięki „cudowi” oswobodzona od Szwedów) i ogłoszenie jej „Królową Polski”. Jakkolwiek może się to nam wydać dziwne, ale ów barokowy tytuł jest do dnia dzisiejszego traktowany poważnie przez niezliczone rzesze Polaków. Z biegiem czasu przyjęło się, że kiedy wolne i prawowite państwo polskie przestaje istnieć, Maria jako *Mater dolorosa* staje się władczynią, a Kościół regentem. Dlatego Lech Wałęsa nosi w klapie oznakę z podobizną Matki Boskiej.

„Potop” był jedynie wstępem do większej tragedii, jaką były rozbiory. Bezlitosna logika geografii zezwala tylko na jedno mocarstwo na wschodnio-europejskiej równinie. Przez dłuższy czas zdawało się, że tym mocarstwem będzie Polska. Po 1700 roku okazało się jednak, że autokracja wojskowa Piotra Wielkiego nieodwołalnie podporządkowała sobie te ziemie. W 1717 Rzeczpospolita polska stała się państwem podrzędnym. Przewaga Rosji carskiej zaalarmowała Prusy i Austrię, zmuszając tym następnie Katarzynę Wielką do podziału łupu: w 1772 nastąpił pierwszy z trzech rozbiorów Polski.

Ten straszliwy cios zaowocował na pozostałych ziemiach Rzeczypospolitej ruchem reformatorskim, którego rozwój zaczął się pod wpływem Oświecenia. Zdano sobie wreszcie sprawę, że aby ocalić niezależność Polski należy odciąć się od *liberum veto* i związków konfederacyjnych i że prawa muszą zostać rozszerzone na warstwy niższe; że musi być wprowadzona monarchia dziedziczna, rozporządzająca odpowiednią siłą zbrojną.

Program ten, przedłożony na Sejmie Wielkim w 1788 roku, wcielony został w 1791 roku w Konstytucję 3 Maja. Był to polski wkład moralny w zdobycze rewolucji amerykańskiej i francuskiej, z tą różnicą, że polegał na umocnieniu władzy królewskiej, a nie na jej osłabianiu. Miejsce Polski „w dobie rewolucji demokratycznych” omówione jest szeroko w *The American and European Revolutions* pod redakcją profesora Peleńskiego. Jest

to zbiór prac polskich i amerykańskich naukowców, wydany z okazji dwóchsetlecia Stanów Zjednoczonych w 1976 roku.

Nie sprzyjało jednak Polsce szczęście, tak jak państwom zachodnim: rewolucja przyniosła jej ruinę zamiast wolności. Rosja i Prusy pod pretekstem rzekomego „spisku jakobinów” w Warszawie wkroczyły, aby udaremnić nowy porządek, a przy okazji okroili Królestwo, przeprowadzając w roku 1793 zabór. W rok później Polacy odpowiedzieli powstaniem, desperacką próbą obrony Konstytucji 3 Maja. Powstaniem dowodził generał Tadeusz Kościuszko, uczestnik wojny o wolność Stanów Zjednoczonych. W swoim Uniwersale Połanieckim wyszedł on poza granice nakreślone Konstytucją 3 Maja, postulując nadanie chłopom wolności osobistej i zmniejszenie pańszczyzny, aby w ten sposób uzyskać jednomyślne, narodowe poparcie dla „sprawy”.

Powstanie zakończyło się klęską. Konstytucja 3 Maja i Uniwersał Połaniecki pozostały symbolami. A jednak te symbole wpłynęły na program polityczny Polski w następnym stuleciu i w pewnym sensie do dziś zachowały swoją aktualność. Podstawą programu była „niepodległość i demokracja”, nowoczesne udoskonalenie dawnej Rzeczypospolitej z pomocą — taką bowiem żywiono nadzieję — Zachodu, przeciwko wschodniemu despotyzmowi. W danej chwili jednak powstanie doprowadziło do *finis Poloniae*. Rzeczypospolita zniknęła z mapy w 1795 roku, po trzecim rozbiórze przy udziale Rosji, Prus i Austrii. Był to akt międzynarodowego bezprawia, akt bezprecedensowy w historii Europy aż do XX wieku.

3.

Trzeci rozbiór w 1795 roku stanowi wielką cezurę, uruchamiającą jednak przemiany w historii Polski. Początkowo Polacy nie dawali wiary temu, co się stało. Ufali, że lada moment nastąpi odrodzenie Rzeczypospolitej. Ale każda próba wydobycia się na powierzchnię pogrążała ich jeszcze głębiej w niewolę. Nastąpiła seria powstań: 1830, 1846-1848, 1863, 1905.

A przecież ów okres cierpień i klęsk miał swoje dodatnie strony: „naród szlachecki” rozwinął się w nowoczesne społeczeństwo, w skład którego weszły wszystkie warstwy; „demokracja szlachecka” przekształciła się po prostu w demokrację. Poczucie narodowe i demokracja stanowiły, rzecz jasna, pojęcia obiegowe w całej dziewiętnastowiecznej Europie, ale na ziemiach pociętych rozbiorami nabrały one szczególnego znaczenia.

Walka o niepodległość musiała bowiem być wspierana dąże-

niem do drugiego celu, jakim była sprawiedliwość społeczna w ramach narodowej wspólnoty. Dlatego też polski nacjonalizm stał się bardziej radykalny niż niemiecki lub rosyjski. Ale tendencje lewicowe nie odrzucały bynajmniej tradycyjnych wartości; w następstwie rozbiorów nastąpił bowiem rozdział Kościoła od państwa i wskutek tego Kościół stał się bastionem oporu przeciwko obcej władzy — podobnie jak to miało miejsce w Irlandii.

Polski radykalizm uzewnętrznił się wkrótce po 1795 roku, kiedy Legiony generała Henryka Dąbrowskiego wzięły udział w wojnach napoleońskich. Mazurek „Jeszcze Polska nie zginęła”, śpiewany przez legionistów, pozostał do dziś hymnem narodowym. Postawienie na napoleońską kartę zaowocowało utworzeniem w 1807 roku niewielkiego Księstwa Warszawskiego, lecz po klęsce cesarza Kongres Wiedeński (1815) przydzielił Księstwo Rosji, jako Królestwo Kongresowe. Równało się to z czwartym rozbiorem, w wyniku którego lwia część ziem dawnej Rzeczypospolitej dostała się we władanie Moskwy.

Wraz z utworzeniem Królestwa Kongresowego polska walka o wolność stała się przede wszystkim walką przeciwko rosyjskiemu samodzierżawiu. Królestwo posiadało własne wojsko i własną, skromną konstytucję zagwarantowaną przez Aleksandra I w dowód respektu dla polskich tradycji. Gest ten nie zadowolił jednak wymagań jego nowych podwładnych. Tak też po wybuchu rewolucji 1830 roku w Paryżu, w Warszawie rozpoczęło się powstanie listopadowe, przy mglistej nadziei uzyskania pomocy z zewnątrz, w imię utworzenia prawdziwego państwa konstytucyjnego w granicach z 1772 roku. Ale pomoc znikąd nie nadeszła i udziałem Polaków stała się klęska równie katastrofalna jak same rozbiory. Królestwo Kongresowe wcielone zostało do imperium rosyjskiego, a polska elita wywędrowała do Paryża.

Część „Wielkiej Emigracji” widziała problem polski w formie *grandiose* millenaryzmu i mesjanizmu, co stanowi temat wnikliwego dzieła profesora Walickiego pt. *Philosophy and Romantic Nationalism: The Case of Poland*. Emigracja obejmowała ludzi o diametralnie różnych poglądach, poczynawszy od monarchistów konstytucyjnych do radykalnych republikanów i zdeklarowanych socjalistów. Wszystkich w pewnym stopniu łączyła wiara, która była niezwykle mieszańką lirycznej nostalgii i profetyzmu, niemieckiego idealizmu filozoficznego i historycyzmu, francuskiego rewolucjonizmu i socjalizmu, bonapartyzmu i upolitycznionego katolicyzmu, wszystko to z odwoływaniem się do dawnej Rzeczypospolitej, a nawet szukaniem źródeł ustrojowych Polski w pierwotnych wspólnotach chłopskich.

Różnorodność poglądów na te tematy była ogromna, a niektóre teksty stały się klasyczne, jak np. poety Adama Mickiewicza lub wybitnego lewicowego heglisty Augusta Cieszkowskiego. Ideą przewodnią było przekonanie, że Polska ze względu na szczególne walory jej dawnych instytucji oraz wyjątkowe cierpienia od czasu rozbiorów stała się „Chrystusem narodów”, że umarła po to, żeby zmartwychwstać i że odrodzenie jej przyniesie odkupienie całej Europy przez powszechną rewolucję w imię wolności, demokracji i braterstwa ludów.

Z pewnością taka wizja może przyprawić o zawrót głowy i nie ulega wątpliwości, że jest ideologiczną kompensacją za niepowodzenia w świecie rzeczywistym. A jednak byłoby nieporozumieniem traktować to jako dowód polskiej aberracji. Rewolucja 1830 roku zapoczątkowała w całej Europie — od Mazziniego do Micheleta i Marksa — okres świeckich millenaryjnych oczekiwań, wiary w „Drugie Przyjście” roku 1789, które przyniesie tu na ziemi społeczne zbawienie ludzkości. Była to potężna, narastająca fala liberalno-demokratyczno-narodowych nadziei, której kulminacją stała się Wiosna Ludów w 1848 roku.

Typowo polskim akcentem w tym świeckim chórze chiliastycznym był motyw solidarności skupiającej wszystkie warstwy społeczne narodu historycznego — solidarności, stanowiącej jedyną drogę do demokracji; solidarności połączonej z przekonaniem, że wiara zrodzona z cierpienia jest w stanie pokonywać przeciwności, które zniechęciłyby zwykłych realistów. Przez wielką poezję romantyczną — Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego — Polacy do dziś dobrze znają to posłanie. Bez niego Polska — zważywszy jej miejsce na mapie — dawno zrezygnowałaby ze starań „żeby być Polską”.

Długo oczekiwana Wiosna Ludów ograniczyła się w Polsce do nieudanych zrywów w latach 1846 i 1848 w zaborach austriackim i pruskim. Klęska Rosji w wojnie krymskiej (1854-1856) zmusiła jednak w końcu nawet carat do przeprowadzenia pewnych reform. W centralnej Polsce pojawiła się nareszcie możliwość urzeczywistnienia wizji emigracji. Rezultatem było powstanie styczniowe 1863 roku — najbardziej heroiczny i tragiczny zryw w dziejach Polski.

Po 1830 roku demokraci polscy tłumaczyli klęskę powstania listopadowego tym, że szlachta nic nie zrobiła dla zaspokojenia potrzeb chłopów, którzy — jakkolwiek wyzwoleni z poddaństwa przez Napoleona — nadal ekonomicznie uzależnieni byli od szlachty, ponieważ nie przeprowadzono uwłaszczenia. Krytyczne głosy demokratów w połączeniu z „zagrożającą” reformą rosyjską spra-

wiły, że sprawiedliwość społeczna, obejmująca cały naród, stała się kluczowym zagadnieniem „sprawy polskiej”. Demokraci, czyli „Czerwoni”, szybko prześcignęli arystokratycznych „Białych” w coraz to bardziej radykalnych programach emancypacji chłopów, jako wstępu do zbrojnej walki o niepodległość, która — w myśl żywionych nadziei — miała nastąpić przy pomocy Zachodu, a nawet rewolucyjnej Rosji. Petersburg oczywiście zareagował represjami. W 1863 roku „Czerwoni” rzucili się do walki, pociągając za sobą „Białych”, którzy dołączyli w imię solidarności narodowej.

Powstanie nabrało jeszcze bardziej radykalnego charakteru przez to, że Królestwo Kongresowe nie miało już ani własnego wojska, ani żadnych struktur państwowych jak w 1830 roku. Trzeba więc było uciec się do walki partyzanckiej przeciwko wojskom carskim. Walka doprowadziła do utworzenia prawdziwego państwa podziemnego, które śmiało nakładało podatki i zaciągało do wojska przychylną mu ludność. Podziemny rząd ogłosił też ustawę o nadaniu ziemi chłopom bez wypłacania odszkodowań właścicielom. Dzięki tym niezwyklej potęgze europejskiej trwała na ziemiach polskich i litewskich przez półtora roku. I tym razem jednak pomoc znikąd nie nadchodziła i zwycięstwo caratu było przesądzone.

Rezultat był katastrofalny. Konserwatywna Rosja, chcąc zniszczyć szlachtę, podkopała jej bazę ekonomiczną, narzucając Polsce radykalny program „Czerwonych”, proklamujący nadanie chłopom ziemi. Był to początek końca szlachty, jako warstwy społecznej. Jej członkowie podejmowali pracę w wolnych zawodach, tworząc nową warstwę inteligencji, głęboko przywiązanej do polskich tradycji i gotowej ich bronić — wspólnie z Kościołem a czasami wbrew Kościołowi — ale bronić raczej drogą działalności kulturalnej niż politycznej. Ale nawet nauka języka polskiego i nauka o polskiej kulturze były zakazane. Panował okres przymusowej rusyfikacji, zarówno w dziedzinie szkolnictwa, jak i życia publicznego. Celem było całkowite wymazanie polskiej tożsamości. Do tego samego celu zmierzał równocześnie w zaborze pruskim antykatolicki program *Kulturkampf* Bismarcka.

Polacy ze swej strony zrezygnowali z romantycznych zrywów powstańczych jako zbyt kosztownych z punktu widzenia biologicznego przetrwania narodu. Nie zrezygnowali natomiast z chęci pozostania Polakami. Nowym patriotycznym hasłem stała się „praca organiczna”, znana również jako pozytywizm warszawski.

Zarzucono więc walkę o niepodległość jako formę donkiszoterii i skupiono siły na mozolnej pracy od podstaw, której celem miała być poprawa bytu ekonomicznego kraju. Jedyne taki praktyczny „pozytywistyczny” rozwój mógł dać Polsce szanse przeżycia jako wspólnocie między jej sąsiadami, Rosją a Niemcami. Praca organiczna stała się jedną z wielkich tradycji narodowych; stanowi ona przeciwwagę dziedzictwa lat 1830 i 1863 — podobnie jak neopozytywizm Kościoła po 1956 roku, za czasów kardynała Wyszyńskiego. Pojęcie „pracy organicznej” pozostało w Polsce do dziś aktualne.

Ale stare romantyczne demony nie chciały zasnąć i z początkiem XX wieku, w dobie rozpoczynającego się uprzemysłowienia, pojawiły się pod nazwą rewolucyjnego marksizmu. Mniejszość socjaldemokratów, pod przywództwem Róży Luksemburg i Feliksa Dzierżyńskiego, była doktrynersko internacjonalistyczna, odrzucała niepodległość Polski jako ekonomicznie wsteczną. Większość członków tej partii stała się z czasem komunistami. Natomiast większość socjalistów, pod kierownictwem Józefa Piłsudskiego, uważała, że rewolucja proletariacka jest równoznaczna z walką o niepodległość kraju. Dla socjalistów niepodległość była podstawowym warunkiem emancypacji robotników, i właśnie to stanowisko, znane szerszemu ogółowi, zadecydowało o ogromnym poparciu mas dla tego ruchu.

W tym samym czasie powstawania nowoczesnego społeczeństwa polskiego utworzone zostało pod przywództwem Romana Dmowskiego Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, popierane głównie przez hołdującą umiarkowaniu klasę średnią. W pewnym sensie endecy byli klasycznymi liberałami, ponieważ przeciwstawiali się radykalizmowi Piłsudskiego i głosili potrzebę współpracy z konstytucyjnymi demokratami w Rosji — z kadetami. Celem tej współpracy miała być generalna reforma imperium, a jedynym żądaniem ze strony narodowych demokratów — zagwarantowanie Polsce autonomii. Ale zapiekły, samoobronny szowinizm endecji zdeformował polski patriotyzm — tradycyjnie wielkoduszny i kosmopolityczny — w egoizm etniczny. I tak powstała partia nacjonalistów, typowa dla współczesnej Europy.

Proces politycznego odrodzenia doprowadził do nowej rewolucji w 1905 roku, kierowanej przez socjalistów piłsudczykowskich, do utworzenia nowego państwa podziemnego i do nowej porażki. Ten stan rzeczy trwał aż do chwili wybuchu pierwszej wojny światowej, kiedy otworzyły się przed Polską nowe możliwości. Ale ironia losu polegała na tym, że z wyjątkiem skromnych liczebnie legionów Piłsudskiego (który w tym czasie odszedł

już od socjalizmu) Polacy nie odegrali żadnej roli w oswobodzeniu własnego kraju. Odzyskanie niepodległości w 1918 roku nastąpiło w wyniku nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, kiedy trzy uczestniczące w rozbiorach potęgi — Rosja, Niemcy i Austria — upadły równocześnie. Piłsudski wkroczył w zaistniałą próżnię i utworzył Drugą Rzeczpospolitą, której świętem narodowym był 3 maja, a hymnem państwowym mazurek Dąbrowskiego z 1798 roku.

A jednak owo młode, nowonarodzone państwo przeżyło swój wielki triumf. W 1920 roku leninowska Rosja ruszyła na zachód „po trupie białej Polski do podpalenia świata”. Piłsudski i zjednoczony naród odnieśli wielkie zwycięstwo, rozbijając siły wroga u bram Warszawy. Zwycięstwo, zwane „cudem nad Wisłą”, miało miejsce w dzień święta Matki Boskiej. Dzięki temu aż do roku 1939 błogosławieństwa leninizmu zostały zarezerwowane dla Rosji, a Polacy mieli świadomość, że raz jeszcze, podobnie jak za Sobieskiego, uratowali całą Europę, spełniając rolę *antemurale christianitatis*.

4.

Ten wzruszający moment w historii, tak drogi sercu każdego Polaka, nasuwa wszakże pytanie: jak to się stało, że odrodzona Polska, chępiąca się swoim konstytucyjnym dziedzictwem, nie wypadła tak dobrze jako nowoczesna demokracja i dlatego nie była bliższa wzniosłym hasłom Wilsona, stanowiącym kanon w tamtym okresie? *Politics in Independent Poland* profesora Polonsky'ego, książka już klasyczna, dostarcza rzeczowych, opartych na środkowoeuropejskich doświadczeniach odpowiedzi.

Przede wszystkim niełatwo było po 150 latach podziału połączyć trzy części kraju w jednolitą społeczność, szczególnie zważywszy zniszczenia wywołane sześcioletnią wojną. Poza tym okres niepodległości nie przebiegał gładko: kraj pogrążony był dwukrotnie w kryzysie, wzrastało też poczucie zagrożenia z zewnątrz, ponieważ ani Niemcy ani Rosja nigdy nie uznały polskich granic. W roku 1921 została uchwalona ultrademokratyczna konstytucja, po części ze względów zasadniczych, a po części po to, aby zamknąć Marszałkowi Piłsudskiemu drogę do prezydentury. Wynikiem tego manewru był w pierwszym rządzie chaos w Sejmie, a następnie w 1926 roku zamach stanu przeprowadzony przez Marszałka, który dążył do utworzenia silnej władzy wykonawczej. Była to jakby zapowiedź gaulizmu.

Rząd Piłsudskiego, mając w pełni uzasadnione obawy co do

stanowczości swoich zachodnich sprzymierzeńców, postanowił uczynić Polskę zdolną do samodzielnego działania na arenie międzynarodowej, zaniedbując niebłahe problemy wewnątrz krajowe. Chyba największym z nich był problem mniejszości narodowych, Polacy bowiem stanowili jedynie dwie trzecie ludności. Na pozostałą jedną trzecią składali się Ukraińcy, Żydzi, Białorusini i Niemcy. Polacy, podobnie jak inne narody, kiedy z gnębionych stają się zwycięzcami, niechętnie przyznawali innym prawa, o które sami długo walczyli. Praktycznie rzecz biorąc nie byłoby to i tak łatwe bez narażenia integralności terytorialnej ich wciąż jeszcze wątłego państwa. Wynikiem była polityka mieszana — asymilacji i dyskryminacji — oraz narastające napięcia na tle różnic etnicznych.

System parlamentarny podporządkowany został wpierw Piłsudskiemu, kiedy ten skupił w swoich rękach władzę w 1926 roku, następnie, po jego śmierci w 1935 roku, oligarchii pułkowników, którzy szukali oparcia w wojsku jako narzędziu wymuszania jedności narodowej. Mimo wszystko partie polityczne, związki zawodowe i wolność słowa nie zostały ograniczone i społeczeństwo polskie pozostawało żywiołowo pluralistyczne i cieszyło się bogatym życiem kulturalnym. Absurdem jest określanie Polski międzywojennej mianem państwa faszystowskiego. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kraj ten zachował siły moralne, aby w czasie wojny znaleźć środki do przeciwstawiania się okupacji zgodnie z zasadami demokratycznymi, o czym świadczy przekazanie przez pułkowników władzy rządowi emigracyjnemu generała Władysława Sikorskiego w Londynie oraz kierownictwu Armii Krajowej, w obrębie której funkcjonowały klasyczne partie polityczne.

5.

Historia polskiego dwudziestolecia międzywojennego nasuwa jeszcze inne niepokojące pytanie, dotyczące polskiego antysemityzmu, a mówiąc ogólniej stosunków polsko-żydowskich. Nie mamy tu do czynienia ze zwykłym epizodem w historii diaspory, gdyż problem ten był kluczowy w żydowskiej historii współczesnej. Cztery piąte wszystkich żyjących obecnie na świecie Żydów jest potomkami mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej Polskiej; aż do 1880 roku, kiedy rozpoczęła się masowa migracja do Ameryki, cztery piąte wszystkich Żydów zamieszkiwało tereny zaborów. W 1939 roku ludność żydowska w drugiej Rzeczypospolitej wynosiła ponad 3 miliony, co można przyrównać do liczby Żydów w Stanach Zjednoczonych, natomiast w zestawieniu ze Związkiem Sowieckim Żydów w Polsce było o jedną trzecią wię-

cej. Starannie udokumentowana monografia profesora Mendelsohna, *Zionism in Poland*, w połączeniu z książką profesora Daviesa, szerzej ujmującą te problemy, dają właściwą perspektywę.

U schyłku dawnej Rzeczypospolitej Żydzi stanowili 10 % ludności. Do osiedlenia się w Polsce skłaniały ich dwie przyczyny. Po pierwsze z większości państw zachodnioeuropejskich zostali oni wypędzeni, bądź na podstawie odpowiednich praw, bądź też po prostu wyszczuci. Po drugie wielowyznaniowość mieszkańców Rzeczypospolitej umożliwiała Żydom znalezienie tam schronienia. Tak doszło do ukonstytuowania się Żydów w odrębny stan z wybraną przez siebie administracją, własną kulturą i językiem. Nie znaczy to, że ich los wolny był od niebezpieczeństw. Ich związki ekonomiczne ze szlachtą budziły powszechną wrogość wśród ludu, a podczas buntów kozackich doprowadziły do straszliwej masakry. Pomimo wszystko Żydzi czuli, że jest im w Polsce o wiele lepiej niż byłoby im gdziekolwiek indziej. Na skutek napływu ludności żydowskiej oraz ich przyrostu naturalnego Rzeczpospolita w okresie swojego upadku stanowiła największy w świecie ośrodek żydostwa.

Rozbiory były dla Żydów taką samą katastrofą jak dla Polaków, przynajmniej w zaborze rosyjskim. Do tego czasu nie było w Rosji Żydów i carowie traktowali nowych przybyszów jak jakąś zakaźną chorobę, którą postanowili — za pomocą prawa ograniczającego osiedlenie — zlokalizować na zachodnich ziemiach imperium.

Tak się przedstawiała sytuacja, kiedy po wprowadzeniu przez rząd carski ukazów majowych 1882 roku usankcjonowana przez państwo dyskryminacja zaowocowała falą oficjalnie popieranym pogromów, które stanowią początek współczesnego, politycznego antysemityzmu, wraz z jego konsekwencjami, jak *exodus* Żydów do Ameryki oraz początki żydowskiego radykalizmu, a zarazem syjonizmu.

A cóż można powiedzieć o odrodzonej Rzeczypospolitej, gdzie znowu Żydzi stanowili 10 % ludności? Jest to procent tak wysoki, że w większości krajów powoduje on przekroczenie progu tolerancji wobec mniejszości. Nie powinno więc nikogo dziwić, że w Polsce zapanował krzykliwy antysemityzm. Zjawisko to zaostrzał dodatkowo — zgodny z tezami prezydenta Wilsona — raptowny zwrot ku etnicznemu samookreśleniu w całej Europie środkowej. Zasadniczy problem polega jednak raczej na tym,

jak silne były uczucia ksenofobii, jakie były jej praktyczne skutki i z jaką spotykała się opozycją. W związku z tym należy przypomnieć, że polski nacjonalizm nie był monolitem: z jednej strony kształtowany był przez tradycję otwartości dawnej Rzeczypospolitej i powstań, z drugiej — przez niedawnej, endeckiej proweniencji ciasną ideę czystości etnicznej narodu. Upraszczając więc, linia podziału biegła między dwoma walczącymi obozami Piłsudskiego i Dmowskiego.

Mimo że etnocentryczna endecja nigdy nie doszła do władzy, objawem jej wzrastających wpływów w drugiej połowie lat trzydziestych było getto ławkowe na uniwersytetach i sporadyczne bojkoty sklepów żydowskich. Jednocześnie szybki przyrost demograficzny w połączeniu z wielką nędzą niezaasymilowanej, posługującej się językiem jidisz masy żydowskiej, powodowały demoralizację i poczucie bezradności. Pomimo tego piłsudczycy i lewica nie ustawiali w przeciwstawianiu się endecji i aktywność polityczna i kulturalna Żydów — ortodoksyjnych, bundowsko-socjalistycznych i rozmaitych odmian syjonistów — trwała nieprzerwanie, równolegle z procesem asymilacji. Pułkownicy nawet popierali tworzenie się paramilitarnych jednostek pod przywództwem młodego syjonisty-rewizjonisty, Menachema Begina, gotujących się do zdobycia Palestyny. Oczywiście pułkownicy chcieli się pozbyć i jego, i jego ludzi, ale działo się to na warunkach, które były dla Żydów do przyjęcia.

Właściwie polski ideał romantyczno-heroicznego patriotyzmu stał się w pewnym stopniu wzorem dla polskich syjonistów wszelkich odcieni; oni również bowiem wychowali się na *Panu Tadeuszu*, narodowej epopei Mickiewicza, w której Jankiel, bard żydowski, śpiewa najbardziej patriotyczne i wolnościowe strofy poematu. Nie jest może przypadkiem, że wielu czołowych przywódców w Izraelu począwszy od Davida Ben Guriona, rewolucyjnego poalej syjonisty z 1905 roku, urodziło się w Polsce. Sytuacja Żydów w drugiej Rzeczypospolitej była pod wieloma względami godna potępienia; w żadnym jednak wypadku nie można jej uważać za zapowiedź albo przygotowanie do zagłady — jak niektórzy autorzy, z powodów zrozumiałych, ale opartych na nieporozumieniu, usiłują czasami dowieść. Prawdziwa katastrofa nastąpiła w 1939 roku: najazd hitlerowski dokonał rzeczywistego wyniszczenia Żydów polskich, zamykając tym samym 500-letni okres, podczas którego Polska była w Europie głównym azylem dla ludności żydowskiej.

Jeśli dla Żydów druga wojna światowa oznaczała zagładę, to

dla Polaków — odwołując się do innego pojęcia religijnego — oznaczała Golgotę. We wrześniu 1939 roku napadły podstępnie na Polskę dwie sprzymierzone totalitarne potęgi europejskie i dokonując piątego rozbioru, podzieliły się jej ziemiami. Półtora miliona Polaków deportowano do obozów w Rosji, a 6 milionów obywateli polskich, z których połowę stanowili Żydzi, wyginęło na terenach zajętych przez Niemcy. Pozostała ludność, aczkolwiek nie przeznaczona przez Hitlera na zagładę jak Żydzi, miała być pozbawiona warstwy przywódczej i przekształcić się w stado niewolników. Z końcem wojny Sowiety przesunęły granice Polski o 240 km na zachód, grabiąc wszystko, co było jeszcze do zgrabienia w całkowicie wyniszczonym kraju.

Tym niemniej Polacy zorganizowali największy ruch oporu w Europie, ponownie tworząc podziemne państwo i armię. Wstąpili się bohaterstwem walcząc u boku zachodnich sprzymierzeńców na frontach Norwegii, Włoch i Normandii — a nawet za Stalina. Nie wydali żadnego Quislinga, ani też kolaborantów. A jednak okazało się, że cały ten wysiłek poszedł na marne.

Po roku 1941 Rosja, wschodni pozorny sprzymierzeniec Polski, w gruncie rzeczy pozostała ukrytym wrogiem, aliantom zaś zbyt zależało na pomocy Stalina w walce z hitlerowskimi Niemcami, żeby kwestionować stanowisko Moskwy wobec Polski. Tak więc Polacy znaleźli się w sytuacji absurdałnej walki na dwa fronty, walki, której kulminacyjnym punktem było powstanie warszawskie w sierpniu 1944 roku — zryw z góry skazany na klęskę, a zarazem psychologicznie nieunikniony. Powstanie wymierzone było przeciwko Niemcom a zarazem — zapobiegawczo — przeciwko bolszewikom. Armia Krajowa poniosła klęskę, która utorowała drogę marionetkom stalinowskiego „rządu” lubelskiego. W kilka miesięcy później w Jałcie Roosevelt i Churchill, chociaż upominali się o pewne nominalne koncesje ze strony Stalina, zaaprobowali w rzeczywistości fakty dokonane i porzucili Polskę na łaskę i niełaskę Sowieci.

Opis tej dramatycznej sytuacji można znaleźć w pamiętniku Jana Nowaka, *best-seller*’ze wydawnictw podziemnych w Polsce. Nowak był podczas okupacji niemieckiej kurierem między Warszawą a Londynem. Z umiarem i bez retoryki ukazuje przepaść między polskim a alianckim pojmowaniem wojny. Kończy wnioskiem, że jakkolwiek powstanie okazało się nieskuteczne, stanowi ono okupioną krwią gwarancję, że Polska nigdy nie pogodzi się z wyrokiem Jałty. Dla Polaków do dziś nie istnieje pojęcie „zwycięstwa” w 1945 roku. Walka rozpoczęta w 1939 roku trwa i trwać będzie w ukrytej formie, jak długo drugi z kolei, bolsze-

wicki najeźdźca nie zostanie wyparty, a prawdziwa Rzeczpospolita wskrzeszona. Podobnie jak zaraz po 1795 roku Polacy nie chcieli spocząć, dopokąd zbrodnia pierwszego rozbioru nie zostanie odrobiona.

6.

Po 1945 roku w nowych, trudnych warunkach sowieckiego socjalizmu, odżyła dawna walka o zachowanie narodu. Bowiem totalitarna władza komunistyczna — w przeciwieństwie do jawnej brutalności faszyzmu — podstępnie rozbija okupowane społeczeństwo i zatamizowaną ludność podporządkowuje aparatowi partyjnemu. Metoda ta jest tym bardziej destrukcyjna, iż wszystko dzieje się w imię „światlanej przyszłości” socjalizmu. Tak też po 1945 roku znaczny odłam przedwojennej polskiej lewicy, w tym liczni członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej, wciągnięty został do współpracy ze stalinizmem, tworząc Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Mimo że z czasem wielu z tych ludzi wyrwało się z kręgu „zniewolonych umysłów”, klasyczna lewica została w Polsce dość wyraźnie skompromitowana i moralne przywództwo przypadło w udziale Kościołowi.

Kościół w Polsce był od czasu rozbiorów twierdzą polskości. Ale był to Kościół konserwatywny, żyjący przeszłością, dawnymi tradycjami, usiłując w ten sposób odeprzeć groźbę wpływu świeckich ideologii na swoich wiernych.

Za czasów Drugiej Rzeczypospolitej ateizm bolszewicki w sąsiedztwie i radykalizacja nastrojów w kraju sprawiły, że Kościół stał się jeszcze bardziej zamknięty i przestrzegający zasady „Polak-katolik”. Koszmar okupacji i następnie stalinizmu wstrząsnął również Kościołem, przyspieszając w nim proces przemian. Duchowieństwo zdziesiątkowane i prześladowane przestało się odcinać od intelektualnych i społecznych prądów zachodnich, szczególnie francuskich i belgijskich, jak personalizm miesięcznika *Esprit* i tomizm z Lowanium. Przebieg odrodzenia polskiego katolicyzmu relacjonuje w swojej pracy o Janie Pawle II George Williams.

Wielkim architektem tego odrodzenia był prymas Stefan kardynał Wyszyński. Podczas powstania warszawskiego był kapłanem AK. Internowany za czasów stalinowskich we wczesnych latach pięćdziesiątych, stał się mistykiem maryjnym. Kiedy zelżał terror stalinowski, Wyszyński przystąpił do pracy nad odnowieniem świadomości duchowej i narodowej społeczeństwa. Cel ten osiągnął, stosując przedziwną kombinację metod tradycyjnych i nowoczesnych.

Wypuszczony z więzienia w 1956 roku odnowił ślubowanie Króla Jana Kazimierza, złożone dokładnie trzy lata wcześniej — czyż bowiem lata 1939-1956 nie były jeszcze większym potopem? — oddając raz jeszcze naród polski pod opiekę Marii, Królowej Polski. Następnie zainicjował dziewięcioletnią „Wielką Nowennę”. Na każdy rok wyznaczony był jakiś określony temat do medytacji o polskich wartościach i grzechach. Reprodukacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wędrowała po wszystkich parafiach w kraju. Punktem kulminacyjnym Nowenny były uroczystości 1966 roku z okazji tysiąclecia chrztu Polski. Kardynał Wyszyński niezmiennie podkreślał, że prawdziwa Polska żyje chrześcijaństwem a nie marksizmem, i kiedy nadszedł moment decydujący, jego zwycięstwo było oczywiste: tłumy robotników i chłopów stanęły ramię w ramię za swoją Królową, nie zwracając żadnej uwagi na uroczystości konkurencyjne, reżymowe, z okazji tysiąclecia państwa polskiego.

Równocześnie, idąc za bardziej nowoczesną myślą w Kościele, Wyszyński roztaczał swoją opiekę nad Klubami Inteligencji Katolickiej i popierał rozmaite niezależne wydawnictwa i ośrodki katolickie jak krakowski *Znak* oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski, kształcący m.in. wykładowców do seminariów duchownych. Ośrodki te wydały dynamiczną grupę soborowego laikatu oraz głęboko wykształconą grupę młodszych duchowieństwa. Również Karol Wojtyła wywodzi się z tych środowisk. Kościół coraz dobitniej podkreślał wagę absolutnych i powszechnych wartości moralnych, przyrodzonych praw człowieka, związanych z jego naturą, sprawiedliwości społecznej i godności pracy, nienaruszalności sumienia jednostki i prawa społeczeństwa do prawdy i — ponad wszystko — do wiary, że Chrystus jest ucieleśnieniem Boga, jako podstawy prawdziwego humanizmu, który wydobywa istotną świętość człowieka. Były to w gruncie rzeczy podstawowe tematy homilii wygłoszonych przez Jana Pawła II podczas dwu jego pielgrzymek do kraju ojczystego.

Wynoszenie na piedestał osoby ludzkiej jako celu samego w sobie i jako głównej zasady organizacji społecznej miało tym większą wymowę, że w marksizmie nie istnieje żadna teoria etyki. Marksizm bowiem głosi, że wszystkie tak zwane „absoluty” jak „sprawiedliwość” i „prawa człowieka” stanowią jedynie „nadbudowę” nad interesami materialnymi, są po prostu „oszustwem powszechnego braterstwa” burżuazji, a to co słuszne czy niesłuszne jest całkowicie względne, jest bowiem podporządkowane walce klasowej, a w praktyce, w systemie marksizmu-leninizmu — woli partii. Rezultatem tej ideologicznej konfrontacji było w

1970 roku pogłębiające się bankructwo moralne reżymu, uznanie Kościoła za głównego spadkobiercę również humanizmu dawnej lewicy, jak to z wielką życzliwością przyznał historyk Adam Michnik, zdeklarowany „bezbożnik”, w swojej książce *Kościół, lewica, dialog*.

Takie było tło i takie wartości odgrywały rolę w procesie polskiego odrodzenia politycznego, przerwano go w 1944 roku i wznowiono w 1956. Ciągłość tego procesu omawia szczegółowo Jakub Karpiński w swojej książce *Countdown*, wykazując, że seria znanych nam powojennych kryzysów zbyt często uważana była za niezwiązane ze sobą epizody, podczas kiedy stanowią one kolejne etapy procesu odrodzenia.

W 1956 roku rzeź protestujących robotników w Poznaniu przyczyniła się do powrotu do władzy Władysława Gomułki, „narodowego” komunisty, zamykając w ten sposób epokę stalinowską. W 1968 roku jego pseudoliberalny reżym, przestraszony Wiosną Praską, wykorzystał resztki endeckiego antysemityzmu w partii dla przeprowadzenia czystki wśród rewizjonistycznych intelektualistów, eliminując tym samym poważnie myślących ideologów marksizmu. W 1970 roku nastąpiła masakra strajkujących stoczniowców Wybrzeża; przyczyniło się to do obalenia Gomułki na korzyść bardziej giętkiego Edwarda Gierka i — co ważniejsze — do obalenia mitu o państwie robotniczym i możliwości reform wewnątrzpartyjnych. Ponowne strajki w 1976 roku w Ursusie i Radomiu doprowadziły po raz pierwszy do sojuszu robotników z intelektualistami w postaci Komitetu Obrony Robotników (KOR) oraz zmusiły Gierka do ustępstw.

Następnie w 1980 roku, w ślad za pierwszą „radosną i wyzwalającą” pielgrzymką Jana Pawła II do swego kraju, wszystkie fragmenty powojennej spuścizny scalały się i zaowocowały jednym, wielkim cudem: przełomem sierpniowym, którego ukoronowaniem były porozumienia gdańskie i utworzenie „Solidarności”. I nagle stało się dla wielu Polaków oczywiste, że litania dat, często krwawych, a obecnie świętych — 1956, 1968, 1970, 1976, 1980 — to jakby drugi, pokojowy (*nonviolent*), cykl dawnej epopei walk o wolność: 1794, 1830, 1846-1848, 1863, 1905.

Doskonały wybór kluczowych dokumentów i artykułów czołowych polskich emigrantów, dokonany przez Abrahama Brumberga, ukazuje związki między upartym borykaniem się drugiego cyklu a dziedzictwem pierwszego. Praca Alaina Touraine’a poświęcona działaczom „Solidarności” stanowi najpełniejszą z dotychczasowych analizę samego związku w kontekście nauk społecznych. We wniosku końcowym, opartym na wywiadach doko-

nanych przez polsko-francuski zespół socjologów pracy, Touraine stwierdza, że wobec totalitaryzmu państwa partyjnego normalny ruch robotniczy staje się siłą rzeczy ruchem o szerszym zakresie, obejmującym protesty o charakterze społecznym, narodowym i etyczno-religijnym, które w sumie tworzą „masowy ruch społeczny”.

Nie ma już chyba potrzeby podkreślać, że „Solidarność” nie jest zwykłym związkiem zawodowym, lecz w istocie powrotem odwiecznej idei narodowej, która na przekór wszystkiemu nie dała się stłumić. Zdziwiał nas fakt, jak powojenna rewolucja socjalistyczna mało zmieniła schemat polskiej historii. A przecież ta rewolucja była naprawdę kolosalnym wstrząsem: dawne struktury społeczne uległy całkowitej rozsypce; większość przywiązanej do tradycji ludności wiejskiej została przetransportowana do nowotworzonych ośrodków przemysłowych, wchodząc w orbitę tłamszącej dominacji biurokratów partyjnych. Przez pewien czas nowi rekruci do życia miejskiego akceptowali warunki stawiane przez reżym. Aż do strajków 1970 roku ich pieśnią protestu wciąż była Międzynarodówka, ale z początkiem lat osiemdziesiątych drugie, lepiej wykształcone pokolenie robotników gotowe było stanąć o własnych siłach, a ci śpiewali już jedynie mazurka Dąbrowskiego z 1798 roku i Boże coś Polskę... z 1863.

Właściwie nie jest przesadą stwierdzenie, że ta młoda klasa robotnicza to jakby, przynajmniej w swojej mentalności, po prostu ogromna, plebejska szlachta, która obstała przy zasadzie „nic o nas bez nas” i dąży do „złotej wolności” swoich pańskich przodków. A podczas jedyne go zjazdu ogólnokrajowego „Solidarności” we wrześniu 1981 roku słyszało się nawet porównania z Sejmem Wielkim w 1788 i uchwaloną przezeń Konstytucją 3 Maja.

7.

Ale jaki jest obecny stan rzeczy i co można powiedzieć o przyszłości Polski? „Kryzys” zaczął się w 1980 roku, a więc już przez trzy lata ciągnie się największy w dziejach imperium sowieckiego akt oporu. Natomiast nie widać ani śladu tej „normalizacji”, jakiej życzą sobie komuniści. Zamiast tego mamy sytuację „zamrożoną”, niestałą formę dwuwładzy: z jednej strony nieugięte dążące do odrodzenia społeczeństwo, z drugiej — rozkładające się partyjne państwo, zredukowane do własnego aparatu i działające na zasadzie junty. Tego rodzaju zjawisko, nienotowane dotychczas w dziejach marksizmu-leninizmu, stanowi punkt zwrotny w historii. Szczegóły polskiego ruchu oporu oma-

wia książka *Poland Under Jaruzelski*, będąca doskonałym wyborem ważnych dokumentów i komentarzy.

Po osiemnastu miesiącach „stanu wojennego” reżym poczuł się na tyle pewny siebie, żeby zezwolić w czerwcu na wizytę papieża. Nie przewidział jedynie, jakich dramatycznych kosztów wymagać będzie kamuflowanie istotnej słabości władzy. Następny pokaz pseudonormalizacji miał miejsce w lipcu, kiedy reżym zrzucił z siebie żenujący mundur wojskowy, ogłosił „zawieszenie” stanu wojennego i przywrócił nominalne rządy partii. Gest ów jednak odśłonił tyleż słabości, co siły, ponieważ rząd musiał równocześnie ogłosić „stan wyjątkowy” w połączeniu z tak drakońskimi zarządzeniami, jakich w Polsce nie było od czasów stalinowskich.

Reżym osiągnął jednak swój zasadniczy cel: nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, że zdecydowany jest dążyć do pełnej „normalizacji”, że społeczeństwo musi porzucić wszelkie, co rusz odżywające złudzenia, jakoby władza musiała podjąć „dialog” i zgodzić się na kompromis ze społeczeństwem. Czyż bowiem „enigmatyczny” Jaruzelski nie jest w gruncie rzeczy umiarkowanym człowiekiem w partii (istotnie są w niej gorsi od niego), a może wręcz ukrytym patriotą, który osłania Polskę przed gniewem Moskwy? — tak rozumowali niektórzy. Ale ustawodawstwo lipcowe wskazuje wyraźnie, że reżym dąży do zdławienia wszystkich przejawów samostanowienia społeczeństwa — zarówno na terenie fabryk, jak w stowarzyszeniach zawodowych czy też we wciąż samorządnych wyższych uczelniach. Władza bowiem liczy na to, że dzięki posiadanemu monopolowi na przemoc doprowadzi społeczeństwo — jak to miało miejsce w Czechosłowacji — do stanu rezygnacji i rozpacz i przekonana jest, że czas pracuje na jej korzyść; tego bowiem domagają się „bratnie kraje”.

Tym niemniej odrestaurowane „państwo partyjne” jest w środku puste, wydrażone wszechobecną pamięcią o „Solidarności”. „Solidarność” była bowiem czymś daleko więcej niż organizacją związkową: była ruchem, który wyrósł z przekonań etycznych i z głosu sumienia. Jej siła jest wciąż żywa. Ukazał to Jan Paweł II, kiedy celowo pobudził osiem milionów Polaków, zgromadzonych wzdłuż posępnej trasy swojej drugiej pielgrzymki, do zamanifestowania wierności dla idei solidarności.

Jak długo ta siła żyje, nie ma mowy, aby wróciła mieszanina strachu, korupcji, fałszywych pozorów i beznadziei, które umożliwiają państwu partyjnemu „normalne” funkcjonowanie. Nieliczni

jedynie zapisują się do nowych oficjalnych związków czy też do rządowego, fasadowego, jak gdyby substytutu „Solidarności” — Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON). Partia zatem nie może odtworzyć swoich „normalnych” mechanizmów kontrolujących organizację służebne.

Spółeczeństwo polskie w swojej masie nadal bierze udział w tajnej działalności „Solidarności”, obecnej we wszystkich fabrykach, nie tyle na zasadzie dawnego państwa podziemnego, ile autentycznego społeczeństwa podziemnego. Siatka solidarnościowa wydaje miesięcznie kilkaset gazet, periodyków i biuletynów fabrycznych. Dwa czy trzy tysiące fabrycznych komitetów „Solidarności” regularnie zbiera składki członkowskie, wypłaca zapomogi chorym i zwolnionym z pracy członkom oraz rodzinom więźniów politycznych.

Mimo wszystko „Solidarność” nie może wygrać, ponieważ nie ma środków przymusu wobec władz. Tak więc sytuacja „zamrożenia” będzie się ciągnęła... w nieskończoność. Odwiedziny Jana Pawła II dają jednak jakieś pojęcie o jej przyszłym kształcie. Z jednej strony Papież rzucił bojowe wezwanie, aby „dobro i zło nazywać po imieniu”, zaaprobował zasady „Solidarności” i porozumień gdańskich, jako „przyrodzone prawa obywateli”, co do których nie może być żadnych kompromisów, zobowiązując tym samym duchowieństwo do udzielania poparcia „Solidarności” — ponad głową ostrożnego i nie cieszącego się zbytnią popularnością prymasa Józefa Glempa (który ponad wszystko lęka się powtórzenia wydarzeń z 1944 lub 1863). Z drugiej strony, w duchu rozważań, Papież opowiedział się za cierpliwym stosowaniem metod pokojowych oraz za powrotem do długofalowej pracy organicznej. Pośłanie to przekazane zostało symbolicznie, w formie beatyfikacji dwu bojowników o wolność z roku 1863 (czytaj także 1980), którzy następnie wstąpili do zakonu i oddali się ciężkiej pracy wychowawczej.

Praca organiczna nie jest jednak równoznaczna z programem pasywnym. W obecnej sytuacji oznacza odrodzenie narodowe przez wiarę; badania wykazują, że kościoły w Polsce nigdy jeszcze nie były tak przepełnione jak obecnie: cotygodniowa frekwencja wzrosła z 65 % do zdumiewającej cyfry 90-95 %. Oznacza również niesłabnący nacisk społeczeństwa „na wierność” Gdańskowi, aby tą metodą nagiąć niemożliwy do zrzucenia reżym do rzeczywistości narodowej, w przekonaniu, że nawet „państwo partyjne” musi w końcu szukać współpracy ze swoimi niewolnikami. Praca organiczna może również oznaczać jakieś instytucjo-

nalne programy, jak proponowany przez Glempa bank rolniczy (wciąż jeszcze nie zatwierdzony przez rząd) który miałby być ufundowany przez zachodnie Kościoły w celu uzdrowienia polskiego rolnictwa indywidualnego — choć w tym wypadku istnieje niebezpieczeństwo przejścia funduszu przez państwo.

Wszystkie te formy pracy organicznej mogą współistnieć ze stałym naciskiem na rząd ze strony podziemnej „Solidarności”, a nawet z rozważną aktywnością publiczną. 31 sierpnia, w trzecią rocznicę porozumień gdańskich Wałęsa, mimo silnej obstawy w dzielnicy portowej, wyraził swoją wierność idei Związku symbolicznym gestem złożenia wieńców u stóp sławnego gdańskiego pomnika i wygłosił w pobliżu tego miejsca przemówienie. W tym samym czasie w odpowiedzi na radiowe wezwanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej kilka tysięcy robotników, mimo zakazu władz, demonstrowało na ulicach Nowej Huty i Warszawy; a po skończonym dniu pracy liczni Polacy przyłączyli się do bojkotu transportu publicznego, osiągając widoczny efekt kosztem niewielkiego ryzyka. Opierając się na dotychczasowych precedensach możemy być pewni, że zarówno Związek, jak i Kościół znajdują jakieś formy wyrażania sprzeciwu przeciwko zapowiedzianym procesom siedmiu członków „Solidarności” i pięciu działaczy KOR-u.

Wszystko to godne podziwu, powie jakiś sceptyk, ale co to praktycznie daje? Większość Polaków ma teraz świadomość, której nie mieli w latach 1980/1981, że darmo szukać wyjścia z dylematu w samej Polsce, i że musi coś drgnąć w Związku Sowieckim. Dla Jana Pawła II, który podobnie jak Wyszyński jest mistykiem maryjnym i uwrażliwiony jest na sprawę prawosławia i na więzy łączące Słowian, oznacza to konieczność pobudzenia do życia innych Kościołów w Europie wschodniej, aby na moralnie strupieszonych reżymach komunistycznych wymóc koncesje dla ludów tamtych ziem. Dlatego też Papież po raz pierwszy mianował kardynałów w sowieckich republikach litewskiej i łotewskiej i dlatego większość zwierzchników kościelnych z państw wschodnioeuropejskich towarzyszyła mu w czerwcowej pielgrzymce do Polski. Dla większości Polaków oznacza to po prostu nieugięte trwanie przy wierze dopóki coś się nie załamie w bloku socjalistycznym lub w samej gerontokracji moskiewskiej. „Na dwoje babka wróżyła...”.

Dlatego więc polscy romantyczni szaleńcy, chronicznie przegrywający, nie poddadzą się nareszcie i nie dadzą światu zająć się ważniejszymi kryzysami? Polacy zaszli zbyt daleko od 80-tego roku, by móc się cofnąć: zbyt daleko, by podporządkować się kłamstwu o normalizacji i tym samym zrezygnować ze z trudem

wywalczonej „ludzkiej osobowości”. Wzniosli ludzie z Zachodu, którzy bez jakiegokolwiek wysiłku otrzymują przysługujące im prawa, nie chcą dostrzec, że w chwili obecnej Polakom nie chodzi o to, żeby wygrać tylko o to, żeby nie przegrać doszczętnie; bo w ich warunkach już to jest zwycięstwem. Należy też pamiętać, że dzieje dwu wielkich cykli walk o wolność świadczą o przełomowej wprost umiejętności Polaków znoszenia przez czas nieograniczonej sytuacji nie do zniesienia — aż do momentu, kiedy zdarza się nowy „cud”, jak w Częstochowie, nad Wisłą, lub w Gdańsku.

Martin MALIA

(Przekład z angielskiego Haliny CARROLL-NAJDER)

Jolanta STRZELECKA

DZIAŁALNOŚĆ SEJMU PRL PO 13 GRUDNIA 1981 ROKU

Sejm obecnej kadencji, która rozpoczęła się w marcu 1980 roku, uchwalił już około stu czterdziestu ustaw. Z tej liczby ponad osiemdziesiąt ustaw uchwalił po 13 grudnia 1981 roku. Proces ten trwa nadal. *Rzeczpospolita*, organ Rady Ministrów, podała czwartego stycznia bieżącego roku, że w Sejmie jest już trzynaście nowych projektów ustaw. Dotychczas (w bieżącym roku) uchwalono prawo prasowe, a na uchwalenie czekają: ustawa o wychowaniu patriotycznym młodzieży w programach historii i języka polskiego, ustawa o ustroju sądów powszechnych, zmiana ustawy o trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (uchwalonej niecały rok temu). Cel tych wszystkich zmian jest już teraz jasny: zamienić rządy partii w rządy wojska i służby bezpieczeństwa i milicji, zlikwidować resztki autonomicznego działania organów państwowych, w pełni podporządkować władzy stowarzyszenia, organizacje społeczne, naukę, oświatę, z Polaków uczynić jednostki pozbawione praw obywatelskich i posłuszne rozkazom. Oznacza to po prostu wprowadzenie na stałe do ustawodawstwa PRL wszystkich specjalnych uprawnień władzy, jakie dawał jej dekret o stanie wojennym.

22 lipca 1983 roku WRON już mógł sobie pozwolić na ogłoszenie, że znosi stan wojenny, jako że w zasadniczy sposób zmieniono podstawy ustroju politycznego w Polsce bądź poprzez fakty dokonane (zmiany personalne, które spowodowały przejście na stałe przeważającej części funkcji w administracji państwowej i

gospodarczej przez kadry wojskowe), bądź przez takie zmiany ustawodawcze jak np. ustawa o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, ustawa o osobach uchylających się od pracy, ustawa o tajemnicy państwowej, zmiany przepisów dotyczących stowarzyszeń, wolności nauki, zmiany w prawie pracy, w prawie karnym, w ustawie o cenzurze. Po rozwiązaniu większości stowarzyszeń i organizacji działających w Polsce niemal od 1945 roku rozwiązano także, niejako symbolicznie, dla pokazania, że wszystko będzie teraz inne, także i Front Jedności Narodu, który skupiał tzw. organizacje ludu pracującego miast i wsi, i powołano Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. W ten sposób po blisko czterdziestu latach „budowy nowego ustroju” wszystko rozpoczęto od nowa.

Jeśli przyrzeć się tym wszystkim zmianom z punktu widzenia prawa międzynarodowego, które wymaga aby po zakończeniu stanu wojennego powrócić do ustawodawstwa poprzedzającego wprowadzenie tego stanu, to w Polsce mamy do czynienia z zaprzeczeniem tej zasady. Należy jednak spróbować odpowiedzieć także i na pytanie, czy ustawy uchwalone po 13 grudnia 1981 roku są legalne także i z punktu widzenia praw i Konstytucji PRL, czy też stanowiły jedynie dalszy ciąg zamachu stanu i wprowadzono je gwałtem. Już samo uchwalenie tej ilości ustaw (łatwo przeliczyć, że jedna ustawa przypadała mniej więcej na jeden tydzień) świadczy, że posłowie nie mogli mieć wpływu ani na ich treść, ani na tryb ich uchwalania, bo nie było na to czasu. Przyjrzyjmy się jednak temu dokładniej.

Jak Sejm PRL powinien uchwalać ustawy

1. Rozpatrywanie projektów ustaw jest szczegółowo uregulowane w przepisach regulaminu Sejmu PRL (tekst jednolity *Monitor Polski* Nr 21, poz. 94 z dnia 10 maja 1976 roku). Stanowi on, że rozpatrywanie ustaw winno odbywać się w tzw. „dwu czytaniach”. Pierwsze czytanie projektu może być przeprowadzone na posiedzeniu Sejmu lub na posiedzeniu właściwej komisji (np. ustawę dotyczącą spraw nauki winna rozpatrywać Komisja d/s Nauki) i Komisji Prac Ustawodawczych. O tym, w jakiej formie odbywa się pierwsze czytanie, decyduje Prezydium Sejmu. O zaniechaniu pierwszego czytania może zdecydować tylko cały Sejm na posiedzeniu. Jeżeli pierwsze czytanie odbywa się na komisjach, to wszyscy posłowie (czyli 460 posłów, a nie tylko członkowie komisji) winni otrzymać przedstawione

przez wnioskodawcę projektu uzasadnienie. Pierwsze czytanie na posiedzeniu Sejmu nie może odbyć się wcześniej niż następnego dnia po otrzymaniu przez posłów druku projektu ustawy. Pierwsze czytanie projektu, które odbywa się na komisjach, jest skróconą formą rozpatrywania ustaw, bo po dyskusji i zgłoszeniu poprawek a także po dostarczeniu wszystkim posłom sprawozdania z dyskusji na komisjach na co najmniej trzy dni przed posiedzeniem Sejmu, na którym ma się odbyć drugie czytanie, projekt może zostać uchwalony. Po pierwszym czytaniu na posiedzeniu Sejmu, które obejmuje przedstawienie projektu i jego uzasadnienie oraz dyskusję nad nim, następuje bądź odrzucenie projektu, bądź dopiero przekazanie właściwej komisji dla dokładnego przedyskutowania go. W tym trybie wszyscy posłowie otrzymują projekt odpowiednio wcześniej, a ponadto przed „drugim czytaniem” na trzy dni przed planowanym posiedzeniem Sejmu winni otrzymać także sprawozdanie z obrad komisji. Drugie czytanie odbywa się tylko na posiedzeniu Sejmu. Komisja (albo komisje), które zajmowały się tym projektem składają w Sejmie ustne sprawozdanie z przebiegu dyskusji, a potem winna się odbyć ponownie plenarna dyskusja nad projektem, która przeważnie składała się z wystąpień przedstawicieli wszystkich klubów i kół poselskich, a także posłów bezpartyjnych. Po dyskusji można zgłaszać poprawki do projektu, które powinny być głosowane, na końcu odbywa się głosowanie nad projektem.

Komisje w wyniku swych obrad podejmują uchwały i tylko ten projekt ustawy, który uzyska zwykłą większość głosów w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby członków komisji (art. 38 pkt. 1 Regulaminu Sejmu), może być przedstawiony do drugiego czytania. I nawet ten Sejm nie przyjmował wszystkich rządowych projektów. Na przykład w latach siedemdziesiątych wielokrotnie dyskutowany na posiedzeniach komisji sejmowych projekt ustawy o osobach uchylających się od pracy został odesłany do rządu jako niezgodny z ratyfikowanymi przez Polskę konwencjami MOP. Podobny los spotkał ustawę psychiatryczną.

Po 13 grudnia Sejm nie podjął uchwały o odstąpieniu od tej procedury mimo, że wielokrotnie ją łamano.

2. Konstytucja PRL w art. 8 pkt. 1 mówi: „Prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej są wyrazem interesów i woli ludu pracującego”. Oznacza to między innymi prawo wyborców do wpływu na proces ustawodawczy. Posłowie, którzy są odpowiedzialni przed swymi wyborcami i mogą być przez nich odwołani (art. 2 pkt. 2 Konstytucji) gdy nie spełniają swej funkcji zgodnie z ży-

ceniami wyborców winni zasięgać opinii wyborców na temat projektów ustaw — są do tego zobowiązani. Wyborcy powinni więc być poinformowani o zamierzeniach ustawodawczych Sejmu — jest to ich prawem.

3. Konstytucja stanowi, że obrady Sejmu są jawne. Tajność obrad może być uchwalona przez Sejm, jeżeli wymaga tego dobro państwa. Regulamin Sejmu przewiduje specjalną procedurę uchwalania tajności obrad Sejmu. Po 13 grudnia 1981 roku Sejm nie podjął nigdy takiej uchwały.

4. Zgodnie z Konstytucją PRL ustawy uchwalane przez Sejm nie mogą być z nią sprzeczne. Art. 8 pkt. 2 Konstytucji mówi: „Ścisłe przestrzeganie praw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest podstawowym obowiązkiem każdego organu państwa i każdego obywatela”. Zgodność ustaw z Konstytucją winien badać Trybunał Konstytucyjny, który jednak praktycznie nie istnieje, bo nie powołano jego składu. Jest to wygodna sytuacja dla władzy, która tworzy nowy system praw usiłując zachować pozory, że nie zmienia starego systemu.

Jak obradował Sejm po 13 grudnia

Procedura rozpatrywania ustaw po 13 grudnia 1981 roku została pogwałcona. Projekty większości ustaw były t a j n e ! Nie wolno było o nich pisać w prasie, nie mogły być przedmiotem dyskusji na spotkaniu posłów z wyborcami... bo posłowie też ich nie znali. Projekty ustaw czy sprawozdania z posiedzeń komisji sejmowych posłowie najczęściej otrzymywali tuż przed posiedzeniem Sejmu, na którym odbywało się głosowanie ustawy. Po raz pierwszy było tak z projektem ustawy o związkach zawodowych, a potem w znacznie zaostrzonej formie dotyczyło to ustawy o tajemnicy państwowej, ustawy o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego i ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie kryzysu społeczno-gospodarczego. Projekt ustawy otrzymali posłowie tuż przed posiedzeniem Sejmu, tuż przed posiedzeniem Sejmu dostali też sprawozdanie z obrad komisji, które go zatwierdziły. O dziwnych metodach pracy Sejmu mówił w swym przemówieniu Sejmowym 8 października 1982 roku podczas uchwalania ustawy o związkach zawodowych poseł Edmund Osmańczyk. Był to pierwszy tak drastyczny wypadek.

Odmówiono wtedy wejścia na obrady komisji sejmowych dziennikarzom mimo, że komisje nie uchwałyły tajności obrad. Posłowie otrzymali tekst projektu ustawy na trzy dni przed posiedzeniem Sejmu, ale za to z nadrukiem, który musiał co najmniej wywołać zdziwienie: „Tekst do wyłącznego użytku obywateli posłów”.

„Czy to oznacza, że tekst ten do czasu uchwalenia ma pozostać tajny? — pytał poseł Osmańczyk. — I dla kogo?”. W środę 6 października tygodnikowi *Polityka* cenzura nie zezwoliła na opublikowanie w piśmie z datą niedzielną 10 października informacji o ustawie opartej o wspomniany sejmowy druk, z którego cytaty podały już poprzedniego dnia główne agencje prasowe oraz rozgłośnie radiowe w języku polskim, z wyjątkiem naszych¹”.

Czy brano pod uwagę opinie wyborców przy uchwalaniu tej ustawy? Odpowiedź na to pytanie (poza tą, że posłowie na pewno nie mogli przedstawić projektu wyborcom, bo go nie znali) znajdujemy w sprawozdaniu z posiedzenia Komisji Prac Ustawodawczych i Komisji Pracy i Spraw Socjalnych w dn. 29/30 września 1982 roku, na których po raz drugi odbywało się „pierwsze czytanie” projektu ustawy o związkach zawodowych. Pierwsze „pierwsze czytanie” odbyło się bowiem 10 grudnia 1981 roku i 15 grudnia miało się odbyć drugie czytanie i uchwalenie tej ustawy. 13 grudnia został wprowadzony stan wojenny i posiedzenie się już nie odbyło. 29 września 1982 roku Prezydium Sejmu bez żadnego do tego prawa zarządziło tajność obrad komisji (tylko komisje mają prawo uchwalić tajność swych narad), na których za pośrednictwem Rady Państwa przedstawiono posłom rządowy projekt zmian w uzgodnionym przez wszystkie istniejące przed 13 grudnia związki zawodowe, przez komisje sejmowe, przedstawicieli Rady Państwa do której należała inicjatywa ustawodawcza projekcie ustawy o związkach zawodowych. Przedstawiciel Rady Państwa K. Secomski powiedział 29 września 1982 roku, że przesłanką proponowanych zmian były wyniki badań opinii publicznej. Badania te miał przedstawić posłom ekspert z Komisji Doradców Sejmowych socjolog Witold Morawski. Powiedział on: „Otóż znane mi wyniki badań socjologicznych opinii publicznej wskazują, że ocena 'Solidarności' w społeczeństwie jest krytyczna, niemniej nadal większość społeczeństwa we wszystkich środowiskach akceptuje ten związek” (*Biuletyn* Nr 626/VIII kad. Kancelaria Sejmu, Wydział Prasowy, Warszawa, dnia 29 września

1. *Diariusz Sejmowy* z dn. 8 i 9 października 1982 r., str. 13 sprawozdania z 26 posiedzenia plenarnego Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

1982 roku, str. 11). Witold Morawski nie przedstawił jednak wyników badań, powiedział, że nie może tego zrobić, choć nie wytłumaczył dlaczego. Poprosił o ich przedstawienie ministra d/s związków zawodowych Stanisława Ciośka. Min. Ciosek wyraził ubolewanie, że posłowie chcą znać wyniki badań, „które były zbierane jedynie dla kierownictwa rządu, partii i stronnictw politycznych” (cytowany *Biuletyn*) i stwierdził, że nie poda posłom wyników tych badań. Posłowie usłyszeli za to, że „Solidarność” została opanowana przez obcą agenturę i że „nie podpisaliśmy porozumień z wynaturzoną ‘Solidarnością’, ale z protestującą klasą robotniczą”. Podczas gdy W. Morawski powołując się na te badania powiedział, że większość społeczeństwa jest za „Solidarnością” min. Ciosek mówił już tylko o połowie. Posłowie prosili o dokładniejsze przedstawienie wyników badań, o przekazanie wyników ankiety komisjom sejmowym do spokojnego przestudiowania, ale nie otrzymali odpowiedzi. Tak wyglądał „dowód”, że rząd proponowane zmiany projektu ustawy o związkach zawodowych oparł o wyniki badań opinii publicznej. Trzeba przypomnieć, że zmieniano w ten sposób projekt ustawy, nad którym dyskusja trwała przeszło półtora roku. Min. Ciosek mimo obowiązku jaki na nim ciąży, aby przedstawić komisjom sejmowym wszystkie informacje jakich żądali posłowie (art. 31 pkt. 2 Regulaminu Sejmu mówi: „Kierownicy resortowi, urzędów oraz instytucji lub ich zastępcy obowiązani są na żądanie komisji przedstawić sprawozdania oraz udzielić informacji) prawdopodobnie w zgodzie z obowiązującą po 13 grudnia tendencją polityczną uznał, że rząd nie będzie zdradzał posłom swoich tajemnic, że rząd jest ponad Sejmem.

Wcześniej także na poglądy opinii publicznej, która podobno żądała wprowadzenia przymusu pracy dla „pasożytów społecznych” powoływała się minister Lechowicz (Ministerstwo Sprawiedliwości), uzasadniając konieczność uchwalenia tej ustawy na posiedzeniu komisji sejmowych. Na pytanie, kiedy badano opinię publiczną odpowiedziała, że w latach... siedemdziesiątych. (*Biuletyn* Nr 593/VIII kad. Kancelaria Sejmu, Wydział Prasowy, Warszawa, dni 70.07.1982 r.) Min. Lechowicz prawdopodobnie nie wiedziała, że podczas strajków sierpniowych 1980 roku wśród tysięcy innych postulatów postulat „pracy przymusowej, pracy dla pasożytów” pojawił się zaledwie kilka razy².

2. Twierdzę to na podstawie badań wszystkich postulatów zgłoszonych do MKZ w Stoczni Gdańskiej w okresie 1980 r. robionych przez Romana Labę w University of Harvard — wynika z nich, że na 303 zakłady pracy tylko 3 % zgłosiło postulat, aby „coś” zrobić z „pasożytami”.

Charakterystyczne także było zakończenie posiedzeń komisji sejmowych obradujących nad ustawą o związkach zawodowych. Pod koniec posiedzenia, w drugim dniu obrad na którym dyskutowano także i inne projekty ustaw, przedstawiciel Polskiego Związku Katolicko-Społecznego przedłożył Prezydium Komisji Pracy i Spraw Socjalnych pismo, w którym zwracał się o przedłużenie dyskusji nad tą ustawą. „W uzasadnieniu wniosku mówi się o zbyt wielkim pośpiechu w rozpatrywaniu projektu ustawy, o konieczności wyjaśnienia wątpliwości odnoszących się do wielu artykułów. Stwierdza się ponadto, że projekt ustawy przed wniesieniem pod obrady Sejmu powinien być poddany pod dyskusję społeczną, a przede wszystkim przekazany do oceny Radzie Społeczno-Gospodarczej Sejmu” — referowała pos. I. Sroczyńska (PZPR). Odpowiedział na to pos. A. Łopatka, przedstawiciel rządu polskiego w ONZ — „Proponuję nie wracać do zakończonej dyskusji”. Wniosek nie był głosowany, Rada Społeczno-Gospodarcza nie dostała projektu do zaopiniowania, cenzura zdejmowała w prasie najmniejsze nawet wzmianki o tym projekcie. Posłowie nie otrzymali projektu ustawy do „pierwszego czytania” ani nie otrzymali sprawozdania z posiedzeń komisji przed drugim czytaniem i głosowaniem projektu w Sejmie. Otrzymali jedynie projekt ustawy na trzy dni przed jej głosowaniem z nadrukiem zobowiązującym ich do milczenia na temat jej treści. Nie mogło więc być mowy o dyskutowaniu tego projektu z wyborcami. Został „uchwalony” z pogwałceniem wszystkich przepisów dotyczących rozpatrywania ustaw w Sejmie.

Niemniej procedura uchwalenia ustawy o związkach zawodowych okazała się dla władz zanadto „demokratyczna”. Na posiedzeniu Sejmu dopuszczono do dyskusji i posłowie Janusz Zabłocki (PZKS) i Edmund Osmańczyk (bezpartyjny) wygłosili dramatyczne przemówienia. Zabłocki udowodnił nielegalność przepisów tej ustawy, jej niezgodność z międzynarodowymi konwencjami ratyfikowanymi przez Polskę i z Porozumieniem Gdańskim. Edmund Osmańczyk ukazał nielegalność trybu jej uchwalania i oskarżał rząd o groźny w skutkach „zamach stanu” (*Diariusz Sejmowy*, sprawozdanie z 26 posiedzenia plenarnego Sejmu PRL w dniach 8-9 października 1982). Nawet gen. W. Jaruzelski, który przez wiele godzin potrafi siedzieć nieporuszony, tak że zaczyna się wątpić czy jest żywym człowiekiem, tym razem w trakcie tych przemówień wykonał kilka gestów wskazujących na jego wielkie niezadowolenie. Toteż następne ustawy, takie jak na przykład ustawa o tajemnicy państwowej, o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, czy ustawa o powszechnym obowiązku obrony PRL

(tzw. ustawa o Komitecie Obrony Kraju) były uchwalane bez dyskusji, w milczeniu. Jedynie poseł sprawozdawca przedstawiał uzasadnienie projektu ustawy i Marszałek Sejmu z pogwałceniem Regulaminu Sejmu, który nakazuje dyskusję, przechodził do zarządzenia głosowania nad nimi. W Sejmie PRL na 460 posłów przeszło połowa posłów należy do PZPR, ponad stu do ZSL, 37 posłów jest z SD i reszta, około czterdziestu, jest bezpartyjna. Podczas głosowania posłów partyjnych obowiązuje dyscyplina partyjna. Nie ma więc wątpliwości, że projekty uzyskają odpowiednią liczbę głosów i będą uchwalone. Uchwalane są jednak z pogwałceniem przepisów o trybie ich rozpatrywania. Projekty wszystkich wymienionych przeze mnie ustaw były tajne. Nie wiadomo nawet, czy były dyskutowane na posiedzeniach komisji sejmowych, chyba że były to komisje specjalne. Tak było w przypadku uchwalania ustawy o paszportach, kiedy to Komisja Prac Ustawodawczych i Komisja Spraw Wewnętrznych w pełnym składzie uchwaliły, że jej wniesienie na plenarne obrady Sejmu, czyli na tzw. „drugie czytanie” musi być odroczone do czasu powołania składu Trybunału Konstytucyjnego, który winien rozstrzygnąć czy szereg jej przepisów jest zgodnych z Konstytucją PRL. Zgodnie z Regulaminem Sejmu uchwała ta była wiążąca i tryb postępowania nad tą ustawą został zawieszony. Jednak Prezydium Sejmu zwołało następne posiedzenie tych samych komisji ponownie w sprawie ustawy paszportowej. Z niewyjaśnionych jak zwykle przyczyn na posiedzeniu tych komisji na pięćdziesięciu ośmiu posłów, którzy są ich członkami, było obecnych tylko osiemnastu. Z tej liczby trzynastu głosowało za wniesieniem jej na posiedzenie Sejmu, trzech głosowało przeciwko, a dwóch wstrzymało się od głosu³. Regulamin Sejmu wymaga, aby uchwały komisji były podejmowane większością głosów w obecności co najmniej połowy posłów należących do komisji (art. 38 pkt. 1 Regulaminu Sejmu). Wystarczyło to jednak, aby przed Sejm wniosła projekt tej ustawy... Podkomisja Spraw Wewnętrznych. Podobnie postąpiono przy zmianie ustawy o kontroli publikacji i widowisk. Powiadomiono posłów, że dyskusja plenarna Sejmu nad tymi zmianami będzie przeniesiona na wrzesień i że 28 lipca Sejm będzie obradował tylko nad ustawą podatkową. Działo się to 22 lipca w czasie znoszenia stanu wojennego. Nikt nie zwoływał odpowiednich posiedzeń komisji, nic nie wskazywało na to, że uchwalenie tych zmian będzie przyspieszone. Duża część

3. Na podstawie przemówienia posła E. Osmańczyka w Sejmie 5 grudnia 1983 r. (*Tygodnik Powszechny* z 18 grudnia 1983 r.).

posłów nie planowała przyjazdu na obrady w dniu 28 lipca, bo był to okres wakacji. Nie było więc żadnej groźby że posłowie zażądają zwołania odpowiednich komisji, bo po prostu nie było ich w Warszawie. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że komisje nie zgodziłyby się na te poprawki. Przemawia za tym fakt, że poprawki zostały uchwalone przy dziewięciu głosach przeciwko i dwiętnastu wstrzymujących się. Duża część posłów głosujących przeciwko i wstrzymujących się od głosu należy do Komisji Prac Ustawodawczych, były więc duże szanse na niedopuszczenie tych poprawek pod głosowanie Sejmu. Zastosowano więc znów tajemnicę i oszustwo. Posłowie po prostu nic nie wiedzieli⁴.

Także na posiedzeniu Sejmu w dniu 14 lipca 1983 roku, kiedy to uchwalono ustawę o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, było obecnych na 460 posłów tylko około dwustu. I tak ustawa, która dotyczyła także praw obywatelskich, czyli materii konstytucyjnej, została uchwalona zwykłą większością głosów bez wymaganego *quorum* w takich sprawach. Oczywiście nie było żadnej dyskusji w Sejmie. Głos zabrał tylko poseł sprawozdawca. W podobnym trybie, bez dyskusji na posiedzeniu Sejmu, uchwalono ustawę o tajemnicy państwowej i ustawę o zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony PRL.

Nie należało także do rzadkości zwoływanie posiedzeń komisji sejmowych w ostatniej chwili, aby uniemożliwić przygotowanie się posłów do dyskusji. Na przykład na dzień przed posiedzeniem Sejmu, na którym miano uchwalić ustawę o zawieszeniu stanu wojennego i ustawę o szczególnej regulacji prawnej na okres po zawieszeniu stanu wojennego zebranie komisji rozpoczęło się o szóstej wieczorem i trwało do drugiej w nocy. Następnego dnia było głosowanie. Nie było więc możliwe przestrzeganie Regulaminu Sejmu, który wymaga dostarczenia sprawozdania z komisji, na których odbywa się pierwsze czytanie projektu na trzy dni przed jego głosowaniem. Ponadto na posiedzeniu tym obowiązywała posłów należących do PZPR, ZSL i SD dyscyplina partyjna i nie wolno im było zabierać głosu przeciwko rządowym projektom. Nie dopuszczono także na posiedzenie komisji profesorów prawa, którzy chcieli przedstawić ekspertyzę, że ustawa o szczególnej regulacji jest sprzeczna z ratyfikowanymi przez Polskę umowami międzynarodowymi. Wyprowadzono prof.

4. Obserwowałam posiedzenie Sejmu w dn. 22 lipca 1983 r. i rozmawiałam z wieloma posłami na ten temat, chcąc się upewnić, że i ja mogę kontynuować moje wakacje.

Gubińskiego (Uniwersytet Warszawski) i prof. Kubickiego (Polska Akademia Nauk) tak żeby ich nikt z posłów już nie widział. Nie dopuszczono także prasy mimo, że komisje nie uchwałyły tajności obrad.

Władza znalazła także sposób i na „poprawianie” ustaw (używam słowa „władza” dlatego, że bliżej nie wiadomo, kto był nią naprawdę, projekty ustaw nie zawsze naprawdę pochodziły od rządu, który je tylko firmował, posłowie podejrzewali, że były one pisane w MSW). Doskonałym przykładem jest ustawa o osobach uchylających się od pracy. Uchwalona zgodnie z procedurą, w „dwóch czytaniach”, po dwukrotnym dyskutowaniu jej na komisjach sejmowych dzięki posłom, którzy byli przeciwni jej uchwaleniu, została tak skonstruowana, żeby nie można było z niej skorzystać, żeby stanowiła „martwą literę”. Toteż poza obowiązkiem administracji prowadzenia rejestru mężczyzn, którzy ukończyli 18 rok życia i nie przekroczyli 45 roku życia i którzy nie pracowali dłużej niż trzy miesiące, ustawa ta nie dawała żadnych podstaw do działań przeciwko niepracującym. W niecały rok później ustawą o szczególnej regulacji prawnej w okresie kryzysu społeczno-ekonomicznego wprowadzono przymus pracy. Art. 12 ust. 1 tej ustawy mówi: „W celu usunięcia występującego zagrożenia w funkcjonowaniu służb komunalnych i innych mających istotne znaczenie dla zaspokajania podstawowych potrzeb bytowych ludności, wojewódzka rada narodowa, na obszarze całego województwa lub jego części, może wprowadzić obowiązek wykonywania pracy przez osoby uchylające się od pracy...”. Ta szczególna ustawa, która stała się niejako „konstytucją” w Polsce, dotyczyła zresztą wielu dziedzin życia, a Prezydium Sejmu zwołało tylko posiedzenie Komisji Prac Ustawodawczych. Toteż w ostatniej chwili posłowie, którzy nie chcieli dopuścić do wszystkich drastycznych zmian, usiłowali zwoływać odpowiednie komisje, na przykład Komisję Nauki, aby przeciwstawić się proponowanym zmianom, które zaprzeczają pojęciu wolności nauki. Sądzę jednak, że tego przepisu, który tylną furtką wprowadził przymus pracy, w ogóle nie zauważyli. Na trzy dni przed posiedzeniem Sejmu usiłowali bowiem zmienić także projekt ustawy o amnestii tak, aby objął większą liczbę osób (częściowo z powodzeniem, ale w zamian za zobowiązanie się do głosowania za ustawą o szczególnej regulacji) więc nie mieli czasu na dokładne czytanie wszystkich projektów. I znów wszystkie ustawy uchwalone wraz z ogłoszeniem zniesienia stanu wojennego zostały uchwalone z pogwałceniem trybu rozpatrywa-

nia ustaw, bez zwołania na czas odpowiednich komisji, bez przestrzegania terminów⁵.

Czy w Sejmie może być opozycja

Większość posłów zachowuje się biernie. Część wyraźnie nie rozumie, dlaczego niektórzy spośród ich kolegów w czasie posiedzeń komisji są zawsze w opozycji do rządowych projektów ustaw i zajmują się udawadnianiem, że są one sprzeczne z prawem. Trudno się temu dziwić. Ten Sejm na pewno nie stanowi prawdziwego przedstawicielstwa dla społeczeństwa polskiego. Jednak duża część posłów w okresie „Solidarności” popierała społeczne projekty ustaw. Zostały przecież uchwalone takie ustawy jak ustawa o przedsiębiorstwie, o samorządzie robotniczym, ustawa o cenzurze. Komisje sejmowe przyjęły także projekt ustawy o związkach zawodowych zawierający dostęp do środków masowego przekazu, zasad pluralizmu związkowego, prawo do strajku. Nawet w czasie stanu wojennego udało się posłom na tyle zmienić projekt ustawy o osobach uchylających się od pracy, że uchwalenie tej ustawy nie stanowiło zagrożenia dla obywateli, a było jedynie hańbą, że taka ustawa została uchwalona. Toteż stosowano wszystkie środki, aby zmusić posłów do posłuszeństwa, od dyscypliny partyjnej podczas obrad komisji do procesów przed sądem partyjnym. Za naruszenie dyscypliny partyjnej i linii politycznej Stronnictwa Demokratycznego zostali oskarżeni posłowie z SD, którzy głosowali przeciwko ustawie o związkach zawodowych bądź wstrzymali się od głosu. Przeciwko ustawie głosowali: Maria Budzanowska, Jan Janowski, Halina Minkiszewicz-Latecka, Dorota Simonides i Hanna Suchocka. Wstrzymali się od głosu: Jadwiga Giżycka-Koprowska, Zbigniew Kledecki i Szczepan Styranowski. Natychmiast po posiedzeniu Sejmu Prezydium Klubu Stronnictwa Demokratycznego zawiesiło ich w prawach członków Klubu, czego prostym skutkiem było, że nie mogli zabierać głosu na posiedzeniach Sejmu. Ponadto Prezydium Klubu SD wystąpiło do Sądu Partyjnego z wnioskiem o usunięcie ich ze Stronnictwa za to, że naruszyli dyscyplinę partyjną i linię polityczną SD. Na długo przed orzeczeniem Sądu Prezydium Sejmu zwołało posiedzenia komisji sejmowych, w których ci posłowie pełnili funkcje przewodniczących czy wiceprzewodniczących i pozbawiono ich tych funkcji, uzasadniając to tym,

5. Z relacji posłów.

że Prezydium Klubu wyraziło brak zaufania do nich. Poza uniemożliwieniem im brania udziału w normalnym toku prac sejmowych usiłowano także stosować do nich szereg szykan w miejscu ich zamieszkania. Straszono ich, że ich dzieci nie dostaną się na studia, że zaszkodzi to w ich karierach zawodowych. Zwoływano lokalne zebrania SD z zamiarem uchwalenia rezolucji potępiających ich postępowanie. Niestety zebrania są obecnie w Polsce formą nieskuteczną, bo zwoływanie zebrań, nawet partyjnych, jest dla władzy niebezpieczne. Z tego co mi wiadomo takie zebranie w Łodzi przerodziło się w manifestację poparcia dla oskarżonych posłów. Usiłowano także potępić ich na CK SD (odpowiednik Komitetu Centralnego w PZPR). Jednak poza Prezydium trudno i tam było znaleźć większość, która nie zgadzała się z postawą tych posłów. Zamiast słów potępienia można było usłyszeć jeżeli nie wprost słowa poparcia, to przynajmniej uznanie, że grupa ta miała prawo głosować zgodnie ze swoim przekonaniem⁶. Co gorsza Sąd Partyjny pierwszej instancji w składzie sędzieja Namysłowska (Bydgoszcz), sędzieja Łukaszewski (Szczecin) i sędzieja Bilecki (Tarnów) wydał orzeczenie uniewinniające. Przede wszystkim Sąd ustalił, kiedy może być naruszona dyscyplina partyjna i uznał, że tylko wtedy, gdy o zastosowaniu jej zdecydowano w demokratyczny sposób. W tym przypadku uchwałę o dyscyplinie partyjnej w głosowaniu nad ustawą winien był podjąć cały Klub SD. Takiej uchwały Klub nie podjął, podjęło ją tylko Prezydium Klubu, co nie było zgodne z demokratycznymi zasadami działania Stowarzyszenia i nie obowiązywało posłów. Nadto Sąd Partyjny stwierdził, że posłowie nie naruszyli demokratycznej linii politycznej SD (określonej w czasie zjazdu SD, który odbył się w okresie „Solidarności”). Sąd przyjął za podstawę swego orzeczenia wyjaśnienia oskarżonych takie jak np. poseł Koprowskiej-Giżyckiej, która stwierdziła, że jako prawnik i sędzia z zawodu nie mogła głosować za ustawą sprzeczną z obowiązującymi w systemie polskiego prawa zasadami. Gdyby to zrobiła, wyjaśniała, nie mogłaby nadal wykonywać zawodu sędziego. Poseł Kledecki wyjaśniał, że zgodnie z Konstytucją reprezentuje on w Sejmie przede wszystkim wyborców i przed nimi jest odpowiedzialny. Opinie wyborców na temat ustawy o związkach zawodowych znał dobrze i nie mógłby im się pokazać na oczy, gdyby głosował za tą ustawą. Orzeczenie Sądu Partyjnego, specjalnie na tę okazję dobranego, któremu partyjni notabie nie mogli narzucić swego zdania, jest może najlepszym dowodem na

6. Sprawozdanie z posiedzenia ukazało się w organie SD.

to, jak głębokie są zmiany wśród społeczeństwa polskiego, dowodem na to, że bez gwałtu ta władza nie jest w stanie wprowadzić zmian. Oskarżyciel odwołał się od orzeczenia Sądu pierwszej instancji. Skład Centralnego Sądu Partyjnego do tej sprawy był długo nieznany. Wielu członków Sądu odmawiało sądenia w tej sprawie. W końcu, 30 czerwca 1983 roku, w osiem miesięcy po zawieszeniu posłów SD w prawach członków SD, Centralny Sąd Partyjny zmienił orzeczenie sądu pierwszej instancji i uznał posłów winnymi naruszenia dyscypliny partyjnej, za co skazał ich jedynie na najniższą karę upomnienia, podczas gdy oskarżyciel żądał usunięcia z SD. Drugiego zarzutu Centralny Sąd w ogóle nie rozpatrywał, prawdopodobnie chcąc uniknąć rozważań na temat co jest linią polityczną SD. Trzeba wspomnieć i o tym, że obrońcami posłów byli wybitni profesorowie prawa, a także jeden z nestorów SD, pani mecenas z Krakowa, która swe przemówienie rozpoczęła od wspomnienia obozu oświęcimskiego, w którym była w czasie wojny, a skończyła żądaniem, aby przed Sądem postawić oskarżyciela, za łamanie demokratycznych zasad Stronnictwa⁷. Oczywiście cała ta sprawa miała służyć nie tyle ukaraniu tych posłów, co zastraszeniu pozostałych. W Sejmie jest tylko 37 posłów ze Stronnictwa Demokratycznego, toteż postawa aż ośmiorga spośród nich mogła wywołać zaniepokojenie, że „choroba” może się rozszerzyć. Toteż szybkie ukaranie ich wywołało odpowiednie skutki. Bardzo szybko ósemka posłów znalazła się w izolacji, jeśli ktoś nawet odważył się wyrazić im uznanie, to tylko wtedy, gdy nikt tego nie widział. Mimo poczucia izolacji wielokrotnie jeszcze głosowali przeciwko innym ustawom lub wstrzymywali się od głosu. Inni posłowie, których nie stać było na tak otwartą manifestację, często po prostu wychodzili podczas głosowania. Wiele razy robiła to H. Skibniewska, wiele razy Jan Szczepański. Raz tylko w głosowaniu zmian w rządzie przeciwko odejściu min. Rajkiewicza i min. Tejchmy głosowało około sześćdziesięciu osób (dodałam tu oba głosowania), podniosły się wtedy ręce wstrzymujących się od głosu nawet w ławach PZPR. Dowodzi to, że liczba posłów, która myśli inaczej jest większa, aniżeli to widać. Nic więc dziwnego, że władza nie dopuszcza do rozpatrywania ustaw w trybie ustalonym Konstytucją i Regulaminem Sejmu, bo w warunkach polskich jest to już poważna opozycja, która może zablokować wiele posunięć władzy, szczególnie gdy ta ostatnia usiłuje pokazać światu, że postępuje zgodnie z prawem, że prawa nadal uchwała Sejm.

7. Na podstawie relacji obecnych na rozprawach.

Czy posiedzenia Sejmu są jawne

Konstytucja PRL zapewnia także jawność posiedzeń Sejmu. Ale w czasie posiedzeń Sejmu po 13 grudnia 1981 roku ławy dla publiczności albo świeciły pustką, albo były zajęte przez mężczyzn ubranych co prawda po cywilnemu, ale w jednakowe garnitury. Sejm był też zawsze otoczony kordonem milicji, która sprawdzała przepustki już na ul. Wiejskiej. Nawet posłowie byli legitymowani. Potem przy wejściu do gmachu Sejmu przepustki sprawdzała Straż Marszałkowska w towarzystwie Służby Bezpieczeństwa. Dziennikarz, który przeszedł przez te wszystkie „warty” musiał jeszcze raz okazać przepustkę przy wejściu do loży dziennikarskiej. Niegdyś dziennikarze mieli prawo wejścia także do kuluarów, po 13 grudnia prawo to przysługiwało tylko niektórym. Wszystkie przejścia w Sejmie były zresztą też strzeżone przez Służbę Bezpieczeństwa. W takiej atmosferze, otoczony kordonem milicji i Służby Bezpieczeństwa, uchwalał Sejm wszystkie ustawy po 13 grudnia.

Konstytucja i nowe prawo

Dotychczas opisywałam pogwałcenia obowiązującego trybu uchwalania ustaw. Oczywiście ktoś może powiedzieć, że skoro jednak gwałcił je sam Sejm, najwyższy organ władzy w państwie, to może miał do tego prawo, jako że jest Sejmem. Jednak Konstytucja PRL w art. 8 ust. 2 zobowiązuje do ścisłego przestrzegania praw PRL każdy organ państwa i każdego obywatela. Sejm też jest zobowiązany do przestrzegania praw. Można więc stwierdzić, że większość ustaw uchwalonych przez Sejm po 13 grudnia 1981 roku jest nielegalna, a Sejm który je uchwalił powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Ale nie tylko tryb rozpatrywania ustaw był pogwałcony. Większość uchwalonych ustaw jest także niezgodna z obowiązującymi w PRL zasadami prawa i Konstytucją, która na dobrą sprawę przestała obowiązywać, tyle jej przepisów zostało pogwałconych, szczególnie przepisów dotyczących praw i wolności obywatelskich. Jest to jednak temat na odrębny artykuł i chciałabym w tym miejscu wymienić tylko kilka przykładów.

Zacznę od dekretu o stanie wojennym. Art. 33 ust. 2 Konstytucji PRL daje Radzie Państwa prawo wprowadzenia stanu wojennego. 12 grudnia 1981 roku Rada Państwa wprowadziła ten

stan uchwałą. To miała prawo zrobić. Nie miała natomiast prawa w okresie niezamkniętej sesji Sejmu wydać dekretu o stanie wojennym także z datą 12 grudnia (art. 31 Konstytucji PRL). Na 15 grudnia było zwołane następne posiedzenie Sejmu w sesji jesiennej, nie została wydana żadna decyzja o zamknięciu tej sesji, toteż dekret o stanie wojennym na podstawie którego internowano wiele tysięcy osób i aresztowano a potem skazano na długoletnie kary więzienia także tysiące osób jest po prostu nieważny, jego zatwierdzenie przez Sejm 25 stycznia jako zatwierdzenie bezprawia też jest nieważne.

Nawet to, że naprawdę Rada Państwa nie podpisała także tego dekretu 12 grudnia jest mało ważne, bo po prostu nie miała w ogóle prawa do jego wydawania. Nie jest bowiem prawdą, że zebrała się 12 grudnia. W nocy z 12 na 13 grudnia milicja i Służba Bezpieczeństwa, a także wojsko dowoziły członków Rady Państwa na jej posiedzenie. Niektórych z daleka. Na przykład samego jej przewodniczącego Henryka Jabłońskiego aż z okolic Krakowa, bo miał się w dniu 15 grudnia spotkać z wyborcami pod Krakowem i niedzielę chciał spędzić z rodziną. Posiedzenie Rady Państwa trwało kilka godzin, nie skończyło się przed dwunastą w nocy (o ile dobrze pamiętam, H. Jabłońskiego dowieziono około 3 nad ranem)⁸. Toteż gdy równo o dwunastej w nocy zerwano sieć telefoniczną, przerwano łączność między dworcami kolejowymi i lotniczymi i wyważano drzwi do lokali „Solidarności” i do prywatnych mieszkań jej członków, członkowie Rady Państwa nie wiedzieli jeszcze, że wszystko to się dzieje na mocy ich decyzji.

Pozostałe ustawy można podzielić na te, które gwałcą uznane w Konstytucji prawa i wolności obywateli i te, które gwałcą przepisy dotyczące systemu sprawowania władzy w Polsce. Do pierwszego rodzaju należy oczywiście ustawa o związkach zawodowych, ustawa o osobach uchylających się od pracy, zmiany przepisów dotyczących stowarzyszeń, szkolnictwa wyższego itd. Ustawa o związkach zawodowych jest zaprzeczeniem idei wolności związkowej (uzależnia istnienie związku od uzyskania zezwolenia) a ponadto narzuca zasady organizacji, określoną strukturę związków. Narusza to konwencje MOP ratyfikowane przez Polskę, konwencję nr 87 z 1948 roku i konwencję nr 98 uchwaloną w 1949 roku (obie ratyfikowane przez Polskę w 1956 roku). Ustawa o tzw. pasożytach narusza konwencje MOP o zakazie przy-

8. Źródła tej informacji nie mogę ujawnić.

musu pracy, ratyfikowane przez Polskę w 1958 roku. Ustawa o szczególnej regulacji w okresie kryzysu społeczno-ekonomicznego narusza konwencje o czasie pracy, zasadę wolności umów o pracę, zasadę równego prawa do pracy dla wszystkich obywateli wyrażoną w art. 68 Konstytucji, prawo do wypoczynku zapewnione w art. 69 Konstytucji PRL, a dalej zasadę wolności nauki (PRL ratyfikowała Pakty Praw człowieka i obywatela) wolności stowarzyszeń, zgromadzeń, wolności słowa, prawo do nietykalności osobistej (art. 87 Konstytucji PRL), nienaruszalność mieszkań i tajemnicę korespondencji (także art. 87 Konstytucji PRL). Ponadto ustawa o stanie wyjątkowym uchwalona przez Sejm w trybie zwykłym dokonała zmian, wprowadzając do ustroju PRL organy państwa, które są ponad Sejmem. Ta ustawa należy do tak zwanej materii konstytucyjnej i jako taka winna być uchwalona jako zmiana Konstytucji. Mówił o tym w Sejmie pos. Rudolf Buchała (Polski Związek Katolicko-Społeczny), uzasadniając, czemu członkowie PZKS głosują przeciwko niej: „Prawo musi być jednakowe dla wszystkich, musi obowiązywać tak władzę, jak i obywateli i musi zachowywać właściwą hierarchię w normach prawnych: to co należy do Konstytucji, powinno być określone w Konstytucji, zaś to, co należy do norm niższego rzędu, powinno być regulowane przez tego typu normy. (...) Uważamy, że koncepcja stanu wyjątkowego musi być konstytucyjną koncepcją tego stanu — to znaczy przesłanki jego wprowadzenia oraz jego skutki, zwłaszcza w odniesieniu do zawieszania lub ograniczania konstytucyjnych praw i wolności obywateli, powinny być określone w samej Konstytucji. W ten sam sposób powinny być określone ewentualne zmiany w strukturze i zasadniczych kompetencjach organów państwowych powodowane przez stan wyjątkowy. Nade wszystko powinna mieć miejsce konstytucyjna zwierzchność Sejmu nad administracją stanu wyjątkowego” (za *Rzeczpospolitą* z 7 grudnia 1983 r.). Ustawa ta nie dotyczy tylko praw i wolności obywateli, dotyczy także praw dziecka. Otóż postanawia ona, że dzieci powyżej lat trzynastu mogą być przesłuchiwane przez Służbę Bezpieczeństwa. Czy jest to zgodne z kartą praw dziecka, której projekt w imieniu PRL wniósł w ONZ także poseł na Sejm i profesor prawa A. Łopatka? Na pewno nie.

Te same zarzuty dotyczą ustawy o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych, ustawy o tajemnicy państwowej i zmiany ustawy o powszechnym obowiązku obrony PRL. Wszystkie one zmieniają strukturę i zasadnicze kompetencje organów państwowych, z tym że nie tylko na okres stanu wyjątkowego, a na zawsze

ustanawiając władze wojska i milicji ponad innymi organami państwowymi i podporządkowując obywatela swej władzy (ustawa o MSW powiada, że milicja i SB mają prawo legitymowania, przeszukania i zatrzymywania nie tylko wtedy, gdy zachodzi podejrzenie o popełnienie przestępstwa lub wykroczenia, ale i w wypadku „innych działań godzących w bezpieczeństwo państwa lub porządek publiczny” (art. 6 ust. 1 ustawy o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych). Przepis ten znosi przecież potrzebę kodeksów karnych i wymiaru sprawiedliwości, bowiem czynności te nie tylko odnoszą się do czynów przez prawo nie zakazanych, ale także nie podlegają żadnej kontroli. Nie wymagają zatwierdzenia ani przez sąd, ani nawet przez prokuratora. To milicjant lub funkcjonariusz bezpieczeństwa decyduje, co jest obecnie w Polsce zakazane, to oni stanowią, co jest prawem.



Na zakończenie chciałabym jeszcze raz wrócić do cytowanego już przeze mnie przemówienia posła E. Osmańczyka podczas posiedzenia Sejmu w dniu 8 października 1982 roku, kiedy uchwalona została ustawa o związkach zawodowych: „Wysoka Izbo! Niepokój mój, który wyraziłem w trzech pytaniach do Marszałka Sejmu posiada szersze uzasadnienie, które czuję się w obowiązku przedstawić Wysokiej Izbie. Otóż nie taję, że odczuwam lęk, iż formy zastosowane przy tak ważnej dla społeczeństwa ustawie o związkach zawodowych są częścią bardzo niebezpiecznej taktyki, przed którą ostrzegałem tu, z tej trybuny, 4 maja bieżącego roku z okazji rozwiązywania Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, nie biorącego żadnego względu ani na złożoność sprawy, ani na społeczne szkody. Mówiłem wtedy: 'Jeśli to ma być modelem dla likwidacji innych zawieszonych instytucji i powoływania nowych, to jest to zapowiedź pogłębiania naszego kryzysu'.

Niestety to pogłębianie następuje. Jesteśmy tego świadkami na dwóch platformach jednocześnie: politycznej w tworzeniu odgórnie, za aprobatą Sejmu, tzw. PRON-u, oraz na platformie społecznej w stwarzaniu znów odgórnie, za aprobatą Sejmu, nowych struktur związków zawodowych. W obu przypadkach bez konsultacji ze społeczeństwem i bez udziału specjalnie powołanej do takiej konsultacji Rady Społeczno-Gospodarczej.

Wczoraj w Pabianicach wicepremier Mieczysław Rakowski uzasadniał bardzo autorytatywnie tę nie konsultowaną z nami ustawę, mówiąc dosłownie, że to nie są jego poglądy, lecz 'pań-

stwowe'. Istotnie przemówienie było utrzymane w tonacji absolutystycznych racji państwa.

Otóż tu dochodzimy do sedna historycznego dziś sporu: kto jest państwem w pierwszym rzędzie: rząd czy Sejm? [...]

Wysoki Sejmie! W moim najgłębszym przekonaniu sprawą główną tej historycznej chwili nie jest sprawa przyszłości związków zawodowych, choć jest to sprawa na pewno najwyższej wagi państwowej, ale sprawa, o której mówimy już od miesięcy: co zrobić, aby osiągnąć ugodę między Polakami i dojść do rozsądnych rozwiązań skonsultowanych z całym społeczeństwem? Twierdzę, że nie nieokreślone 'odrodzenie narodu', ale konkretna naprawa pod kontrolą Sejmu to alternatywa warta spokojnego rozważenia przez Wysoki Sejm w tak historycznej chwili.

Wysoki Sejmie! Próbowałem te sprawy stawiać w Sejmie i poza Sejmem. Ale jak dotąd daremnie. Możliwość dialogu staje się niebezpiecznie ograniczona. Na zaproszenie tygodnika *Polityka* napisałem przed miesiącem obszerną odpowiedź na zasadnicze pytanie: odrodzenie narodu czy naprawa państwa? Okazało się, że jak dotąd *Polityka* nie jest w stanie wydrukować mego tekstu. Dzienniki, które chciały przedrukować fragment wywiadu na ten sam temat, wywiadu jakiego udzieliłem *Głosowi Szczecińskiemu*, również nie mogły tego uczynić.

O jaką herezję chodzi? O trzy zdania będące kwintesencją moich wywodów. Cytuję: 'Wszystkie inicjatywy dotychczasowe kładą nacisk na odrodzenie narodu. Wyrazem tego są nazwy OKON i PRON. Tymczasem, moim zdaniem, sprawa jest bardziej złożona — to nie naród się popsuł, tylko państwo się zepsuło i trzeba je naprawić. (...)'

Skoro tak uczciwej obywatelskiej troski nie mogę przedstawić opinii publicznej w prasie, jako stary publicysta Polski Ludowej, cóż mogę zrobić w tej sytuacji jako stary poseł Ziemi Opolskiej?

Tylko to jedno co dziś robię i będę dalej robić; ostrzegać z tej trybuny uparcie rządzących i rządzonych przed grożącymi nam wszystkim niebezpieczeństwami wyłącznie wewnętrznymi, przez nas samych sobie stwarzanymi”.

— „To nie naród się popsuł, tylko państwo się zepsuło i trzeba je naprawić” — to zdanie jest najlepszą diagnozą tego, co się dzieje w Polsce. Ale naprawy tej na pewno nie będzie można dokonać przy pomocy Sejmu, który ubezwłasnowolnił się już w styczniu 1982 roku, zatwierdzając nielegalnie nielegalny dekret Rady Państwa o stanie wojennym. Ten Sejm też jest „zepsuty”,

jest częścią tego państwa. Poseł Osmańczyk dostał nikłe oklaski, jedynie kilkanaście osób odważyło się nie głosować „za”, kilka innych wyszło, aby w ogóle nie głosować, gen. Jaruzelski gestem wykazał swe niezadowolenie za ten brak subordynacji.

Jeszcze raz mogę powtórzyć, że to co się dzieje w Polsce nie ma nic wspólnego z prawem, z jego zasadami wytworzonymi w europejskiej tradycji, dla których prawo jest nie tylko instrumentem władzy, ale przede wszystkim podstawowym elementem ładu społecznego, w którym nie tylko rządzeni, ale także rządzący mają mu się podporządkować. Zgodnie z takim pojmowaniem prawa należy uznać, że ustawy uchwalone w Polsce po 13 grudnia jako uchwalone przy pomocy gwałtu, jako sprzeczne z Konstytucją PRL nie są ważne, są nielegalne. Sejm, który je uchwalił winien zostać rozwiązany, ludzie winni pogwałcenia praw winni zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Wszyscy skazani za naruszenie praw uchwalonych po 13 grudnia 1981 roku są skazani bezprawnie i sędziowie, którzy ich skazali nie powinni ani chwili dłużej być sędziami. Niestety wiemy także i to, że istnieje jeszcze inny system prawa, system w którym prawo jest tylko instrumentem w rękach władzy, która nie ma żadnych zobowiązań w stosunku do rządzonych, której prawo w żaden sposób nie ogranicza. Z takim systemem, w czystej postaci, bez żadnych kamuflaży, mamy teraz do czynienia w Polsce.

Jolanta STRZELECKA

POWSTANIE WARSZAWSKIE

W czterdziestą rocznicę Powstania Warszawskiego przedrukujemy poemat Zbigniewa Jasińskiego, który ukazał się po raz pierwszy w 87/88 numerze *Kultury* w 1955 roku wraz z naszym ówczesnym komentarzem, który zachował aktualność. — *Redakcja*.

W ciągu stycznia reżym warszawski organizuje uroczystości z okazji „dziesięciolecia uwolnienia Warszawy przez bratnie wojska radzieckie”. Trzeba było aż dziesięciu długich lat terroru i gwałtowności społeczeństwa, by podobna uroczystość mogła być obchodzona tak jawnie.

Pragnąc ze swej strony przyczynić się do „uczczenia” tej rocznicy, drukujemy wiersz Zbigniewa Jasińskiego, napisany w dzień kapitulacji Warszawy, i dotąd nigdzie w całości nie drukowany. Wiersz ten, z pożytkiem zresztą, powinien być przeczytany i przez sfery polityczne emigracyjne. Przypominamy, że Zbigniew Jasiński, pseudonim „Rudy”, był redaktorem dziennika radiostacji AK „Błyskawica” w czasie Powstania i jest autorem wiersza — „My chcemy amunicji”, który stał się symbolem walczącej Warszawy.



Zbigniew JASIŃSKI

PIEŚŃ O POWSTANIU

To wam, żołnierze Krajowej Armii,
dla was ta pieśń wypruta z trzew.

Niech mocą ją wasz gniew nakarmi
i świst! — i błysk! — i huk! — i krew —



Huraganowym
zrywem
szarpnęło
i poderwało
i ogarnęło
i uskrzydliło
całą
Warszawę:

— Chłopcy:
Treblinka!
Majdanek!
Wawer! —

Patrzcie:

Jak nawet drobni i słabi,
szczeniaki, których przerasta karabin,
już się zza rogu składają w niemca
za powieszone dzieci od Siemca,
za wszystkie zbrodnie z Alei Szucha,
za dno zwyrodnień, Pawiak, Oświęcim —

patrzcie:

tajona zaciekłość głucha
runęła śpiewem jak zawierucha
i pomstę święci! — wolność święci! —

patrzcie:

truchleją bladzi żandarmi
i — trup za trupem, czaszką w bruk!
A my, żołnierze Krajowej Armii,
naprzód! — i świst! — i błysk! — i huk —

Patrzcie:

Z balkonów, z okien kamienic

ludzie zdumieni, ludzie wzruszeni
rzucają kwiaty! — i kule tańczą,
gwiżdżą, ćwierkają, śpiewkę powstańczą,
i szyby dzwonią, drżą kamienice,

patrzcie:

umyka esesmanów banda,
w Pałacu Bruhla wścieka się hycel,
w głośniki rzezi, łże propaganda,
a na ulicach, a nad Stolicą
biało-czerwony wykwita sztandar! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii!

Już nas nie będą łowić bezkarnie,
osaczać, wieszać, katować, deptać:
kulą splącamy każdy policzek,
konspiracyjnych dosyć nam szeptów:
możemy śpiewać! — możemy krzyczeć! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii!

— Zadudnił bruk tysiącem nóg
i szczęście wolny okrzyk barwi
i świst! — i błysk! — i trzask! — i huk —

Patrzcie:

Tak walczą nasi żołnierze:
słońcem sierpniowym lśnią pistolety,
matki po bramach szepcą pacierze,
kwiaty rzucają z okien kobiety,
kule śpiewają, kule świergocą,
strzaskane szyby w słońcu się złocą,
i zadyszane biegną łączniczki,
rozpromienione mają policzki,
uradowane pędzą z meldunkiem
że już — na Poczcie padł pierwszy bunkier!
A tu — wciąż bliżej trzepią granaty,
rozterkotały się rozpylacze,
kobiety z okien rzucają kwiaty:
będzie swobodniej! — będzie inaczej! —

patrzcie:

W Pałacu wścieka się junkier,
czołgi w ulicę strzelają z armat,
śliczne panienki biegną z meldunkiem,
każdy ich uśmiech wolności żar ma,

patrzcie:

tak walczą nasi żołnierze:
pamięć zaginie o Arbeitsamt'cie,
piersiom swobodniej będzie i szerzej:
jutro nam pomoc przyślą alianci! —



Wami, żołnierze Krajowej Armii,
zdumiał się świat, gdy wrogom wbrew
rozkaz poderwał was w alarmie
i świst! — i błysk! — i krzyk! — i śpiew! —
i duma! — szczęście! — bo „sumieniem świata”
was okrzyknęły głosy bratnich nacji
i świat się nagle z Warszawą pobratał
w komunikatach wolnych radiostacji:

— Hallo, hallo, hallo:
Tu mówi do was Lublin:
Proletariackie pozdrowienia
ślemy niezawisłym!
Męstwa, ludu Stolicy:
nim wróg was uszczupli,
armia sowiecka ruszy
w odsiecz zza Wisły!

— Hallo, hallo, hallo:
Tu mówi do was Londyn:
Amunicja w drodze,
pomoc wam niesiemy!
Poruszyliśmy wszystkie
sprężyny i rządy.
Z nieba — jak srebrne orły
na wroga runiemy!

- Hallo, tu Krym.
- Hallo, tu Rzym.
- Tu Pernambuco.
- Tu New York.
- Tu robotnicy.
- Tu lotnicy.
- Tu kler.
- Tu rząd.
- Tu hrabstwo Cork.
- Hallo, wytrwajcie.
- Jeszcze tydzień.
- Pomoc nadejdzie.
- Pomoc idzie.



Roztańczyła się Warszawa:
 jak zabawa — to zabawa!
 Świszczą kule promieniście,
 ryją ziemię, tną po liściach,
 trzepią w tynk i sypią gruz.
 Wpoprzek ulic lecą cegły,
 złomy, domy wpoprzek legły,
 w niebo męstwa pomnik wrósł,
 w niebo rośnie wał poległych,
 świst! — i błysk! — i tryska bruk!
 świszczą zgłiszczą, gruz opada,
 rośnie, rośnie barykada,
 świst — i błysk! — i jęk! — i huk!
 bomba w złom za bombą pada,
 i grom w dom — i lecą piętra,
 chylą się kościelne wieże,
 gromów tłum! — i w gruzach Centrum,
 ale będzie jaśniej! — szerzej! —

Naprzód, lwy Krajowej Armii!
 Twierdzą naszą każdy próg!
 Wir historii nas ogarnia,
 świst! — i błysk! — i dym! — i huk! —

Tu nas w kawały rwą granaty,
 w bryzgi rozsadza grad kartaczy!

Na grobach tu zakwitną kwiaty,
będzie swobodniej nam, inaczej!

Tu zęby wilcze, kły lamparcie,
miasto szalone — wspaniałe miasto!
Tu za natarciem przeciwnatarcie:
Aleje, Poczta, atak pod Pastą!

Piekłem rzygają ognia miotacze,
pali się Chłodna, dogasa Wolska,
ale już jutro będzie inaczej:
niech spłonie miasto — urośnie Polska!



Atak za szturmem, szturm za natarciem!
— Ach, gdyby tylko przysłano pomoc,
ach, gdyby tylko było wiadomo
że nam alianci nadeślą wsparcie
nim wystrzelimy pocisk ostatni:

Głód bohaterom kiszki skręca,
sennieją oczy, słabną ręce,
słania się, ściele żer armatni,
las krzyży rośnie wokoło strzelnic,
wróg nasze matki pędzi na czołgi,
za Wisłą milczy swołocz znad Wołgi,
przywarły działa czerwonych sotni,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz czarniej, coraz śmiertelniej,
coraz samotniej...



Wtem:

Wieść gruchnęła w płonącym mieście:
— Są! — Amunicja! — Zrzuty! — Nareszcie! —
Nie zapomnieli o nas alianci
Już nam nie groźne salwy armatnie,
Warszawo, zęby drapieżne zatnij!

Ranni, do broni! — Polegli, wstańcie! —
Naprzód, żołnierze upiornej Armii!
Na barykady! — Krew za krew!
Szaleni, straszni i cmentarni,
naprzód! — i świst! — i huk! — i śpiew!

Nad nimi — skrzydła:

Szlakiem podniebnym
sto ptaków leci, sto ptaków srebrnych:
sto zenitówek ogniem je wita,
sto pióropuszy w niebo zakwita,
sto spadochronów jak białe dzwony,
jak lilie płyną w dół spadochrony,
huragan męstwa nimi kołysze,
orkan wybuchów po niebie płąsa,
spadochronami miota, potrząsa,
powietrze pęka, morderstwem dyszy,
narasta wściekły szrapneli poryk,
warczą motory, huczą motory,
i płyną, płyną w dół spadochrony
do stóp Warszawy bojem szalonej,
śmiercią pijanej, uszczęśliwionej,
bo już wiadomo! — już wiadomo:
jest amunicja! — nadeszła pomoc!

Słońce przez dymy świeci pogodnie,
śmieją się zgłiszczą spalonych dzielnic,
jaśniej, weselej w ruinach strzelnic:
piersiom żołnierskim lżej i swobodniej.



Dosyć! —

Dosyć grzecznej pieśni!

Niechaj zawyje świstem chłosty!
Niech posłuchają radcy niewcześni
słów nieporadnych, rozpaczą prostych:

Nasza, żołnierze okłamanej Armii,
nasza to pieśń, wypruta z trzew.

Wściekłością ją nasz ból nakarmił.
Ofiarna śmierć. Daremna krew.

Niech słyszą pieśń klakierzy owi,
deklamatorzy, zapewniacze.
Niech cały świat się wreszcie dowie,
że trzeba śpiewać ją inaczej:



Rzucone hasło. Poszli żołnierze...

Sierpniowym słońcem lśnią pistolety,
matki żarliwie szepcą pacierze:
... może zza Wisły ruszą Sowiety?...

Poszli żołnierze dzielni i młodzi
bez karabinów, bez karabinów,
a przeciw czołgom — tylko benzyna.

— Żywiej, klakierzy! Klaskać na podziw!
W oczach im płonie zapał bezmierny,
bo karabiny sami zdobędą.

Przeciw dywizjom poszli pancernym
i to w historii liczyć im będą:
warci, by łatwy przesłać im podziw
i obietnicę: „Pomoc nadchodzi”...

Pogodne było niebo sierpniowe,
gdy wyglądano przylotu ptaków.
Żołnierz młody, rany w głowę,
bez amunicji szedł do ataku,
a wróg nas raził z wylotów strzelnic
i huk moździerzy po mieście dudnił,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz ciężiej, i coraz trudniej...

— Patrzcie, klakierzy:
Już czwarty tydzień,
zwyciężyliśmy wroga pod Pastą!

— Klakierzy, oto:

Cztery tygodnie,
wróg atakuje już Stare Miasto...
Rwą nas w kawały bomby i czołgi,
słońce przez dymy świeci pogodnie,
milczą zdradzieckie działa znad Wołgi,
a wasza pomoc idzie, wciąż idzie,
i zgodnie radzą, radzą alianci:
czyśmy bandyci, czy kombatanci...?
A w nasze piersi — salwy armatnie.
W gruzach Starówka, płonie Śródmieście,
świszcze po zgłiszczach piekło granatów.
Czy amunicję nadeślą wreszcie?...

I jeszcze jeden upływa tydzień,
już nikt nam z okien nie rzuca kwiatów,
i tylko pomoc — idzie, wciąż idzie,
i tylko rosną mogiły bratnie,
tylko te krzyże, krwi hekatomby,
te ponad nami bomby! — te bomby!
bomby i bomby!...

Płonie Powiśle,
jutro z kolei padnie Czerniaków,
kto nam i kiedy tę pomoc przyśle?...

Próżno skazańcom wyglądać znaków:
wrzesień już wrzesień spłynął pogodnie,
dogasa miasto, huczą mózdzierze,
pokotem giną bezbronni, głodni,
brudni, zawszeni, ranni żołnierze...

— Dmijcie, klakierzy, w pochwalne trąby,
gdy ponad nami bomby i bomby,
bomby i bomby, bomby i bomby!...
nic, tylko bomby, bomby, bomby!...

Twarze kochane, twarze wyblądłe
pod barykadą czyjeś się kładły,
główki dziecięce, oczy zdziwione,
usta kochane, nieporuszone,
słowa ostatnie, mogiły bratnie,
samolot, bomby, salwy armatnie,
słowa zamarłe, gwiazdy dalekie,
serca zacichłe, trzewia wyprute,

domy spalone, drzewa kalekie,
krzyże sterczące w niebo kikutem,
a w cieniu krzyży pod barykadą
twarz nowa ziemi kłoni się blade,
tłą się ulice, gaśnie Stolica,
samolot, bomby, huk, błyskawica,
ruiny wyżej i coraz wyżej
krzyże drewniane, dymiące krzyże,
a w pogorzeli pod barykadą
trupy się nowe kładą i kładą...

Ostatnie strzały obrońców głuchną,
szcury tłuszcją na polskim ścierwie.

— Klakierzy, dosyć! Dłonie wam spuchną!
Pobożny podziw płuć wam zerwie!



Wiemy:

Słów naszych czarną wściekłość
dostojne zmilczą znów regiony.
A nami targa wzgarda, piekło
na śmierć skazanych, opuszczonych:

Przywarł za Wisłą mur swołoczy,
zęby sowiecka hiena szczerzy.
A nam — nam tylko piachem w oczy,
nam tylko czekać, w pakty wierzyć.

Na skandal — jedno słowo: Skandal!
Słów nie dobierać — elokwentnej bandzie.
Długo trąbiła nam ich propaganda,
dziś odśpiewamy wiernej propa-grandzie:

Niech słyszą pieśń klakierzy owi,
gwaranci własni i alianci
dyplomatyczni, traktatowi,
kart atlantyckich kant na kancie.

Nie! —

To zbyt grzecznie! za słabo! za mało!

Bomby tu jeszcze nie wszystkich wytłukły!
Kto żyw, niech piersią huknie całą,
by usłyszały nas niemrawe kukły,
rządy nierządne, ministrowie,
premierzy, durnie i krętacze,
ojce ludzkości zawodowi,
działacze ważni i partacze,
szuje, kramarze i wygłupki,
deklamatorzy, naciągacze,
cezary i żołędne bubki
udrapowane w cnoty sztandar:
— nim się wytleje do cna bitwa,
niechaj się dowie zacna sitwa,
jak śpiewa nasza propaganda:

Tu krwią rzygamy! tu konamy w boju!
tu się historię targnęło za rogi!

— A tam w barchanach ciepłych olabogi
fotele grzeją, knocą świczki z łoju,
i radzi, kadzi zbieranina wszawa,
przrzeka, zwleka i przesyła brawa...

Tu — amunicji! Broni! Broni trzeba!
Giniemy! Chryste! Broń nam rzućcie z nieba!
Tu śmierć zatłukła sto tysięcy
w kanałach, bunkrach, kazamatach!
Wytłucze więcej! jeszcze więcej!
i pójdą straszne niedobitki
w kacety, piece i kibitki!

— A tam się szczerwane wychytrzają panky,
ślinią, seplenią o „sumieniu świata”,
dyplomatyczne rozkładają ręce...
A jakieś inne odjajone mydłki
cedzą cacanki słodkie, obiecanki,
łezki, westchnienia, rzewne ptysie z pianki...

Nie nas pomadą. Nie nas wazeliną.
Tu umieramy w glorii, nie w cykorii.
Bracia! Niech ryknie ta pieśń skurwysynom,
by razem z nami weszli do historii!

Niech ich po nocach koszmarami dławi,
niech wzgardą wolnych smaga ich jak biczem,
niech się do szczętu rozpaczą wykrwawi,
niech poza groby sięga i skowycze:

Pieśń o Powstaniu w samotnej Warszawie.

Zbigniew JASIŃSKI

Warszawa, w ostatniej siedzibie radiostacji AK „Błyskawica”, wrzesień 1944 r.

Władysław BARTOSZEWSKI
Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

WYDZIAŁ „R” W BIP KG AK

ROZMOWA Z TADEUSZEM ŻENCZYKOWSKIM

Dnia 8 marca 1981 roku odbyłem w Londynie zarejestrowaną na taśmie magnetofonowej rozmowę z p. Tadeuszem Żenczykowskim, kierownikiem Wydziału „R” w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK od jesieni 1943 do lata 1944 roku, szczególnie kompetentnym relacjonistą okoliczności utworzenia, struktury i działalności tego wydziału. We wrześniu 1984 roku — w chwili, gdy uczestników opisanych działań, żyjących poprzednio w kraju, nie ma już wśród żywych i publikacja tej relacji nie może nikomu zaszkodzić — uznałem w porozumieniu z p. Tadeuszem Żenczykowskim za słuszne udostępnienie autoryzowanego tekstu rozmowy sprzed trzech lat badaczom dziejów najnowszych za pośrednictwem *Zeszytów Historycznych*.

W dalszym ciągu literami WB oznaczono wypowiedzi Władysława Bartoszewskiego, literami TŻ wypowiedzi Tadeusza Żenczykowskiego.

WB

Londyn, 14 września 1984 r.

WB: — *Tadeusz Bór-Komorowski stwierdza w swojej pamiętni-*

Warszawskiej księgarni „Armia Podziemna” (wyd. IV, Londyn 1979) na stronach 164-165:

Niezależnie od akcji „N”, na jesieni 1943 roku utworzony został w ramach BIP-u specjalny Wydział „R”. Celem jego było demaskowanie i przeciwdziałanie propagandzie komunistycznej, która występując pod firmą własną i pod pokrywką rozmaitych tytułarnych przybudówek i podszywając się pod hasła patriotyczne, operowała dobrze znanymi sloganami rzekomych reform społecznych, ukrywając umiejętnie w ich treści swe właściwe cele.

We wszystkich swych wystąpieniach komórka „R” utrzymywała również ostry ton antyniemiecki, starając się wykazać właściwe cele obłudnej akcji niemieckiej, pragnącej zachęcić Polaków do wspólnego oporu wobec Rosji.

Wydawnictwa periodyczne *Wolność Robotnicza* i *Głos Ludu* przeznaczone były głównie dla nęconych przez PPR robotników i chłopów. Poza tym wydawane były liczne ulotki i broszury oraz przeznaczone dla obsługi redakcji wszystkich pism podziemnych biuletyny „R”. Wydział „R” posiadał swą własną sieć kolportażową, przez którą rozprowadzał swe wydawnictwa do wszystkich okręgów AK.

Cała ta akcja prowadzona była w myśl zgodnych decyzji Delegatury Rządu, Dowództwa AK i stronnictw politycznych. W oparciu o Delegaturę powstał „Społeczny Komitet Antykomunistyczny”.

Wydawnictwa „R”, zajmując się popularyzacją programu reform społecznych, uchwalonych w deklaracji Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 wskazywały, że będą one — zgodnie z wolą narodu — wcielone w życie po odzyskaniu wolności. Jednocześnie zaś wykazywano, jaką wartość mają hasła komunistyczne, których reformy pozostają na papierze, a szumne dobrodziejstwa przekształcają się w formy niewolniczego ucisku człowieka. Demaskowano patriotyczną obłudę PPR, ujawniając, że jest to tylko metoda doraźnego zwodzenia społeczeństwa przez zwykłą agendurę sowiecką.

W styczniu 1944 rozeszła się szeroko po całej Polsce zainicjowana przez komórkę „R” odezwa do społeczeństwa, podpisana przez ponad 20 stronnictw, ugrupowań politycznych i organizacji. Piętnowała ona PPR jako obcą agenturę komunistyczną, pragnącą oddać ziemie wschodnie Rzeczypospolitej Rosji i prowadzącą dywersyjną akcję w społeczeństwie, oraz godzącą w najżywniejsze interesy Polski. Była ona przejawem jednolitego antykomunistycznego frontu, a masowo kolportowana i przedrukowana przez dziesiątki pism podziemnych — miała poważne znaczenie, wywołując równocześnie bezsilną wściekłość komunistów.

Dobrze pamiętam jeszcze dziś jedną z pomysłowych ulotek „R”. Nosiła ona tytuł „Dwa totalizmy”. W sposób rzeczowy i

spokojny wykazywała dokładne analogie systemu stalinowskiego i hitlerowskiego. Wskazywała na niemieckie obozy koncentracyjne i sowieckie łagry, na zwalczanie religii, na brak wolności słowa i prasy, na zaborczość, na wyzysk i niewolnictwo pracy. Inna ulotka „R” przestrzegała chłopów przed komunistycznymi hasłami reformy rolnej, będącymi jedynie chwytem propagandowym, za którym kryła się nieunikniona kolektywizacja wsi. Dziesiątki tego rodzaju ulotek, operujących dokumentami i konkretnymi przykładami, doskonale orientowały społeczeństwo o istotnym stanie rzeczy. Jednocześnie zaś mówiły, jakiego to rodzaju „wolność” pragnie dać Polsce Stalin, dążąc do imperialistycznego opanowania wschodniej Europy. Gdy właściwą sobie metodą komuniści zaczęli używać imienia Kościuszki, jako swego patrona, natychmiast biuletyn prasowy „R” dostarczył całej prasie licznych cytów z pism Kościuszki, przestrzegających naród przed uciskiem i zaborczością Rosji. Akcja „R” nosiła charakter pozytywny i uświadamiający społeczeństwo o dążeniach Rosji i PPR, nie nawoływała natomiast do czynnych wystąpień antyrosyjskich i przeciwstawiała się jakiegokolwiek akcji bezpośredniej, wymierzonej przeciwko członkom PPR.

Podobnie przedstawiona jest sprawa w dziele „Polskie Siły Zbrojne”, t. III: „Armia Krajowa” (Londyn 1950) w rozdziałiku zatytułowanym „Propaganda 'R'” na str. 289-290:

Komunistyczna akcja propagandowa wymierzona przeciwko władzom Polski Podziemnej zmusiła je już w 1942 roku do stworzenia specjalnych komórek „K” o następujących zadaniach:

- „zbieranie materiałów do kontrpropagandy”,
- „nadawanie kierunku i firmy propagandowej w prasie wojskowej”,
- „inspirowanie prasy ugrupowań politycznych”.

W pierwszej chwili powstały jedynie referaty informacyjne, gromadzące materiały do działalności komunistycznej w Polsce, oraz małe jednoosobowe komórki propagandowe, zasilające prasę podziemną — przede wszystkim wojskową — artykułami na ten temat. Niebawem jednak okazało się, że wobec rozmiarów i tonu propagandy komunistycznej w Polsce, wspomaganej waleńnie przez audycje w języku polskim nadawane przez dywersyjną radiostację rosyjską „Kościuszko”, dotychczasowe komórki propagandowe „K” są niewystarczające. Na jesieni 1943 roku zastąpiono je aparatem organizacyjnym „R”*, który podjął szeroką akcję propagandową. Była to typowa propaganda obronna (kontrpropaganda), która postawiła sobie za cel:

* Propaganda „R” prowadzona była na podstawie zgodnych decyzji władz wojskowych, cywilnych i politycznych.

- odślanianie właściwych zamiarów komunistów w Polsce i prostowanie głoszonych przez nich fałszów,
- informowanie społeczeństwa o rzeczywistych planach rosyjskich w stosunku do Polski.

Rzecz jasna, zwalczanie propagandy komunistycznej, a zwłaszcza jej tez społecznych, mogło być skuteczne tylko wtedy, gdy komunistycznej wizji świata przeciwstawiano inną, bliższą odczuciu społeczeństwa polskiego. Toteż propaganda „R” kreśliła „uczciwy realny obraz przyszłej Polski”, oparty na obowiązujących uchwałach programowych właściwych ciał Polski Podziemnej.

Środki, którymi posługiwała się propaganda „R”, były następujące:

- a) prasa specjalna, wydawana anonimowo:
 1. *Głos Ludu*, dwutygodnik dla wsi o nakładzie około 5.000 egzemplarzy (1943/1944),
 2. *Wolność Robotnicza*, dwutygodnik dla robotników o nakładzie około 7.000 egzemplarzy (1943/1944),
 3. *Agencja R*, dwutygodnik powielany, przeznaczony do inspirowania prasy podziemnej, nakład około 100 egzemplarzy (1944 r.);
- b) broszury propagandowe (patrz wyżej: Pietrzak, „Dokumenty mówią”) i liczne druki ulotne (np. „Dwa totalizmy”, „Do kołchozów zapędzić się nie damy”);
- c) propaganda uliczna (slogany, wypisywane w widocznych miejscach np. „PPR — zdrajcy”).

Propaganda „R”, mimo nadania jej z uwagi na rodzaj zadań odrębnych form organizacyjnych, była właściwie częścią propagandy polskiej, tak ze względu na metody oddziaływania (propaganda „pozytywna”), jak i ze względu na środowiska, na które oddziaływała (szeregi AK i społeczeństwo polskie). Nie namawiano do wystąpień antyrosyjskich, ale też żaden z czynników oficjalnych w kraju nie zaniedbał uświadczenia czym jest w istocie swej wschodnia „niepodległość” i wschodnia „demokracja”.

— Pan był, pod pseudonimem „Kowalik”, już od 1941 roku głównym organizatorem i szefem Akcji „N” i Panu też powierzono zorganizowanie w BIP KG AK tego, co Bór-Komorowski nazywa specjalnym Wydziałem „R”, a co w „Polskich Siłach Zbrojnych” określono bardziej ogólnikowo „aparatem organizacyjnym 'R'”. Proszę Pana więc o ustosunkowanie się do treści powyżej zacytowanych w obu publikacjach informacji o tej działalności, ujawnienie bliższych szczegółów organizacyjnych i personalnych, jak też wyjaśnienie współzależności działania różnych komórek AK i Delegatury Rządu zajmujących się podobną pro-

blematyką. Mam tu na myśli szczególnie Społeczny Komitet Antykomunistyczny, komórkę prowadzoną przez Henryka Glassa oraz tzw. referat „K” w Wydziale Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK.

TŻ: — Przedstawienie sprawy utworzenia i działalności Wydziału „R” oraz jego zadań i akcji wydawniczej w książce generała Bora jest dokładne, choć skrótowe. To samo odnosi się do informacji podanych w „Polskich Siłach Zbrojnych”, tom III: „Armia Krajowa”.

Okoliczności utworzenia Wydziału „R” wyglądały w sposób następujący. Na jesieni 1943 roku — we wrześniu lub na początku października — mój przełożony w BIP KG AK, płk Rzepecki poinformował mnie, że Komendant Główny AK w porozumieniu z Delegatem Rządu na Kraj zgodził się na utworzenie „Społecznego Komitetu Antykomunistycznego”, w którym przedstawiciel BIP miał reprezentować AK. Rzepecki powiedział mi, że za aprobatą gen. Bora wyznacza mnie do uczestnictwa w tym Komitecie. Oznaczało to jednocześnie, że w ramach BIP powstaje nowy Wydział Propagandy Antykomunistycznej, którym mam kierować niezależnie od kierownictwa dwóch innych wydziałów w BIP, a mianowicie „N” i „Rój” (czyli przygotowania mobilizacyjne propagandy wojskowej).

Przystąpiłem niezwłocznie do organizowania tego Wydziału i wybrałem dla niego kryptonim „R”, na który zgodził się płk Rzepecki. Przy wyborze tego kryptonimu powodowałem się chęcią odróżnienia go od kryptonimu „K”, używanego dla określenia informacji o ruchu komunistycznym, zbieranych bądź przez Wydział Informacji BIP, bądź przez kontrwywiad AK. Nie chciałem również, by akcja prowadzona przez BIP mogła być identyfikowana z działalnością antykomunistyczną Departamentu Informacji Delegatury Rządu, której formy i tonacja nie odpowiadały moim założeniom.

W krótkim czasie powstał Wydział „R” w BIP KG, którym kierowałem pod pseudonimem „Krawczyk”. Moim zastępcą był Wacław Kozłowski pseudonim „Kaniewski”, ekonomista, redaktor pisma konspiracyjnego grupy „Pobudka” pt. *Głos Polski*, nieoficjalnie przejętego przez BIP. Sekretarką Wydziału była Irena Rzepecka „Ela” (żona płka Rzepeckiego).

Sprawami wydawniczymi kierowałem osobiście.

Działalność wydawniczą zaczęliśmy już w listopadzie 1943 r. Wydawaliśmy:

1. co dwa tygodnie biuletyn *Agencja R*, przeznaczony dla

całej podziemnej prasy niepodległościowej, pod redakcją Wacława Kozłowskiego. Biuletyny *Agencja R* zawierały materiały historyczne i polityczne mające dopomagać przeciwstawianiu się propagandzie PPR, były dość szeroko wykorzystywane przez prasę podziemną różnych stronnictw;

2. dwutygodnik *Wolność Robotnicza*, przeznaczony specjalnie dla robotników, redagował wybitny działacz harcerski Józef Sosnowski;

3. dwutygodnik *Głos Ludu*, przeznaczony dla wsi, redagowany był przez kogoś z działaczy wiejskich organizacji „Raclawice” (kontynuacja przedwojennego „Siewu”) którego identyczności nie mogę już dziś stwierdzić, choć znałem go jeszcze przed wojną, tak zresztą jak Sosnowskiego;

4. liczne wydawnictwa jednorazowe; spośród nich znaną ulotkę „Dwa totalizmy — dwaj wrogowie” napisał działacz PPS-WRN Alfred Krygier. Autorem broszury demaskującej politykę sowiecką wobec Polski „Dokumenty mówią”, wydanej w 1944 roku w Warszawie byłem ja sam (tj. Tadeusz Żenczykowski) pod pseudonimem Tadeusz Pietrzak. Przypominam sobie też naszą publikację pt. „Czerwona Targowica” i ulotkę dla wsi „Do kołchozów zapędzić się nie damy”.

Dział kolportażu w naszym Wydziale prowadził Bolesław Trenda, przed wojną w latach akademickich członek ZPMD, w czasie wojny — w organizacji ZOR.

W każdym okręgu zostały utworzone analogiczne referaty „R” w ramach okręgowych Biur Informacji i Propagandy. Prowadziły akcję samodzielną w myśl naszych ogólnych wytycznych i kolportowały nasze wydawnictwa. Miały też pilnować, aby materiały zawarte w „Agencji R” były przedrukowywane w prasie lokalnej akowskiej lub stronnictw politycznych.

Spółeczny Komitet Antykomunistyczny powstał formalnie we wrześniu 1943 roku z inicjatywy Delegata Rządu w uzgodnieniu z Komendantem Głównym AK, a zaczął działać w listopadzie 1943 roku. Przewodniczącym Społecznego Komitetu Antykomunistycznego był dyrektor departamentu w Delegaturze Rządu Franciszek Białas z PPS-WRN. W skład Komitetu wchodził niejako z urzędu: Stefan Korboński jako kierownik Oporu Społecznego w Kierownictwie Walki Podziemnej, Stanisław Kauzik jako dyrektor Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj, lub jego zastępca Zbigniew Kunicki, pseudonimy „Zbigniew” i „Brzeski”, z Departamentu Informacji i Prasy, Leopold Rutkowski pseudonim „Zawadzki”, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, Brenstjern jako repre-

zentant Społecznej Organizacji Samoobrony (SOS), Adam Fichna z Konwentu Organizacji Niepodległościowych, były senator z ramienia NPR, prof. Marian Rapacki z ramienia organizacji spółdzielczych, Tadeusz Miklaszewski, pseudonim „Nilski”, szef wydziału bezpieczeństwa w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, Stanisław Leśniewski, były minister rolnictwa, Ocioszyński z NPR, Henryk Glass, przed wojną redaktor pisma *Walka z bolszewizmem*, wreszcie wiceprezesem całego Komitetu był Franciszek Urbański, pseudonim „Kurzawa”, reprezentujący Chrześcijańskie Związki Zawodowe. Ja uczestniczyłem w Komitecie od początku z ramienia AK i byłem też inicjatorem i autorem dość głośnej odezwy stronnictw i organizacji politycznych w sprawie działalności komunistycznej w okupowanym kraju.

WB: — *Jak do tego doszło?*

TŻ: — Tuż po utworzeniu Krajowej Rady Narodowej, która rozpoczęła swoje życie 1 stycznia 1944 roku, przyszło mi na myśl, że należy szybko dać jakąś wyjaśniającą kontrę propagandzie komunistycznej, która wtedy wytrysnęła wielkim gejzerem, że stała się wielka rzecz — już jest Krajowa Rada Narodowa. Nazwa mogła być myląca, nie było w niej nic o komunizmie. I wobec tego na najbliższym zebraniu Społecznego Komitetu Antykomunistycznego postawiłem wniosek, żeby jak najszybciej wydać odezwę wszystkich stronnictw niepodległościowych, stronnictw „grubej czwórki” i wszystkich innych grup politycznych i organizacji, która by wykazywała, czym jest KRN. Po prostu uznaliśmy wtedy, że jest to agentura sowiecka na ziemiach polskich, która nadużywa rozmaitych słów i frazesów po to, aby zamaskować swoje istotne oblicze, swój charakter i swoje cele. Projekt tej odezwy napisałem osobiście. Przeszedł on przez filtr kilku redaktorów: wspólnie, we trzech czy we czterech, naradzaliśmy się nad jej tekstem. Większość tego tekstu została. Odezwa została podpisana przez 23 stronnictwa i organizacje polityczne i przed końcem stycznia 1944 roku została wydana w formie ulotki, a następnie w pierwszych dniach lutego ukazała się w szeregu pism niepodległościowych w kraju (m.in. w organie Delegatury Rządu — *Rzeczypospolitej Polskiej* nr 2 z 7 lutego 1944 roku i w organie AK — *Biuletynie Informacyjnym* nr 6 z 10 lutego 1944 roku).

WB: — *Przypomnijmy dla pełni obrazu tekst wspomnianej odezwy według jej pierwodruku w Rzeczypospolitej Polskiej:*

Do Narodu Polskiego!

W obliczu nadchodzących wydarzeń, decydujących o zakończeniu wojny, a wymagających od Polski wielkiego i zgodnego wysiłku, czynniki wrogie Rzeczypospolitej podjęły akcję mającą na celu osłabienie spójności Narodu Polskiego przez szerzenie chaosu i sianie dywersji.

Działająca na ziemiach naszych pod firmą PPR obca agentura komunistyczna prowadzi swą akcję, godzącą w najżywotniejsze interesy Polski, według dyrektyw zewnętrznego i niepolskiego ośrodka.

Maskując swe istotne cele i poruczone przez swych mocodawców zadania obłudnie nadużywanymi hasłami patriotycznymi i narodowymi, komunistyczna „Polska Partia Robotnicza” i jej ekspozytury w rodzaju rzekomo „Polskiej” Armii Ludowej deklarują gotowość oddania Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej — Rosji oraz zwalczają obdarzony zaufaniem Narodu legalny Rząd i Armię Rzeczypospolitej oraz ich odpowiedniki w Kraju.

W dążeniu do osłabienia i rozbicia sił Narodu w decydującym okresie wojny agentury komunistyczne powołują „Krajową Radę Narodową” i „Dowództwo Główne Armii Ludowej” oraz zapowiadają utworzenie „Rządu Tymczasowego”. Niezależnie od nikłości sił i znaczenia, jakie faktycznie reprezentować mogą powyższe, obliczone na rozgłos zewnętrzny, fikcyjne instytucje, należy mocno i zdecydowanie napiętnować akcję PPR, jako zdradę Narodu i Państwa Polskiego.

Tylko Rząd Rzeczypospolitej i Jego Pełnomocnik na Kraj oraz Wódz Naczelny i z Jego ramienia działający Komendant Armii Krajowej są powołani do wydawania rozkazów, wyznaczających ostatni etap walki z wrogiem prowadzonej twardo i nieustępliwie od pierwszych dni okupacji przez cały Naród.

O sprawach Polski decyduje Naród — nigdy obca agentura.

Stronnictwo Ludowe wraz z Batalionami Chłopskimi, Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących Polski Wolność, Równość, Niepodległość, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy, Bojowa Organizacja „Wschód”, Front Odrodzenia Polski, Gwardia Ludowa W.R.N., Komitet Prac Społeczno-Politycznych „Pobudka”, Konwent Organizacji Niepodległościowych, Konfederacja Narodu, Obóz Polski Walczącej, Ojczyzna, Organizacja „Polska Niepodległa”, Polski Związek Wolności, Raclawice, Stronnictwo Demokratyczne, Stronnictwo Polskich Demokratów, Stronnictwo Zrywu Narodowego, Syndykalistyczna Organizacja „Wolność”, Unia, Zjednoczenie Robotników Polskich, Związek Odrodzenia Narodowego, Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, Znicz.

— Czy można rozumieć, że głównym inicjatorem powyższego tekstu był Pan osobiście?

TŻ: — Tak, to się zgadza.

WB: — *Wspomniał Pan, że odezwa została podpisana przez 23 stronnictwa i grupy polityczne. Pod wyżej przytoczonym tekstem figurują 24 podpisy.*

TŻ: — Podpis SPD — Stronnictwa Polskiej Demokracji, błędnie tu nazwanego Stronnictwem Polskich Demokratów, wprowadzony został omyłkowo, w wyniku nieporozumienia i uznany za niebyły.

WB: — *Powróćmy teraz do problemu działalności Społecznego Komitetu Antykomunistycznego i roli podległego Panu Wydziału „R” w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK.*

TŻ: — Społeczny Komitet Antykomunistyczny miał koordynować ogólne założenia i kierunek propagandy antykomunistycznej. Sam Komitet w zasadzie nie prowadził żadnej własnej, samodzielnej akcji wydawniczej. Tę konkretną działalność prowadziły w swoim zakresie organizacyjnym BIP Komendy Głównej AK i Departament Informacji Delegatury Rządu, jak również stronnictwa polityczne lub podziemne organizacje społeczne. W rzeczywistości akcja ta szła niemal wyłącznie drogą AK lub Delegatury Rządu. Obie te drogi były od siebie całkowicie niezależne. Wydział „R” BIP i Departament Informacji i Prasy Delegatury Rządu realizowały odrębnie, według własnych koncepcji, wytyczne Społecznego Komitetu Antykomunistycznego, w których kształtowaniu brały twórczy udział. Natomiast ulotki wydawane bezpośrednio przez Delegaturę Rządu opracowywał merytorycznie Zbigniew Kunicki. W 1944 roku Delegatura Rządu wydawała też miesięcznik pt. „Polska Informacja Antykomunistyczna”.

W ramach Komitetu były pewne trudności z Henrykiem Glassem, który równocześnie samodzielnie prowadził odrębną działalność jako redaktor i wydawca *Agencji A*, której linia i charakter budziły zastrzeżenia i sprzeciwy członków Komitetu. W szczególności budziły zastrzeżenia podawane w tej agencji adresy rozmaitych wybitniejszych czy lepiej znanych p. Glassowi komunistów. Nasze wszystkie obiekcje i zastrzeżenia nie zawsze dawały pozytywny rezultat, gdyż p. Glass uważał się za samodzielnego kierownika swojej komórki.

Z naszej strony — jeśli chodzi o Wydział „R” — postawiłem sobie założenie, które zresztą akceptował płk Rzepecki, że

my prowadzimy walkę z komunizmem nie sloganowo i nie ze strony prawej. Nazywałem to walką z komunizmem od strony lewej, mianowicie przez głoszenie tych haseł i reform społecznych, które były zaproponowane i zaprojektowane w uchwale Rady Jedności Narodowej z marca 1944 roku przy konfrontowaniu ich z rzeczywistością jaka istniała w tych państwach, które były rządzone przez komunistów, czyli w pierwszym rządzie w Związku Radzieckim. Ta metoda wydawała nam się słuszna i skuteczna i jeżeli chodzi o chwytliwość czy popularność wydawnictw naszych i Delegatury Rządu wydaje mi się, że echa były dla nas raczej korzystne, bo nie wyczuwano u nas tylko napastliwego tonu propagandowego, lecz dopatrywano się argumentów rzeczowych, które trafiały lepiej do czytelników niż czyste i puste slogany.

WB: — *Czy Naczelnny Wódz PSZ, jako zwierzchnik Armii Krajowej, informowany był o utworzeniu w ramach BIP KG AK specjalnego Wydziału „R”, którym Pan kierował?*

TŻ: — Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych dowiedział się o utworzeniu Wydziału Propagandy Antykomunistycznej w BIP KG z półrocznego meldunku organizacyjnego Komendanta Głównego AK za okres od 1 września 1943 do 29 lutego 1944 roku. Był to meldunek nr 240, datowany 1 marca 1944 roku. Tekst jego znajduje się w wydawnictwie „Armia Krajowa w dokumentach” (tom III, str. 313).

WB: — *A na ile orientował się w tym szef BIP KG AK?*

TŻ: — Oczywiście szef BIP-u musiał dokładnie znać i orientować się w działalności każdego z podległych mu wydziałów, a więc znał również prace programowe i organizacyjne Wydziału „R”. O działalności tego Wydziału mówiłem mu bezpośrednio w ramach naszych stałych kontaktów służbowych. Na tygodniowych odprawach BIP-u obecni byli wszyscy szefowie wydziałów i zwięźle raportowali o najważniejszych sprawach. Warto może dodać, że — jak już wspomniałem — żona Jana Rzepeckiego, Irena, pseudonim „Ela”, była główną moją łączniczką w Wydziale „R”.

WB: — *Ówczesny szef BIP KG AK, płk dypl. Jan Rzepecki, kilkakrotnie publicznie dystansował się jednak w Polsce w końcu lat 50-tych i w latach 60-tych od jakiegokolwiek więzi organiza-*

cyjnej podległych mu komórek AK ze Społecznym Komitetem Antykomunistycznym, a nawet negował w ogóle istnienie Wydziału „R” w strukturze BIP. Składał jedynie na Pana wszelkie ewentualne poczynania w dziedzinie kontrpropagandy politycznej wobec propagandy ZSSR i PPR. W wydawanym w Warszawie kwartalniku Wojskowy Przegląd Historyczny (rocznik XVI — 1971, nr 4 na str. 169, w opracowaniu pt. „Organizacja i działania BIP”) Jan Rzepecki pisze:

Chyba w początku grudnia 1943 roku oficjalnie zawiadomił mnie gen. Bór, że delegat postanowił stworzyć Komitet Antykomunistyczny, obejmujący wszystkie grupy polityczne, uznające legalność rządu emigracyjnego, i że „od zaraz” powstaje „Ścisły Komitet Antykomunistyczny” pod przewodnictwem Franciszka Białasa, mający kierować propagandą antykomunistyczną, w tym zaś wspólnym organie dyrektor Departamentu Informacji, Kauzik, ma pracować z ramienia Delegatury, a ja, jako szef BIP, z ramienia AK. Natychmiast poprosiłem o zwolnienie mnie od tej pracy, którą wykonywałem bez przekonania i proponowałem zastąpienie mnie kim innym, co zostało aprobowane — bodaj że z wyraźną ulgą. Usłyszałem tylko jeszcze polecenie, by nasze TWZW wykonywały część drukarskich zamówień „Komitetu”, by nasza prasa publikowała też materiały opracowywane przez „Komitet”.

Oczywiście, taki rozwój wydarzeń ostatecznie podkopał zaufanie między gen. „Borem” i mną, mimo że zewnętrznie stosunki były nadal zupełnie poprawne. Stosunki zaś między mną a „Ścisłym Komitetem” ułożyły się tak, że stworzył on sobie własny aparat redakcyjny. Część tekstów opracowywanych tam szła wprost do TWZW do wykonania z pominięciem mnie, a kolportażem ich miały trudnić się stronnictwa, które przystąpiły do pełnego „Komitetu Antykomunistycznego”. Redakcje nasze na równi z redakcjami organów prasowych tych stronnictw otrzymywały od „Ścisłego Komitetu” obfite materiały (oznaczone jako „R”), z których miały czerpać wiadomości, czego odmówić nie mogły. Ja ze swej strony mogłem im tylko poradzić, by umieszczały jedynie wiadomości o niepodejrzanej prawdziwości.

Jak widać, wprowadzone jest tu dodatkowo pojęcie Ścisłego Komitetu Antykomunistycznego. Nasuwa się pytanie: po pierwsze — czy idzie tu o ten sam Społeczny Komitet Antykomunistyczny, po drugie — dlaczego tak kompetentny autor w swej publikacji z 1971 roku, a więc jeszcze 25 lat po wojnie, pomija milczeniem, a właściwie neguje istnienie utworzonego przecież na jego rozkaz i za jego wiedzą w strukturze AK Wydziału „R” i analogicznych referatów?

TŻ: — Z całą stanowczością stwierdzam, że nie było żadnego „Ścisłego Komitetu” w ramach Społecznego Komitetu Antykomunistycznego. Nie było i nie było żadnej potrzeby jego tworzenia. Po pierwsze dlatego, że wszystkie istotne sprawy omawiano na zebraniach całego Komitetu. Oczywiście nie zawsze wszyscy jego członkowie w tych zebraniach uczestniczyli, jeśli napotykali jakieś trudności obiektywne, jak np. inne zajęcia konspiracyjne w tym samym czasie. Wszyscy jednak członkowie byli o zebraniach Komitetu zawiadamiani. Po drugie nie było ani racji bytu, ani potrzeby tworzenia „Ścisłego Komitetu”, ponieważ wszystkie zasadnicze wytyczne były jawnie na zebraniach Komitetu omawiane i ustalane, a ich wykonanie należało do tych czynników, które do tego były powołane, a więc BIP KG, Departament Informacji Delegatury Rządu czy stronnictwa polityczne. Stwierdzam, że ten rzekomy „Ścisły Komitet” jest albo dowodem niepamięci Rzepeckiego, albo wytworem jego wyobraźni.

Wykorzystując pobyt płka Rzepeckiego za granicą, dwukrotnie się z nim spotkałem: w Paryżu na początku listopada 1961 roku, a następnie w Londynie w końcu marca 1969 roku. Już w pierwszej paryskiej rozmowie postawiłem mu zarzut, że w swych relacjach o BIP-ie KG niesłusznie pominął Wydział „R” i twierdził jednocześnie, że akcja antykomunistyczna prowadzona przez AK odbywała się bez jego wiedzy i udziału, jak również poza ramami organizacyjnymi BIP. Przypominałem mu szereg bezspornych faktów, lecz nie chciał ich przyjąć do wiadomości, utrzymując, że nie miał nic wspólnego z akcją „R”.

W parę lat później — przy spotkaniu w Londynie — powróciłem znów do sprawy wypierania się przez Rzepeckiego istnienia Wydziału „R” w kierowanym przez niego BIP-ie. Rzepecki nadal upierał się przy swym poprzednim stanowisku. Jednak wkrótce — w początku kwietnia 1969 roku — na wyjeździe z Londynu wysłał do mnie list, w którym usiłował wyjaśnić, dlaczego nie przyznawał się publicznie do istnienia Wydziału „R” w podległym mu BIP-ie.

(W tym momencie rozmowy p. Tadeusz Żenczykowski pokazuje mi oryginalny list płka Jana Rzepeckiego, w którym poza sprawami nie mającymi związku z tematyką niniejszej relacji poruszona jest sprawa Wydziału „R”. — WB).

Oдноśny fragment tego listu brzmi:

Sprawa najważniejsza! Opuśczenie w mojej relacji „podwy-

działu R" nie było przypadkiem i zapomnieniem: powodowałem się chęcią uniknięcia ataków nie na mnie tylko na całość KG AK, ale przede wszystkim moim negatywnym stosunkiem do całości tej akcji i z tego teraz czas Ci się wypowiadać. Stosunek taki powstał już wczesną jesienią 1943, gdy po *mordzie pod Borowem* i już po 14. IX zorganizowane zostało zebranie w składzie: Bór, Grzegorz, Dziecioł, Oskar i ja, na którym, po mętnym referacie Oskara Grz. postawił wniosek, by Bór zwrócił się do DR o zorganizowanie „szerokiego frontu społecznego do walki z komunizmem” gdy 15. IX Grz. zredagował osobiście rozkaz o „Walce z bandytyzmem”, zawierający wskazówkę, żeby „*przywódców i agitatorów likwidować*”. Zaraz potem nastąpiło forsowanie przyhołubienia NSZ — morderców z Borowa. Ja w tym czasie — wraz z Sanojcą — opierałem się temu i upominałem się o szybkie zredagowanie przez Kraj dla rządu i wydanie „manifestu powstańczego” z szerokim uwzględnieniem społecznych i politycznych postulatów PPS i SL. Chodziło o to, żeby „wyjąć wiatr” z żagli propagandy komunistycznej, żeby komuniści musieli iść z nami a nie wyprzedzali nas. Zababrano tę sprawę jak i utworzenie RJN! Zamiast tego pospieszono się z utworzeniem „Ścisłego Komitetu Antykomunistycznego”, który miał działać tylko tajnie, nie manifestując swojego istnienia. Był rzeczywiście tak zatajony, że uważano za moje blagi i wykręty, gdy po wojnie mówiłem o nim. Białas i Kauzik nie pozostawili o nim ani śliska. Ujawniono go dopiero w tekście biograficznym po śmierci Kauzika w „Pol(skim) Słown(iku) Biograf(icznym)” (litera K). Ja uchyliłem się od udziału w tym Komitecie, gdy proponował mi to Bór, ale otrzymałem rozkaz, że mój aparat musi być udostępniony Komitetowi, który miał tylko kierować, redagować teksty, drukować, zaś kolportażem miały zająć się całkowicie Stronnictwa, przystępujące do *jawnego* komitetu — od ONR do PPS Lewicy. Wykonanie wypadło zupełnie inaczej. Musiałem oczywiście aprobować pomysł zorganizowania „Wydziału R”, ale błędem było nadanie temu rozgłosu przez nagłówki na pismach, instrukcjach i wskaźnikach (np. Agencja R), a gen. Skroczyński dorzucił sprawę przez wydanie rozkazu i odkomenderowanie personelu z szeregów AK do kolportażu, co zresztą wykorzystał Skarżyński w ataku na mnie, mimo że moja relacja nie została wydrukowana. Departament Kauzika pozostał niewinny — a całe „odium” spadło na nas! Ale to stara historia, nikogo nie obchodzi.

TŻ: — Ten własnoręczny list Rzepeckiego przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Byłem zadowolony, że doprowadziłem go do powiedzenia prawdy o organizacyjnym związaniu Wydziału „R” z BIP-em i potwierdzenia, że dobrze wiedział o pracy tego Wydziału. Przykro mi było przekonać się, że przez tyle lat publicz-

nie zapierał się tej prawdy i faktycznie — dla uniknięcia ewentualnych ataków na niego — ostrze ich nakierował na mnie.

Zawarte w tym liście wyjaśnienia nie usprawiedliwiały w moim pojęciu Rzepeckiego. Jeśli nie godził się na podjęcie przez BIP propagandy antykomunistycznej, to mógł wyraźnie oświadczyć Komendantowi Głównemu AK, że rozkazu tego nie wykona, jako niezgodnego z jego przekonaniami. Nie wdaję się w analizę przedstawionych przez Rzepeckiego wydarzeń, związanych z wymienionym przez niego zebraniem pod przewodnictwem gen. Bora, przypuszczając, że relacja ta może być bardzo jednostronna i w dodatku nie łączy się bezpośrednio ze sprawą Wydziału „R”. Stwierdzić natomiast muszę — wbrew temu co pisze Rzepecki — że całokształt działalności Wydziału „R” był mu doskonale znany i przez niego aprobowany. Zaznaczam zresztą, że nigdy nie zamierzałem ukrywać po wojnie tego, że kierowałem osobiście Wydziałem „R” w BIP KG. Dawałem temu niejednokrotnie wyraz publicznie.

WB: — *W niektórych publikacjach dotyczących problematyki działania Wydziału „R” w Biurze Informacji i Propagandy KG AK lub w ogóle w ramach propagandy AK w okupowanej Polsce występuje pomieszczenie pojęć Wydziału „R” i różnych akcji sygnowanych „K”. Jest to chyba oczywiste nieporozumienie. Od sierpnia 1942 do 1945 roku miałem przydział w Wydziale Informacji BIP KG AK, w jednym z trzech podwydziałów, który nosił — wymiennie — kryptonim „C” lub „P”. W tym podwydziale było kilka referatów. Wśród nich znajdował się referat „K”. Kierownikiem tego referatu był Zygmunt Kapitaniak, pseudonim „Bronisław”, jego zastępcą — Jan Topiński, pseudonim „Czarnecki”. Ten referat, który zresztą istniał dużo wcześniej niż Społeczny Komitet Antykomunistyczny, miał zupełnie odrębne, inne zadania. Zajmował się analizą prasy i wydawnictw komunistycznych i faktycznej działalności komunistów w Polsce w celu informowania szefa BIP KG AK oraz Naczelnego Wodza za pośrednictwem Komendanta Głównego AK. Żadnej akcji zewnętrznej typu propagandowego referat ten nie prowadził. Analogiczne referaty znajdowały się w wydziałach informacji BIP-ów okręgowych. Wiadomo mi jest to na pewno, choć sam z pracą referatu „K” nie miałem nic wspólnego. Oczekiwałbym od Pana potwierdzenia lub sprostowania tych danych, jak również wyjaśnienia, czy referat „K” z Wydziału Informacji BIP dostarczał Panu jakieś materiały, albo czy w jakiś inny sposób współdziałał z kierowanym przez Pana Wydziałem „R”?*

TŻ: — Dokładnie znam tę sprawę. Wiem o istnieniu referatu „K”, który powstał w toku rozbudowy podwydziału politycznego (czyli „P”) w Wydziale Informacji w BIP KG AK. Podwydziałem tym kierował początkowo mój kolega organizacyjny z ZPMD i ZOR (Związku Odbudowy Rzeczypospolitej) Eugeniusz Czarnowski. Inny mój kolega — z przedwojennego Związku Młodych Prawników — Zygmunt Kapitaniak kierował referatem „K” w tym podwydziale. Jak wszyscy szefowie wydziałów w BIP-ie otrzymywałem również materiały z referatu „K” w Wydziale Informacji w ramach normalnej wymiany informacji między wydziałami. Z informacji z referatu „K” na ogół jednak w pracy naszego Wydziału „R” nie korzystaliśmy — miały one charakter szczegółowy i aktualny, a myśmy poruszali zagadnienia raczej programowo i generalnie.

Trzeba również pamiętać, że także w kontrwywiadzie (na wszystkich szczeblach) istniał specjalny referat „K”, zajmujący się zbieraniem informacji i wiadomości o ruchu komunistycznym. W momencie gdy organizowałem wydział propagandy antykomunistycznej w BIP KG AK, celowo i z całą świadomością z dwu powodów nadałem mu kryptonim: Wydział „R”.

Po pierwsze dlatego, aby nie identyfikować naszej działalności w terenie i w centrali z działalnością Wydziału Informacji BIP oraz z działalnością kontrwywiadu; po drugie chodziło mi o to, aby zwrócić uwagę, że nasz wydział zajmuje się nie tylko propagandą antykomunistyczną, ale również informuje o polityce sowieckiej wobec Polski. Litera „R” odpowiadała mi w tym wypadku, bo oznaczała „Rosję”, a jednocześnie wyodrębniała naszą akcję od wszelkich działań dotyczących tylko samych spraw komunizmu. Wydawało mi się zresztą na podstawie lektury niektórych raportów Wydziału Informacji BIP-u czy kontrwywiadu, że była pewna przesada w ocenie grozy nasilenia komunizmu w Polsce. Myśmy widzieli i oceniali to trochę inaczej. Wydaje mi się, że rzeczywistość potwierdziła potem — przy tworzeniu PKWN i wprowadzaniu rządów komunistycznych w Polsce — że nasilenie komunizmu w Polsce nie było tak znaczne, jak by to mogło wynikać z niektórych raportów, przesadzających potęgę komunizmu i nie zawsze odznaczających się dobrą znajomością przedwojennej KPP i całego ruchu komunistycznego.

WB: — W Centralnym Archiwum KC PZPR w Warszawie znajduje się instrukcja bez daty zatytułowana „Instrukcja ogólnorganizacyjna ANTYK” skatalogowana pod sygnaturą 228/I-1,

karty 41-42^a jako część zespołu „Społeczny Komitet Antykomunistyczny”.. Potraktujmy ten dokument jak załącznik do protokołu naszej rozmowy. Czy uważa Pan tę instrukcję za wytwór Społecznego Komitetu Antykomunistycznego, którego był Pan członkiem?

TŻ: — Absolutnie nie. Społeczny Komitet Antykomunistyczny, o którym była mowa wyżej, żadnej ogólnej instrukcji dla nikogo nie wydawał. Na zebraniach ustalano pewne generalne założenia ustnie, nawet bez protokołów. Udział w Komitecie był jednak dobrowolny, organizacje i stronnictwa, AK i Delegatura Rządu nie mogły podlegać żadnej instrukcji Komitetu. Stąd sam nagłówek czy określenie autorstwa tego dokumentu są nieporozumieniem. Jest to niezgodne z rzeczywistością, z teorią i polityką działania Komitetu, w którym byłem od samego początku jego istnienia. Natomiast poszczególne człony organizacyjne uczestniczące w Komitecie mogły wydawać swoje własne instrukcje. Przypominam, że Delegatura Rządu i jej Departament Informacji na przykład mogły wydać jakąś własną instrukcję dla swych delegatur okręgowych. Wiem na pewno, że gen. Bór wydał w listopadzie 1943 roku (nie pamiętam dokładnie daty) bardzo krótką instrukcję o powołaniu w BIP-ach wydziałów „R”.

My — jako Wydział „R” w BIP KG AK — żadnej szczegółowej instrukcji nie wydaliśmy. Gdyby BIP KG AK szykował jakąkolwiek instrukcję szczegółową, określającą czynności i formy działania, musiałbym wtedy albo sam taką instrukcję projektować, albo przynajmniej wiedzieć o niej od „Prezesa” (Jana Rzepeckiego).

Omawiany tekst stanowi swojego rodzaju *silva rerum*. Myszmy nie używali nigdy słowa „ANTYK” — używaliśmy litery „R” dla oznaczenia naszej akcji antykomunistycznej. Nie interesowały nas też nigdy (jak jest w tej instrukcji) oddziały rosyjskie w służbie niemieckiej (własowcy itd.), ani mniejszości narodowe na ziemiach wschodnich. Po prostu nie było to objęte programem naszego działania. Terenem naszego działania była wyłącznie społeczność polska na ziemiach polskich i sieć organizacyjna AK. Również nie żądaliśmy z terenu przesyłania nam jakichś informacji, np. jak wyglądają tam wpływy komunistyczne itp. Trzymaliśmy się ściśle konkretnych zadań: prowadzenia propagandy, oddziaływania na nastroje społeczeństwa poprzez jawne wystąpienia propagandowe. Żadne wydawnictwa „R” nie podszywały się pod jakieś wydawnictwa komunistyczne czy też

jakieś fałszywe stronnictwa polityczne, tak jak np. było w akcji „N”, gdzie podszywali się pod Niemców. Druki nasze sygnowane były przez Wojskowe Zakłady Wydawnicze. To była zupełnie wyraźnie polska akcja wojskowa. Słowem: omawiany dokument z Centralnego Archiwum KC PZPR nie był z pewnością instrukcją BIP-u ani naszego Wydziału „R”.

WB: — *Z Pańskiej wypowiedzi wynika, że nie była to też z pewnością żadna oficjalna instrukcja Społecznego Komitetu Antykomunistycznego, którego był Pan członkiem. Nie możemy jednak chyba wykluczyć, że dokument jest w tym sensie autentyczny, iż jakieś komórki, nie związane z Panem i nie podległe Panu służbowo, wypracowywały sobie jakieś instrukcje, które wcale nie były oficjalnie aprobowane ani zalecane przez Społeczny Komitet Antykomunistyczny, czy tym bardziej przez Wydział „R” w BIP KG AK?*

TŻ: — Tego nie można wykluczyć. W niektórych fragmentach tego dokumentu widzę sformułowania mniej więcej zgodne z naszymi założeniami. Mogła więc ta tzw. instrukcja być zbiorem jakichś dyspozycji wydawanych przez któregoś z komendantów okręgów, czy któregoś z BIP-ów okręgowych bez wiedzy Wydziału „R” w BIP KG AK i Społecznego Komitetu Antykomunistycznego.

WB: — *Wydaje mi się, że ta sprawa została w granicach naszych możliwości dostatecznie wyjaśniona, a godna uwagi była głównie dlatego, że omawiany dokument, dostępny dla badaczy, może być wobec sposobu zaklasyfikowania go w archiwum, błędnie traktowany jako miarodajna instrukcja Społecznego Komitetu Antykomunistycznego.*

Kończąc, dziękuję Panu za rozmowę i kompetentne wyjaśnienie szeregu spraw dotyczących przeciwdziałania propagandowego w zakresie problematyki, którą zajmował się Wydział „R”. Warto tu może podkreślić, że założenia naszej rozmowy nie przewidywały omawiania działalności innych instytucji, np. Delegatury Rządu, jej różnych departamentów i służb, jak również ewentualnych działań jakichkolwiek organizacji czy grup prywatnych lub pół-prywatnych, lekko tu tylko — przez osobę Henryka Glassa — w jednym miejscu dotkniętych, ale nie analizowanych. Wynika z tego, że materiał objęty protokołem niniejszej rozmowy dotyczy zasadniczo tylko Wydziału „R” w BIP KG AK, a jeśli

*też Społecznego Komitetu Antykomunistycznego, to o tyle tylko,
o ile Wydział „R” miał do czynienia z jego pracami.*

Władysław BARTOSZEWSKI
Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

Z A Ł A C Z N I K

CENTRALNE ARCHIWUM KC PZPR

SPÓŁECZNY KOMITET ANTYKOMUNISTYCZNY,
INSTRUKCJE (b.d.) sygn. 228/I-1, k. 41-42a

INSTRUKCJA OGÓLNOORGANIZACYJNA „ANTYK”

Cel. Celem akcji „Antyk” jest:

- a) Przeciwdziałanie propagandzie komunistycznej i prorosyjskiej,
- b) Urabianie w sensie przychylnym dla ludności polskiej oddziałów rosyjskich, będących w służbie niemieckiej,
- c) Prace przygotowawcze do ew. propagandy rozkładowej w szeregach armii czerwonej.

Ze względu na warunki znaczenie akcji „Antyk” mówi samo za siebie. Akcja ta spełni swą rolę, jeśli będzie prowadzona planowo, jednolicie i z dużym rozmachem.

Teren działania. Obszar Rzeczypospolitej ze szczególnym uwzględnieniem GG i terenów wschodnich.

Przedmiot działania

- a) Ludność polska, a zwłaszcza jej grupy społeczne i polityczne najbardziej narażone na działanie akcji „K”.
- b) „Dzikie” oddziały partyzantki polskiej lub przy przeważającym udziale Polaków.
- c) Mniejszości narodowe na ziemiach wschodnich.
- d) Oddziały rosyjskie w służbie niemieckiej (Własowcy, Kozacy, Ostlegien).

Założenia ogólne

1. Wobec obywateli polskich:

- a) wykazanie, że akcja komun. w Polsce jest agenturą rosyjskiego imperializmu,
- b) demaskowanie kłamstw i ujawnianie prawdziwych celów akcji komun.,
- c) szerzenie hasel pozytywnych o charakterze społeczno-politycznym, przeciwdziałających akcji „komun.”.

2. Wobec oddziałów rosyjskich na służbie niemieckiej:

Ukazywanie im jedynego możliwego oparcia w Polsce po załamaniu się Niemiec, jeśli zdołają zawczasu pozyskać względy ludności, nastawienie ich przeciw bolszewikom i Niemcom.

Środki działania

- a) wydawnictwa w języku polskim, rosyjskim i ukraińskim,

- b) radio krótkofalowe,
- c) propaganda ustna.

I. Kierownictwo

Dla zapewnienia jednolitości całej akcji „Antyk” programowość i strona redakcyjna skoncentrowana jest w BIP-KSZ. „K” Okręgi mają możliwość wykazywania swej inicjatywy redakcyjnej przez zgłaszanie wniosków Centrali „Antyk”. Natomiast kolportaż, propaganda ustna, wpływ na prasę lokalną i działania organizacyjne ciążyą głównie na Okręgach, działających w myśl wytycznych BIP-KSZ.

II. „Antyk” Okręgu

„Antyk” w Okręgu jest referatem w BIP, któremu bezpośrednio podlega służbowo. Wytyczne pracy otrzymuje z BIP-KSZ, którego jest organem wykonawczym i któremu podlega fachowo. „Antykowi” Okr. podlega sieć kolportażu „Antyk”. „Antyk” Okr. pozostaje w stałym kontakcie z wywiadem Okręgu.

W pracy „Antyk” Okręg. należy na każdym szczeblu organizacyjnym koordynować napotymane w terenie samorzutnie lub przez inne organizacje podejmowane próby działania, pobudzać do inicjatywy w tym kierunku i włączać do własnej akcji. Rozdrabnianie bowiem inicjatywy przy nieuniknionej rozbieżności programowej przyczynić się może do wczesnego sparaliżowania bądź znacznego utrudnienia wszelkiej akcji „Antyk” przez „Kom.”. Szczególnie należy zwrócić uwagę na to, by:

- a) akcja „Antyk” nie była wymierzona przeciw innym — poza „Kom.” radykalnym grupom politycznym i przeciw samej idei radykalnego postępu społecznego,
- b) unikać należy wszystkiego, co mogłoby być przez kontrakcję „Kom.” utożsamiane z robotą „oenerowsko-sanacyjną”,
- c) zlikwidować w zarodku wszystkie próby rozgrywek politycznych między organizacjami, o ile one występowały na tle współpracy w akcji „Antyk”,
- d) podkreślać przy każdej okazji wrogi stosunek do Niemców.

Kierunek prac

Największy nacisk położyć należy na:

- a) sprawnym funkcjonowaniu sieci kolportażu terenowego,
- b) propagandzie ustnej,
- c) gromadzeniu i aktualizowaniu informacji o akcji Kom.,
- d) zabieraniu wszelkich wydawnictw komun. i szybkim przesyłaniu do centrali „Antyk”.

Nasilenie tych prac winno być uregulowane istniejącym lub spodziewanym stopniem nasilenia akcji komun. W tym celu „Antyk” Okręg. musi posiadać stale aktualizowane informacje o akcji komun. zwłaszcza o pracy wydawniczej i kolportażowej, o robocie sabotażowej i partyzanckiej, o taktyce oddziaływania propagandowego na ludność i stopniu prowadzenia. Taka „mapa terenu” powinna dawać jasny obraz ogólnych poczynąń komun. Informacje na temat „Antyk” Okręg. czerpie z II Oddz. Okr. oraz z własnej sieci „Antyk”, spełniającej w tym zakresie funkcję obserwacyjną, a nie ściśle wywiadowczą.

Konieczna jest staranna kontrola przeprowadzanych prac i jej rezultatów. „Antyk” Okr. poświęci jej baczną uwagę i będzie notować obiektywnie zarówno dodatnie jak i ujemne wyniki tej kontroli. „Antyk” Okr. przesyła

(adresować: BIP KSZ „Antyk”) w pierwszym tygodniu każdego miesiąca sprawozdanie z przeprowadzonej akcji oraz osiągniętych rezultatów i nastrojów terenu. Sprawozdanie powinno obejmować także akcję przeciwnika oraz wszelkie przeszkody na drodze skutecznego działania akcji „Antyk” wraz z projektami ich usuwania. Troskliwie należy gromadzić i sygnalizować w sprawozdaniach wszelkie fakty i możliwości kompromitowania przeciwnika. Oprócz sprawozdań ważne lub pilne wiadomości należy przysyłać najbliższą pocztą.

Kolportaż

Istniejącą sieć kolportażu prasy podziemnej można wyzyskać dla kolportażu „Antyk”, pamiętać jednak należy, że ośrodki zagrożone najbardziej akcją kom. prasy podziemnej prawie nie otrzymują. Dlatego najważniejszą rolę będzie miał do spełnienia własny kolportaż „Antyk”. Jego obowiązkiem będzie docierać głównie do ubogiej ludności wiejskiej, do ludności robotniczej w ośrodkach, z którymi komunikacja jest najbardziej utrudniona i w ogóle wszędzie tam, dokąd prasa organizacji niepodległościowych słabo lub wcale nie dochodzi. Trudno byłoby od razu pokryć cały teren Okr. własną siecią kolportażu. Rozbudowa jej nie może być dokonywana według linii najmniejszego oporu, ale według zaleceń, wynikających z „mapy terenu”. Dlatego należy pobudzać równocześnie, ile możliwości, organizacje polityczne współdziałające aby i one rozbudowały swój kolportaż na terenach trudno dostępnych. Liczyć się trzeba z tym, że organizacje rywalizują ze sobą o wpływy w terenie i że ambicje ich na ogół są duże. Naturalne te skłonności trzeba wykorzystać tak, aby — nie wytwarzając zadrążeń doprowadzić do wyścigu w walce z kom. i współpracy z „Antyk” przez przyjęcie zasady: — o wpływach danej organizacji w terenie decyduje zasięg kolportowanej prasy (przede wszystkim własnej, a przy okazji „Antyk”).

Dla ułatwienia kontroli pożądane będzie obdzielenie organizacji odmiennymi wydawnictwami „Antyk”. Kontrola dokonywana przez kierowników „Antyk” Okr. ustali stopień sprawności kolportażu, co uniemożliwi wprowadzenie „Antyk” Okr. w błąd.

Propaganda ustna

Jak największa ilość pojedynczych egz. wydawnictw „Antyk” powinna być kierowana w upatrzonych miejscowościach do rąk ludzi, którzy podejmą się systematycznego uprawiania propagandy ustnej wśród swego otoczenia. Wydawnictwa „Antyk” będą dla tej propagandy źródłem informacji i argumentów. Nie powinna ona jednak ograniczać się do tematu walki z kom. ale rozpowszechniać wszelkie wiadomości, pochodzące z prasy oficjalnej, gdyż to uczyni ją atrakcyjną. Sieć propagandy ustnej rozbudować należy planowo.

Skład personalny

O liczebności „Antyk” Okr. decydują lokalne warunki i potrzeby. Ze względu na konspirację nie należy zbytnio zwiększać jego składu. Zasadniczo przewiduje się następujące stanowiska: kierownik, kierownik kolportażu oraz pewna ilość kurierów.

Kierownik „Antyk” Okr. jest odpowiedzialny za całość pracy, utrzymuje stały kontakt z II Okr., gromadzi kompromitujące kom. dowody, opracowuje sprawozdania dla „Antyk” Okręg. i przysyła własne projekty wydawnictw lub innych sposobów oddziaływania na teren. Utrzymuje kontakt z Wyd. Okr. (źródło informacji) i prowadzi tzw. mapę terenu, tj. rejestrację nasilenia działalności i wpływów kom. w terenie. Utrzymuje kontakt

z organizacjami współpracującymi w akcji kolportażowej i w propagandzie ustnej, kieruje prop. ustną.

Kierownik kolportażu odpowiedzialny jest za sprawne działanie i organizację sieci kolportażu bezpośredniego. Winien czuwać nad należytą znajomością sposobu kolportażu przez sieć terenową.

Józef GARLIŃSKI

POMOC LOTNICZA DLA WARSZAWY*

„Tu i nie gdzie indziej zaczęła się Zimna
Wojna między Wschodem i Zachodem”.

(Hans von Krannhals, *Der Warschauer
Aufstand*).

Początkowo Warszawa była wyłączona z planów powstania powszechnego i akcji „Burza”, ale w drugiej połowie lipca 1944 roku plan ten zmieniono, zdecydowano walkę o stolicę i decyzja ta wywołała głośną depeszę gen. Bora wysłaną do Londynu 25 lipca: „Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę...”.

Nagła zmiana kilkuletnich planów musiała spowodować chaos tak w stolicy jak i w siedzibie polskiego rządu i najwyższych władz wojskowych. W Warszawie, z której część zapasów broni wysłano wcześniej na wschód, amunicji i uzbrojenia wystarczyło zaledwie na trzy dni walki, w Londynie nikt nie zadbał wcześniej o zapewnienie pomocy lotniczej wielkiemu miastu, której tak bardzo potrzebowało. Sytuację pogarszał fakt, że w stolicy Wielkiej Brytanii nie było wtedy dwóch ludzi zajmujących najwyższe polskie stanowiska i odpowiedzialnych za wojskowe i polityczne sprawy. Naczelný Wódz, gen. Sosnkowski od kilku tygodni przebywał we Włoszech, gdzie nie był specjalnie potrzebny, a Premier Mikołajczyk, tuż po otrzymaniu depeszy gen. Bora, znajdował się w samolocie wiozącym go do Moskwy. Miał tam podjąć jeszcze jedną próbę dogadania się ze Stalinem i próba ta była uzasadniona, bo już połowa Polski znajdowała się w so-

* Artykuł niniejszy opracowałem w oparciu o moją książkę, *Polska w Drugiej Wojnie Światowej* (Odnova, Londyn 1983). Dotyczy on wyłącznie pomocy z Zachodu i nie obejmuje zrzutów sowieckich, które rozpoczęły się w nocy z 13 na 14 września, były dokonywane z niskiego pułapu, bez spadochronów, i przyniosły Warszawie około 40 ton broni i amunicji, częściowo uszkodzonej, i około 15 ton żywności.

wieckich rękach. Ponadto, mimo stałej łączności między Londynem i Warszawą, Komenda Główna AK nie została dokładnie poinformowana o technicznych możliwościach lotnictwa i miała przesadne wyobrażenie o jego skuteczności i zasięgu. Niekorzystne dla Polski decyzje polityczne nie były także w Warszawie dokładnie znane.

O wybuchu powstania dowiedziano się w Londynie dnia 2 sierpnia i zaraz zaczęła się wielka, polska improwizacja skierowana na zdobycie pomocy dla walczącego miasta. Pierwszy, imieniem rządu, interweniował ambasador Raczyński i dnia 3 sierpnia widział się z Churchilllem, doręczając mu osobiste pismo Prezydenta RP. Prawie natychmiast wyszedł list Prezydenta do Króla Jerzego VI i telegram do Roosevelta. Zastępca Premiera, Jan Kwapiński był u Edena, gen. Kopański u gen. Ismay'a. Interweniowali także politycy i inni generałowie, szły alarmowe depeche do Włoch, by gen. Sosnkowski natychmiast powrócił. Zjawił się on w Londynie 6 sierpnia i także dołączył do interwencji, pisząc do Alana Brooka, szefa imperialnego sztabu, do marszałka lotnictwa Charlesa Portal, do ministra lotnictwa Archibalda Sinclaira i do dowódcy teatru śródziemnomorskiego, gen. Henry Maitlanda Wilsona. Interwencje szły w trzech kierunkach: natychmiastowa pomoc w rzutach, uznanie żołnierzy AK za kombatanatów i nacisk na Rosję, by udzieliła Warszawie pomocy.

Dalszą interwencję podjął w Moskwie Mikołajczyk, dokąd przybył 30 lipca, ale dopiero 3 sierpnia został przyjęty przez Stalina. Miał z nim omówić sprawę polsko-sowieckich stosunków i trwałe ich unormowanie, ale sprawa Warszawy była tak paląca, że ona poszła na pierwszy ogień. Stalin pomoc obiecał, ale gdy Mikołajczyk, po bezowocnej wizycie, znalazł się z powrotem w Londynie, zastał tam depeszę od dyktatora:

„Po bliższym zapoznaniu się ze sprawą doszedłem do przekonania, że akcja warszawska stanowi lekkomyślną awanturę podjętą bez wiedzy dowództwa sowieckiego... Wobec tego dowództwo sowieckie postanowiło otwarcie odżegnać się od awantury warszawskiej, ponieważ nie powinno ono i nie może ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za sprawę Warszawy”.

Churchill był przeciwny powstaniu i przestrzegał przed nim Polaków, ale jako człowiek walki, zareagował natychmiast. Przypuszczalnie odegrało tu także rolę poczucie winy ze stosunku do Polski, dość, że tego samego dnia wyszedł do Włoch jego rozkaz. Tam, w Brindisi, była teraz brytyjska baza lotów i rzutów także i do Polski.

Dowódcą sił powietrznych w rejonie Morza Śródziemnego był marszałek lotnictwa, John Slessor, doskonale zorientowany w politycznym położeniu Polski i rozumiejący jej tragedię, ale postawiony wobec problemu, który uważał za niewykonalny. Dys-tans z Brindisi do Warszawy wynosił prawie 1.500 km, noc

sierpniowe były krótkie a ciężkie bombowce, jeżeli by nie zginęły nad walczącym miastem, musiały powracać już za dnia ponad Węgrami i Jugosławią, gdzie czekały na nie niemieckie myśliwce. Także i ilość samolotów, odpowiednio przebudowanych do tak dalekich lotów, była bardzo ograniczona. Marszałek miał pod swymi rozkazami polską eskadrę specjalnego przeznaczenia 1586 i brytyjski Dywizjon 148, razem zaledwie 24 Halifaxy i Liberator, a obok Polski musiał nimi obsłużyć loty z zaopatrzeniem do Czechosłowacji, Jugosławii i północnych Włoch. Jednak rozkaz Churchilla był wyraźny i loty musiały się zacząć natychmiast.

Noc z 3 na 4 sierpnia odpadła z powodu warunków atmosferycznych, ale już następnej poleciało nad Warszawę 14 samolotów: 7 polskich i 7 brytyjskich. Tylko 3 polskie dokonały zrzutów na stolicę, 5 brytyjskich zostało zestrzelonych, 9 powróciło do bazy, ale poważnie uszkodzonych.

Po tym pierwszym doświadczeniu Slessor zabronił dalszych lotów i wysłał depezę do marszałka Portala donosząc, że dopóki trwa pełnia księżyca, nie pośle do Warszawy żadnych samolotów, bo w ciągu kilku dni wszystkie je straci, a ponadto bezcenne, wyszkolone załogi. Nie kierowały nim żadne inne względy a tylko dbałość o życie podległych mu żołnierzy, którzy ginęli nie osiagając swoich celów.

Sprzeciw marszałka wywołał natychmiastową reakcję Polaków. Walka o Warszawę nie była zwyczajną bitwą, stolica musiała otrzymać pomoc, choćby cena jej była bardzo wysoka. Lotnicy z eskadry 1586, choć sami najlepiej wiedzieli czym grożą loty do Warszawy, zgłosili gotowość do dalszych wypraw.

Pod silną presją Slessor cofnął swój zakaz w stosunku do polskich załóg. Dwie następne noce znowu pogoda nie pozwoliła na operacje, ale dnia 8-go poleciały 3 polskie samoloty i dokonały zrzutów, które trafiły do rąk powstańców, dnia następnego 4, ale te dotarły tylko do Puszczy Kampinoskiej. Strat na szczęście nie było.

Znowu stracono kilka dni z powodu złej pogody, ale skończyła się pełnia księżyca i Slessor zgodził się na lot 6-ciu załóg brytyjskich, które wraz z 5-ma polskimi wyprawiły się nad Warszawę dnia 12 sierpnia. Tylko 7 samolotów doszło do zrzutów, 5 z nich odebrali żołnierze AK, znowu obeszło się bez strat.

Te 3 szczęśliwe noce zaważyły na dalszych decyzjach. Generał Wilson wyraził zgodę i dnia 13 sierpnia Slessor wycofał z lotów nad południową Francją, z grupy 205, dwa dywizjony Liberatorów, stanowiących połowę posiadanych tam ciężkich bombowców, i skierował je na Polskę. Były to: brytyjski dywizjon 178 i południowoafrykański 31.

W ciągu 4 nocy, od 13 do 16 sierpnia, 17 polskich oraz 62 brytyjskich i afrykańskich samolotów próbowało dotrzeć do Warszawy. Dokonało tego 10 polskich załóg i 24 brytyjsko-afrykań-

skich, z tej liczby tylko 20 doszło do zrzutów na miasto, 15 z nich odebrali powstańcy. Straty były kolosalne: zginęły 3 polskie samoloty, 7 afrykańskich i 5 brytyjskich, a więc prawie 50 % tych, które dotarły do stolicy. Dalsze dwa samoloty brytyjskie i 1 afrykański rozbiły się przy lądowaniu, prawie wszystkie, które powróciły do bazy, były poważnie uszkodzone, wiele załóg przywiozło ze sobą rannych.

Po tych strasznych 4-ch nocach stało się jasne, że loty do Warszawy znalazły się na samej granicy sensownych operacji wojskowych. Tylko doświadczone załogi miały szanse na dokonanie skutecznych zrzutów, ale zostały już prawie wybite. Południowoafrykańscy lotnicy, bez pojęcia o nawigacji wzrokowej, szkoleni w lataniu na przyrządach, często nie potrafili nawet dotrzeć do walczącego miasta i mogli tylko ginąć.

Marszałek Slessor był, oczywiście, przeciwny takiemu marnowaniu samolotów i załóg, ale był Brytyjczykiem, rozumował chłodno, mógł być zbyt ostrożny. Trzeba zacytować opinie dwóch Polaków, doświadczonych pilotów, którzy sami latali nad Warszawę. Oto opinia gen. Ludomira Rayskiego, przedwojennego szefa Polskich Sił Powietrznych:

„... Załogi wracają na samolotach zupełnie postrzelanych jak sito. Nawet spadochrony są postrzelane tak, że w razie katastrofy nie można ich użyć...

... Przy operacjach nad Niemcami straty wynoszą 3-5 %, w operacjach nad Polską przewyższają 30 %...

... Załogi przysyłane ostatnio to młodzi, świeżo ukończeni lotnicy, przystosowani do lotów na przyrządy. Wszystkie loty nad Polskę wymagają doskonałej orientacji na ziemi...

... Z polskiego punktu widzenia jest to samobójcze wybijanie lotników...”.

Mjr Eugeniusz Arciuszkiewicz, dowódca eskadry 1586 w czasie powstania, przekazał swoją opinię polskiemu dowódcy bazy w Brindisi, ppłk. „Hańczy”:

„... Przy obecnym stanie opl Warszawy i dotychczasowych doświadczeniach precyzyjne zrzuty z wysokości 600-800 stóp są niewykonalne... Wysyłanie samolotów nad Warszawę w praktyce spowodzi się do stracenia maszyn i załóg bez najmniejszej gwarancji zaopatrzenia oddziałów stolicy...”.

Od 16 sierpnia do końca miesiąca Slessor utrzymał swój zakaz latania i wbrew własnemu przekonaniu zgodził się na ochotnicze loty polskich załóg, robiąc raz wyjątek dla 5 załóg brytyjskich. Polskie załogi latały 40 razy, ale tylko 3 z nich dotarły do stolicy i dokonały zrzutów, których niestety nie odebrali powstańcy. Stracono tylko 4 maszyny, ale dlatego, że latano nad Puszczę Kampinoską i Las Kabacki. Brytyjsko-afrykańskie loty docierały tylko do Puszczy i Lasu i przyniosły stratę 6 maszyn.

Dnia 1 września zaczęła się nowa pełnia księżycy i wówczas Slessor zakazał kompletnie dalszych lotów, obejmując swym zakazem także i niedobitki polskich załóg.



Niezależnie od rozkazu wydanego Slessorowi Churchill skierował także swój wzrok na Wschód. W Quebec, w sierpniu 1943 roku, podzielił wraz z Rooseveltem Europę na strefy wpływów, pozostawiając Polskę po stronie Rosji, w Teheranie, wraz z kontrahentami, potwierdził tę decyzję, ale jednocześnie uchwalił, że na zachód od Bugu Polska ma być wolna. Stalin za tym głosił, nie było więc powodu, by nie miał pomóc Warszawie. Brytyjski Premier uważał ponadto, że Polacy głównie z własnej winy nie potrafią dogadać się z Rosjanami, sam więc zdecydował zająć się ich sprawami. Dnia 12 sierpnia poszedł do Moskwy pierwszy apel Churchilla z domaganiem się pomocy dla Warszawy i wyrażenia zgody na lądowanie alianckich samolotów na sowieckich lotniskach, położonych na wschód od Warszawy, już na polskiej ziemi. W dwa dni później nastąpiła wspólna, brytyjsko-amerykańska interwencja. Dnia 16 sierpnia amerykański ambasador w Moskwie otrzymał odpowiedź odmowną a identyczna odpowiedź została wysłana przez Stalina do Churchilla. By przeciąć wszelkie wątpliwości zawierała ona uwagę, że nawet uszkodzone i z rannymi na pokładzie alianckie samoloty nie mają prawa lądowania na sowieckich lotniskach. Zachodni przywódcy powtórzyli swój apel dnia 20 sierpnia i w 2 dni później usłyszeli ponowne sowieckie „Nie!”.

Churchill po raz pierwszy stracił cierpliwość i chciał wydać rozkaz, by alianckie samoloty lądowały w razie konieczności na sowieckich lotniskach bez zgody Moskwy, ale wolał porozumieć się z Rooseveltem. Prezydent był także oburzony, ale pohamował zapalczywego Premiera. Nie chciał pogłębiać sporu, miał na Stalina swoje widoki, trwała wojna na Dalekim Wschodzie, Rosja mogła mu być potrzebna.



Niezależnie od nacisków na Brytyjczyków i lotów z Brindisi, Polacy starali się także o pomoc amerykańską, którą mogła ofiarować wielka lotnicza siła stacjonująca na brytyjskich wyspach. Już w połowie sierpnia uzyskano zgodę na lot potężnej 8-mej Powietrznej Floty wyposażonej w Latające Fortece (B-17), ale był on zupełnie niemożliwy bez sowieckiej zgody. Olbrzymie samoloty, latające tylko w dzień, musiały mieć osłonę myśliwców i możliwość lądowania po dokonaniu zrzutów. Amerykanie posiadali swą bazę pod Połtawą, o 2.500 km od Wielkiej Brytanii i tam mieliby lądować, ale każda ich operacja wymagała sowieckiej zgody. Czekano na nią a tymczasem w Londynie gorącz-

kowo szukano potrzebnego zaopatrzenia, bo miało wystartować 110 fortéc a każda zabierała po 12 stukilogramowych zasobników.

Wreszcie, po wielu naciskach, depeszach i telefonach, dnia 12 września przysłała sowiecka zgoda. Minęło jeszcze kilka dni złej pogody i ostatecznie, dnia 18 września, 110 stalowych olbrzymów podniosło się z 4-ch lotnisk w Wielkiej Brytanii. Trzy samoloty musiały zawrócić, ale reszta, eskortowana jakiś czas przez 70 myśliwców, skierowała się na południową Danię, by znad Bałtyku skierować się na południe, w stronę Warszawy. Stolica trzymała się ostatkiem sił, od 34 dni nie otrzymano z Zachodu ani jednego zrzutu i przestano się już ich spodziewać. Pojawienie się wielkiej amerykańskiej floty wywołało trudny do opisanía entuzjazm, tym większy, że o dwa dni wcześniej na Powiślu wylądowali żołnierze 1 Armii, od kilku dni miały miejsce sowieckie zrzuty i wyglądało na to, że los stolicy może być jeszcze odmieniony.

Niestety skrawki miasta, na których trzymali się jeszcze powstańcy, były tak rozrzucone i tak poprzegradzane pozycjami niemieckimi, że rezultat amerykańskiego wysiłku był znikomy. Amerykanie zrzucili swój ładunek z wysokości 5 kilometrów, rozrzut był kolosalny i do rąk powstańców trafiło zaledwie 228 zasobników na ogólną liczbę 1.284. Tylko Śródmieście i Mokotów zostały nieźle zaopatrzone, olbrzymia większość broni, amunicji, żywności i medykamentów trafiła do niemieckich rąk.

Straty amerykańskie były niewielkie: jedną fortecę zestrzelili Niemcy myśliwcy, druga rozbiła się przy lądowaniu na sowieckim lotnisku na wschód od Warszawy, zginęło 11 lotników (jeden na pokładzie samolotu, który dotarł do Połtawy).



Po 1-szym września latano jeszcze z Brindisi trzykrotnie, ale z 10 samolotów żaden nie dokonał zrzutu, który trafił do rąk powstańców. Po 63 dniach bezprzykładnie krwawych walk Warszawa musiała kapitulować.

Podsumowanie wielkiego zachodniego lotniczego wysiłku wygląda następująco:

Na 60 powstańczych nocy, od 3 sierpnia (wtedy Slessor otrzymał rozkaz lotów) do 3 października, 25 stracono z powodu złej pogody a 12 przypadło na pełnię księżyca, gdy obowiązywał zakaz beznadziejnego latania. W ciągu pozostałych 23 nocy latano w granicach maksymalnych możliwości posiadanych załóg i samolotów. Poniechanie lotów po 21 września było spowodowane wyłącznie fatalnymi warunkami atmosferycznymi.

Z włoskiej bazy startowało 196 polskich, brytyjskich i południowoafrykańskich samolotów, z tej liczby 42 dotarły do Warszawy i dokonały zrzutów. Z nich tylko 25 odebrali powstańcy, ale

by to osiągnąć, 39 maszyn musiało zginąć, poniesiono więc 90 % strat. Dalsze 43 zrzuty na Kampinos prawie w niczym nie pomogły Warszawie. Z 18 polskich załóg z eskadry 1586 tylko 2 przetrwały powstanie, 112 lotników zostało zestrzelonych, z nich 78 poległo, 28 trafiło do niewoli a 6 znalazło się w oddziałach AK. Z lotników brytyjskich i południowoafrykańskich zestrzelono 133 i tylko 7 uratowało się, trafiając do oddziałów AK. Amerykanie w wielkiej dziennej wyprawie stracili tylko 2 maszyny i 11 lotników, ale lecieli w warunkach uprzywilejowanych, z prawem lądowania po sowieckiej stronie, przy częściowej osłonie myśliwców.

Ogółem podjęto w Warszawie i w Kampinosie ponad 100 ton zaopatrzenia, w tym ponad 80 ton uzbrojenia i ponad 20 ton żywności i lekarstw. Z ilości odebranych zrzutów można wydedukować, że stolica odebrała około 60 % powyższego zaopatrzenia a Kampinos — 40.

W ówczesnym położeniu, spowodowanym wcześniejszymi decyzjami politycznymi i wojskowymi, Warszawa otrzymała prawie maksymalną pomoc, jaką mogli jej wtedy ofiarować zachodni sojusznicy. Gdyby wspólne, brytyjsko-amerykańskie decyzje przewidywały maksymalne natężenie kampanii włoskiej i marsz na północ, zamiast lądowania we Francji, zachodnie armie mogłyby znaleźć się w Austrii już na wiosnę 1944 roku. Wtedy pomoc dana Warszawie wyglądałaby inaczej, ale i całe zakończenie Drugiej Światowej Wojny przyniosłoby zupełnie inne rezultaty.

Józef GARLIŃSKI

Jan ŁUKOCZ

POWSTAŃCZE WYTWÓRNIĘ GRANATÓW

*... Brak broni i amunicji trzeba było czymś zastąpić.
Podstawową bronią powstania staje się granat...*

(Stanisław Podlewski, *Przemarsz przez piekło*, str. 206).

W czasie walk w mieście granat jest istotnie niezastąpioną bronią — pozwala atakować wroga ukrytego w budynku lub za murem oraz zaoszczędzić trudną do zdobycia (szczególnie w warunkach powstania) broń i amunicję.

Granaty były pierwszym rodzajem broni, którego produkcję podjęto w okupowanym kraju. Pierwsza partia opuściła konspi-

racyjną wytwórnę już w roku 1940. Kolejne lata przyniosły zorganizowanie i ujednolicenie „podziemnego przemysłu zbrojeniowego”. W ramach Armii Krajowej nad produkcją czuwał Wydział Produkcji Konspiracyjnej Komendy Głównej AK. W skład Wydziału wchodziły dwa ośrodki — „Cieśla” (Perkun, Drzewo), zajmujący się głównie produkcją broni palnej, „Piotr” — materiały wybuchowe oraz ośrodek „Kedywu” (Kierownictwo Dywersji), wytwarzający przede wszystkim środki dywersji. Przez cały okres okupacji w warszawskich wytwórniach powstało 115 tysięcy granatów. Była to liczba wystarczająca do podjęcia walk w Warszawie. Jednakże 2 lipca 1944 — na niecały miesiąc przed wybuchem powstania — Niemcy wykryli wytwórnę i skład „sidolówek” na Mokotowie — tzw. punkt „P” na ul. Narusze-wicza. Stracono wtedy 78 tysięcy granatów R-42 i 170 miotaczy płomieni. W tej sytuacji podjęcie produkcji granatów stało się w Powstaniu Warszawskim sprawą życia i śmierci.

Produkcję granatów opierano w Powstaniu głównie na małych warsztatach rzemieślniczych — ślusarskich, mechanicznych, hydraulicznych, małych fabryczkach. Część z nich pracowała dla potrzeb AK jeszcze w okresie konspiracji. Najwięcej warsztatów i maszyn znajdowało się na terenie Starego Miasta i Śródmieścia, gorzej wyglądała sytuacja na Mokotowie i Żoliborzu. Powstańcom żoliborskim granaty dostarczyli... Niemcy. 16. VIII żołnierze „Żniwiarza” zdobyli niemiecki samochód ciężarowy z czterema tysiącami granatów. W Śródmieściu aż do końca sierpnia funkcjonowała elektrownia. Tam też znalazła się większość kadry z „Cieśli” i „Kedywu”. Wola i Ochota walczyły zbyt krótko, aby podjęto tam produkcję bardziej skomplikowanej broni niż butelki z benzyną.

Poszczególne dzielnice wytwarzały broń samodzielnie, nie miały kontaktu z zakładami w innych, odciętych częściach miasta. Jednakże działając w podobnych warunkach rozwiązywały swoje problemy techniczne w ten sam sposób: granaty z rur wodociągowych wynaleziono równocześnie w Śródmieściu i na Starówce, woreczkowe w Śródmieściu i na Czerniakowie, natomiast próby skonstruowania wyrzutni granatów i butelek z benzyną podjęto w prawie wszystkich dzielnicach.

Cały „przemysł zbrojeniowy” powstania stopniowo ujmowano w ścisłe ramy organizacyjne — początkowo zaczęto to robić w poszczególnych dzielnicach — kpt. „Marek” (Franciszek Pogonowski) został 11. VIII mianowany szefem uzbrojenia broniącej Starówki Grupy Północ, podobną funkcję objął w Śródmieściu „Ryszard” (Witold Gokieli). 20. VIII rozkazem gen. „Bora”

komendantem Parku Saperów (wszystkie działy produkcji) został kpt. „Antek” (inż. Witold Kwiatkowski), całą produkcję granatów podporządkowano ppłkowi „Teodorowi” (Franciszek Niepokólczycki).

Niestety informacje o powstańczych wytwórniach granatów są bardzo niepełne. Zwykły żołnierz nie miał bezpośredniego kontaktu z zakładem, gotowy produkt — granaty lub butelki — pobierano z magazynu kwatermistrzostwa. Wytwórnie były zakonspirowane także w czasie powstania — każdy ujawniony zakład był narażony na ostrzelanie lub zbombardowanie. Postaram się jednak możliwie najdokładniej przedstawić wytwórnie granatów walczącej Warszawy.

Stare miasto...

Rozpoczęcie produkcji granatów na Starówce było stosunkowo proste, gdyż istniał magazyn „Leśnictwa” (Służba Uzbrojenia) na ul. Świętojskiej 16. Już w pierwszych dniach powstania (2-3 sierpnia) uruchomiono wytwórnię w gmachu Sądów na Lesznie, gdzie znajdowała się kwatera Zgrupowania „Leśnik” (Stanisław Szypowski). Kierownikiem grupy specjalnej mającej zająć się produkcją został kpt. „Marek”, a jego zastępcą „Trzaska” (inż. Józef Michałowski). Materiały służące do montażu przywieziono z magazynu „Leśnictwa” na Świętojskiej 16 — 100 kg plastyku, 200 kg szedytu (materiał wybuchowy produkcji konspiracyjnej), zapalniki, parę tysięcy skorup „sidolówek”, spłonki pobudzające i lont Bickorda. Do 6 sierpnia wykonano kilkaset sztuk granatów, w tym sto ładowanych plastykiem (silny materiał wybuchowy produkcji angielskiej). Zostały one zużyte w walkach na Starówce i Muranowie. W pamiętniku Bronisława Trońskiego „Tędy przeszła śmierć” znajdujemy na stronie 37 opis tej wytwórni: „...zajrzałem jeszcze do sutereny, gdzie robiono granaty, tak zwane sidolówki. Dziewczeta siedziały na drewnianych skrzynkach i wypychały patyczkami trotyl (szedyt p.m.) do małych blaszanych puszek po sidolu. Wypełnione sidolówki podawały mężczyźnie, który przymocowywał do nich zapalniki...”.

7 sierpnia Zgrupowanie „Leśnik” opuściło gmach Sądów; grupa specjalna kpt. „Marka” przeniosła się na ul. Świętojską 16 (możliwe, że i tam wyrabiano granaty, nie jest to jednak pewne). 10 sierpnia zgłosił się do „Leśnika” por. „Wiktor” (Jerzy Konopczyński) ze 104 kompanii Związku Syndykalistów Polskich z prośbą o pomoc przy produkcji granatów, podjętą

przez nich na Świętojskiej 6. Za udział w gotowym produkcie kpt. „Marek” zobowiązał się dostarczyć im fachową pomoc i niektóre części składowe — np. zapalniki. Warto opisać powstańczą fabrykę granatów, jaką bez wątpienia była wytwórnia przy Świętojskiej 6. Na piętrze przygotowywano skorupy — na kilku tokarniach cięto na odcinki rury wodociągowe. Do tak przygotowanych tulei dospawywano denka, pokrywki z otworami na zapalnik były dokręcane. Kpt. „Marek” polecił ponacinać rurki na obwodzie, co polepszyło fragmentaryzację (podział na odłamki) granatu. Na parterze mieścił się warsztat elaboracyjny prowadzony przez zawodowego chemika sierż. „Winiaka” (inż. Hipolit Piwnik). Kilkuosobowa załoga napełniała materiałem wybuchowym (chloranem potasu) skorupy. Już pierwszego dnia produkcji wytwórnię opuściły 233 sztuki broni. Aby nie wypuszczać „bubli”, kpt. „Marek” rozkazał z każdej partii stu pocisków sprawdzać przynajmniej jeden. Kłopoty zaczęły się w połowie sierpnia, kiedy to w magazynach zaczęły wybuchać granaty. Okazało się, że przyczyną tego było samozapalenie niedokładnie oczyszczonego chloranu potasu. Postanowiono zmienić materiał wybuchowy w granatach i do produkcji ich zaczęto używać trotylu z rozbrojonych niewypałów i „goliatów”. Tym samym zwiększyło się i tak już ogromne niebezpieczeństwo — ludzie sierż. „Winiaka” rozbierali miny i bomby zwykłymi śrubokrętami. Wydobyty trotyl był następnie rozgniatany na proszek wałkami lub grubymi butelkami, a potem ubijano go w granatach. Dużą ilość materiału wybuchowego przysłał „Leśnik” z własnoręcznie rozbrojonych „goliatów” (samobieżne miny niemieckie, sterowane za pomocą kabla), dzięki czemu wystarczyło go do produkcji aż do końca walk na Starym Mieście. Około 20 sierpnia ostrzelano hale targowe na Świętojskiej 6, gdzie mieściła się wytwórnia. Trzeba było produkcję przenieść na ulicę Nowomiejską. Nie było tu już maszyn, rury wodociągowe na skorupy cięto w kilku małych warsztatach rozrzuconych po całej Starówce. Podstawowymi narzędziami stały się imadła i piłki. Skorupy spawano później na ul. Długiej. Produkcja na Nowomiejskiej trwała tylko trzy dni; na dalszą działalność nie zgadzali się mieszkańcy domu. Franciszek Pogonowski pisał o tym tak: „... Już samo zdekonspirowanie było dostatecznym powodem, aby zmienić miejsce naszego punktu elaboracyjnego...” (F.P., „Podziemna zbrojownia”, str. 154). Warsztat przeniesiono na Świętojską 16 — do tego samego domu, w którym znajdował się magazyn „Leśnictwa”. Kolejny problem powstał, gdy w magazynie zabrakło gotowych zapalników P-42. Postanowiono powodować wybuch lontem Bick-

forda ze spłonką tarcową (przed rzutem należało ją potrzeć o coś szorstkiego). Kiedy zabrakło i tych spłonek, lont zapalano zwitkiem taśmy fotograficznej, który przedtem należało podpalić zapalką.

Stanisław Komornicki opisał w swoim pamiętniku, jak używano tego typu granatu: „...Granat taki był prymitywny: po prostu kawałek rury gazowej, do której końców przyspawano dwa krążki. Przez otwór w górnym krążku sterczał kawałek lontu zaopatrzony w sporą główkę z diarki. Wewnątrz znajdowała się spłonka i trotyl, który Wiktor zdobywał, rozkręcając niemieckie niewypały. Przed użyciem należało potrzeć siarkową główką o ścianę lub o draskę pudełka zapalek, odczekać chwilę, aż płomień zniknie we wnętrzu — i rzucić. Wiedziałem, że w sąsiednim domu są Niemcy. Postanowiłem wypróbować nasze granaty. (...) Potarłem granat o ścianę, lecz siarkowa główka nie zapaliła się. Potarłem drugi raz — bez skutku. Potarłem o pudełko zapalek — nic. Najwidoczniej siarka zwilgotniała. Zapaliłem więc zapalkę, a dopiero od niej lont. Gdy płomień zniknął we wnętrzu, rzuciłem. Nie trafiłem jednak w okno sąsiedniej kamieniczki. Granat odbił się od ściany i upadł na placyk. (...) Wybuch nie następował. Wyrząłem. Granat leżał na jezdni i dymił niczym śmierdziel z klisz (...). Wreszcie nastąpiła eksplozja. Po ścianach zabębniły odłamki...” (S.K., „Na barykadach Warszawy”, str. 139).

27 sierpnia przerwano w zakładzie na Świętojerskiej produkcję granatów i wyprodukowano na zamówienie majora „Juliusza” (dowódca saperów Jerzy Hryniewicz) trzydzieści przeciwpancernych min naciskowych. Zostały one użyte dla udaremnienia skrzydłowego uderzenia niemieckich czołgów w czasie przebijania się oddziałów Starówki do Śródmieścia. Potem powrócono do fabrykacji granatów. Były to już jednak ostatnie dni. 30 sierpnia wieczorem wezwano kpt. „Marka” do sztabu, gdzie ppłk „Florjan” (szef sztabu Jan Lamers) wydał rozkaz zaprzestania produkcji, zwolnienia ludzi i ukrycia materiałów. Rozkaz został wykonany następnego dnia — warsztaty zakończyły pracę, „Marek” z por. „Szarym” (Marian Gorzkowski) ukryli pozostałe materiały w tajnym magazynie. 3 września zakończyła się ewakuacja załogi wytwórni do Śródmieścia.

Śródmieście...

Sytuacja „przemysłu wojennego” była w Śródmieściu dużo

lepsza niż na Starówce. Przebywali tutaj kierownicy podziemnej produkcji — major „Podoski” (inż. Stefan Orlewicz) z „Leśnictwa”, „Jaworski” (Janusz Tymowski) i „Rafał” (Franciszek Przeździecki) z „Cieśli” oraz jej szef — „Ryszard” (Witold Gokieli), „Teodor” (Franciszek Niepokólczycki) i major „Piotr” (Przemysław Krackiewicz) z ośrodków „Kedywu”. Na terenie tej dzielnicy znajdowało się dużo warsztatów i fabryczek, co umożliwiło podjęcie produkcji na szeroką skalę. W Śródmieściu udało się nawet wyprodukować piorunian rtęci i spłonki pobudzające w ilości zupełnie wystarczającej na pokrycie zapotrzebowania (w zakładzie „Podoskiego” na Hożej).

Jednym z największych warsztatów produkujących granaty był zakład na Hożej 51; z inicjatywy oficera technicznego VII Obwodu — „Spawacza” (inż. A. Kiciński) wytwarzanie broni zaczęto już 1 sierpnia. Fabryczka na Hożej 51 powstała w oparciu o dział mechaniczny Związku Mleczarsko-Jajczarskiego (tzw. „Jajczarni”), pracujący dla potrzeb konspiracji już od 1942 roku. Działalność tego ośrodka w czasie powstania była szeroka — naprawy broni, wyrób granatów, butelek zapalających, granatników. Szefem warsztatu a zarazem kierownikiem wytwórni granatów był kpt. „Mechanik” (przypuszczalnie Tadeusz Gwiazdecki). Początkowo robiono granaty z posiadanego niewielkiego zapasu plastyku, a po jego wyczerpaniu z szedytu, lub chloranu potasu. Kiedy zabrakło i tych materiałów, podjęto produkcję prochu czarnego. Saletrę brano z fabryki Ulrycha na ul. Ceglanej, siarkę z Czerniakowa. Jako skorup używano podobnie jak na Starówce odcinków rur gazowych. Gdy nie było już prądu lub acetyleny do cięcia rur, zaczęto powłoki odlewać (w odlewni Braci Łopieńskich) z cynku zerwanego z dachów. Zapalnikami były lonty Bickforda ze spłonkami ciernymi. Na początku września major Eugeniusz (NN) zastąpił je rurkami z kwasem, które przed rzutem wkładano do granatu. Rurki pochodziły z wytwórni szkła p. Obojskiego na ul. Emilii Plater 10. Ogółem zakład na Hożej 51 opuściło około 12 tysięcy granatów. Pociski ładowane chloranem potasu lub prochem robiły powstańcom rozmaite niespodzianki, wielu żołnierzy odnosiło się do nich nieufnie. Tak pisze o powstańczych granatach Stefan Tomaszewski: „... granat taki był nieobliczalny, nawet w stosunku do właściciela. Na przykład Jaśkowi jego własny granat rozerwał się prawie pod nogami, dostał odłamkiem w kolano, ale od tego uderzenia nie został mu nawet siniak...” (S.T., „Zbrojne dzieciństwo”, str. 135).

Z relacji inż. Michała Mazurkiewicza pseudonim „Antek” wiemy o warsztatach kierowanych przez dowódcę zespołów sabo-

tażowych „Kedywu”, działających w Ursusie i innych zakładach przemysłowych — kpt./mjr. „Piotra” (Przemysław Krackiewicz). Z jego inicjatywy w rejonie ulic Hożej, Wspólnej i Kruczej uruchomiono kilka zakładów produkujących granaty. Dwa zespoły liczące po 8-10 ludzi (dowodzone przez Michała Mazurkiewicza „Antka” i Kręglewskiego) zbierały na ulicach Śródmieścia cynk z zerwanych rynien i dachów. Metal był później przetwarzany na skorupy w kilku małych odlewniach. Wykańczanie powłok odbywało się na tokarniach w zakładzie przypuszczalnie na Kruczej 9. Nieznane jest miejsce produkcji — można jedynie przypuszczać, że był nim któryś z warsztatów na ul. Kruczej — 7 i 11. Nie wiadomo, czy warsztat produkujący granaty na Kruczej 13 (w budynku zajęтым przez Korpus Bezpieczeństwa) był podporządkowany Krackiewiczowi. Możliwe, że ta wytwórnia była prowadzona przez Pluton Dywersji Bojowej „Rygiel” (dow. Kazimierz Pogorzelski). Warsztat tego oddziału przeniósł się później do gmachu *Arbeitsamt*’u na ul. Kredytowej 1 (obecnie Państwowe Muzeum Etnograficzne).

Duży ośrodek produkcyjny granatów powstał z inicjatywy inspektora odcinek „Chrobry II” majora Emila Kumera pseud. „Krzyś”. Fachową pomoc i 25 tysięcy spłonek zaofiarowali oficerowie „Kedywu” — mjr „Eugeniusz” i kpt. „Antek” (Witold Kwiatkowski). Całą produkcję rozbito na poszczególne działy. Zapalniki odlewano w fabryce „Skoda” na ul. Żłotej 58. Zamiast skorup użyto woreczków z mocnego drelichu, pochodzącego z niemieckich składów na Siennej. Szyte przez grupę kobiet woreczki były napełniane odłamkami żelaza zbieranymi przez mieszkańców Żłotej i Sosnowej. Jako materiału wybuchowego użyto trotylu z niewypałów. Materiał z jednej 250-ciokilogramowej bomby starczał na ponad 1000 granatów. Produkcja odbywała się w gmachu gimnazjum na ulicy Siennej — pracowała tam grupa chemików pod kierownictwem kpt. „Antka”. Po kilku dniach wytwórnię opuściła pierwsza partia osiemsetgramowych granatów, okazały się jednak za ciężkie dla młodych żołnierzy, kolejne ważyły już po 500 gramów. Szybko nadeszły informacje o działaniu broni — por. „Lech Grzybowski” jednym pociskiem zlikwidował siedmiosobowy niemiecki patrol. Niezakończona praca wytwórni trwała do połowy września, kiedy Niemcy zbombardowali odlewnię. Jedna z bomb trafiła w piec z roztopionym metalem, parząc śmiertelnie czterech odlewników. W tym momencie posiadano już jednak zapas 30 tysięcy gotowych zapalników. Montaż został przeniesiony do magazynów firmy księgarskiej Gebethnera i Wolffa na ul. Zgoda 12. Po zbombardowaniu i tego miejsca

warsztat produkcyjny znalazł nową siedzibę na ul. Mokotowskiej (przypuszczalnie pod numerem 53), gdzie pracował do końca powstania. Ogółem ośrodek prowadzony przez majora Kumora „Krzysia” wyprodukował 20 tysięcy granatów. Za swoją pracę cała załoga wytwórni została w końcu września odznaczona przez gen. „Montera” (Antoni Chruściel) Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Na terenie Śródmieścia granaty produkowano także w warsztacie rusznikarskim por. „Steba” (inż. Stefan Berent) na ul. Boduena 2 (Sienkiewicza 1).

Mokotów...

I tutaj mimo niesprzyjających warunków (brak magazynów, niewielka liczba warsztatów) rozwinęła się produkcja granatów. Najwięcej zakładów (aż 3) znajdowało się na ul. Wiktorskiej i w jej najbliższych okolicach. W zakładzie mechanicznym na Wiktorskiej 5 rozpoczęto produkcję pod kierownictwem „Kazimierza” (Kazimierz Pietrzak). Podobną placówkę otwarto po sąsiedzku — w fabryce Kamlera pod numerem 7. Granaty z trotylu robił kpt. „Czapik” (Jerzy Czapek) początkowo w wytwórni na Krasickiego, a potem na rogu Wiktorskiej i Bałuckiego. W zakładzie tym pracowało około dziesięciu ludzi. Od samego początku powstania produkowano granaty w warsztacie na Czerniakowskiej 160. Ryszard Czugajewski pisał w swoim pamiętniku o tym zakładzie: „... Pracują bez przerwy, o ile pozwalają na to warunki bojowe — Niemcy bowiem nękali teren warsztatów nieustannie, w dzień i w nocy, ogniem dział kolejowych i ryczących 'krów'. Mimo to por. 'Śmigły' (Fabian Pałaszewski), ppor. 'Głaz' (Eugeniusz Kamiński), strz. Marian Janikowski, strz. Ryszard Nejman i inni nie opuszczają stanowisk pracy, rozbrajają niewypały i produkują powstańcze granaty, 'sidolki', 'filipinki' i inne według własnych pomysłów. (R.C., „Na barykadach, w kanałach i gruzach Czerniakowa”, str. 30-31). W połowie września warsztaty te były już rozbite.



Stanisław Płoski w artykule „Tysiąc karabinów” (*Robotnik* nr 209/1946) ocenia powstańczą produkcję granatów na 32 tysiące sztuk. Adam Borkiewicz w „Powstaniu Warszawskim” na 43. Obie te liczby wydają się jednak zaniżone. Obaj historycy

biorą pod uwagę jedynie niektóre wytwórnie śródmiejskie i jedną staromiejską (na ul. Świętojerskiej), pomijają natomiast inne warsztaty tych dzielnic oraz zakłady mokotowskie i żoliborskie. Przypuszczam, że podczas Powstania Warszawskiego wyprodukowano co najmniej 50 tysięcy granatów.

Ilość wyprodukowanych sztuk broni nic nam nie mówi o trudzie inżynierów, techników i zwykłych robotników, pracujących w ciągłym zagrożeniu życia. Pracowników powstańczych wytwórni Stanisław Podlewski nazwał „ludźmi na beczce prochu”. Jest to dla mnie określenie zbyt łagodne. Nieznana jest liczba ofiar, jakie poniosły załogi powstańczych fabryczek granatów, wiemy natomiast jedno — że na prawie wszystkie zakłady spadły niemieckie bomby, że wszędzie ginęli ludzie. Nie załamywało to jednak powstańców. Gdy zniszczono jeden zakład — błyskawicznie otwierano drugi, gdy zabrakło szedytu, rozbrajano niewypały, kiedy odcięto dopływ prądu i nie działały maszyny, zawsze pozostawały imadła, pilniki i piłki.

Trzeba pochylić głowę przed załogami powstańczych wytwórni — to w dużej mierze dzięki nim Warszawa walczyła aż 63 dni.

Jan ŁUKOCZ

DOKUMENTY

SPRAWA GRZEGORZA PRZEMYKA

Była to jedna z największych manifestacji Warszawy od czasu ogłoszenia stanu wojennego, a tym niezwykła, że milicja nie odważyła się interweniować, choć akcja była wymierzona przeciw niej. Około 20 tys. ludzi stało pod kościołem św. Stanisława Kostki, a potem szło zwolna w kierunku cmentarza na Powązkach, drugie tyle czekało na cmentarzu. Niewielu znało denata, prócz kolegów w uroczystych strojach z szarfami szkoły, do której uczęszczał Grzegorz Przymyk. Liczniejsi znali, a przynajmniej słyszeli o Jego matce, Barbarze Sadowskiej, poetce współpracującej z Prymasowskim Komitetem Pomocy Uwięzionym i Ich Rodzinom przy kościele św. Marcina, ale wszyscy znali milicję, którą obciążali odpowiedzialnością za tę śmierć.

Jest maj 1983 roku. W dniu 1 maja z okazji robotniczego święta, a w dniu 3 maja dla uczczenia rocznicy Konstytucji odbyły się manifestacje, których ośrodkiem było tradycyjnie już Stare Miasto. W oba te dni Starówka i okolice, w szczególności Plac Zamkowy i uliczki przyległe do Krakowskiego Przedmieścia, roiły się od niebieskich mundurów milicji i zatłoczone były pojazdami bojowymi i „sukami”. Tym terminem, zapożyczonym z gwary przestępczej, warszawska ulica nazywa karetki do przewożenia zatrzymanych. A zatrzymanych było wielu i prawie każdy z nich doznał na sobie brutalności milicji. Było powszechnie wiadome, że milicja bije zarówno w sukach jak i w komisariatach. Stan

wojenny jest zawieszony, ale ustawodawstwo specjalne obowiązuje. Demonstrować nie wolno, każdy jednak jakoś chce wyrazić swoje pragnienie przywrócenia podmiotowości narodowi. W kościołach odbywają się msze w różnych intencjach. W czwartek 12 maja 1983 roku przypadają dwie rocznice: pierwsza to rejestracja NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych i z tej okazji odbyła się w katedrze msza św. o godz. 16-tej, druga to rocznica śmierci Marszałka Piłsudskiego, msza św. też w katedrze jest zapowiedziana na godz. 18-tą. Plac Zamkowy i okolice Starego Miasta są pełne milicjantów umundurowanych i, prawdopodobnie, nieumundurowanych. XVIII Komisariat MO na ulicy Jezuickiej ma zapewne pełne ręce roboty, są w nim prócz stałego personelu również oddziały specjalne. Ale życie toczy się również normalnie, w szczególności, tak jak zawsze na wiosnę młodzież zdaje maturę. I oto na Plac Zamkowy po godz. 17-tej wchodzi czterech młodych ludzi. Jednym z nich jest Grzegorz Przymek. Wszyscy są na stanowiskach, tragedia zaczyna się, choć nikt o tym jeszcze nie wie. Czy nikt? Można się tylko domyślać.

Chronologia

Kolejność wypadków nie jest wątpliwa, dokładne ustalenie czasu trudniejsze i powinno być przedmiotem dociekań Sądu.

12 maja 1983 roku w południe czterech kolegów: Grzegorz Przymek, Cezary Filozof, Jakub Kotański i Igor Bieliński, z których trzech poprzedniego dnia napisało pisemne zadania maturalne, spotyka się w domu przy ulicy Hibnera, gdzie Grzegorz Przymek mieszka z matką. Wspólnie wypijają 2 butelki wina, być może trochę piwa, a około 15-tej postanawiają pójść na spacer na Stare Miasto. Igor Bieliński rezygnuje z tego projektu, natomiast do pozostałych dołącza spotkany przed domem inny kolega — Piotr Kadłcik. Na Starówce spacerują, rozmawiają, żartują, nie robią niczego, co by utkwilo w ich pamięci. Wracając do domu przez Plac Zamkowy Grzegorz Przymek żartuje, że jest zmęczony, a koledzy ofiarowują się zanieść go do domu. Grzegorz Przymek zarzuca ręce na plecy C. Filozofa, a ten udaje, że go niesie. Uduje, gdyż Grzegorz Przymek jest dużo większy od kolegi. Przewracają się. Na placu stoi radiowóz i odbiera raport od patrolu w składzie I. Kościuk i B. Bielec. Stare miasto jest gęsto obstawione. Do chłopców podbiega zomowiec B. Bielec, w chwilę później podjeżdża radiowóz. Grzegorz Przymek nie chce pokazać dowodu osobistego, C. Filozof pokazuje swój, po-

zostałych chłopców nikt o nic nie pyta. O godz. 15.40 milicjanci zabierają Grzegorza Przemyka do radiowozu, C. Filozof dołącza z własnej woli. Tu powstaje pierwsza kwestia do wyjaśnienia: czy Grzegorz Przymek opierał się przy wsiadaniu do radiowozu i został uderzony przez I. Kościuka pałką po plecach — jak zeznają funkcjonariusze, czy też wsiadł bez oporu i nic się nie stało — jak zeznają koledzy.

Po przybyciu do Komisariatu na Jezuickiej obaj chłopcy zostają wprowadzeni na korytarz. Grzegorz Przymek dalej nie chce okazać dowodu, tłumacząc, że stan wojenny został zawieszony i nie ma obowiązku mieć go przy sobie. Co stało się dalej, czego świadkami byli C. Filozof i funkcjonariusze? Ich wersje są diametralnie różne, a wyświetlenie tej zasadniczej kwestii było obowiązkiem organów prokuratorskich i sądu.

O godz. 17.56 zostaje wezwana karetka pogotowia, która przyjeżdża mniej więcej po 10 minutach w składzie: kierowca M. Wysocki i sanitariusz J. Szyzdek. Jest to tzw. zespół interwencyjny, w którego składzie nie ma lekarza. Zastają Grzegorza Przemyka siedzącego na krześle, bardzo spoconego. Nie chce odpowiadać na zadawane pytania. C. Filozof stoi obok i jest agresywny. J. Szyzdek dowiadyuje się od dyżurnego o powodach zatrzymania chłopców. Wobec sugestii, że może jest to narkoman sprawdza, czy nie widać śladów nakłuć na rękach, bada go pobieżnie, nie znajduje śladów obrażeń i zabiera na konsultację psychiatryczną do stacji Pogotowia Ratunkowego przy ulicy Hożej. M. Wysocki wyprowadza Grzegorza Przemyka do karetki. J. Szyzdek pozostaje chwilę w Komisariacie. Zwolniony przez milicję C. Filozof prosi sanitariuszy o zabranie go do karetki, ale ci odmawiają. Grzegorz Przymek zostaje posadzony z tyłu na krześle, koło noszy, sanitariusz siada z przodu obok kierowcy. W trakcie jazdy na ulicy Poznańskiej Grzegorz Przymek zachowuje się agresywnie i zostaje wobec niego użyta siła, co odnotowano w karcie wyjazdowej karetki. Co się stało w karetce, jest w późniejszej fazie śledztwa przedmiotem różnicy w zeznaniach obu członków tego zespołu. Na dziedzińcu Pogotowia Grzegorz Przymek nie jest w stanie wyjść z karetki o własnych siłach. Zostaje z niej wyprowadzony i na schodach budynku następuje znowu drobny incydent, różnie przez różnych świadków opisywany. Na parterze J. Szyzdek idzie sprowadzić windę, a Grzegorz Przymek pozostawiony z M. Wysockim upada. Co się stało w ciągu niespełna 30 sekund pod drzwiami windy, a czego świadkami byli tylko J. Szyzdek i M. Wysocki, to dalsza zasadnicza

kwestia wymagająca wyjaśnienia. Grzegorz Przemyk zostaje wprowadzony czy wciągnięty do windy i posadzony na podłodze. Ile osób jechało windą i co się w niej działo — to dalsze pytania. Nieprzytomnego Grzegorza Przemyka sanitariusze wynoszą z windy i kładą na podłodze pod zamkniętymi drzwiami gabinetu lekarskiego i wtedy z kieszeni wypada mu dowód osobisty. Przychodzi lekarz P. Willmann. Grzegorz Przemyk zostaje wniesiony do gabinetu, załoga karetki informuje lekarza o powodach zatrzymania pacjenta przez milicję na Placu Zamkowym, jego zachowaniu się w Komisariacie i o incydencie w karetce. Pojawia się także C. Filozof, który opowiada lekarzowi o zdawaniu matury, o wypiciu wina, prosi, by zwolnił kolegę oraz informuje lub nie informuje — to następna niejasna kwestia — o pobiciu Grzegorza Przemyka na Komisariacie. P. Willmann nie może nawiązać kontaktu słownego z chorym, bada go nie rozbierając, nie znajduje żadnych śladów obrażeń, stawia diagnozę upojenia patologicznego ze znakiem zapytania i kieruje na obserwację do szpitala psychiatrycznego na ulicę Nowowiejską. Obecni w gabinecie dyżurni sanitariusze wraz z C. Filozofem zabierają Grzegorza Przemyka na wózek na parter budynku. Po drodze C. Filozof prowadzi Grzegorza Przemyka do toalety, namawia go do ucieczki, Grzegorz Przemyk robi krok i upada. Przychodzi B. Sadowska, która nie zgadza się na przewiezienie syna do szpitala psychiatrycznego i podpisując odpowiednie oświadczenie zabiera go inną karetką do domu. B. Sadowska mówi P. Willmannowi o pobiciu syna. W domu po jakimś czasie Grzegorz Przemyk odzyskuje przytomność, bierze kąpiel i zasypia. W nocy stan jego się pogarsza. Rano matka wzywa znowu Pogotowie. O godz. 8.05 przyjeżdża lekarz B. Jasicki, wezwany do przypadku „bóli brzucha”. Bada chorego, znajduje podstawowe parametry w normie, nie widzi śladów obrażeń, podaje choremu zastrzyk znieczulająco-rozkurczowy, poleca uważną obserwację i wezwanie w razie potrzeby następnego lekarza. Zostaje poinformowany przez domowników o pobiciu Grzegorza Przemyka na Komisariacie. Stan chorego pogarsza się dalej. Matka wzywa lekarza z przychodni rejonowej. Około 17.30 przychodzi lekarz A. Dunaj, znajduje Grzegorza Przemyka w stanie krytycznym, diagnozuje pęknięcie wątroby i zapalenie otrzewnej, poleca natychmiastową hospitalizację. Karetka przewozi Grzegorza Przemyka do szpitala na Solcu, gdzie lekarze próbują wyprowadzić go ze wstrząsu pourazowego. Nie przynosi to większych rezultatów i decydują się na operację. Operujący chirurg po otwarciu jamy brzusznej stwierdza, że nie widział nigdy przypadku takich zniszczeń wewnętrznych. Dnia

14 maja 1983 roku o godz. 13.15 Grzegorz Przymyk zostaje uznany za zmarłego.

Kto i gdzie zadał mu śmiertelne obrażenia? Teoretycznie są dwie możliwości: Komisariat i Pogotowie.

Kim są osoby tego dramatu?

Grzegorz Przymyk, lat 19, maturzysta Liceum im. Frycza Modrzewskiego, wysoki, ok. 190 cm. Z fotografii publikowanych po jego śmierci w niezależnej prasie spogląda na nas twarzą przewrażliwionego dziecka. Wychowany w rozbitej rodzinie przez matkę intelektualistkę i babkę, jest dzieckiem niekiedy trudnym. Miał kontakt ze środkami odurzającymi w dzieciństwie (butapren), a niedawno, gdy dostał wezwanie na komisję wojskową, przed maturą i w czasie, który otoczeniu wydawał się niezwykłym, został skierowany przez matkę do poradni zdrowia psychicznego. O tym wszystkim będzie się mówiło podczas procesu. Uczy się jednak dobrze, jest miły i koleżeński. Śmierć jego jest szokiem dla całej szkoły. Celuje w przedmiotach humanistycznych, pisze wiersze i ballady. Po jego śmierci wyjdzie tomik wierszy: „Syn czy sen”. Dziwny asonans i prorocze skojarzenie.

Barbara Sadowska, lat 42, matka Grzegorza Przymyka, po krótkotrwałym małżeństwie osoba samotnie wychowująca jedynego syna. Mieszka z nim w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Hibnera. Jest poetką i członkiem ZLP. Jej tragiczna twarz będzie się kilkakrotnie pokazywać na ekranach telewizorów, ale zawsze bez jednoznacznej identyfikacji. Po wprowadzeniu stanu wojennego współpracownica Prymasowskiego Komitetu Pomocy Uwięzionym i Ich Rodzinom, działającego w klasztorze Sióstr Franciszkanek przy kościele św. Marcina na ulicy Piwnej. W marcu 1982 roku B. Sadowska zostaje aresztowana pod zarzutem nielegalnej działalności. Ze względu na zły stan zdrowia, po interwencjach, zostaje zwolniona, a postępowanie przeciw niej umorzone. W dniu 3 maja 1983 roku (w czasie demonstracji na Starówce) jest obecna na Piwnej podczas ataku na klasztor nieumundurowanych funkcjonariuszy SB i zostaje, wraz z kilkoma innymi osobami, pobita. Pobicie okazało się na szczęście niegroźne, a mogło być, gdyż B. Sadowska przechodziła kilka operacji czaszki. Ostatnia operacja w Szwecji uratowała jej życie, lecz nie przywróciła w pełni zdrowia.

XVIII Komisariat MO. Mało wiadomo, kto przebywał na Komisariacie w czasie omawianych zdarzeń. Było tam zapewne sporo funkcjonariuszy, zarówno zatrudnionych na miejscu, jak też przybyłych dla przeprowadzenia zadań doraźnych. Świadkowie będą mówić na procesie o wychodzeniu z Komisariatu grupy milicjantów, ale różnorodność obecnych wynika również ze składu powołanych świadków. Zeznawać będzie kpt. Roman Gembarowski, zatrudniony w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych przy ul. Nowolipie 2 (Pałac Mostowskich) i kpt. Konstanty Machnowski, komendant XVIII Komisariatu. Prócz nich występują bądź funkcjonariusze z XVIII Komisariatu, bądź ze Zmilitaryzowanego Obwodu Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych przy ul. Stalingradzkiej 3/5; są to popularnie zwani ZOMO-wcy. Niektórzy z nich w akcie oskarżenia występują pod adresami prywatnymi, trudno więc ustalić ich przynależność służbową. Sąd zaś identyfikuje świadków grupowo, ich dane wymykają się więc obserwatorom. Jako pracownicy Komisariatu występują: Konstanty Machnowski, Grzegorz Poręcki, Jan Wit-Jabłoński, Tomasz Częścik, Józef Cegliński, Krzysztof Foks. ZOMO-wcami są: Bogusław Bielec, Krzysztof Dalmata i Piotr Jarmułowicz. Wreszcie mamy oskarżonych: Ireneusz Kościuk, w chwili wydarzeń odbywający zasadniczą służbę wojskową w ZOMO, obecnie funkcjonariusz SUSW, i Arkadiusz Denkwicz, st. sierżant MO, tego dnia dyżurny w Komisariacie, obecnie także zatrudniony w SUSW. Niestety tylko tyle wiadomo. Milicja niechętnie mówi o swoich sprawach i z reguły nie dostarcza danych o swych funkcjonariuszach. Ta sprawa nie była wyjątkiem.

Koledzy Grzegorza Przemyka. Grzegorz Przemyk w chwili zatrzymania nie był sam, byli z nim jego koledzy. Wystąpią oni jako świadkowie w tym procesie. C. Filozof przebywał wraz z Grzegorzem Przemykiem na Komisariacie. J. Kotański dobiegł tam sam, stał pod bramą, a także wszedł na korytarz. Piotr Kadłcik pobiegł zawiadomić matkę. Szczególnie ważne będą zeznania dwóch pierwszych, jako jedynych nie mundurowych świadków zająć na Komisariacie. Kim są ci świadkowie? Cezary Filozof, lat 25, mieszka w Radomiu, gdzie pracuje w prywatnej pralni swojej matki. Człowiek skomplikowany, uciekał z domu, był leczony psychiatrycznie. Wielbiciel poezji, z tej racji poznał B. Sadowską w 1978 roku, a później zaprzyjaźnił się z jej synem. Jakub Kotański, lat 20, obecnie student anglistyki na UW, przyjaciel Grzegorza Przemyka od szkoły pod-

stawowej. Cierpi na nerwicę i od roku 1982 do maja 1983 roku przebywał w Specjalistycznym Neuropsychiatrycznym Zespole Opieki Zdrowotnej dla Dzieci i Młodzieży w Zagórzcu.

Należy z podziwem odnotować pomoc niesioną Grzegorzowi Przemykowi przez kolegów w tych tragicznych dla niego chwilach. Byli na Komisariacie, pobiegli na Pogotowie, szukali matki. Nic więc dziwnego, że po śmierci Grzegorza Przemyka nastąpiło u nich pewne załamanie, które w czasie procesu będzie wyzyskane dla odebrania ich zeznaniom wiarygodności. C. Filozof ukrywał się przez 10 dni, unikając w ten sposób przesłuchania, a do J. Kotańskiego, przebywającego w Zagórzcu, lekarze nie dopuścili władz śledczych. To będzie później wyzyskane jako dowód mactw ze strony osób bliskich denatowi.

Zespół Interwencyjny 02. Po Grzegorza Przemyka przyjechała z Pogotowia Ratunkowego karetka zwana Zespół Interwencyjny 02, zapewne był też obecny ZI 01, a może i inne numery. Nie był to zespół ratunkowy, jakby się można było spodziewać, lecz „interwencyjny”, składał się tylko z kierowcy i sanitariusza o średnim wykształceniu medycznym. Sam skład i nazwa wskazują, że zadaniem tego zespołu nie było tylko niesienie pomocy ofiarom. Szofer zespołu też był „interwentem” i w tej roli wystąpi. Lekarka T. Urniaż-Grabowska zeznając w tym procesie stwierdzi, że choć pracowała 12 lat na Pogotowiu, nigdy poprzednio o takim zespole nie słyszała. Co wiemy o członkach tego zespołu? Michał Wysocki, lat 35, kierowca, jest jedynym spośród oskarżonych, którego życie i charakter są przedmiotem zainteresowania sądu, który na tę okoliczność powołuje kilku świadków. Poprzednio karany za pobieranie mandatów drogowych w mundurze milicjanta, zwalniany z pracy, rzekomo bijący swą b. żonę w „wątrobę, tak by nie było śladów”, któremu jednak sąd w wyroku rozwodowym powierzył opiekę nad dzieckiem, człowiek, który zdaniem prokuratora „preferuje rozwiązywanie siłowe”, ale którego głęboka religijność jest dla tego samego prokuratora argumentem za przyjęciem samooskarżających się zeznań. Mistrz i człowiek chwiejny, powie o nim jego obrońca. O Jacku Szyzdku wiadomo tylko, że ma lat 26 i jest technikiem medycznym. Od momentu opuszczenia Komisariatu do czasu oddania w ręce lekarza na Pogotowiu Grzegorz Przemyk pozostawał w rękach i pod opieką Zespołu Interwencyjnego 02. Jaka to była opieka? Tę kwestię będzie się starał wyjaśnić Sąd i powoła na tę okoliczność bardzo wielu świadków.

Lekarze. Niewiele o nich wiadomo. Paweł Willmann,

lat 44, lekarz psychiatra, kierownik Poradni Profilaktyki i Uza-
leźnień Lekowych przy szpitalu na Nowowiejskiej oraz lekarz
w Pogotowiu Ratunkowym, właściciel 22 h. gospodarstwa rol-
nego. Bronisław Jasicki, lat 54, wieloletni lekarz w Pogotowiu.

Czynności śledcze i oskarżyciel posiłkowy

Dla wyjaśnienia okoliczności śmierci Grzegorza Przemyka pro-
kuratura przedsięwzięła liczne czynności polegające na przesłucha-
niu świadków, wizjach lokalnych i zasięgnięciu opinii biegłych.
Opis tych czynności zebrany w aktach oskarżenia zostanie przed-
stawiony Sądowi, któremu także przedstawi się ich fragmenty
utrwalone na taśmach magnetowidowych. Początkowo w czynnoś-
ciach śledczych brali udział, zgodnie z postanowieniami KPK,
pełnomocnicy pokrzywdzonej: mec. Władysław Siła-Nowicki i
mec. Maciej Bednarkiewicz, znani warszawscy adwokaci, obroń-
cy w wielu procesach politycznych po wprowadzeniu stanu wojen-
nego. Należało się spodziewać, że wystąpią oni na rozprawie jako
pełnomocnicy pokrzywdzonej w charakterze oskarżycieli posiłko-
wych. Tak się jednak nie stało. Mec. W. Siła-Nowicki został
zmuszony do przejścia na emeryturę z dniem 1 stycznia 1984
roku, zaś mec. M. Bednarkiewicz został aresztowany w dniu
11 stycznia 1984 roku pod zarzutem pomagania dezertrowi z
ZOMO, namawiania do ujawnienia tajemnic służbowych i kra-
dzieży nadajnika radiowego. ZOMO-wiec ten, którego sprawę
umorzono na mocy amnestii z roku 1983, będzie zeznawał na
rozprawie o próbie namówienia go przez mec. M. Bednarkiewicza
do wyszukania dwóch fałszywych świadków. Przy aresztowaniu
mec. M. Bednarkiewicza i rewizji w jego domu zabrano akta
spraw przez niego prowadzonych. Stało się to powodem napisa-
nia przez mec. W. Siłę-Nowickiego znanego listu otwartego do
gen. Jaruzelskiego. List ten został potraktowany jako obraza na-
czelnych władz PRL i na tej podstawie jego autor został posta-
wiony w stan oskarżenia. Dodajmy, że mec. Bednarkiewicz był
przetrzymany w areszcie śledczym na Rakowieckiej aż do dnia
10 lipca 1984 roku, to znaczy został zwolniony następnego dnia
po zamknięciu postępowania dowodowego w sprawie śmierci
Grzegorza Przemyka.

Akt oskarżenia z dnia 7. V. 1984 roku podaje, że w charak-
terze pokrzywdzonych stają na rozprawie Barbara Sadowska i
Leopold Przemyk, rodzice Grzegorza Przemyka. Jako ich pełno-
mocnicy są wymienieni adwokaci Ryszard Siciński, Ryszard Be-

rus i Jerzy Woźniak. W pierwszym dniu rozprawy B. Sadowska wycofała jednak swą skargę, pisząc do Sądu list, w którym podaje motywy tego kroku. Jako główną przyczynę podaje brak mec. Bednarkiewicza, „jedyne go aresztowanego w tej sprawie”.

Akty oskarżenia. W grudniu 1983 roku wpływa do Sądu akt oskarżenia datowany 23. XII. 1983. Jest on skierowany przeciw Ireneuszowi Kościukowi i Arkadiuszowi Denkiewiczowi, funkcjonariuszom MO, Michałowi Wysockiemu i Jackowi Szyzdkowi z Zespołu Interwencyjnego 02. Wszyscy czterej oskarżeni są o czyn z art. 158 § 3 KK, to jest o udział w pobiciu, którego następstwem jest śmierć człowieka. Pozostali dwaj oskarżeni to lekarze Paweł Willmann i Bronisław Jasicki, oskarżeni o nieudzielenie pomocy osobie, o którą mieli obowiązek się troszczyć, co podpada pod art. 163 § 1 KK. Akt ten, podpisany przez wiceprokuratora wojewódzkiego mgr. Tadeusza Gonciarza, zostaje zastąpiony nowym, datowanym 7. V. 1984, a podpisanym przez wiceprokuratora wojewódzkiego mgr. Annę Jackowską. Jakie są różnice między tymi dwoma aktami oskarżenia i co się w międzyczasie wydarzyło? Otóż w trakcie rutynowego śledztwa — jak chce prokurator, choć obrona mówi o tajemniczym telefonie z donosem — wykryto nieznane przedtem przestępstwo dwóch oskarżonych pracowników Pogotowia. W dniu 4. V. 1983, a więc na 8 dni przed zdarzeniami, które doprowadziły do śmierci Grzegorza Przemyka, przewożąc pacjenta Waldemara Piwoskiego, który po pijanemu spadł ze schodów, M. Wysocki i J. Szyzdek pobili go, a jeden z nich ukradł mu 1.100 zł. Rzecz dla wyjaśnienia przyczyny śmierci Grzegorza Przemyka bez znaczenia, która jednak zdecydowała o zmianie kierunku śledztwa. Przede wszystkim obaj, Wysocki i Szyzdek, zostają aresztowani. Dotychczas wszyscy oskarżeni odpowiadali z wolnej stopy. Następnie obie sprawy łączy się w jedną, sporządzając wspólny akt oskarżenia. W tym akcie dodano nowe zarzuty przeciw obu pracownikom Pogotowia, złagodzone natomiast kwalifikację czynu funkcjonariuszy MO. Oskarża się ich tylko o czyn z art. 158 § 1, to jest o pobicie, w którym „naraża się człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia”. Ten paragraf niesie zagrożenie pozbawieniem wolności do lat 3, podczas gdy paragraf 3, mówiący o pobiciu, którego następstwem jest śmierć człowieka, wymaga kary nie krótszej od roku, a nie precyzuje górnej granicy. Dodatkowo obaj sanitariusze są oskarżeni z art. 153 § 1 o pobicie W. Piwoskiego, a ponadto J. Szyzdek o zuchwałą kra-

dzież (art. 208 KK; z tego zarzutu Sąd go uniewinni). Nie wydaje się słuszne łączenie w jednym postępowaniu sądowym dwóch spraw podobnych jedynie numerem artykułu KK, ale główny problem to, jaki nowy materiał dowodowy pozwala na złagodzenie oskarżenia funkcjonariuszy MO? Otóż w czasie śledztwa, już po aresztowaniu, sanitariusze zmienili swoje zeznania dotyczące przebiegu wydarzeń w budynku Pogotowia. Przedtem (pierwszy akt oskarżenia) przyznawali się do użycia siły wobec Grzegorza Przemyka w karetce, celem opanowania agresji pacjenta, zaś zgodnie twierdzili, że po przybyciu na Hożą traktowali go z należytą troską. Teraz jednak (drugi akt oskarżenia) zaczęli się wzajemnie oskarżać o bicie Grzegorza Przemyka. Ponadto Wysocki zeznał, że w momencie, gdy Grzegorz Przemyk upadł (sam, czy też podcięty przez Szyzdka) on, Wysocki, nadepnął niechcący palcami stopy obutej w adidas lub tenisówki na brzuch leżącego. I oto znajdujemy w drugim akcie oskarżenia zdanie: „W przekonaniu podejrzanego nadeptnięcie to spowodowało u pokrzywdzonego obrażenia skutkujące jego zgon”. Te zeznania M. Wysocki później odwołał (jak stwierdza akt oskarżenia), twierdząc, że nadepnął leżącego Grzegorza Przemyka, lecz noga jego obsunęła się po biodrze nie godząc w brzuch.

Prokuratura widocznie uwierzyła w poczucie winy M. Wysockiego, gdyż drugi akt oskarżenia, wraz ze zmianą kwalifikacji czynu funkcjonariuszy milicji, zmienia też niektóre akcenty, omawiając oceny i orzeczenia biegłych. Tak np. akt pierwszy mówi, że wersja C. Filozofa dotycząca zdarzeń w Komisariacie MO „najbardziej koresponduje z charakterem obrażeń stwierdzonych u Grzegorza Przemyka”, zaś „przebieg zdarzeń na terenie Pogotowia Ratunkowego nie miał zdaniem biegłych wpływu na doznanie obrażeń skutkujących zgon Grzegorza Przemyka”. W drugim akcie oskarżenia mówi się tylko, że obrażenia doznane przez Grzegorza Przemyka mogły, zdaniem biegłych, być zadane w warunkach podanych przez C. Filozofa, natomiast eksponuje się dodatkową opinię biegłych z dnia 18. IV. 1984, mówiącą, że „obrażenia te mogły również powstać w wyniku ciosu nogą, w szczególności piętą”, co odpowiada relacji o postępowaniu M. Wysockiego na Pogotowiu.

W ten sposób akt oskarżenia zupełnie zmienił swój charakter. Nie negując możliwości pobicia Grzegorza Przemyka na Komisariacie, co się wyraża w oskarżeniu funkcjonariuszy milicji z art. 158 § 1 KK, drugi akt oskarżenia stwierdza, że były dwa pobicia, jedno mniej groźne w Komisariacie, drugie śmiertelne dokonane przez M. Wysockiego i J. Szyzdka w drodze do i na Pogotowiu

(oskarżenia z art. 158 § 3 KK). Warto tu zauważyć, że materiał dowodowy dotyczący czynów funkcjonariuszy w Komisariacie jest w obu aktach oskarżenia ten sam (będą się na to powoływać obrońcy), dodatkowy materiał obciążający załogę karetki powstał tylko z ich własnych zeznań, które zmieniają się, są odwoływane i składają się z wzajemnych oskarżeń. Zeznania te były składane już po ich osadzeniu w areszcie w sprawie sztucznie połączonej ze śmiercią Grzegorza Przemyka.

Jakie interesy będą się krzyżowały na sali sądowej? Dla opinii publicznej najważniejszą rzeczą jest wyjaśnienie, czy to milicja pobiła na śmierć Grzegorza Przemyka. Z góry można było przewidzieć, że sprawa ta nie zostanie *explicito* wyjaśniona w werdykcie. Sąd miał przed sobą sześciu mężczyzn i obowiązek orzeczenia o indywidualnej winie każdego z nich. Oskarżeni bronią się, chcąc ująć sprawiedliwości lub oczyścić się z niesłusznych zarzutów, czasem kosztem współoskarżonych. Prokurator powinien dowieść ich winy. Już ten obraz sali sądowej wskazuje na różnorodność interesów reprezentowanych w procesie. Ale w tym procesie, podobnie jak w wielu innych znanych w historii sądownictwa, pojawia się element spoza sali sądowej: organizacja, której dobre imię jest narażone na szwank. Tą organizacją jest milicja lub ogólniej służby porządkowe. Nie chodzi przy tym wyłącznie o dobre imię czy o honor, chodzi o dyscyplinę, którą mogłoby zachwiać ukaranie kolegów za działania dla dobra służby, nawet jeśli okazały się złe w skutkach. Ulica warszawska syntetycznie i z właściwą jej ironią podsumowała sprawę śmierci Grzegorza Przemyka mówiąc: „wypadek przy pracy”. To znaczy: mieli bić, ale nie zabić. Dwie rzeczy jednak wydają się uchodzić uwadze zarówno opinii publicznej jak i Sądu. Po pierwsze: Zespół Interwencyjny 02 był przedłużonym ramieniem milicji, gdyż zadaniem Pogotowia jest ratować, a nie interweniować. Po drugie: sprawców śmierci Grzegorza Przemyka należy szukać w alternatywie: Komisariat (jego załoga) lub sanitariusze, nie zaś w alternatywie: ci oto oskarżeni funkcjonariusze MO lub sanitariusze.

Uwalniając oskarżonych milicjantów Sąd zaspokoił tylko jeden interes milicji: za czynności w służbie milicjanci nie będą odpowiadać. Zmieniając jednak kwalifikację czynu sanitariuszy na odpowiedzialność z art. 160 § 2 KK, Sąd wskazał, który z członków narzucającej się alternatywy należy uznać za prawdziwy. Tak jest niezależnie od wywodów Sądu w uzasadnieniu wyroku, gdyż przecież Grzegorza Przemyka nie zabiły krasnoludki.

Dla jasności: art. 160 § 2 KK mówi o narażeniu człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia, przez osobę mającą obowiązek troszczenia się o niego i przewiduje zagrożenie od 6 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Milicjanci wyszli więc uniewinnieni i to było zapewne zaspokojeniem ich głównego interesu. Obaj odmówili zeznań w śledztwie, a jeden również przed sądem. Drugi zeznając na rozprawie oświadczył, że poprzednio odmawiał zeznań, aby nie dawać żeru wrogiej propagandzie. Sąd to przyjął, nie pytając, jaki to żer. Mimo takiej postawy swych funkcjonariuszy milicja nie zawiesiła ich nawet w czynnościach. Od tej strony było więc wszystko w porządku.

Trudno kwestionować orzeczenie Sądu w stosunku do oskarżonych milicjantów. To nie oni zabili Grzegorza Przemyka, a jeśli nawet brali w jakiś sposób udział w pobiciu, to nie można im tego udowodnić. Koledzy ich nic nie widzieli, a dwóch cywili, C. Filozof i J. Kotański, coś widzieli, coś słyszeli, ale nie na tyle, aby kogoś obciążyć indywidualnie. Gdyby Sąd chciał tylko uwolnić oskarżonych milicjantów, mógłby to zrobić bardzo łatwo. W stosunku np. do A. Denkiewicza prokurator powinien był odstąpić od oskarżenia w momencie, gdy C. Filozof oświadczył, że nie jest pewien, czy słowa „Bijcie tak, żeby nie było śladów” wyszły z jego ust. Jeśli jednak świadkowie nie mogą wskazać indywidualnych sprawców, to kierują podejrzenia w stronę Komisariatu, a te podejrzenia pragnąłby odsunąć zarówno Sąd jak i prokuratorzy, a również adwokaci milicjantów. Świadkowie obciążający Komisariat, to C. Filozof, J. Kotański i, spoza grobu, Grzegorz Przemyk. Denat mówił kilku osobom o pobiciu w Komisariacie, przede wszystkim swej matce, a także kolegom i personelowi szpitala na Solcu. Próby dyskredytacji tych dowodów wypełniają końcową część procesu i podejmowane są przez powoływanie biegłych psychiatrów.

Inny zespół biegłych będzie odpowiadał na pytanie: gdzie i kiedy mogły być zadane ciosy śmiertelne. Zadanie nieco przerażające kompetencje biegłych medyków, którzy mogą ocenić konieczną siłę ciosów, ich ilość i ułożenie ciała bitego względem bijącego, a trudniej jest im orzec, czy te lub inne warunki pozwały na takie właśnie bicie. Ich orzeczenia, początkowo niepomysłne dla wersji śmiertelnego pobicia poza Komisariatem, później stają się mniej jednoznaczne. Niektórzy biegli, ludzie o dużym autorytecie, pochodzą spoza Warszawy i nie biorą udziału

we wszystkich posiedzeniach Sądu. Fakt ten posłuży również do podważania ich opinii.

Z tych czy innych względów nie zostały zbadane różne sprawy narzucające się, a również ujawnione w czasie rozprawy. Różnice w potraktowaniu czterech chłopców na Placu Zamkowym, nieprzeszukanie Grzegorza Przemyka w Komisariacie, choć był on tam uznany za niebezpiecznego, w jakiej formie postawiona w Komisariacie diagnoza „chory psychicznie” została przekazana Zespołowi Interwencyjnemu, dlaczego w karetce obsługa usiadła na przednich siedzeniach usadawiając Grzegorza Przemyka za sobą, nie licząc się z tym, że jako agresywny i niebezpieczny może ich zaatakować, co się też jakoby stało, dlaczego załoga karetki przekazała Grzegorza Przemyka wprost lekarzowi P. Willmannowi, pomijając Izbę Przyjęć na Pogotowiu Ratunkowym. Oto niektóre z pytań. Nikt nie był zainteresowany w ich wyjaśnieniu.

Wersja choroby psychicznej Grzegorza Przemyka jest na rękę zarówno sanitariuszom jak i P. Willmannowi, a brak oskarżyciela posiłkowego, by się jej przeciwstawić. P. Willmann *musi* się za nią opowiadać, gdyż był pierwszym lekarzem badającym Grzegorza Przemyka i jedynym lekarzem, który taką diagnozę postawił. W tym punkcie interesy wszystkich oskarżonych są zbieżne i tylko biegli mogą wyjaśnić, czy nietypowe zachowanie Grzegorza Przemyka na Komisariacie i później było wynikiem choroby psychicznej, czy pobicia. W tym przypadku opinie biegłych, z wyjątkiem dr. Krzaka, są zgodne.

Oddzielnym fragmentem rozprawy są zeznania dwóch literatów, którzy napisali listy oskarżające milicję o zabójstwo Grzegorza Przemyka. Sąd nie mógł mieć wątpliwości, że ich zeznania nie mogą ujawnić niczego w zakresie prawdy materialnej, a jednak ich przesłuchuje, tylko po to, aby umożliwić TV nadanie audycji sporządzonej ze skrawków zeznań, której celem jest zdyskredytowanie literatów.

Trochę na boku jest sprawa lekarza B. Jasickiego, która nie zawęzła się ani ze sprawą miejsca pobicia Grzegorza Przemyka, ani też z diagnozą choroby psychicznej postawioną poprzedniego dnia. Nieistotne jest również oskarżenie sanitariuszy o pobicie pijaka, które — choć stało się przełomem w ukierunkowaniu śledztwa — na sali sądowej wypada blado. Służy ono jako tło, wykazujące brzydki charakter załogi Zespołu Interwencyjnego 02. Podobnemu celowi służą zeznania sprowadzonego z więzienia świadka L. Dettlaffa. Nikt nie spodziewa się po interwentach łagodności obyczajów, ale sam charakter nie zabija.

O tych interesach różnych stron należy pamiętać śledząc proces; w szczególności mowy końcowe stron dobrze ilustrują tendencje, jakimi kierują się mówcy. W szczególności mowa prokurator Bardonowej mogłaby być mową obrończą, a nie oskarżycielską. Nie wydaje się, aby prokurator Bardonowa orientowała się, że choć uzyskała zwolnienie milicjantów, to mową swą obciążyła dodatkowo milicję.

Proces

Sprawa śmierci Grzegorza Przemyka, jako szczególnie zawiła, staje na wokandzie Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, który orzeka w składzie: SSW Janusz Jankowski, Ewa Gutowska-Sawczuk, Andrzej Lewandowski. Oskarżają dwie kobiety, prokuratorzy Wiesława Bardonowa i Anna Detko-Jackowska. Przewód trwa z przerwami od 31 maja do 16 lipca 1984 roku. Sąd przesłuchuje około 80 świadków, zapoznaje się z opinią 14 biegłych, dokonuje wizji w Komisariacie i na Pogotowiu, ogląda utrwalone na taśmach magnetowidowych fragmenty czynności śledczych.

Rozprawy są formalnie jawne, dopuszczono prasę krajową i zagraniczną. W gmachu sądu pojawiają się jednak nie widziane od pierwszych tygodni stanu wojennego barierki przy wejściu głównym i do sali sądowej pilnowane przez milicję i woźnych sądowych. Do wejścia na salę uprawnia przepustka, ważna na jeden dzień i codziennie innego koloru. Wchodzący kontrolowani są przy każdym wejściu na salę dwukrotnie, sprawdza się przepustkę, dowód osobisty i porównuje je z listą uprawnionych tego dnia do uczestnictwa w rozprawie. Nie wolno wносить większych toreb, zdarzają się rewizje damskich torebek. W ciągu pierwszego tygodnia procesu odmawiano wydania przepustek bez podania powodów. Odwołania do prezesa SW nie przynoszą rezultatów. W wyniku tego, a także z powodu przewlekłości sprawy, do końca procesu na sali pozostaje niewielu obserwatorów, jeśli nie liczyć przedstawicieli prasy krajowej i licznej grupy osób wpuszczanych za okazaniem legitymacji lub posiadających przepustki nie imienne, lecz opatrzone numerem.

W pierwszym dniu procesu B. Sadowska składa rezygnację z roli oskarżyciela posiłkowego, wyjaśniając, że nie chce swym udziałem „legitymować tego, co się od początku działo w tej sprawie” i być „wygodnym parawanem dla nadawania pozorów prawa — złej woli, która przejawiała się w śledztwie od samego początku”.

Wyjaśnienia oskarżonych. Przed sądem stają oskarżeni. Żaden z nich nie przyznaje się do winy, wszyscy, z wyjątkiem I. Kościuka, który korzysta z przysługującego prawa odmowy składania wyjaśnień, składają obszernie zeznania. W śledztwie wyjaśnienia takie składali jedynie M. Wysocki, J. Szyzdek i B. Jasicki, pozostali — odmówili.

Michał Wysocki odwołuje przed sądem wszystkie swoje zeznania złożone w śledztwie po aresztowaniu w grudniu 1983 roku i wyjaśnia zgodnie z tym, co mówił w początkowych przesłuchaniach w sierpniu 1983 roku. Trwa to półtora dnia. Mówi cichym głosem, wygląda na bardzo zmęczonego. Opowiada, że zostali wezwani do Komisariatu na Jezuicką do przypadku „zaburzeń psychicznych”. Na korytarzu w Komisariacie zastali kilku milicjantów i dwóch młodych ludzi. Jeden z nich bosy i brudny siedział skulony na krześle i nie odpowiadał na pytania J. Szyzdka. Któryś z milicjantów zasugerował, że to narkoman, więc P. Szyzdek sprawdził, czy nie ma nakłuć na rękach, zbadał go pobieżnie i zdecydował zabrać go do Pogotowia na ulicę Hożą. Sam wyprowadził pacjenta do karetki, podtrzymując go ramieniem, gdyż ten poruszał się bezwolnie. J. Szyzdek pozostał chwilę w Komisariacie. W czasie jazdy karetką usłyszał pisk i wołanie J. Szyzdka o pomoc, zatrzymał więc samochód i chwycił pacjenta za ręce, który usiłował ugryźć go w rękę. Po dojechaniu na dziedziniec Pogotowia pacjent uspokoił się, miał jednak trudności z wyjściem z karetki, wyprowadzili go więc wraz z J. Szyzkiem pod ręce. Na schodach prowadzących do budynku Grzegorz Przymek znów się ożywił i jakby próbował go kopnąć. Widzieli to kierowcy i sanitariusze z innych karetek i ofiarowali im pomoc. Na parterze budynku J. Szyzdek poszedł sprowadzić windę, a pod jej drzwiami Grzegorz Przymek jakby się potknął czy usiłował wyrwać, w każdym razie przewrócił się i pociągnął go za sobą, on zaś przeskakując leżącego zawadził nogą o jego biodro. Wnieśli go razem do windy, a ponieważ nie mógł się utrzymać na nogach, więc posadzili go na podłodze. W windzie towarzyszył im windziarz. Po wyniesieniu pacjenta z windy położyli go na podłodze pod zamkniętymi drzwiami gabinetu lekarskiego. Wtedy wypadł mu z kieszeni dowód osobisty. Po przyjściu lekarza wnieśli go do gabinetu.

W odczytanych przez Sąd zeznaniach ze śledztwa M. Wysocki podaje różne wersje wydarzeń. Przyznaje się do silnego, lecz nieumyślnego kopnięcia Grzegorza Przemyka w brzuch pod drzwiami windy. W innych zeznaniach podaje, że to J. Szyzdek podcią-

ciem spowodował upadek Grzegorza Przemyska pod windą, a w windzie zirytowany kilka razy kopnął go w brzuch i w plecy. Podaje też, że przy wychodzeniu z karetki J. Szyzdek użył pojemnika z gazem, zaś w windzie jechały z nimi dwie białe ubrane kobiety.

Odwołując wszystkie te zeznania na rozprawie M. Wysocki wyjaśnia, że w czasie aresztowania przechodził dwukrotnie silne załamania psychiczne, raz z końcem roku, gdy próbował popełnić samobójstwo, drugi raz koło Wielkanocy. Śmierć Grzegorza Przemyska silnie nim wstrząsnęła i przez przyjęcie na siebie winy, chciał się przyczynić do pojednania władzy ze społeczeństwem i „Solidarnością”. Obciążał J. Szyzdka, gdyż w śledztwie pokazywano mu obciążające go zeznania kolegi. W odpowiedzi na pytanie Sądu, czy jest związek między treścią jego zeznań a osobą przesłuchującego — jak się bowiem okazuje, przesłuchiwany przez prokuratora M. Wysocki powraca w zeznaniach do swych początkowych wyjaśnień, zaś przed oficerami śledczymi obciąża się sam lub obciąża kolegę — odpowiada przecząco.

Jacek Szyzdek składa chętnie obszernie wyjaśnienia i podtrzymuje swoje zeznania ze śledztwa. Opisuje podobnie jak M. Wysocki wezwanie i przyjazd do Komisariatu, gdzie przy wejściu minęli grupę wychodzących milicjantów. Na korytarzu zastali 2 czy 3 milicjantów i dwóch cywili. Dyżurny powiedział, że powodem ich zatrzymania było „turlanie się po płytach placu Zamkowego”. Jeden z zatrzymanych siedział na krześle, drugi stał obok. Obaj byli agresywni, siedzący nie odpowiadał na pytania, tylko powtarzał: „Co was to obchodzi”, „Odczepcie się”. Ponieważ badanie nie wykazało żadnych śladów obrażeń ani śladów nakłuć, postanowił zabrać siedzącego na konsultację psychiatryczną do Pogotowia. W karetce chory nadal nie odpowiadał na pytania, zareagował tylko na wzmiankę o dojeżdżaniu na Hożą słowami: „Już tam byłem”. Na ulicy Poznańskiej poczuł rękę pacjenta na swej głowie i zobaczył rozczapierzone palce zmierzające w kierunku jego oczu. Przytrzymał go więc za rękę i przygiął mu głowę do noszy. M. Wysocki pomógł przytrzymać chorego. Sporządził o tym incydencie notatkę w karcie wyjazdowej karetki. Przyjazd do Pogotowia opisuje tak jak poprzedni oskarżony. Wyjaśniając zdarzenia pod windą podaje, że usłyszał hałas wywołany najprawdopodobniej upadkiem pacjenta i odwróciwszy się zobaczył taką scenę: pacjent upada na posadzkę, amortyzując upadek ręką, nad jego tułowiem widać uniesioną nogę kierowcy, który następnie stawia ją po drugiej stronie ciała upa-

dającego, który w końcu leży między jego nogami. M. Wysoki ma zaciśnięte pięści i zaciętą twarz. Zamierza się, by uderzyć leżącego, ale rezygnuje. Wnoszą na „siodełku” chorego do windy obsługiwanej przez windziarza, gdzie Grzegorz Przymek dwukrotnie podciąga nogę, jakby usiłując kopnąć M. Wysockiego, na co ten rozgniewany kopie go kilka razy w udo. Po wyniesieniu z windy znowu na „siodełku”, kładą Grzegorza Przemyka na podłodze pod gabinetem. We fragmencie zeznań ze śledztwa potwierdzonych na rozprawie J. Szydek opowiada o rozmowie, jaką miał z M. Wysockim we wrześniu 1983 roku, w czasie której kierowca przyznał się do kopnięcia i uderzenia pięścią w brzuch Grzegorza Przemyka pod drzwiami windy, co mogło spowodować jego zgon.

W odpowiedzi na pytania Sądu J. Szydek nie umie przekonująco wyjaśnić, dlaczego w karcie wyjazdowej karetki podał, że pacjent był już poprzednio leczony psychiatrycznie, ani dlaczego wpisał w miejsce danych osobowych NN, skoro widział dowód pacjenta wypadający mu z kieszeni pod drzwiami gabinetu, który oddał lekarzowi.

Na rozprawie pokazano utrwaloną na taśmie magnetowidowej trwającą półtorej godziny scenę konfrontacji obu oskarżonych, którzy wzajemnie obciążają się o pobicie Grzegorza Przemyka pod windą lub w windzie. Prowadzący tę scenę prokurator w pewnym momencie mówi: Proszę zeznawać spontanicznie, o to tu chodzi.

W kilka dni po obejrzeniu tej sceny J. Szydek składa przed sądem oświadczenie, w którym tłumaczy, że w czasie konfrontacji jego wypowiedzi były spowodowane silnymi emocjami i napięciem psychicznym, nie miały zaś oparcia w faktach.

Ireneusz Kościuk podobnie jak w śledztwie korzysta z prawa odmowy zeznań.

Arkadiusz Denkiewicz wyjaśnia, iż w śledztwie nie składał wyjaśnień, ponieważ cokolwiek by powiedział, mogłoby być wykorzystane przez antypaństwową propagandę, pod wpływem której pozostaje świadek oskarżający milicję o użycie siły, który jest kłamcą. W swych wyjaśnieniach podaje, że siedząc w dyżurce usłyszał na korytarzu krzyk, a wyszedłszy zobaczyć, co się stało, spostrzegł 2 lub 3 milicjantów oraz 2 młodych ludzi. Jeden z nich bosy i brudny siedział na krześle, drugi stał obok. Milicjanci wyjaśnili, że siedzący chłopak został zatrzymany, ponieważ turlał się po Placu Zamkowym, a teraz dziwnie się zachowuje, może być wariatem lub narkomanem. Drugi chłopiec podał mu nazwis-

ka ich obu i prosił, aby ich puścić do domu, tłumacząc, że trochę narozrabiali, ale pójdą do domu i wszystko będzie w porządku. Poszedł zapytać oficerów, co z takimi zrobić, a kpt. R. Gembarowski zdecydował wezwać karetkę. Wróciwszy do dyżurki usłyszał znowu krzyk, ale i tym razem nic się nie działo na korytarzu. Przyjechali sanitariusze, którym powiedział o powodach zatrzymania i dziwnym zachowaniu chłopca. W tym czasie weszło do Komisariatu kilku milicjantów zaciekawionych przyjazdem karetki. Po jej odjeździe pojawił się chłopak z plecakiem i młoda kobieta z dzieckiem, pytając o zatrzymanego. Podali mu jego imię, nazwisko, adres i rok urodzenia, on zaś powiedział im, że chłopak został odwieziony na Hożą.

W odpowiedzi na pytania Sądu oskarżony nie umie wyjaśnić, dlaczego w sporządzonej notatce służbowej wpisał NN w miejscu danych osobowych, skoro je znał, ani kto sporządził inną notatkę znajdującą się w aktach sprawy, w której napisano „Grzegorz Przemyk, syn Barbary Sadowskiej, członka Związku Literatów”. Wyjaśnia także, że nie jest zawieszony w czynnościach służbowych, a jego przełożeni wiedzą o toczącym się przeciwko niemu postępowaniu karnym. Zaprzecza także, by mówił o biciu bez pozostawiania śladów.

Paweł Willmann na wstępie protestuje przeciw niezgodnemu z prawdą podaniu w akcie oskarżenia, że składał wyjaśnienia w śledztwie. Wyjaśnia okoliczności wniesienia do jego gabinetu przez „interwenta” Szyzdka i kierownicę Wysockiego brudnego, bosego, w rozchełstanej koszuli pacjenta, z którym nie udało mu się nawiązać kontaktu i który w czasie pobytu w gabinecie wypowiedział tylko jedno słowo „Acha”, w odpowiedzi na pytanie dyżurnego sanitariusza P. Dmowskiego, który okazał się jego szkolnym kolegą i zapytał „Grzesiu, co Ty tu robisz?”. Grzegorz Przemyk wykazywał okresami silne pobudzenie ruchowe. Od przybyłego C. Filozofa dowiedział się o powodach zatrzymania Grzegorza Przemyka przez milicję, o picu wina, ale na pewno nic nie usłyszał o pobiciu. Przypuszczając, że wypity alkohol wraz ze stresem wynikającym z przemęczenia maturalnego, a dodatkowo reakcja na zatrzymanie, spowodowały dziwne zachowanie się pacjenta, rozpoznał — ze znakiem zapytania — upojenie patologiczne i skierował Grzegorza Przemyka na obserwację psychiatryczną. Badanie pacjenta wykazało prawidłowe tętno i ciśnienie, zaś to, że miał rozchełstaną koszulę i opadające spodnie umożliwiło zbadanie go bez rozbierania. Przybyła matka pytała dwukrotnie o to, czy syn nie ma śladów obrażeń, ale ponieważ

poza drobnym otarciem naskórka w okolicy łędźwiowej niczego nie stwierdził, nie widział konieczności powtórnego badania. Matka nie wyraziła zgody na przewiezienie Grzegorza Przemyka do szpitala psychiatrycznego, wobec tego zażądał podpisania odpowiedniego oświadczenia.

W odpowiedzi na pytanie Sądu przyznaje, że zna przepisy, które pozwalają lekarzowi na skierowanie pacjenta do szpitala psychiatrycznego jedynie na a) życzenie pacjenta, b) życzenie jego rodziny, c) na podstawie orzeczenia sądu lub prokuratora. Nie potrafi jednak wyjaśnić, na czym się oparł w tym konkretnym przypadku.

P. Willmann jest jedynym wśród oskarżonych, który w czasie przewodu zachowuje się aktywnie i zadaje pytania świadkom i biegłym, a również zgłasza różne wnioski procesowe.

Bronisław Jasicki przyjechał do mieszkania Grzegorza Przemyka dnia 13 maja o godz. 8.05, wezwany do przypadku „bólów brzucha”. Zastał pacjenta przytomnego, niechętnie odpowiadającego na pytania, którego stan fizyczny — jak twierdzi — nie budził większych zastrzeżeń, choć budziło zastrzeżenia jego nastawienie psychiczne. Pacjent skarżył się na przemieszczające się bóle brzucha, które przypisał jego znerwicowaniu. Zrobił zastrzyk znieczulająco-rozkurczowy, polecił uważną obserwację i wezwanie w razie potrzeby następnego lekarza. Przebywające w mieszkaniu osoby poinformowały go, że Grzegorz Przemyk został pobity przez milicję dnia 11 maja — tę datę oskarżony kilkakrotnie podkreśla. Nie pytał o szczegóły, ponieważ nie miały dla niego większego znaczenia, gdyż nie stwierdził żadnych obrażeń.

Ś w i a d k o w i e

Przed Sądem staje dużo świadków, z których większość niewiele ma do powiedzenia, tak, jakby ilością nadrabiano luki śledztwa i sztucznie komplikowano sprawę. Świadków można podzielić na kilka grup: kolegów Grzegorza Przemyka, lekarzy, funkcjonariuszy MO, pracowników i pacjentów Pogotowia i świadków niemerytorycznych, których zeznania mają stanowić tło sprawy i nadać rozprawie pewnej specyficznej atmosfery.

Koronnym świadkiem w sprawie jest Cezary Filozof, który był razem z Grzegorzem Przemykiem w czasie wydarzeń na Placu Zamkowym i w Komisariacie, pojawił się później w gabinecie P. Willmanna i nie opuścił kolegi aż do następnego dnia.

Relacjonując wydarzenia na placu C. Filozof podaje okoliczności zatrzymania, nie mówi o tym, by Grzegorz Przymek opierał się przy wsiadaniu do radiowozu i by użyto pałki. Opowiada o ostrej rozmowie Grzegorza Przemyka z milicjantem na temat obowiązku noszenia dowodu osobistego na korytarzu w Komisariacie. W trakcie tej rozmowy milicjant podniósł pałkę, a Grzegorz Przymek za nią chwycił, broniąc się przed uderzeniem. Pojawiło się wtedy wokół niego trzech milicjantów, którzy zaczęli go bić. C. Filozof rzucił się rozdzielić bijących, został uderzony pałką i przytrzymany na krześle. Siedząc miał ograniczone pole widzenia, widział Grzegorza Przemyka od tyłu, milicjanci zasłaniali mu obraz, a cała grupa przemieszczała się. Prawdą jest, że C. Filozof w różnych zeznaniach nieco inaczej opisuje tę scenę. Raz mówi, że widział, że Grzegorz Przymek był bity, ale nie widział jak. Innym razem podaje, że jeden z milicjantów zamachnął się lewą ręką i uderzył Grzegorza Przemyka w brzuch, inny zaś zadawał szybkie ciosy łokciami. Ktoś uderzał Grzegorza Przemyka po plecach. Opowiada jak Grzegorz Przymek podskakiwał do góry z głośnym nieartykułowanym krzykiem, później zaś siedział na krześle, poruszał się wahadłowymi ruchami na boki i jęczał. Nie umie podać liczby zadanych ciosów. Słyszał polecenie: „Bijcie tak, żeby nie było śladów” i na konfrontacji rozpoznał A. Denkiewicza jako tego, który wydał ten rozkaz. Na rozprawie twierdzi, że nie jest tego pewien, gdyż usłyszał głos, odwrócił się i zobaczył A. Denkiewicza jako jedyną osobę stojącą w tej części korytarza, ale samego momentu mówienia nie widział. Podobnie na rozprawie nie jest pewny, czy I. Kościuk był jednym z bijących, ponieważ na konfrontacji pokazano mu 60 osób, cały czas był filmowany w oślepiającym świetle reflektorów, co go zupełnie zdekoncertowało.

Następnie C. Filozof opisuje przyjazd sanitariuszy, którzy zaczęli szarpać Grzegorza, a on był dla nich niegrzeczny i prosił, żeby się odczepili. Na Komisariacie pojawił się J. Kotański, który rozmawiał ze st. sierżantem i został powiadomiony o wezwaniu karetki. Opisuje następnie swój przyjazd na Pogotowie do P. Willmanna, któremu opowiedział o pobiciu na Komisariacie. Mówi o swoich prośbach o zwolnienie Grzegorza do domu i próbie ucieczki wraz z nim z toalety Pogotowia. Podaje też, że Grzegorz w pokoju na parterze wymiotował na ziemię i ścianę, a potem ktoś przyniósł nerkę. Razem z matką zabrali Grzegorza do domu, tam pozostał i był obecny w czasie wizyty B. Jasickiego. C. Filozof przyznaje, że bał się zgłosić na milicję po śmierci Grzegorza i że został skierowany przez B. Sadowską

do mec. M. Bednarkiewicza. Mówi o tym, że w lutym 1984 roku został pobity dwukrotnie, raz pobił go znajomy, zaś drugi raz jacyś inni sprawcy, którymi nie zainteresowała się milicja.

C. Filozof jest jednym z dwóch świadków, którego charakter interesuje Sąd. Biegły psycholog M. Misiewicz ocenia jego zeznania, mówiąc, że C. Filozof ma osobowość histeryczną i wyżej wartościuje ocenę otoczenia niż własne przekonania, a w tej sprawie przyjął oczekiwania otoczenia o swojej głównej roli w sprawie. W swych zeznaniach Jan Filozof, ojciec Cezarego, opowiada, że był przeciwny kontaktom syna z B. Sadowską i wykorzystywaniu go dla swych celów przez nią i mec. M. Bednarkiewicza. Kontaktował się z B. Sadowską po śmierci Grzegorza Przemyska, chcąc się dowiedzieć, gdzie jest jego syn, ona zapewniła go, że jest bezpieczny.

Jakub Kotański jest drugim świadkiem, którego zeznania będzie oceniać biegły psycholog. B. Małecka ocenia zeznania świadka bardzo pozytywnie, stwierdzając, że mimo nerwicy depresyjnej są one dokładne i nie zaburzone emocjonalnie.

Wydarzenia na Placu Zamkowym pamięta J. Kotański niezbyt dokładnie. Podaje, że w pewnym momencie jeden z milicjantów powiedział „Bierzcie, mamy go”. Nie rozumie powodów zatrzymania, jest pewien, że przy wsiadaniu do radiowozu nie użyto pałki. Buty-klapki Grzegorza znalazł po odjeździe samochodu, podniósł je i włożył do torby. Poszedł za radiowozem pod Komisariat, czekał chwilę, wszedł do bramy i wtedy usłyszał krzyk. Był to krzyk nieartykułowany, ale na pewno krzyk Grzegorza i to krzyk bólu. Mimo wielu agresywnych pytań prokuratora podających w wątpliwość możliwość rozpoznania krzyczącej osoby, świadek cały czas potwierdza, że zna głos wieloletniego przyjaciela i że był to krzyk bitego człowieka. Wizja lokalna potwierdza, że stojąc w bramie można usłyszeć krzyki z korytarza. Następnie J. Kotański zeznaje, że po ustaniu krzyku, aczkolwiek bardzo się bał, wszedł do Komisariatu i zobaczył leżącego za kratą Grzegorza, który jęczał. Obok stał C. Filozof. Dowiedział się, że wezwano karetkę. Pobiegł po matkę Grzegorza, ale nie zastał jej w domu, wrócił więc do Komisariatu ze spotkaną w mieszkaniu kobietą. Wtedy dowiedzieli się, że kolegów zabrano karetką. Wrócił jeszcze raz do mieszkania Grzegorza, gdzie tym razem zastał matkę i z nią razem poszedł na Hożą. Znaleźli tam Grzegorza, leżącego na kozetce i wymiotującego. B. Sadowska odjechała z synem karetką do domu, a on z C. Filozofem poszli piechotą. Nie rozmawiał już tego dnia z Grzegorzem, dopiero następnego. Wtedy dowiedział się od niego o biciu w Komisariacie,

o wydanym poleceniu bicia bez śladów. Ostatni raz widział Grzegorza nieprzytomnego po operacji.

Ostatni uczestnik spaceru po Starówce Piotr Kadłcik zeznaje, że do dzisiaj nie rozumie, dlaczego na Placu Zamkowym nie zatrzymano ich wszystkich. Zaprzecza, by użyto tam wobec Grzegorza pałki i potwierdza znalezienie butów po odjeździe radiowozu. Zobaczył Grzegorza ponownie tego dnia wieczorem w domu. Od J. Kotańskiego dowiedział się już przedtem, że na Komisariacie powiedziano, że Grzegorz Przymek był tak pijany, że odesłano go do Pogotowia na płukanie żołądka. J. Kotański powiedział mu również, że stojąc pod Komisariatem usłyszał krzyk i wycie bitego człowieka, potem wszedł i zobaczył, jak Grzegorz siedzi na krześle i płacze. W domu pomagał Grzegorzowi wyjść z wanny, gdyż ten nie miał na to siły. Wtedy Grzegorz powiedział mu, że był bity w brzuch. Ułożył go w łóżku, zgasił światło, wyszedł i więcej go nie widział.

Podobnie inni koledzy, którzy widzieli Grzegorza tego wieczora lub następnego dnia zeznają, że był przytomny, ale miał trudności z mówieniem, matka opowiadała im o biciu go w Komisariacie pięścią w brzuch, a on to potwierdził.

Drugą grupę świadków stanowią lekarze. Lekarka rejonowa A. Dunaj przybyła po południu 13 maja 1983 roku stwierdziła u chorego objawy wstrząsu i krwotoku wewnętrznego, zdiagnozowała pęknięcie wątroby, uznała stan chorego za wymagający natychmiastowej hospitalizacji. Domownicy mówili jej o pobiciu pacjenta przez milicję, zaalarmowana jego stanem nie pytała o szczegóły.

Przed sądem zeznaje kilku lekarzy, salowa i pielęgniarka ze szpitala na Solcu, którzy go tam przyjmowali, badali, robili operację i bezskutecznie usiłowali ratować mu życie. Wszyscy oni zeznają zgodnie, że Grzegorz Przymek był przytomny, każdemu ze świadków opowiadał, że był bity przez milicję pięścią w brzuch na Komisariacie. O pobiciu syna opowiadała też B. Sadowska. Świadkowie zeznają na temat stanu zdrowia Grzegorza Przemyka i o obrażeniach, które stwierdzili po otwarciu jamy brzusznej. Chirurg przeprowadzający operację L. Karpiński twierdzi, że nie widział takiego przypadku — choć operował wiele ofiar wypadków drogowych — by tylko poszczególne odcinki przewodu pokarmowego pozostały niezmienione, tak że trudno się było zorientować w anatomii. Gdy po otwarciu brzucha lekarz anestezjolog spytał go: „Co masz zamiar zrobić?”, odpowiedział: „Naj-

chętniej bym zemdłał”. Lekarz F. Grzejszczyk zeznaje, że Grzegorz Przymek był bity fachowo, co może stwierdzić, gdyż często na ostrych dyżurach styka się w przypadkami pobicia. Lekarze niechętnie wypowiadają się na temat szans przeżycia Grzegorza Przemyka, ale zgodnie twierdzą, że decydowała szybka pomoc. Tylko internista A. Żaryn mówi, że jej zdaniem natychmiastowa operacja pozostawiłaby Grzegorza Przemyka ciężkim kaleką, ale uratowałaby mu życie.

Następną grupę świadków wydarzeń w Komisariacie stanowią obecni tam wtedy funkcjonariusze MO. Według ich wyjaśnień było ich jedenastu. Jeden ze świadków zmarł w kwietniu 1984 roku. Wszyscy zgodnie twierdzą, że na Komisariacie nie użyto wobec Grzegorza Przemyka siły i nikt nie wydawał polecenia o biciu bez pozostawiania śladów. Obecni na Placu Zamkowym funkcjonariusze B. Bielec i J. Wit-Jabłoński twierdzą, że Grzegorz Przymek nie chciał okazać dowodu, opierał się przy wsiadaniu do samochodu, a oskarżony I. Kościuk uderzył go wtedy kilka razy pałką po plecach. Grzegorz Przymek powiedział milicjantom: „Niewiele już Wam zostało”. J. Wit-Jabłoński zdecydował o zabranii go na Komisariat, ponieważ był bosi, turlał się po Placu i nie chciał okazać dowodu. Świadek B. Bielec zeznaje, że siedzący na krześle na korytarzu Grzegorz Przymek nagle wstał, wydał okrzyk karateka, upadł i został posadzony na krześle przez I. Kościuka. Inny świadek, P. Jarmułowicz, podaje, że I. Kościuk poprosił Grzegorza Przemyka o dowód, ten zaś chwycił go za pałkę i pociągnął do siebie, wtedy trzech milicjantów chwyciło go za ręce, posadziło na krześle i przytrzymało. O krzyku mówią wszyscy — ci obecni na korytarzu, w sekretariacie i dyżurce. W zeznaniach na sali sądowej był krzyk karateka, w śledztwie — okrzyk indiański. Ten krzyk wywabił z sekretariatu oficerów P. Gembarowskiego, K. Machnowskiego i G. Poręckiego, a z dyżurki oskarżonych A. Denkiewicza i J. Ceglińskiego, którzy wyszli i stwierdzili, że nic się nie dzieje. Wszyscy mówią, że siedzący na krześle młody człowiek miał „dziwne oczy”, „przewracał oczyma”, „patrzył jakby nie widział”. Dyżurny A. Denkiewicz zapytał oficerów, co robić z takim wariatem i wtedy kpt. R. Gembarowski wezwał przez operatora Pogotowie do przypadku „chorego psychicznie, który jest niebezpieczny dla otoczenia”. Co prawda J. Wit-Jabłoński twierdzi, że Pogotowie wezwał kierownik Komisariatu kpt. K. Machnowski, ale ta sprawa pozostaje do końca niewyjaśniona.

Pytania Sądu zmierzają do wyjaśnienia następujących kwestii: dlaczego Grzegorz Przymyk i C. Filozof zostali zatrzymani, ale inaczej potraktowani, kto zdecydował i dlaczego, że Grzegorz Przymyk jest chory psychicznie, dlaczego nie został przeszukany. Jako powód zatrzymania świadkowie podają bose nogi, upadek na placu i nieokazanie dowodu. J. Wit-Jabłoński twierdzi, że bose nogi, opieranie się przy wchodzeniu do radiowozu i okrzyk karateka to wystarczające powody dla uznania za wariata, zaś R. Gembarowski nie umie do końca wyjaśnić, dlaczego okrzyk karateki był dla niego wystarczającym powodem do uznania Grzegorza Przemyka za chorego psychicznie i to niebezpiecznego dla otoczenia. Żaden z funkcjonariuszy nie umie wytłumaczyć zaniechania rutynowej czynności przeszukania, skoro Grzegorz Przymyk został doprowadzony do Komisariatu celem identyfikacji, a nadto został uznany za niebezpiecznego, a więc należało sprawdzić, czy nie ma np. żyłki.

Kierownik Komisariatu K. Machnowski wyjaśnia, że o tożsamości Grzegorza Przemyka dowiedział się dopiero 15 maja, gdy przechodząc w patrolu zobaczył na kwietnym krzyżu pod kościołem św. Anny ulotki. Tego samego dnia zadzwonił do niego jakiś dziennikarz z „Interpressu”, który podał, że Grzegorz Przymyk był synem B. Sadowskiej, członka ZLP i wtedy to sporządził notatkę znajdującą się w aktach sprawy. Przyznaje, że udzielił A. Denkiewiczowi urlopu od 16 maja 1983 roku, oczywiście urlopu dawno zaplanowanego i nie rozumie, dlaczego na zwróconym prokuraturze wezwaniu na przesłuchanie jest adnotacja „nieznane miejsce pobytu”, skoro A. Denkiewicz obiecał spędzać urlop w domu. Nie udzielał urlopów ZOMO-wcom B. Bielcowi i I. Kościukowi, pewno zrobili to ich przełożeni i nic nie wie, by ten fakt spowodował jakieś problemy przy przeprowadzaniu rozpoznawania.

Kolejna grupa świadków relacjonuje wydarzenia na terenie Pogotowia. Większość z nich niewiele ma do powiedzenia. Dyspozytorka M. Augusiewicz podaje o wpisaniu zgłoszenia wyjazdu karetki do Komisariatu do „przypadku zaburzeń psychicznych”. Pozostaje to w sprzeczności z zeznaniami lekarki T. Urniaż-Grabowskiej, znajomej B. Sadowskiej, która stwierdziła, że gdy w nocy 13 maja pojechała na Pogotowie, aby odszukać lekarza, który dał Grzegorzowi Przemykowi skierowanie do szpitala psychiatrycznego, nie znalazła adnotacji o wyjeździe po Grzegorza Przemyka ani na Izbie Przyjęć, ani w Dyspozytorni, dopiero ktoś jej powiedział, że mógł to być Zespół Interwencyjny, o którego

istnieniu wtedy się dowiedziała. Sąd nie był zainteresowany wyjaśnieniem tej rozbieżności.

Przyjazd Grzegorza Przemyka na dziedziniec Pogotowia obserwowało kilku kierowców karetek, którzy podają, że pacjent wyprawiany przez M. Wysockiego i J. Szydzka słał się na nogach, zaś na schodach potknął się lub usiłował wyrwać. Ofiarowana pomoc nie została przyjęta. Podobnie zeznaje kilku innych pracowników, którzy widzieli ich wchodzenie do budynku. Windziarz zeznaje, że został wezwany dzwonkiem na parter, gdzie czekali na niego sanitariusze z pacjentem. W windzie jechał z nimi odwrócony do nich tyłem, nie słyszał żadnych krzyków, a winda jechała bez zatrzymywania się. Trzech sanitariuszy, P. Dmowski, A. Dach i M. Łomin, przebywali wraz z Grzegorzem Przemykiem w gabinecie P. Willmanna przez różne okresy czasu, a ich relacje nie różnią się zasadniczo od zeznań tego oskarżonego. P. Dmowski mówi, że po odjeździe Grzegorza Przemyka znalazł pod kozetką nerkę wypełnioną krwawymi wymiotami, ale tego faktu nie potwierdza sprzątaczką na Pogotowiu H. Kazi-mierska.

Świadcami wydarzeń na Pogotowiu było też kilku pacjentów. Prokurator W. Bardonowa stwierdzi, że w fakcie ich odszukania nie ma żadnych podtekstów ani tajemnicy, bowiem zostali ustaleni w wyniku żmudnej i rutynowej pracy organów ścigania. Zeznania tych właśnie świadków były jednak podstawą do przedstawienia zarzutów załodze karetki w pierwszym akcie oskarżenia.

Świadek J. Welenc czekając na parterze usłyszała krzyk, podeszła do drzwi i zobaczyła na podeście schodów dwóch sanitariuszy ciągnących za nogi młodego bosego człowieka. W śledztwie zeznała, że głowa ciągniętego uderzała o stopnie schodów, na rozprawie stwierdziła, że jej się tylko tak wydawało, a Sąd potwierdził, że wizja lokalna wykazała, że tego widzieć nie mogła. Po kilkunastu minutach — w czasie których jej kontuzjowany mąż zdążył być dwa razy u chirurga i zrobić zdjęcie rentgenowskie — zobaczyła, czekając na I piętrze, wyciąganie z windy za nogi tego samego młodego człowieka i rzucenie go pod drzwiami gabinetu. Inny świadek, I. Domagała, zeznaje, że czekając na I piętrze usłyszała krzyki, jęki i kłaśnięcia, następnie odgłos zamykania windy. Winda jechała ok. 5 minut, w trakcie jej jazdy słyszała nadal te odgłosy, następnie zaś dwóch sanitariuszy w niebieskich mundurach wyciągnęło za nogi młodego bosego człowieka i rzuciło pod drzwiami gabinetu. Podobne zeznania o krzykach i ciągnięciu za nogi złożyła W. Dzbikowicz, matka I. Domagały. Na-

tomiaś małżeństwo E. i D. Kolebacz, którzy w tym samym czasie byli w poczekalni na I piętrze, zeznają, że usłyszeli jakiś hałas na dziedzińcu i wyrzawszy przez okno, zobaczyli dwóch sanitariuszy w białych fartuchach, którzy pod ramiona prowadzili młodego człowieka, który machał nogami, jakby usiłował się wyrwać. W chwilę później zobaczyli tych samych sanitariuszy wyprowadzających z windy tego samego pacjenta, którego położyli pod drzwiami gabinetu. Sąd nie skonfrontował tych tak odmiennie zeznających świadków. Dodać może trzeba, że E. i D. Kolebaczowie nie brali udziału w wizji lokalnej na terenie Pogotowia. Natomiast poprzednio omawiani świadkowie, biorący udział w tej wizji, w odpowiedzi na pytania prokuratora oświadczają, że po skończonej wizji byli znieważani przez pracowników Pogotowia, którzy wykrzykiwali: „Ile Wam zapłacili, czerwone...”.

Przed sądem staje świadek L. Dettlaff, b. sanitariusz w Pogotowiu, doprowadzony z więzienia, gdzie odsiaduje 2,5-letni wyrok za kradzież nie związaną z jego pracą w Pogotowiu. Opisuje on stosunki w Pogotowiu, gdzie jakoby bicie pacjentów w windzie i karetkach było codzienną praktyką, a ich okradanie zjawiskiem częstym. W szczególności oskarżony M. Wysocki opowiadał mu o kopnięciu przez siebie krnąbrnego pacjenta. M. Wysockiego widział po raz ostatni na własnej rozprawie jako świadka oskarżenia, ma o to do niego pretensję, dlatego też sam się zgłosił jako świadek w tej sprawie. Dodać należy, że L. Dettlaff był także świadkiem w innych sprawach o pobicie pacjentów w karetkach, które się jakoś rozmnożyły w ciągu ostatniego roku.

Przed sądem stają także świadkowie nie merytoryczni, którzy nie byli obserwatorami żadnych wydarzeń; ich zadaniem jest ułożenie tła tej sprawy. Do tych świadków można w pewnym stopniu zaliczyć Barbarę Sadowską. Staje przed sądem skupiona, czarno ubrana, z krzyżem na piersiach. Opowiada jak dowiedziała się od J. Kotańskiego, że jej syn został pobity na Komisariacie i przewieziony na Pogotowie. Znalazła go tam, był nieprzytomny i nie poznawał jej. Zaczęła szukać śladów pobicia na jego ciele. Stojący obok lekarz wręczył jej skierowanie do szpitala psychiatrycznego, sformułowane jak pismo milicyjne, podające bowiem jako powód skierowania: nieposłuszeństwo na komisariacie. Zabrała syna do domu. Tam odzyskał przytomność i pamiętał sformułowanie: „Bijcie tak, żeby nie było śladów”. Stan syna pogarszał się w ciągu nocy, wezwała więc rano Pogotowie. Przybyłemu lekarzowi powiedziała o pobiciu syna poprzedniego dnia wieczorem, o wymiotach i nieoddawaniu moczu. Zrobił on zastrzyk, polecił gorące okłady na brzuch i unikanie milicji. Wezwany

następny lekarz z rejonu przyszedł po południu i zlecił natychmiastowe przewiezienie chorego do szpitala.

W odpowiedzi na liczne pytania prokuratora B. Sadowska wyjaśnia, że została tendencyjnie pomówiona o utrudnianie śledztwa, choć jeszcze w lipcu 1983 roku powiedziała prokuratorowi proszącemu o wydanie ubrania syna, że został on w nim pochowany.

Nie wie, gdzie przebywał C. Filozof po 12 maja 1983 roku, ale miał on podstawy do obaw, gdyż 17 maja o godz. 12-tej w nocy przyszło do niej 3 cywilnych panów, a za nimi chmara umundurowanych, zaś w okolicach domu było niebiesko, pytając o C. Filozofa i informując, że poszukuje go Komenda Stołeczna MO. Wiedziała, że śledztwo prowadzi prokuratura i nie wie, co by się stało, gdyby u niej w mieszkaniu był C. Filozof. Przestraszyła się i poszła zadzwonić do przyjaciółki. Przyjechał K. Małcużyński i pojawiła się telewizja amerykańska, wtedy zdjęto obstawę.

W odpowiedzi na pytania o dokumentację lekarską Grzegorza Przemyka w przychodni Zdrowia Psychicznego na Nowowiejskiej, B. Sadowska wyjaśnia, że była aresztowana w marcu 1982 roku i zwolniona po interwencji Episkopatu ze względu na stan zdrowia. Powiedziano jej wtedy, że jej nic zrobić nie mogą, ale mogą „zgnoić jej syna”. Powtórnie zostali oboje zatrzymani 29 kwietnia 1983 roku. Bała się o to, że syn nie dostanie się na studia i zostanie wcielony do wojska, miał bowiem wezwanie na komisję wojskową. Poszła wtedy do przychodni, gdzie pracuje jej kuzynka, która założyła mu kartę i dała jakieś środki na koncentrację. Mogło to stanowić podstawę do zwolnienia od służby wojskowej. Opowiada o zastraszaniu ludzi w szkole, do której uczęszczał Grzegorz Przemyk, uczniów, nauczycieli, woźnego. Opowiada o tym, jak przecięto opony w samochodzie przyjaciółki, która wozila ją na cmentarz.

W kilka dni po zeznaniach B. Sadowskiej pojawia się przed Sądem nadprogramowy świadek płk Jerzy Arażnik, zastępca szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Wyjaśnia on, że przybycie milicji do mieszkania B. Sadowskiej w dniu 17 maja wynikało z rutynowego działania mającego na celu ustalenie miejsca pobytu C. Filozofa, który właśnie w tym mieszkaniu został zatrzymany w 1979 roku. Nie było żadnej obstawy mieszkania ani domu, po prostu rejon Domów Centrum jest zawsze silnie patrolowany. B. Sadowska została po raz pierwszy zatrzymana 20 marca 1982 roku, gdy milicja wezwana przez sąsiadów z powodu nadmiernych hałasów w mieszkaniu B. Sadowskiej, znalazła w

nim 8 osób pod wpływem alkoholu i leżący na stole biuletyn „Solidarności”, którego posiadanie w okresie stanu wojennego było podstawą wszczęcia postępowania karnego przez prokuraturę wojskową. B. Sadowska została zwolniona po 10 dniach na wniosek ministra spraw wewnętrznych ze względu na jej stan zdrowia. Jej powtórne zatrzymanie 29 kwietnia 1983 roku było konsekwencją tego, że trafiła na listę opozycjonistów.

Dalej świadek tłumaczy, że po śmierci Grzegorza Przemyka wszczęto postępowanie wyjaśniające wobec funkcjonariuszy MO, ale zostało ono zawieszone, gdyż żadna z wersji dotyczących pobicia Grzegorza Przemyka na Placu Zamkowym lub w Komisariacie nie była na tyle przekonująca, aby ich ukarać. Uznano świadków w sprawie za niewiarygodnych. W tym miejscu Sąd zaznacza, że ocena świadków należy do zadań sądu.

Kolejnym świadkiem jest Janusz Biliński, dezerterski z ZOMO, ukrywający się rzekomo od października 1982 roku, a następnie amnestionowany, który zeznaje, że w kilka dni po śmierci Grzegorza Przemyka poszedł do mec. M. Bednarkiewicza, który poprosił go o znalezienie dwóch funkcjonariuszy, którzy opowiedzieliby jak było na Jezuickiej, i obiecał pokryć koszty. Na pytanie Sądu, czy mieli to być świadkowie prawdziwi czy fałszywi, odpowiada, że ponieważ miał żal do M. Bednarkiewicza, który go zawiódł, więc uważa, że mieli to być świadkowie fałszywi.

Przed Sądem stają W. Woroszyński, poeta i J. J. Szczepański, prezes rozwiązanego ZLP, autorzy listów do władz po śmierci Grzegorza Przemyka. Pierwszy z nich wystosował list do wicepremiera Rakowskiego, drugi — do ministra Kiszcza, w których wyrażali oburzenie społeczeństwa śmiertelnym pobiciem Grzegorza Przemyka przez milicję i żywili nadzieję, że ta tragiczna śmierć stanie się przełomem w postępowaniu władz z młodzieżą. Wezwanie obu literatów w charakterze świadków — co ujawniły pytania prokuratora — miało na celu wykazanie, że nie wiedzieli oni niczego konkretnego na temat powodów śmierci Grzegorza Przemyka, prócz wiadomości od B. Sadowskiej i innych bliżej nieokreślonych osób, a ich wystąpienia stały się początkiem kampanii propagandowej przeciwko władzom PRL, szeroko wykorzystywanej przez wroga rozgłosnie radiowe i nielegalne wydawnictwa. Środki masowego przekazu, obszernie relacjonujące wystąpienia obu literatów, pominęły słowa W. Woroszyńskiego, że gdy w okresie międzywojennym w podobnych sprawach zabierali głos pisarze tacy jak Żeromski, Kuncewiczowa czy Strug, to występo-

wali jako wyraziciele opinii publicznej i nikt od nich nie żądał, by przeprowadzali śledztwo na własną rękę.

Biegli

Przez pierwszy tydzień procesu wyjaśnieniom oskarżonych i zeznaniom wybranych świadków przysłuchuje się zespół 9 biegłych (prof.prof. M. Barczyński, A. Jakliński, Z. Marek, K. Fidelus, S. Raszeja, doc.doc. M. Bogusz, K. Jaegermann, dr dr B. Andreas-Ludicka i U. Wojda-Gradowska) w zakresie medycyny sądowej, chirurgii i biomechaniki, którzy przedstawiają Sądowi uzgodnioną wspólną opinię, w której reasumują i podtrzymują swoje poprzednie 5 opinii wydanych w mniejszych zespołach. Biegli wypowiadają się w czterech zasadniczych kwestiach: 1) Jako przyczynę zgonu Grzegorza Przemyka podają zmiany urazowe w postaci stłuczenia krezki i jelit, w szczególności jelita grubego, co doprowadziło do ich pęknięcia, zapalenia otrzewnej i wstrząsu septyczno-toksycznego, stanowiącego bezpośrednią przyczynę śmierci. 2) Obrażenia jamy brzusznej powstały na skutek urazu lub urazów zadanych narzędziem tępym, o ograniczonej powierzchni, np. pięścią, łokciem, kolanem lub obutą nogą. 3) Hipotetycznie miejscem powstania urazów mogły być: komisariat, parterowy korytarz w budynku Pogotowia lub winda w Pogotowiu. Z rozważań wyeliminowano możliwość powstania urazów na Placu Zamkowym, w czasie transportu karetką i na I piętrze w Pogotowiu.

Wydarzenia na Komisariacie, które „znalazły swoje odbicie w zeznaniach C. Filozofa mogą w pełni odpowiadać wynikom badań lekarskich Grzegorza Przemyka, a nawet nic nie sprzeciwia się przyjęciu tej wersji za prawdziwą”. Dodatkowym potwierdzeniem tej wersji jest fakt, że „Grzegorz Przemyk, uprzednio zdrowy, opuścił komisariat z zauważalnymi objawami chorobowymi, mianowicie z wyraźnym utrudnieniem kontaktu psychicznego z otoczeniem i zaburzeniami sprawności fizycznej”.

Druga wersja wydarzeń na korytarzu pod windą, opisana w zeznaniach M. Wysockiego w śledztwie, który „opisał nagły upadek prowadzonego przez siebie Grzegorza Przemyka oraz pociągnięcie za sobą oskarżonego”: należy uznać za nieprawdopodobne, aby doszło wówczas do ciężkich uszkodzeń brzucha, przy założeniu, że ewentualne oparcie nogi na brzuchu Grzegorza Przemyka miało charakter przypadkowy, a więc niezamierzony.

Natomiast przyjmując wersję podaną przez J. Szyzdka, jako-

by M. Wysocki przyznał się, że uderzył Grzegorza Przemyska pięścią w brzuch, a następnie kopnął go, to „nie można wykluczyć, że w takich warunkach doszło do obrażeń jamy brzusznej lub pogłębienia wcześniej istniejących uszkodzeń”, wymagałoby to jednak założenia, „że w momencie ciosu pięścią w brzuch tułów Grzegorza Przemyska był usztywniony”.

Natomiast wersja wydarzeń w windzie jaką podał ją w śledztwie M. Wysocki „nie znajduje potwierdzenia w wynikach badań lekarskich, jeśli uwzględnić pozycję wzajemną J. Szyzdka i pokrzywdzonego, co zademonstrowano i utrwalono w zapisie magnetowidowym”.

4) Jeśli chodzi o ocenę sposobów badania, leczenia i rozpoznania Grzegorza Przemyska przez oskarżonych lekarzy, to biegli, przyjmując, iż P. Willmann nie dopełnił obowiązku staranności lekarskiej, gdyż nie przeprowadził stosownych badań i nie skorzystał z konsultacji lekarzy innych specjalności, zaś B. Jasicki wykazał brak aktywności przy zbieraniu wywiadu lekarskiego i zbadał pacjenta pobieżnie i niedokładnie, postępowanie obu lekarzy ocenili jako błąd lekarski.

W odpowiedzi na liczne pytania Sądu, prokuratora i obrońców biegli wyjaśniają dodatkowo kilka spraw: nie można z punktu widzenia medycznego wytłumaczyć zachowania Grzegorza Przemyska na Komisariacie opisanego przez oskarżonych sanitariuszy, funkcjonariuszy MO i świadka C. Filozofa bez „incydentów urazowych”. Przy urazach brzucha, takich jak doznał Grzegorz Przymyk może występować kolejno faza pobudzenia (agresji) i apatii, co tłumaczy jego późniejsze zachowanie. Brak zewnętrznych obrażeń jamy brzusznej jest zjawiskiem dość częstym przy tego rodzaju urazach. Inne zmiany na ciele Grzegorza Przemyska opisane w protokole sekcyjnym, mianowicie na głowie, karku i plecach są śladami ciosów zadanych tępym narzędziem. Zabicie człowieka przez nadeptanie mu na brzuch — tak jak to opisywał w śledztwie M. Wysocki — musiało być działaniem celowym przez stanięcie na brzuchu całym ciężarem. Zdaniem biegłych Grzegorz Przymyk musiał otrzymać więcej niż jeden cios, gdyż trudno połączyć skutki jednego ciosu z doznanymi obrażeniami.

Na wniosek obrońcy oskarżonego I. Kościuka Sąd powołuje dalszych biegłych, tym razem psychiatrów, którzy mają odpowiedzieć na pytania: czy zachowanie Grzegorza Przemyska w Komisariacie i w czasie całego incydentu było związane ze stanem chorobowym opisanym w dokumentacji lekarskiej znajdującej się w aktach sprawy, czy też nosiło cechy zaburzeń psychicznych. Przez

następny tydzień dwóch psychiatrów, Józef Mielczarek ze szpitala więziennego na Rakowieckiej i Stanisław Krzak ze szpitala więziennego w Olkuszu, przysłuchują się rozprawie, aby przedstawić następnie swą opinię.

Nagły zwrot zainteresowań sądu, który przestaje się interesować śmiertelnymi urazami brzucha Grzegorza Przemyka i do końca sprawy będzie przez długie godziny deliberował nad jego stanem psychicznym, początkowo budzi zdumienie i dezorientację wśród obserwatorów procesu. Później jednak stało się jasne, że prokuratorzy i obrońcy funkcjonariuszy zmierzają w ten sposób do wyeliminowania Grzegorza Przemyka jako świadka zza grobu, on to bowiem opowiadał kolegom i lekarzom o swym pobiciu na Komisariacie.

Przed sądem staje dodatkowo powołany świadek dr G. Małatyńska-Piekarska, lekarz psychiatra z przyszkolnej przychodni zdrowia psychicznego przy ul. Nowowiejskiej, u której Grzegorz Przemyk konsultował się 3-krotnie w ciągu kwietnia i maja 1983 roku. Rozpoznała u niego zaburzenia osobowości, reakcję dezadaptacyjną i tzw. zespół psychoorganiczny. Nie przeprowadzała szczegółowych badań, pozostawiając je na okres po maturze. Grzegorz Przemyk miał dwukrotnie w dzieciństwie wstrząs mózgu, w wieku 14 lat przebywał na leczeniu w dziecięcym szpitalu psychiatrycznym, ponieważ kilkakrotnie odurzał się butaprenem, z którym zetknął się przy klejeniu modeli. Stwierdzono u niego wtedy zaburzenia zachowania wynikające z trudnej sytuacji rodzinnej i pogłębione okresem dojrzewania. Doraźnie świadek przepisała mu leki uspokajające i wystawiła zaświadczenie, że nie nadaje się do służby wojskowej. Komisja wojskowa dała mu kategorię E. Lekarka podkreśla, że wezwanie Grzegorza Przemyka na komisję wojskową w tym terminie było czymś niezwykłym, bowiem maturzystów wzywa się zwykle na komisje w terminie jesiennym, po wynikach egzaminów na wyższe uczelnie. Po raz pierwszy spotkała się z przypadkiem wezwania w trakcie zdawania egzaminów maturalnych.

Według opinii biegłego J. Mielczarka zachowanie Grzegorza Przemyka nosiło cechy zaburzeń psychicznych, w szczególności reakcji dezadaptacyjnej. Odmowa pokazania dowodu, wykrzykiwanie „Niewiele już Wam zostało”, opór przy wsiadaniu do radiowozu, próba wyrwania pałki na komisariacie i nieartykułowane okrzyki były objawami zaburzeń psychicznych. Natomiast zachowanie Grzegorza Przemyka na Pogotowiu wynikało z zaburzeń świadomości, które można łączyć z uszkodzeniem narządów wewnętrznych i rozwijającym się wstrząsem pourazowym.

W swojej opinii biegły S. Krzak stanowczo stwierdza, że Grzegorz Przemyk w czasie incydentu na Placu Zamkowym, pobytu na Komisariacie, transportu karetką i pobytu na Pogotowiu znajdował się w stanie zakłóceń czynności psychicznych w postaci atypowego upojenia alkoholowego na podłożu encefalopatycznym. Z powodu encefalopatii Grzegorz Przemyk miał obniżoną tolerancję na alkohol. Atypowe upojenie spowodowało zaburzenia świadomości i pamięci, dezorientację co do miejsca i czasu, tzw. niepamięć wsteczną. Zeznania świadków, którym opowiadał o zdarzeniach z 12 maja nie mogą więc mieć dużej wartości dowodowej. W tym stanie rzeczy skierowanie Grzegorza Przemyka do szpitala psychiatrycznego przez P. Willmanna było słuszne, a brak zgody matki wpłynął zdecydowanie negatywnie na jego losy.

Zespół sędziowski zadaje biegłemu bardzo wiele pytań, w trakcie których okazuje się, że nie potrafi on uzasadnić swojej opinii. Trudno zrelacjonować ten fragment rozprawy, który obrońcy nazwali żenującym, i jedyne momenty w czasie procesu, gdy sala wybuchała śmiechem. Okazało się np., że według biegłego można być atypowo upojonym przy fizjologicznym poziomie alkoholu w organizmie, lub, że on tu i teraz ma większe możliwości diagnozowania zaburzeń psychicznych Grzegorza Przemyka w wieku lat 14-tu, niż mieli to dziecięcy psychiatry, pod których opieką Grzegorz Przemyk przebywał przez 37 dni. Biegły nie potrafił też wyjaśnić, jak to się stało, że opowiadania Grzegorza Przemyka o obrażeniach jamy brzusznej, o których mówił personelowi szpitala na Solcu, odpowiadały ich stwierdzeniom poczynionym w czasie operacji i podczas sekcji.

Po wystąpieniach biegłych psychiatrów obrońca P. Willmanna zgłasza wniosek o powołanie nowej ekipy 10 biegłych, gdyż poprzedni zespół nie uwzględnił całości materiału dowodowego, jako że biegli uczestniczyli w rozprawach tylko przez 5 dni, ponadto nie uwzględnili oni możliwości, iż Grzegorz Przemyk mógł mieć zaburzenia świadomości wynikające z urazów czaszki. Sąd decyduje powołać trzech dodatkowych biegłych: chirurga, neurochirurga i psychiatrę. Po tygodniowej przerwie w rozprawach przedstawiają swoje opinie T. Tołłoczko, chirurg, K. Jarek, neurochirurg, M. Uleniecki, psychiatra. Wszyscy uznają, że Grzegorz Przemyk doznał urazów czaszki, które mogły spowodować jedynie krótkotrwałą utratę świadomości. Jednakże, jak stwierdza dr K. Jarek, nie dawały one żadnych podstaw do diagnozowania upojenia patologicznego i skierowania do szpitala psychiatrycznego. Uraz czaszki powstał na wklęsłej jej części, co dowodzi, że nie mógł być wynikiem ani upadku na bruk Placu Zamkowego,

ani na posadzkę w Pogotowiu, ani od uderzeń na schodach. Powstał pod wpływem uderzeń tępym narzędziem, np. pięścią lub pałką. Dr M. Uleniecki kategorycznie stwierdza bezpodstawność diagnozy i decyzji P. Willmanna i uważa, że stan Grzegorza Przemyska nakazywał natychmiastową hospitalizację, choćby w szpitaliku Pogotowia, ale nigdy w szpitalu psychiatrycznym, gdzie nie ma stałego internisty, chirurga czy neurochirurga.

Ostatni wniosek w sprawie biegłych składa obrońca M. Wysockiego, wnosząc o powtórne wezwanie zespołu 8 biegłych, aby ustosunkowali się do opinii dr. K. Jarka o urazach czaszki i ich konsekwencjach, oraz opinii dr. S. Krzaka na temat atypowego upojenia alkoholowego i niepamięci wstecznej Grzegorza Przemyska. Po długich deliberacjach Sąd decyduje się na powołanie raz jeszcze dr. K. Jarka i dr. B. Ludwickiej-Andreas i dr. U. Wojda-Gradeckiej, anatomo-patologów, które przeprowadzały sekcję. W konkluzji swych wywodów biegli ci stwierdzają zgodnie, że Grzegorz Przemyski nie miał obrażeń mózgu, lecz tylko obrażenia czaszki, które mogły spowodować objawy wstrząsu mózgu, lecz trudno je rozgraniczyć od objawów rozwijającego się ogólnego wstrząsu pourazowego. Nie widzą też żadnej sprzeczności między swoimi opiniami a opiniami zespołu 9 biegłych.

Przemówienia stron

Panie prokuratorce nierówno podzieliły między siebie rolę oskarżyciela publicznego. W. Bardonowa zajęła się funkcjonariuszami MO i załogą karetki, A. Jackowska — lekarzami i drugorzędnym zarzutem pobicia W. Piwoskiego. Zaskakującym elementem obu wystąpień był fakt, że nie zawierały one wniosku o wymiar kary dla oskarżonych, co się nie zdarza w poważniejszych sprawach karnych.

Zasadniczą tezę wystąpienia prokurator Bardonowej było stwierdzenie, że legendę o pobiciu Grzegorza Przemyska na Komisariacie stworzyło określone środowisko reprezentowane przez W. Woroszyńskiego i J. J. Szczepańskiego, a została ona rozkolportowana dla celów politycznych przez wrogie ośrodki, w szczególności RWE i nielegalne wydawnictwa „na bazarowym poziomie”. B. Sadowska dowiedziała się o pobiciu syna od J. Kotańskiego, który usłyszał nieartykułowany krzyk. To wystarczyło do wylansowania tezy o śmierci jej syna, jako aktu zemsty za jej działalność polityczną. Stwierdzenie to — zdaniem prokuratora — jest absurdalne, bowiem nie takich mamy działa-

czy opozycyjnych, a nie słyhać, by ich rodzinom coś się złego stało.

A jak wyglądają dowody? Koronny świadek w sprawie, C. Filozof, ukrywa się, rzekomo się boi, boi się stawić się w prokuraturze — czy tam też biją? Nie ulega wątpliwości, że B. Sadowska wiedziała o miejscu jego pobytu, choć temu zaprzeczyła. C. Filozof za każdym razem zeznaje inaczej, raz podając, że Grzegorz Przemyk był bity pałką, innym razem, że łokciem, nie umie podać liczby ciosów. Tu wymienia drobne, ale zrozumiałe różnice w zeznaniach, które w opinii pani prokurator mają wyglądać na gigantyczne kręactwo. Następnie prokurator podbudowuje swoje argumenty sięgając do skomplikowanego życiorysu C. Filozofa. Podobnie rozprawia się z zeznaniami J. Kotańskiego, dla którego nieartykułowany krzyk pod Komisariatem musiał być krzykiem Grzegorza Przemyka i to krzykiem Grzegorza Przemyka bitego przez milicję. Jeśli chodzi o zeznania innych kolegów i personelu lekarskiego ze szpitala na Solcu, którym Grzegorz Przemyk opowiadał o swym pobiciu, pani prokurator proponuje przyjąć następujące rozwiązanie. Należy przyjąć opinię dr. S. Krzaka, że Grzegorz Przemyk był atypowo upojony, co jak wiadomo prowadzi do zaburzeń pamięci, wtedy staje się jasne, że powtarzał to, co mu mówiło otoczenie i co było zbieżne z poglądami matki. Dlatego właśnie mówił o pobiciu na Komisariacie, a nie na Pogotowiu, choć to jest pewne w świetle dowodów, ale nie pasowało do tez lansowanych przez środowisko. Zeznania świadków były uzupełniane i tak powstała historia o powiedzeniu „Bijcie tak, żeby nie było śladów”, kiedy się okazało, że sekcja nie ujawniła zewnętrznych śladów pobicia. Nie ma żadnych powodów, by nie przyjąć zeznań funkcjonariuszy, którzy twierdzą, że Grzegorz Przemyk krzyczał, więc go posadzili na krześle i poczęstowali papierosem — i to wszystko, co się tam stało. Wobec dziwnego zachowania Grzegorza Przemyka nie powinno budzić niczyjego zdziwienia wezwanie przez Komisariat karetki Pogotowia.

Należy odrzucić opinię zespołu 9 biegłych, ponieważ biegli nie mają prawa oceniać dowodów, a tak zrobili opierając swoje rozumowanie na jednej z wersji zeznań C. Filozofa.

Następnie prokurator zajmuje się dowodzeniem, iż należy uznać za wiarygodne zeznania świadków z Pogotowia: I. Domagały, J. Welenc i W. Dzbikowicz, które są świadkami nie zainteresowanymi w sprawie, a więc bezstronnymi. Nie ma żadnej tajemnicy ani podtekstów w ich odnalezieniu, było to po prostu wynikiem żmudnej pracy organów ścigania, które przesłuchały

wszystkich pacjentów Pogotowia obecnych tam po południu 12 maja. W zeznaniach tych świadków są rozbieżności, jedni mówią o sanitariuszach w „białych fartuchach”, inni w „niebieskich mundurach”, jedni o ciągnięciu Grzegorza Przemyska za rękę, inni — za nogi, ale są to naturalne błędy postrzegania i podnoszą jedynie wiarygodność świadków. Spotkały ich za to tylko przykrości, wymysły i obelgi, bowiem personel Pogotowia nie bał się nawet w obecności prokuratora i milicji znieważać ich po wizji lokalnej. Przypadek windziarza jest dodatkowym dowodem terroru panującego w Pogotowiu. W swych pierwszych zeznaniach windziarz nie mógł sobie przypomnieć przewożenia Grzegorza Przemyska i sanitariuszy, później musiał sobie przypomnieć, gdyż się bał — jest starym człowiekiem, przed emeryturą. W świetle wyjaśnień świadka L. Dettlaffa można przyjąć, że nie było go w windzie, gdy sanitariusze załadowali się z Grzegorzem Przemyskiem. Wina M. Wysockiego, który uderzył Grzegorza Przemyska pięścią w brzuch i poprawił kopnięciem jest niewątpliwa, czego dowodzi pokazywana Sądowi scena konfrontacji między M. Wysockim i J. Szydzkiem i konsekwentne zeznania tego ostatniego. W konkluzji prokurator twierdzi, że nie ulega wątpliwości, że Grzegorz Przymek doznał obrażeń na Pogotowiu, co w pełni uzasadnia kwalifikację prawną aktu oskarżenia.

Prokurator A. Jackowska dowodzi, że zarówno P. Willmann jak i B. Jasicki nie dopełnili obowiązku starannego zbadania pacjenta. P. Willmann po otrzymaniu informacji od B. Sadowskiej o możliwości pobicia syna, nie przeprowadził powtórnego badania i zaniechał konsultacji innych lekarzy, zaś B. Jasicki po otrzymaniu informacji o pobiciu nie zainteresował się tym bliżej, przeprowadzając badania powierzchownie i uznając bóle brzucha Grzegorza Przemyska za pochodzenia nerwicowego.

Fakt przedstawienia zarzutów w niniejszej sprawie M. Wysockiemu i J. Szydzkowi spowodował zainteresowanie się organów ścigania ich przeszłością. W wyniku rutynowej pracy sprawdzono wszystkie wyjazdy tego zespołu, natrafiono na przypadki użycia przez nich siły w stosunku do pacjentów. Część tych przypadków, podlegających ściganiu z okarżenia prywatnego, uległa przedawnieniu, pozostał tylko przypadek pobicia W. Piwoskiego. Co prawda upływ czasu zatarł w pamięci pokrzywdzonego wydarzenia tamtego dnia, należy jednak przyjąć, że M. Wysocki kopnął go w podbrzusze, potem skopali go obaj i wrzucili do karetki. Dowodem na to jest przyznanie się do tego pobicia przez M. Wysockiego w śledztwie, jego upodobanie do rozwiązań siłowych, jego kryminalna przeszłość oraz zeznania świadka L. Dettlaffa o

stosunkach panujących w Pogotowiu. Podobnie należy przyjąć udział J. Szyzdka w tym pobiciu, ponieważ wszedł on w określone środowisko i przyjął sposób bycia M. Wysockiego.

Obronca M. Wysockiego, adwokat Henryk Urban mówi rzeczowo, spokojnie i bez agresji. Na wstępie stwierdza, że udział M. Wysockiego w tej sprawie jest tragicznym przypadkiem polegającym na tym, że 12 maja był kierowcą tej, a nie innej karetki. Podkreśla fakt ukierunkowania postępowania przygotowawczego, czego dowodem są dwa akty oskarżenia, które przy tym samym stanie faktycznym i materiale dowodowym przyjmują różną kwalifikację prawną czynów oskarżonych, o czym powiedzieliśmy na początku. Przełomowym momentem w tej sprawie jest aresztowanie M. Wysockiego i J. Szyzdka w sprawie drugorzędnej o pobicie W. Piwoskiego. Twierdzenia prokuratora, że odnaleziono tego pokrzywdzonego w wyniku żmudnej pracy organów ścigania budzi zdziwienie wobec faktu, że w aktach sprawy jest notatka o anonimowym telefonie, w wyniku którego został on wezwany na przesłuchanie.

M. Wysocki jest osobowością skomplikowaną, przyznaje się i odwołuje swoje zeznania, we wszystkich jednak podaje o nieumyślnym zadaniu ciosu. Jego poczucie winy ma charakter religijny, a nie prawny. Dla obrony M. Wysockiego istotny jest okres kilkunastu sekund pod drzwiami windy na Pogotowiu. Jedynym świadkiem tych wydarzeń był J. Szyzdek, który opisuje scenę upadającego Grzegorza Przemyka i uniesionej nad nim nogi M. Wysockiego. Obciążające zeznania J. Szyzdka składają się z dwóch elementów, z tego co J. Szyzdek widział i z tego, co jakoby słyszał od M. Wysockiego. Prokurator łączy te oba elementy w jedną całość, by dowieść winy M. Wysockiego. Mają one jednak inną wartość dowodową. Rozstrzygająca w tej kwestii jest opinia biegłych, którzy stwierdzili, że warunkiem zadania obrażeń pod windą musiałyby być usztywnienie tułowia Grzegorza Przemyka, co nie miało miejsca na Pogotowiu, lecz zgodnie z zeznaniami C. Filozofa miało miejsce w Komisariacie, gdzie Grzegorz Przemyk był przytrzymywany. Druga wersja rozpatrywana przez biegłych dotyczy jednego potężnego ciosu, po którym Grzegorz Przemyk musiałby być odrzucony o co najmniej metr, lecz wtedy upadłby nie do przodu, lecz do tyłu na oszklone drzwi, co jak wiadomo nie miało miejsca. Zeznania świadków z Pogotowia, które były podstawą sporządzenia pierwszego aktu oskarżenia, są pełne sprzeczności co do okoliczności i czasu zdarzenia. Zdziwienie musi budzić fakt, że na brutalne traktowanie Grzegorza

Przemyka przez sanitariuszy nikt z obserwujących to zdarzenie nie zaprotestował.

Biegły dr K. Jarek wykluczył możliwość powstania obrażeń głowy Grzegorza Przemyka na Placu Zamkowym i na Pogotowiu, musiały być więc one zadane gdzie indziej. Nie można przyjąć opinii dr. S. Krzaka — na której opiera się wywód prokuratora — że Grzegorz Przemyk był atypowo upojony, w konsekwencji czego cierpiał na zanik pamięci. Grzegorz Przemyk rozmawiał z wieloma ludźmi, m.in. z lekarzami i nie poskarżył się im na złe traktowanie przez sanitariuszy; czyżby umierający chłopiec był tak zimny, że zataił prawdę? Dr S. Krzak — zdaniem obrońcy — dążył do obalenia opinii pozostałych biegłych, udzielał odpowiedzi na pytania, których mu nikt nie zadawał i wskazywał, kto ma być w tej sprawie skazany, a to nie jest rolą biegłego. Jeśliby Sąd uwzględnił tę opinię, to dla obywateli tego kraju byłoby niebezpiecznie leczyć się u takich lekarzy.

W końcu obrońca omawia sprawę pobicia W. Piwoskiego, wskazując na niekonsekwencje w jego zeznaniach i stwierdzając, że mamy w tym przypadku do czynienia co najwyżej z naruszeniem nietykalności osobistej, co jest ścigane z oskarżenia prywatnego i jako takie uległo przedawnieniu. Wnosi o uniewinnienie swego klienta od obydwu zarzutów.

Obrońca J. Szyzdka, adwokat Mirosław Brych, zgadzając się z poglądem, iż w rozpatrywanej sprawie zapadł wyrok w części opinii publicznej, apeluje do Sądu, aby nie poddawał się presji opinii publicznej i niepublicznej. Twierdzi, że jedynymi dowodami w tej sprawie, które nie budzą wątpliwości, są wszystkie opinie biegłych, z wyjątkiem opinii dr. S. Krzaka, którego wyjaśnienia wzbudziły śmiech na sali i zostały skwitowane powiedzeniem o „gorejącym krzaku, który spłonął na naszych oczach”. Pozostali biegli, oceniając zadane urazy i sposoby ich powstania, ustalali stopień prawdopodobieństwa ich powstania. Wykluczyli oni jednak z całą pewnością dwa przypadki: wersję M. Wysokiego pomawiającego J. Szyzdka o zadanie obrażeń w windzie oraz zadanie ich w czasie transportu karetką. Świadkowie z Pogotowia rzeczywiście nie byli zainteresowani w sprawie, co jednak nie znaczy, że są wiarygodni. Nie wiadomo, kto z nich mówi prawdę, czy ci którzy widzieli wyciąganie za nogi, czy ci — za ręce, czy ci, którzy mówili, że Grzegorz Przemyk był nieprzytomny, czy ci, którzy widzieli, że był pokrwawiony. Jeśli prokurator odrzuca zeznania J. Kotańskiego dotyczące krzyku na Komisariacie, to nie może on przyjmować zeznań o krzyku na Po-

gotowiu. Jest to przykład stosowania w tym procesie podwójnych standardów.

Materiał dowodowy nie daje żadnych podstaw do przyjęcia zarzutów przeciwko J. Szydzkowi, ponieważ biegli wyeliminowali możliwość powstania obrażeń na Pogotowiu, świadków praktycznie nie ma, J. Szydek do niczego się nie przyznał, a M. Wysocki nie przyznał się do złego zamiaru, lecz do nieumyślnego nadeptnięcia. Nie ma na nic dowodu, poza ewentualną niedelikatnością załogi w stosunku do Grzegorza Przemyska.

Sprawa pobicia W. Piwoskiego, nawet jeśli ją wykryto w ramach rutynowych działań, choć notatka w aktach temu przeczy, jest typowym przykładem gry śledczej. Z braku dowodów w sprawie głównej, szuka się wsparcia w sprawie pomocniczej dla uprawdopodobnienia zarzutu głównego. W oparciu o tę sprawę aresztowano załogę karetki i posłużono się dobrze znaną techniką ping-ponga, podrzucając jednemu oskarżonemu obciążające zeznania drugiego. Przy takim postępowaniu istnieje jednak ryzyko dojścia do fałszu. Poszkodowany W. Piwoski może zeznać szczerze, ale był pijany jak bela i sam mówi, że pamięta „jak przez mgłę”. Ocena jego zeznań przez prokuratora jest znowu przykładem podwójnych standardów. Dla oceny zeznań C. Filozofa i J. Kotańskiego potrzebny był biegły psycholog, a w przypadku W. Piwoskiego przyjmuje się je bez zastrzeżeń. W konkluzji obrońca wnosi o uniewinnienie J. Szydzka z obu zarzutów.

Wystąpienia obu obrońców oskarżonych funkcjonariuszy są pełne argumentów propagandowych i agresji wobec B. Sadowskiej.

Obrońca I. Kościuka, adwokat Włodzimierz Mizger-Chojnacki twierdzi, że jego klient jest w akcie oskarżenia, nie ma go natomiast w materiale dowodowym. Dyskwalifikuje następnie zeznania C. Filozofa i J. Kotańskiego, wyolbrzymiając — podobnie jak prokurator — drobne różnice w zeznaniach. Podkreśla fakt, że C. Filozof nie rozpoznał I. Kościuka na rozprawie, a wizja pokazuje, że bijący funkcjonariusz był leworęczny, jego klient natomiast nie jest mańkutom. Twierdzi dalej, że zachowanie Grzegorza Przemyska najlepiej wyjaśnia opinia dr. S. Krzaka, w świetle której orzeczenie Komisariatu, że mają do czynienia z zatrzymanym wariatem, było w pełni uzasadnione. Odrzucając zeznania C. Filozofa, trzeba także odrzucić opinię zespołu 9 biegłych, którzy się na tych zeznaniach opierali. Stała się tragedia, ale nie można jej łączyć z pracą aparatu policyjnego. Całą sprawę pobicia na Jezuickiej stworzyła plotka i RWE, nadając wymaginowany

proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka. Nie ma żadnych dowodów i obrońca sugeruje, że Grzegorz Przemyk mógł odnieść obrażenia przed 12 maja, np. poprzedniego dnia na przyjęciu, na którym był obecny. Do tragedii doprowadziła niesprawność w ratowaniu Grzegorza Przemyka, a w szczególności B. Sadowska, która nie posłuchała P. Willmanna ani nie zapewniła mu innej pomocy lekarskiej, tak jak to powinna zrobić dobra matka. Wnosi o uniewinnienie.

Obrońca A. Denkiewicza, adwokat Józef Kuczyński na wstępie, nawiązując do poruszonej przez obrońcę H. Urbana kwestii ukierunkowania postępowania przygotowawczego, stara się wykazać, że było ono ukierunkowane przez stronę przeciwną. Ukrywano koronnego świadka C. Filozofa, czekając na wyniki sekcji. Następnie, opierając się na znajdującym się w protokole sekcyjnym zapisie o „zadaniu urazów w szczególny sposób”, stworzono historię o poleceniu bicia bez śladów. Wszyscy widzieli, że w trakcie identyfikacji, w czasie której C. Filozof rozpoznał A. Denkiewicza jako wypowiadającego te słowa, najbardziej aktywny był M. Bednarkiewicz, który manipulował C. Filozofem. Nie na wiele się to zresztą przydało, bo na rozprawie C. Filozof wycofał się z tej identyfikacji. Wobec tego upada zarzut postawiony jego klientowi.

Omawiając sprawę miejsca, gdzie Grzegorz Przemyk odniósł obrażenia obrońca wskazuje na windę. Jego rozumowanie opiera się na opinii dr. S. Krzaka, który uznał, że do momentu opuszczenia windy zachowanie Grzegorza Przemyka tłumaczy się zaburzeniami psychicznymi, dopiero zaś z windy trzeba go wynosić. Nie wyklucza także zupełnie innego miejsca, np. toalety, gdzie Grzegorz Przemyk upadł i gdzie towarzyszył mu jedynie C. Filozof. Obrońca dyskredytuje także zeznania kolegów Grzegorza Przemyka i lekarzy. W końcu polemizuje z listem do Sądu B. Sadowskiej i twierdzi, że nikomu nie można odmawiać prawa do obrony i przyjmować za argument obciążający fakt, że obaj funkcjonariusze skorzystali w śledztwie z prawa odmowy zeznań. Wnosi o uniewinnienie.

Obrońca P. Willmanna, adwokat Wacław Sudziarski polemizuje na wstępie z kwalifikacją prawną aktu oskarżenia przypisując jego klientowi winę umyślną, podczas gdy prawidłową kwalifikacją winna być wina nieumyślna. Następnie uzasadnia, że P. Willmann nie wiedział o pobiciu Grzegorza Przemyka, wobec tego badania jakie przeprowadził były adekwatne, ponieważ

nie było jeszcze objawów wstrząsu pourazowego. Zeznania funkcjonariuszy MO, załogi karetki i pacjentów Pogotowia wykazują, że Grzegorz Przemyk cierpiał na zaburzenia psychiczne. Potwierdza to opinia dr. S. Krzaka, która — choć nie umiał jej uzasadnić przed Sądem — jest jedynie prawdziwa. W świetle tych dowodów diagnoza i decyzja P. Willmanna o skierowaniu do szpitala psychiatrycznego były słuszne. Pozostali biegli nie mieli racji, ponieważ nie uczestniczyli w całym postępowaniu dowodowym. Błędem było powoływanie biegłych spoza Warszawy, ich nieobecność w trakcie całego postępowania dowodowego wypaczyła obraz procesu. Dodatkowych biegłych obrońca dyskwalifikuje na tej podstawie, że nie mieli dość czasu na zapoznanie się z aktami sprawy. W konkluzji wywodów wnosi o uniewinnienie P. Willmanna

Obrońca B. Jasickiego, adwokat Andrzej Szostek polemizuje z kwalifikacją prawną aktu oskarżenia i dowodzi, że jego klient mógł popełnić błąd, ale to była wina nieumyślna, nie miał bowiem świadomości niebezpieczeństwa grożącego życiu Grzegorza Przemyka. Zbadał pacjenta, nie znalazł śladów urazów, więc nie uwzględnił informacji o jego pobiciu. W procesach lekarskich zawsze są trudności w ocenie zachowania lekarza, gdyż bezbłędną diagnozę sporządza się dopiero na stole sekcyjnym. Obrońca wnosi o uniewinnienie swego klienta, a z ostrożności procesowej alternatywnie wnosi o przyjęcie winy nieumyślnej i umorzenie postępowania na podstawie ustawy amnestyjnej z dnia 21 lipca 1983 roku.

Przy końcu dodaje, że uwzględniając interesy obu stron procesowych, nie należy oceniać postępowania B. Sadowskiej i obciążać ją współwiną za śmierć syna, nie miała ona bowiem świadomości niebezpieczeństwa grożącego jej dziecku.

W y r o k

16 lipca 1984 roku Sąd ogłasza wyrok. Oskarżonych funkcjonariuszy MO I. Kościuka i A. Denkiewicza uniewinnia od stawianych im zarzutów. Umarza postępowanie na podstawie ustawy amnestyjnej z dnia 21 lipca 1983 roku w stosunku do oskarżonych lekarzy P. Willmanna i B. Jasickiego, uznając ich winę za nieumyślną.

Oskarżonych M. Wysockiego i J. Szydzka uznaje winnymi narażenia Grzegorza Przemyka na bezpośrednie niebezpieczeństwo

ciężkiego rozstroju zdrowia przez przytrzymanie go w karetce za ręce i głowę, niewłaściwy transport, rzucenie go w windzie i na posadzkę pod drzwiami gabinetu, czyli o czyn z art. 160 § 2 KK. Wymierza im za karę: M. Wysockiemu 2 lata pozbawienia wolności i J. Szydzkowi 1 rok i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Uznaje ich także winnymi pobicia W. Piwoskiego i skazuje odpowiednio na kary 1 roku i 10 miesięcy pozbawienia wolności. Jako karę łączną Sąd przyjmuje 2 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności dla M. Wysockiego i 2 lata pozbawienia wolności dla J. Szydzka. Jako karę dodatkową Sąd orzeka dla obu zakaz pracy w placówkach Służby Zdrowia przez okres 5 lat.

Po ogłoszeniu sentencji wyroku część publiczności opuszcza salę sądową.

W ustnym uzasadnieniu wyroku Sąd podkreśla, że mimo zwrotu akt śledztwa do uzupełnienia w styczniu 1984 roku, pomimo dużych nakładów sił i środków nie wyczerpano wszystkich zadań postępowania przygotowawczego dotyczących osoby sprawcy, a także związanych z osobowością Grzegorza Przemyka. Spowodowało to konieczność uzupełniania tych braków na rozprawie przed sądem, co jednak, jeśli chodzi o ustalenie sprawcy lub sprawców, na tym etapie sprawy nie mogło być skuteczne, jeśli się uwzględni wpływ czasu od daty tragedii. Niezależnie od nieskuteczności postępowania przygotowawczego należy podnieść, zdaniem Sądu, że zachowanie niektórych osób będących świadkami zdarzeń w różnych jego fazach wpłynęło na ogólny wynik postępowania karnego w tej sprawie. Niezależnie od motywów, którymi kierowali się świadkowie C. Filozof i J. Kotański, przesłuchanie ich po upływie 10 dni od daty zdarzenia wpłynęło na ocenę wartości dowodowej ich zeznań, w szczególności jeśli się zważy, że oni sami zaślaniai się niepamięcią już w toku śledztwa, nie mówiąc o ich zeznaniach na rozprawie. W szczególności Sąd uważa, że objęcie aktem oskarżenia I. Kościuka było całkowicie chybione i należy go uniewinnić. Ponieważ na rozprawie C. Filozof stwierdził, że nie widział by oskarżony A. Denkiewicz wypowiedział słowa o biciu bez śladów, a według aktu oskarżenia rola A. Denkiewicza miała się ograniczać do tego faktu, należy go też uniewinnić. Następnie Sąd analizując zeznania C. Filozofa, J. Kotańskiego i funkcjonariuszy MO dochodzi do konkluzji, że „brak jest dowodów na przyjęcie takich zdarzeń na terenie Komisariatu, których następstwem byłyby rozważane przez biegłych skutki; zdaniem Sądu, brak jest podstaw w szczególności dlatego, że nie rozpoznano osób, które by miały używać siły o której mówi świadek C. Filozof”.

Następnie Sąd stwierdza, że postawienie zarzutów M. Wysoc-kiemu i J. Szydzkowi o pobicie Grzegorza Przemyka ze skutkiem śmiertelnym oparte było wyłącznie na ich wyjaśnieniach złożonych w toku uzupełniającego śledztwa. Wobec faktu, że zeznania te wykluczają się wzajemnie, Sąd nie znalazł podstaw do ustaleń zarzutów aktu oskarżenia i przyjmuje, że M. Wysocki nastąpił na brzuch Grzegorza Przemyka przypadkowo, co zgodnie z opinią biegłych nie mogło spowodować takich skutków, jakie miały miejsce. Natomiast opierając się na fragmentach ich zeznań, no-tatce o użyciu siły i obserwacji postronnych obserwatorów, Sąd uznaje, że M. Wysocki i J. Szydek mając obowiązek troszczenia się o powierzonego im Grzegorza Przemyka, dopuścili się działań narażających go na ciężki rozstrój zdrowia, co znajduje oparcie w opinii biegłych.

Po zanalizowaniu postępowania obu oskarżonych lekarzy Sąd uznaje ich winę za nieumyślną.

Uzasadniając wymierzone kary Sąd stwierdza, że miał przede wszystkim na uwadze społeczną dezaprobatę dla osób, które są zobowiązane do niesienia pomocy, a zachowują się nie tylko na-gannie, lecz swym zachowaniem naruszają normy prawa karnego.

Sposób relacjonowania tego procesu przez urzędowe środki przekazu wart byłby osobnego omówienia. Skwitujemy tę spra-wę przytoczeniem fragmentu ostatniego słowa oskarżonego Jacka Szydzka: „Podobno wrogie ustrojowi siły starały się sprawę zwią-zaną ze śmiercią Grzegorza Przemyka przedstawić jako sprawę o podłożu politycznym. Wytykano i wytyka się to nadal w środ-kach masowego przekazu. A jednocześnie te same środki relacjo-nują przebieg procesu wyraźnie tendencyjnie i stronniczco. Czuję się pokrzywdzony tym, że przedmiotem oczerniania stałem się ja i moje nazwisko. Kieruję te pretensje pod adresem tych osób, które wytykając innym nadawanie rozgłosu sprawie, same uczyniły ją punktem numer jeden i sensacją radiowo-prasowo-telewizyjną”.

Po procesie

I oto wraz z werdyktem zakończyła się sprawa śmierci mło-dego poety Grzegorza Przemyka, pochowanego wraz z gitarą na Powązkach. Można by zapytać, o co cała sprawa. W Ameryce Południowej ludzie giną tysiącami pod rządami generałów. Tur-cja, Libia, Angola — to co? A jak traktuje się Murzynów w Afryce Południowej, dysydentów w Związku Sowieckim? W In-

donezji swego czasu wymordowano 1/2 miliona komunistów. Nie sięgając daleko, i w Polsce można znaleźć przykłady. Jakimi to metodami zostało zlikwidowane PSL w latach czterdziestych? A likwidacja ludzi z AK na początku lat pięćdziesiątych? Przypomnijmy śmierć Staszka Pyjasa. Pamiętajmy, że w okresie Solidarności nie można było znaleźć winnych pobicia Rulewskiego, choć cały kraj groził strajkiem. A po zamachu 13 grudnia 1981 roku jest przecież podobnie. Jak wyglądała śmierć dzieci M. Jurczyka? Dlaczego ciało Piotra Bartoszcze znalazł brat idąc śladami, na drugi dzień po odejściu milicjantów?

Można zapytać, jak się to stało, że śmierć Grzegorza Przemyska wzbudziła takie emocje i ściągnęła na cmentarz tłumy żałobników? Gdy wśród wielu podobnych faktów jeden staje się symbolem, decydują o tym przeważnie elementy drugorzędne. Tu odegrało rolę to, że tragedia dotknęła Warszawę, a w niej człowieka, który był związany, choćby pośrednio, z Kościołem i ruchem intelektualnym, w szczególności ze środowiskiem literackim. Głównym jednak powodem była sytuacja w kraju. Był to już drugi rok po wprowadzeniu stanu wojennego, a społeczeństwo ciągle nie chciało oddać resztek swojej podmiotowości, jak zresztą jest do dzisiaj. Władza w dalszym ciągu starała się opanować sytuację metodą pałki i więzień. Ludzie czuli się zagrożeni nie tylko surowością praw, ale również bezkarnością milicji. Zatrzymywani byli bici, a przed kolegami i sądami stawali milicjanci przydzieleni oskarżonym jako świadkowie i im sądy wierzyły. Młodzież na ulicach była zatrzymywana pod byle pretekstem, legitymowana i zawożona do komisariatów. Mimo to tłumy demonstrowały narażając się na gazy, armatki wodne, bicie i aresztowanie. I oto zdarzyło się coś, co jednoznacznie dowiodło, że milicja przekracza dozwolone normy, a mogło dotknąć każdego mieszkańca tego kraju. Niejeden niósł przecież za trumną Grzesia swoje obolałe plecy, każdy nosił w sobie ryzyko czegoś podobnego, może w mniejszej skali.

Socjalizm, totalitaryzm i państwo policyjne, to trzy różne rzeczy chętnie niestety się z sobą łączące. Demonstracyjny pogrzeb Grzegorza Przemyska miał na celu przede wszystkim protest przeciw trzeciemu z tych elementów rządzenia Polską w latach osiemdziesiątych. Nazywać to działaniami politycznymi, tak jak to zrobił akt oskarżenia, mowy prokuratorskie i propaganda rządowa, to tylko przyznawać, że terror policyjny jest częścią polityki tego kraju. Wydawało się przez chwilę — choćby wnioskując z tego, że milicja nie uderzyła na uczestników pogrzebu — że miara została przebrana, że rząd, Sejm, a może Rada Państwa

powołają specjalną komisję do zbadania tej sprawy. Komisję na tyle niezależną, aby była w stanie wnikać w sprawy „aparatu” i złamać poczucie wspólnoty milicji, służb bezpieczeństwa, organów ścigania i prokuratury. Tak się niestety nie stało. „Władza” nie mogła sobie pozwolić na nic, co by mogło zachwiać wiernością pilnujących jej aniołów w niebieskich mundurach. Odbył się proces symptomatyczny dla naszych czasów. Pozostała Matka pozbawiona jedynego syna i my z pytaniem: kto następny?

WSPOMNIENIA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

OSTATNI ETAP: STALINOGORSK

Polski czytelnik, który chciałby w nieoficjalnej historii sowieckiego GUŁagu znaleźć informacje o losach 50.000 osób deportowanych do Rosji w latach 1944-1945, poczuje się zapewne rozczarowany, napotkawszy w całym, ogromnym dziele Sołżenicyna jedną tylko, krótką wzmiankę na ten temat: „Pewna ilość Polaków, żołnierzy Armii Krajowej i stronników Mikołajczyka, przewinęła się przez nasze więzienia po drodze do GUŁagu¹”. Istotnie, w porównaniu z idącymi w miliony liczbami więzionych w tym okresie obywateli sowieckich, pięćdziesiąt tysięcy Polaków mogło wydać się Sołżenicynowi zaledwie „pewną ilością”, dlatego też informacji na ten temat szukać by należało w innych źródłach, jeśliby takie istniały. Niestety, mimo upływu lat czterdziestu sprawa deportacji żołnierzy AK ciągle jeszcze czeka na swego historyka, toteż dobrze się stało, że *Zeszyty Historyczne* rozpoczęły serię publikacji materiałów o obozach, w których więziono deportowanych.

Ukazały się artykuły o obozach w Skrobowie Stanisława Jerzmanowskiego (pseudonim) w *Zeszytach Historycznych* nr 54, Ostaszkowie (autor anonimowy) w numerze 67 i Riazaniu (Jerzy

1. Aleksander Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag*, Paryż 1975, str. 279.

R. Krzyżanowski) w numerze 54. Prócz tego R. E. Urbański ogłosił wspomnienia o obozach w Kałudze i Sierednikach². We wszystkich tych wspomnieniach przewija się nazwa obozu w Stalinogorsku, o którym dotychczas nie pisano, jakkolwiek stanowił on pewnego rodzaju ostatni etap w długiej i skomplikowanej historii prześladowania żołnierzy AK w pierwszych miesiącach komunistycznej władzy w Polsce. Ogłoszone ostatnio pewne dokumenty rzucają na sprawę tę nowe światło, toteż powoływać się na nie przyjdzie omawiając „prehistorię” obozu w Stalinogorsku.

Wrogi stosunek Rosji sowieckiej do AK jest sprawą ogólnie znaną i dobrze udokumentowaną, a natychmiastowe aresztowanie komend poszczególnych Okręgów oraz kadry dowódców w Wilnie, Lwowie, Białymstoku i Lublinie zaraz po ujawnieniu się wobec wkraczających wojsk sowieckich ma już obszerną literaturę³. Zapomina się jednak najczęściej, że w szeroko zakrojonych planach stworzenia II i III Armii PKWN liczył na przyciągnięcie mas żołnierskich, słusznie też zauważa historyk tego okresu, Maria Turlejska, że „do początków października w prasie i propagandzie PKWN przedstawiano żołnierzy AK jako towarzyszy broni żołnierzy z AL i PAL. Miało to również wpływ na sprawy organizacyjno-personalne⁴”. Kiedy jednak dochodzi do wyjaśnienia zaostżenia kursu politycznego, ta sama Turlejska, autorka wielu prac wychwalających „walkę z reakcyjnym podziemiem”, cofa się przed ujawnieniem powodów zmiany i ogranicza się do enigmatycznego stwierdzenia: „Mniej więcej w drugiej połowie października nastąpił zwrot w stosunku PKWN do AK. Jego przesłanki polityczne zostały częściowo omówione wyżej. Szerwsze opracowanie tego zagadnienia przekracza ramy niniejszego szkicu. Grały tu rolę różnorodne czynniki, których zbadanie leży jeszcze przed nami. Na tym miejscu odnotujmy fakt zmiany kursu⁵”. Trzeba zatem sięgnąć do innych źródeł, mówiących bardziej otwarcie o tych „różnorodnych czynnikach”.

W roku 1980 ukazała się w Londynie praca dwóch autorów, Antony Polonsky’ego i Bolesława Drukiera, którzy ogłosili w przekładzie angielskim teksty 80 dokumentów z okresu 1944-1945,

2. R. E. Urbański, „Wspomnienia żołnierza AK Okręgu Wilno”, *Kronika Historyczna Armii Krajowej*, t. II, nr 2 (grudzień 1982), str. 35-40.

3. Zob. Stefan Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, Paryż 1975, str. 171-172, 224 i przypisy.

4. *Z walk przeciwko zbrojnemu podziemi 1944-1947*, pod red. Marii Turlejskiej, Warszawa 1966, str. 37-38.

5. *Ibidem*, str. 38-39.

wywiezionych z Polski przez Drukiera i następnie zdeponowanych w The British Library of Political and Economic Science w Londynie⁶. Wiele z tych dokumentów, ogłoszonych po raz pierwszy, dotyczy bezpośrednio zagadnienia tej właśnie zmiany kursu wobec AK i wyjaśnia jej prawdziwe przyczyny oraz identyfikuje ludzi bezpośrednio za prześladowanie AK odpowiedzialnych. Przytoczone poniżej teksty zostały przetłumaczone z angielskiego, toteż mogą różnić się w drobnych szczegółach od oryginałów.

Sprawą na ogół dobrze znaną jest ostry podział wewnętrzny wśród młodszego korpusu oficerskiego i masy żołnierskiej AK wobec sytuacji politycznej zaistniałej na Lubelszczyźnie po 22 lipca 1944 roku. Pozbawieni dowództwa, aresztowanego i deportowanego w sierpniu, młodszy oficerowie i żołnierze stanęli przed decyzją przejścia do konspiracji lub zgłoszenia się do wojska na podstawie rozkazów mobilizacyjnych PKWN. Dla wielu wstąpienie do wojska wydawało się wygodnym schronieniem przed coraz szerszymi aresztowaniami, obietnice zaś stworzenia całej dywizji złożonej wyłącznie z byłych partyzantów, uznanie stanu służby, stopni i odznaczeń z okresu okupacji niemieckiej stanowiło dodatkową przynętę⁷. I jakkolwiek pozostałe w konspiracji dowództwo AK już w połowie września wydało z szeregow AK kilku dowódców, którzy wstąpili do wojska, motywując decyzję „samodzielnym opuszczeniem szeregow i złamaniem przysięgi żoł-

6. Antony Polonsky and Bolesław Drukier, *The Beginnings of Communist Rule in Poland*, London 1980, str. VII.

7. Sprawa stworzenia „partyzanckiej dywizji” nie doczekała się nigdy oficjalnego opracowania, czego dowodem są m.in. stale zmieniające się wersje jej koncepcji w publikowanych w kraju artykułach i książkach. Tak np. Stanisław Rzepki w pracy „Organizacja i szkolenie 8 Dywizji Piechoty (*Wojskowy Przegląd Historyczny*, XII, Nr 3/43) dość szczegółowo omawia rolę ppłk. Roberta Satanowskiego, dowódcy Zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła” podległego Związкови Patriotów Polskich w Moskwie, podając datę 4. VIII 1944, kiedy to „po dłuższej rozmowie, dotyczącej działalności zgrupowania, Naczelny Dowódca WP polecił płk. Satanowskiemu zebrać swe oddziały, skoncentrować je w rejonie Siedlec i przystąpić do formowania 8 DP” (str. 42). Cały ten fragment, podobnie jak krótkie biogramy poszczególnych partyzantów, został usunięty w wydaniu książkowym pracy Rzepkiego pt. *8 Dywizja Piechoty* (Warszawa 1970), gdzie dzieje formowania dywizji zaczynają się od momentu objęcia jej dowództwa przez Rosjanina, płk. Wasyla Gulidę, w dniu 28. VIII. 1944 roku. Nie ma też w tej nowej wersji ustępu z pracy poprzedniej, mówiącego o tym, że „Naczelne Dowództwo WP postanowiło skierować płk. Satanowskiego do Akademii Wojskowej im. Frunzego w Moskwie” (str. 48). Warto przypomnieć, że Berling, który też został skierowany do Akademii „na studia”, oskarżany był przez Radkiewicza o próbę tworzenia „polskiej dywizji bez sowieckich oficerów” (Polonsky, *op. cit.*, str. 356).

nierskiej⁸”, był to proces trudny do zahamowania, przynajmniej w pierwszych tygodniach ogólnego zamieszania i chaosu organizacyjnego. Szef resortu Bezpieczeństwa Publicznego, Stanisław Radkiewicz, mógł stwierdzić na posiedzeniu PKWN w dniu 4 października, że „początkowo nie aresztowaliśmy członków AK. Po prostu rozbroiliśmy ich i powołali do wojska⁹”. Gdy jednak w dyskusji podawać zaczęto fakty zbrojnego oporu przeciw nowej władzy i Radkiewicz zakonkludował, iż „użycie przez nas siły było dotychczas przypadkowe, teraz zaś musi stać się systematyczne i dalekosiężne”, znalazł poparcie Stanisława Skrzyszewskiego, w okresie tym kierownika resortu Oświaty PKWN, który oświadczył, że „musimy skończyć z fałszywym założeniem jedności narodowej. Jedność narodowa — tak, ale oczyszczona z naszych wrogów¹⁰”. Hasło „czystki” zabrzmieć musiało szczególnie złowrogo w ustach przedstawiciela oświaty nowego rządu...

W miarę postępu prac nad organizowaniem wojska dwa czynniki zaczęły odgrywać coraz większą rolę: narastająca sowietyzacja kadry oficerskiej i stale pogarszające się warunki bytowania żołnierza — głód, brak umundurowania, prymitywne zakwaterowanie. Toteż głos zakonspirowanego dowództwa AK rozlegał się coraz wyraźniej w nowotworzonych jednostkach, a hasło uchylania się od służby wojskowej lub dezercji znajdowało coraz większy posłuch wśród masy żołnierskiej wystawionej na najcięższe próby i przerażonej obsadzanym najniższych nawet stanowisk, od szczebla plutonu, oficerami sowieckimi. O obu tych sprawach pisze otwarcie Ignacy Blum, omawiając przełomowy fakt dezercji 31 pp w dniu 12 października 1944 roku:

Przed 2-gą armią WP piętrzyły się o wiele większe trudności, aniżeli przed 1-szą armią. Przede wszystkim posiadała ona zaledwie 20 % etatowego stanu podoficerów i tylko 30 % oficerów. Poważną część jej kadry stanowili oficerowie Armii Radzieckiej, niepolskiej narodowości, nie władający językiem polskim...

Warunki zakwaterowania były bardzo złe. Żołnierzy rozmieszczono w barakach, stajniach, oborach, stodołach. Łóżek nie było, żołnierze spali na pryzkach, zaścielonych cienką warstwą słomy. Umundurowanie jeszcze nie nadeszło, ćwiczenia prowadzono więc niejednokrotnie w ubraniach cywilnych¹¹.

8. Ireneusz Caban, Edward Machocki, *Za władzę ludu*, Lublin 1975, str. 44.

9. Polonsky, *op. cit.*, str. 294.

10. *Ibidem*, str. 295.

11. Ignacy Blum, „Sprawa 31 pułku piechoty. Tło, przebieg i charakter masowej dezercji żołnierzy 31 pp w 1944 roku”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, X, nr 3/35, str. 54, 56.

W rezultacie z pułku zdezerterowało według oficjalnych danych 2 oficerów, 80 podoficerów i 1.125 szeregowców, a pułk „jako zhańbiony, wykreślony został z rejestrów Wojska Polskiego¹²”. Winą za dezercję obarczono „dywersyjne agentury”, co w tamtych czasach było synonimem AK w języku propagandy.

Masowa dezercja całego pułku była sprawą zbyt poważną, ażeby ją zatuszować, postanowiono też nadać jej propagandowe znaczenie ogłaszając decyzję o skreśleniu pułku przed frontem wszystkich jednostek w dniu 16 października, jako odstrasżający przykład zhańbienia żołnierskiego honoru. Prawdopodobnie jednak przywódcy PKWN nie liczyli się z reakcją z najmniej spodziewanej strony, mianowicie samego Stalina. Już w tydzień później, 22 października Bierut złożył raport z wizyty delegacji PKWN w Moskwie, wezwanej na rozmowy z Mikołajczykiem. Przemawiając na zebraniu Biura Politycznego KC PPR, oświadczył on, że „Stalin był rozszłoszczony dezercją 31 pp i skarżył się na złe traktowanie Armii Czerwonej. Biorąc pod uwagę możliwość powstania AK zauważył, że nasza obrona AK jest bezpodstawna¹³”.

Jakkolwiek trudno sobie wyobrazić Bieruta jako obrońcę AK wobec Stalina, nowa dyrektywa była zupełnie jasna, toteż już 31 października na następnym zebraniu Biura Politycznego KC PPR Władysław Gomułka złożył sprawozdanie o sytuacji w wojsku i zadaniach partii. Krytykując próby „stworzenia czysto polskich jednostek w celu zwrócenia wojska przeciw PKWN”, zaproponował przede wszystkim wzmocnienie aparatu polityczno-wychowawczego, w dyskusji jednak nad sprawozdaniem wyróżnił się przede wszystkim Michał Żymierski, proponując „internowanie trzystu, czterystu oficerów AK”. Na tym samym zebraniu postanowiono nie tworzyć rezerwowych batalionów z żołnierzy AK aresztowanych przez Armię Czerwoną, ale „lepiej posłać ich do obozów”. Zdecydowano, że rezolucję o internowaniu przesłać należy przez Bułganina Stalinowi „z prośbą o komentarze¹⁴”.

Biuro Polityczne PPR nie musiało zapewne długo czekać na odpowiedź, gdyż już 6 listopada 1944 roku rozpoczęły się w obu armiach masowe aresztowania oficerów i podoficerów, którzy bądź ujawnili swoją służbę w AK, bądź też okazali się z takich czy innych względów niewygodni. Osadzono ich w obozie specjalnym w Skrobowie, 4 km na zachód od Lubartowa, kierowa-

12. *Ibidem*, str. 40.

13. Polonsky, *op. cit.*, str. 356.

14. *Ibidem*, str. 361.

nym przez oficerów NKWD przebranych w polskie mundury. W tydzień później, na listopadowej konferencji PPR w Lublinie w dniach 12-13 listopada, w dyskusji nad referatem Władysława Gomułki o „Zadaniach partii w zakresie organizacji siły zbrojnej Odrodzonej Polski”, zabrał głos przedstawiciel wojska, szef Wydziału Ogólno-Organizacyjnego Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego, ppłk Eugeniusz Szyr i publicznie oświadczył, że „wojsko musi być oczyszczone z wewnętrznych wrogów¹⁵”. W ten sposób stalinowskie hasło „czystek” z lat trzydziestych, przypomniane przed pięcioma tygodniami i aprobowane w Moskwie, zostało oficjalnie usankcjonowane przez delegatów PPR, rozpoczynając długie lata terroru i bezprawia.

Autor drukowanych w *Zeszytach Historycznych* wspomnień o Skrobowie, po dzień dzisiejszy ukrywający się pod przybranym nazwiskiem, skoncentrował swą uwagę na grupie mu najbliższej, tzn. podoficerach i podchorążych, którzy w marcu 1945 roku przeprowadzili śmiałą, masową ucieczkę spoza drutów, z bronią w rękę przebijając się do operujących w okolicy oddziałów „Orlika”, dowodzącego jednym z największych zgrupowań czynnej opozycji AK przeciw sowietyzacji Polski. Wskutek tego Jerzmanowski niewiele umiał powiedzieć nie tylko o oficerach, stanowiących połowę stanu osobowego uwięzionych w Skrobowie, ale nawet o dalszych losach obozu. „Chłopcy od dawna już wiedzieli, pisze on, że ich obawy przed wywiezieniem ze Skrobowa dawno już się ziściły: wszyscy pojechali do łągrów na Syberii. Podobno po latach ktoś ze Skrobowiaków wrócił stamtąd do kraju. Większość pozostała w tamtejszych śniegach¹⁶”. Dziś, po czterdziestu latach, warto uwagi te sprostować, droga bowiem ze Skrobowa prowadziła wprost do Stalinogorska.

Po ucieczce grupy podoficerów i podchorążych stan osobowy obozu wynosił ok. 400 uwięzionych, z których nieco więcej niż połowę stanowili oficerowie. Warto przypomnieć, że w ucieczce grupa oficerów nie wzięła udziału, jakkolwiek niektórzy z nich byli o przygotowaniach dokładnie poinformowani przez swych przyjaciół z bloku podoficerskiego. Wydaje się, że zasadniczą rolę w decyzji pozostania na boku odegrał cieszący się największym autorytetem moralnym mjr dr Franciszek Amałowicz, w okresie okupacji komendant Obwodu Rembertów AK. Był on jednym z kilkunastu oficerów sztabowych więzionych w Skrobowie, podczas gdy większość stanowili kapitanowie, porucznicy i podporuc-

15. *Ibidem*, str. 385.

16. Stanisław Jerzmanowski, „W potrzasku”, *Zeszyty Historyczne* nr 54, str. 96.

nicy, rekrutujący się z najrozmaitszych środowisk, od Wołyniaków i Podolaków zmobilizowanych wiosną 1944 roku do I Armii, poprzez b. oficerów AK z Lubelszczyzny, aż po powstańców warszawskich, którzy przekroczyli Wisłę próbując nawiązać kontakt z oddziałami Berlinga, jak np. rtm. Zawistowski i por. Majcherczyk. W środowisku tak bardzo zróżnicowanym i w wielu wypadkach niewiele mającym wspólnego z AK autorytet moralny liczył się bardziej, niż niejednokrotnie niezasłużone, czy zgoła niesprawdzone stopnie oficerskie, toteż decyzja Amałowicza, ażeby nie brać udziału w ucieczce, w której spodziewał się zwykłej sowieckiej prowokacji, mającej na celu wystrzelanie uwięzionych, została przyjęta jak rozkaz. Fakt, że ucieczka udała się bez udziału oficerów, spolaryzował ich środowisko jeszcze bardziej i na długie miesiące pozostawił osad żalu i rozpacz, zwłaszcza w pierwszym okresie po deportacji do Rosji.

Nastroje te umiał jednak opanować nowy „starszy” obozu, wyznaczony na miejsce ogólnie nielubianego mjr. Tadeusza Grzymalskiego, którego pomawiano o nieuczciwość przy podziale paczek dostarczanych raz na tydzień przez rodziny. Funkcję tę w kwietniu objął mjr Kazimierz Kawecki, człowiek wielkiej prawości, energii i odwagi cywilnej w pośredniczeniu między uwięzionymi a komendantem obozu, Rosjaninem mjr. Kałasznikowem. Mimo surowego zaostrenia reżymu, pozbawienia obozu paczek i korespondencji z rodzinami, Kawecki umiał utrzymać dyscyplinę i ducha wspólnoty, wytargował pozwolenie na odprawienie na Wielkanoc mszy świętej przez przyjeżdżającego z pobliskiej Kozłówki księdza, starał się o poprawę warunków. Kiedy komendant obozu zdecydował przeniesienie mieszkańców Sali Nr 7, jedynej, której okno wychodziło na szosę, co pozwalało choć przez chwilę zobaczyć przejeżdżające „przypadkiem” rodziny, Kawecki postarał się o znośną salę zastępczą, za co otrzymał dość niezwykle podziękowanie: jedną trzydziestą trzecią część jedynej jajka, którym mieszkańcy tej sali dzielili się na Wielkanoc...

Przez pierwsze tygodnie kwietnia zjeżdżały do Skrobowa liczne komisje, starając się wy badać oficerów na temat marcowej ucieczki, wyjeżdżały jednak z niczym, napotykać uparte milczenie i dobrze udaną niewiedzę. 20 kwietnia jednej z takich komisji przewodził Radkiewicz, otoczony grupą oficerów, otwarcie tym razem noszących mundury NKWD, ograniczył się jednak do szybkiego przejścia przez sale, czasem tylko pytając po rosyjsku czy *choroszo was poili, kormili*, ale nie czekając na odpowiedź tych nielicznych, którzy gotowi byli wdać się w rozmowę z ogólnie znanym szefem UB.

O świcie 21 kwietnia 1945 roku pola przylegające do drutów wypełniły się oddziałami wojsk NKWD, podczas gdy przez bramę zajeżdżać zaczęły ciężarówki obsadzone uzbrojonym konwojem. W obozie pozostawiono kilku zaledwie jeńców, wszystkich pozostałych w liczbie ok. 400 wypędzając na plac przed budynkiem, skąd kazano im ładować się na platformy wypróbowanym sposobem: na wyciągniętych nogach pierwszej czwórki sadzano następna, a po wypełnieniu auta na nogach ostatniej czwórki stawali konwojenci i samochód ruszał w stronę Lubartowa, mijając skrzyżowania dróg obsadzone drużynami karabinów maszynowych.

Załadunek odbywał się poza stacją, na równie starannie pilnowanej bocznicy kolejowej, przy czym pośpiech był tak wyraźny, że rosyjscy konwojenci nie przeprowadzali nawet rewizji osobistej. Wkrótce też transport towarowych wagonów ruszył w stronę Białej Podlaskiej, gdzie uwięzionym udało się wyrzucić przez szpary i okienka mnóstwo kartek z wiadomościami, natychmiast sprawnie podejmowanych przez miejscową ludność, mimo pogroźek a nawet strzałów konwoju.

Po siedmiu dniach podróży w bardzo złych warunkach transport przybył na stację Użłowaja, leżącą ok. 50 km na południowy wschód od Tuły, w pobliżu miasta Stalinogorsk (po 1972 roku Nowomoskowsk), jednego z centrów Podmoskiewskiego Zagłębia Węglowego. Wyładowanych jeńców ustawiono w kolumnę marszową, otoczoną gęstym konwojem. I wtedy stała się rzecz niespodziewana: zmęczeni, nieogoleni, ale zdyscyplinowani i jednolicie umundurowani jeńcy poczuli się znów żołnierzami, ktoś zaintonował piosenkę i z czterystu piersi huknęła na melodię „Marsz, marsz, Polonia” pieśń zaczynająca się od słów „Jeszcze Polska nie zginęła”. Dopiero brutalna interwencja konwojentów zmusiła do przerwania tej manifestacji nieujarzmionego ducha.

Obóz przejściowy Nr 12, do którego jeńców doprowadzono, znajdował się w północnej, przemysłowej dzielnicy Stalinogorska, miasta liczącego ok. 100 tys. mieszkańców. Nad tym typowym fabrycznym osiedlem, rozbudowanym w latach trzydziestych, dominowała olbrzymia elektrownia, z której dwunastu kominów nieustannie płynął czarny, gęsty dym, pokrywający całe miasto brudnym, węglowym osadem. Jak głosiła miejscowa fama, elektrownię tę zbudowali amerykańscy inżynierowie, których potem sądzono za sabotaż, rzekomo bowiem celowo usytuowali elektrownię po zachodniej stronie miasta, ażeby najczęstszy w tych stronach, zachodni wiatr stopniowo zatruchiwał mieszkańców... Jeśli istotnie tak było, świadczyć to mogło o stosunkowo wczesnym

zrozumieniu problemów ekologicznych zarówno przez sprawców, jak i ich oskarżycieli.

Zagłębie węglowe, podobnie jak cała ówczesna gospodarka sowiecka, oparte było w znacznym stopniu na pracy niewolniczej, toteż obóz, odgradzony od miejskiej ulicy zaledwie drutem kolczastym, nie zwracałby uwagi mieszkańców, gdyby nie jego nowi lokatorzy. Przechodzący Rosjanie zwalniali kroku i ze zdumieniem przyglądali się zwartej, sprężystej i zdyscyplinowanej grupie Polaków, wśród których największą uwagę zwracał kpt. Stanisław Mościcki, paradujący tak, jak go aresztowano, w wyjściowym mundurze ozdobionym adiutanckimi sznurami, w garnizonowej rogatywce z kolorowym otokiem. Nieraz też usłyszeć można było przez druty pełne podziwu komentarze: *Smotri, gienierał a toże popałsja* (Popatrz, generał, a także wpadł). Mniej natomiast pochlebne uwagi pod adresem stojących na wieżyczkach strażników płynęły w swoiście sowieckim „dniu szczerości”, kiedy to z okazji święta Pierwszego Maja tyłu było na ulicach pijanych, że przechodnie otwarcie wymyślali obozowej straży od gadów i nierobów, którzy zamiast pracować trzymają za drutami porządnymi ludźmi. Tego dnia wartownicy reagowali tylko pobłażliwym *prochodi dalsze, nie mieszaj*.

Od pierwszych też dni rozpoczęły się naciski obozowych władz na zmuszenie jeńców do pracy. W tych początkowo łagodnych i niemal przyjacielskich perswazjach celował obozowy politruk, człowiek jeszcze młody, dobrze odżywiony i wyglądający jak wcielenie karykatury „komisarza żydokomuny” z hitlerowskiego *Stürmera*. Kiedy odpowiedziano mu, że pracy dość czeka w Polsce, politruk postanowił wykorzystać patriotyczną nutę: nocą 8 maja wpadł do wielkiego baraku, w którym spali jeńcy, i rozbudził wszystkich radosnym okrzykiem: *Ura, towarzyszei wojna okonczena!* Odpowiedziała mu martwa cisza, zrozumiała u ludzi, którym od miesięcy obiecywano zwolnienie właśnie z tej okazji, a teraz podstępnie wywieziono. Uciekł się wobec tego do chwytów bardziej przyziemnych i zaczął kusić więźniów świetlaną wizją dobrobytu pracy w kołchozie, przy czym wpadał w ton niemal liryczny, sięgając do rejowskich zdrobnień rozwodził się jakie to tam będą pomidorki, ogóreczki i kartofelki, a gdy i to nie poskutkowało, dodawał szeptem: „i dziewczuszki...”. Na próżno. Uparci Polacy powoływali się na wszelkie konwencje zabraniające pracy jeńcom, haską, genewską i inne, nie pozwalając sobie wyperswadować, że są „tylko” internowani. Dyskusje zakończył wreszcie politruk splunięciem na podłogę i oświadczeniem, iż od początku wiedział, że ma do czynienia z faszystami,

po czym dodał trzypiętrowe przekleństwo i wyszedł z baraku. Dopiero rzekoma konieczność opróżnienia przejściowego obozu doprowadziła do kompromisu, na mocy którego jeńcy zgodzili się przejść do nowego, letniego obozu poza miastem.

18 maja kolumna, tym razem mniej sprawna, przemaszerowała ok. 10 km na zachód od miasta, do obozu Nr 32 w miejscowości Dubowka. Wśród szczerego pola, wokół którego jak złowrogie memento wznosiły się wieże wyciągowe węglowych szynobów, stało kilka zupełnie nowych, pachnących jeszcze świeżym drzewem baraków, otoczonych podwójną siecią kolczastego drutu. Ale już nazajutrz okazało się, że nowy obóz nie miał być letniskiem. Na apelu obu kompanii, oficerskiej i podoficerskiej, rosyjski komendant wygłosił płomienne przemówienie na temat konieczności pracy, bez względu na stopień. „A jeśli ktoś nie życzy sobie pracować — zakończył z ironią — proszę, niech wystąpi”. W odpowiedzi obie kompanie, jak jeden mąż, wykonały regulaminowe trzy kroki, przygotowując niefortunnego mówcę o atak apoplektyczny i natychmiastową, jak się później okazało, dymisję¹⁷.

Jego następcą, obwieszony odznaczeniami podpułkownik, zjawił się w Dubowce po tygodniu, podczas którego w obozie zapanała wakacyjna atmosfera, tym bardziej, że nadeszło właśnie gorące, słoneczne lato. Zwoławszy zbiorówkę jeńców nowy komendant wyraził przykre zdziwienie, że „panowie polscy oficerowie”¹⁸ wyglądają nie jak wojsko, a jak obozowe łajzy. Surowo rozkazawszy podoficerom stawić się natychmiast do pracy przy wznoszeniu nowych baraków, zarządził nowy apel, dając oficerom dwie godziny na doprowadzenie do porządku mundurów, wyczyszczenie butów, ogolenie się i podciągnięcie. A kiedy kompania oficerska, wyszykowana jak na przedwojenną defiladę, stanęła długim, pojedynczym szeregiem, podpułkownik skomenderował „baczność” i salutując podszedł do stojącego na prawym skrzydle najstarszego rangą polskiego oficera, również podpułkownika.

— Czy odmawia pan wyjścia do pracy?

17. Pojęcie strajku jest tak obce sowieckiej mentalności, że nawet Sołżenicyn, pisząc o decyzji odmowy pracy zauważa: „Na głódówkę mamy mimo wszystko jak gdyby prawo — a na strajk? Pokolenie za pokoleniem wyrastało u nas z tym, że skandalicznie-niebezpieczne i oczywiście kontrrewolucyjne słowo 'strajk' stawia się u nas w jednym rzędzie z 'Ententą, Denikinem, kułackim sabotażem, Hitlerem'” (*Archipelag GULag*, cz. V-VI-VII, Paryż 1975, str. 264).

18. Zamiast przyjętej w Armii Czerwonej formy „oficery” (z akcentem na „e”), podpułkownik używał przedrewolucyjnego słowa „oficera”, akcentując końcowe „a”, jakby dla podkreślenia „obcości klasowej” Polaków.

- Tak jest.
- Dlaczego?
- Melduję, że według postanowień konwencji...
- Dziękuję.

Dialog ten powtórzył się bez najmniejszej zmiany dwieście razy, oficerowie niemal mdleli w czerwcowym upale, ale trwali w postawie zasadniczej, dopóki Rosjanin nie zakończył na najmłodszym w kompanii chorążym. Dopiero wtedy wykonał regulaminowy w tył zwrot, stanął przed frontem szeregu i oświadczył, że on także skorzysta z postanowień konferencji haskiej, na mocy których komendant obozu ma prawo zarządzić codzienne ćwiczenia wojskowe dla jeńców. Począwszy od następnego ranka oficerowie rozpoczęła zajęcia, których programem będzie podstawowa musztra.

Istotnie, nazajutrz kompania oficerska poddana została upokarzającemu rygorowi ćwiczeń na poziomie wyszkolenia rekruta — zwrotom, salutowaniu itp., przy czym ćwiczenia te odbywały się na oczach podoficerów wygodnie siedzących na dachach baraków i udających, że pracują. W rezultacie cała niemal kompania oficerska, z wyjątkiem kilku zaledwie najbardziej upartych „legalistów”, zgłosiła się do pracy i przystąpiła do budowy baraków.

Mimo że kuchnia obsługiwana była przez własnych kucharzy pracujących pod kontrolą codziennie zmienianego oficera inspekcyjnego z kompanii oficerskiej, normy żywienia i wysiłek pracy powodowały coraz dotkliwszy głód, któremu wielu jeńców starało się zaradzić sprzedając najpierw osobiste drobiazgi, zegarki, pióra, biżuterię, a następnie płaszcze i buty. Przedmioty te, od lat niewidziane w Sowietach, znajdowały chętnych nabywców wśród rosyjskich majstrów kierujących budową, ci zaś dostarczali w zamian przede wszystkim jarzyny i luksusowy w tamtejszych warunkach koncentrat jajeczny. I mimo że mjr Kawecki starał się przeciwdziałać tym transakcjom, wygląd zewnętrzny jeńców zmienił się pod koniec lata na niekorzyść do tego stopnia, że gdy w połowie sierpnia przyprowadzono do obozu batalion żołnierzy SS z kurlandzkiego okrężenia, Niemcy prezentowali się przy polskich jeńcach znacznie korzystniej. Dodać trzeba, że niemałą rolę w upadku ducha grupy polskiej odegrał fakt, iż od dnia deportacji obóz był całkowicie izolowany od świata zewnętrznego — nie wolno było wysyłać ani otrzymywać korespondencji, nie dostarczano gazet, nie było nawet normalnych w każdym sowieckim obozie głośników radiowych. Świadomość tej izolacji powodowała szereg załamań psychicznych, jakkolwiek stan zdrowia jeńców pozostawał zadowalający, czego dowodem był fakt, iż przez

cały rok od dnia uwięzienia nie było wśród nich wypadków śmiertelnych.

Osadzenie w obozie Niemców dopełniło miary frustracji. Powołując się na wspólne tradycje polsko-rosyjskiej walki przeciw wrogowi i na swój statut, bądź co bądź, sojuszników, Polacy ostro zaprotestowali przeciw dzieleniu obozu z SS, wewnątrznie postanowili odizolować się całkowicie od nowych współlokatorów obozowej zony, pojedyncze zaś wypadki prób handlu z nowo-przybyłymi zostały ostro napiętnowane przez jeniecką społeczność. Komendant obozu, wytrawny i chytry dyplomata, nie chciał najprawdopodobniej ryzykować losu swego poprzednika i w ciągu paru dni załatwił powrót polskiej grupy do Stalinogorska.

W dniu 1 września 1945 roku cała grupa polska przemaszerowała do miasta, do osobnego obozu Nr 23, położonego we wschodniej części Stalinogorska, po przeciwnej stronie sztucznego jeziora, nad którym znajdowała się elektrownia. Obóz ten, przeznaczony tylko dla Polaków, ciągnął się wzdłuż podmiejskiej ulicy z jednej strony i robotniczego osiedla ze strony przeciwnej. Oficerowie i podoficerowie umieszczeni zostali w dwóch osobnych barakach, korzystając jedynie ze wspólnej stołówki obsługiwanej przez polskich kucharzy. Zaraz też przyjechał z Moskwy przedstawiciel GUŁagu, który na widok wynędzniałych i nieraz wprost obdartych jeńców dramatycznie załamał ręce i wykrzyknął: „Orły moje, co się z was zrobiło!?” i natychmiast zarządził zwolnienie oficerów od pracy, dla podoficerów pracę lekką w sąsiadujących z obozem przedsiębiorstwach, dla wszystkich zaś podwyższenie dziennej porcji chleba z 600 g na 900 g. Obiecał też przysłanie komisji, która podjąć miała dalsze decyzje na podstawie rozpatrzenia indywidualnych teczek personalnych i wyjechał z sakramentalnym: „Wypoczywajcie, niedługo pojedziecie do domu”.

Ale jesień w Stalinogorsku nie była wypoczynkowa. Jakkolwiek rosyjska komenda obozu pozornie nie wtrącała się w sprawy wewnętrzne, postarała się o zmontowanie całej sieci intryg, podejrzeń i donosów, mających na celu z jednej strony rozbicie zwartej dotychczas postawy całej grupy, z drugiej dostarczenie komisji śledczej kompromitujących materiałów. Działać zaczęli tzw. kapusie¹⁹, donosiciele, którzy za tę cenę starali się kupić sobie wolność, i jakkolwiek zidentyfikowanie starannie ukrywa-

19. O psychicznej odporności jeńców świadczyć może fakt, że do ich słownika nie wtargnęła sowiecka terminologia obozowa, „stukacze”, „kumy” itp.

jących się kolaborantów nie było rzeczą łatwą, w krótkim czasie podejrzanych zaczęto ignorować lub wręcz eliminować z życia koleżeńkiego. A życie to układało się przeważnie w małych grupach, związanych bądź wspólną przeszłością, bądź regionem, czasem zaś opartych po prostu na wzajemnym zaufaniu, bez względu na stopnie czy poziom wykształcenia łącząc oficerów, podchorążych i podoficerów. Dwaj kompozytorzy, por. Stanisław Truszczyński i por. Jan Cichoń, pisali muzykę do utworów obozowych poetów, chętnie śpiewano piosenki wojskowe i partyzanckie, grano w szachy i organizowano konkursy znajomości literatury (np. na temat „z jakiego sukna zrobione były szaty Longinusa Podbipięty” itp.), jednym słowem starano się zaradzić poczuciu odcięcia od świata sposobami znanymi jeńcom od zarnia dziejów. A równocześnie wzrastało napięcie i oczekiwanie jakichś rozstrzygnięć, które najbliższa przyszłość musiała przynieść.

Pierwszy sowiecki atak skierowany został późną jesienią przeciw tym Polakom, którzy urodzili się lub mieszkali na terenach zabużańskich, anektowanych w 1939 roku. Kolejno wzywano ich do oficera śledczego i usiłowano przekonać, że są obywatelami sowieckimi, bez względu na to, że zmobilizowani zostali do polskiej armii i z jej szeregów trafili do obozu w Skrobowie. Były to dyskusje równie rozpaczliwe co zażarte, przy czym rezultaty nie dały na siebie długo czekać. W początkach listopada kilkunastu jeńców wypuszczono „na wolność”, tzn. wygnano poza obozową zonę i pozostawiono własnemu przemysłowi jako pełnoprawnym obywatelom ZSSR. Ze zgrozą i rozpaczą patrzyli pozostali w obozie jeńcy na swych kolegów, którzy potem podchodzili pod druty i opowiadali przerażające szczegóły o życiu „na swobodzie”. I chociaż z czasem niektórzy z nich znaleźli opiekę u miejscowych kobiet i urządzili się prowizorycznie, trzeba było długich lat, żeby nieliczni wrócili do Polski, podczas gdy inni, mniej szczęśliwi, pozostali na zawsze „na gościnnej ziemi radzieckiej”. Ale ta próba rozbicia jednolitej postawy jeńców wywarła skutek wręcz odwrotny od zamierzonego; zamiast zastraszyć, skonsolidowała całą pozostałą grupę jeszcze mocniej w woli oporu i przetrwania.

Postawa ta zmanifestowana została bardzo wyraźnie w okresie Bożego Narodzenia 1945. Wbrew pogłoskom o rychłym powrocie do kraju, przyniesionym przez dwóch lekarzy, którzy pracowali w obozie centralnym (por. Józef Adamczyk i ppor. Marian Weiss), postanowiono urządzić świąteczną rewię artystyczną dla podtrzymania ducha. Grupa młodych oficerów (Jurkiewicz, Krzyża-

nowski, Neciuk, Łokuciewski) przygotowała teksty skeczów, aktualnej satyry i piosenek, na wystawienie których uzyskano zezwolenie komendy obozu za cenę... ochotniczego sprzątanía stołówki. I chociaż zaproszeni na rewię Rosjanie udawali, że nie rozumieją przejrzystych aluzji pod adresem swoich ukrytych współpracowników, nazwiska autorów i wykonawców musieli dobrze zanotować w pamięci, gdyż w transporcie, który istotnie wyruszył do Polski zaraz po Bożym Narodzeniu znalazł się tylko jeden ze współtwórców programu.

Transport ten, liczący ok. 100 ludzi, składał się przede wszystkim z podoficerów i podchorążych, nieliczni zaś oficerowie zostali wybrani przede wszystkim z tych, którzy dotychczas albo wyróżniali się serwilizmem wobec Rosjan, albo też nie wyróżniali się niczym, zachowując postawę jak najmniej rzucającą się w oczy po cichu przeczekiwali okres niewoli. I chociaż fakt, że ktoś jednak wracał powinien był natchnąć pozostających za drutami nadzieją, spowodował on poczucie, iż ci, którzy zostają — zostają na długo, przynajmniej do ukończenia śledztwa, które od Nowego Roku zaczęła intensywnie prowadzić przybyła z Moskwy specjalna ekipa NKWD. Dla większości jeńców było to w ogóle pierwsze śledztwo od momentu aresztowania, przy czym nie stawiano większości żadnych zarzutów ani oskarżeń, po prostu szczegółowo wypytywano o najmniejsze drobiazgi biografii, badano nastroje, pytano o ideologię i nastawienie. W licznych przypadkach wezwanie na śledztwo było pretekstem do wywołania jeńca z baraku, gdzie przeprowadzano szczegółową rewizję i konfiskatę osobistych notatek i papierów.

Miesiące długiej i ostrej zimy 1946 roku należały do najcięższych w historii obozu w Stalinogorsku. Poczucie odcięcia od świata, wyczerpanie psychiczne i fizyczne oraz rosnące napięcie śledztwa powodowały niepokój, często przechodzący w rozpacz. Mjr Kawecki zwolniony został przez Rosjan ze swojej funkcji, którą przejął delikatny i mało stanowczy por. Stefan Pałeczki, nie mający wśród jeńców takiego autorytetu, jakim cieszył się jego poprzednik. Wkrótce też zastąpił go mjr Fiet, należący do grupy starszych oficerów nastawionych kompromisowo i starających się unikać najmniejszych konfliktów z Rosjanami, co w rezultacie doprowadziło do nowych prób zmuszania oficerów do pracy wokół obozowej zony.

Wszystkie te sprawy jednak ustępowały wobec narastającej obawy przed wynikami śledztwa, mimo bowiem ścisłej tajności indywidualnych rozmów można było się zorientować, że NKWD wyróżnia wśród jeńców trzy zasadnicze grupy: największą, wo-

bec której nie stawiano wyraźnych zarzutów, nieco mniejszą, składającą się przede wszystkim z byłych partyzantów, oraz trzecią, stosunkowo niewielką, składającą się przede wszystkim z oficerów, którym groził proces sądowy, czy to za działalność w okresie okupacji, jak np. rtm. Sałaciński, będący oficerem w oddziałach NSZ, czy też za otwarcie wrogą postawę wobec Rosjan już w okresie obozowym. Nikomu natomiast w czasie śledztwa nie stawiano ani pytań, ani zarzutów w związku z ucieczką ze Skrobowa.

Ten wyczuwalny podział sprawdził się niemal bezbłędnie. W dniu 4 czerwca 1946 roku ogłoszono dwie listy — jedną na powrót do Polski, a drugą na wyjazd w niewiadomym kierunku. Jak się nazajutrz okazało, ta druga grupa, licząca ok. 50 ludzi, przede wszystkim b. partyzantów, przewieziona została do centralnego obozu AK pod Riazaniem, gdzie przebywała do lata 1947 roku, podczas gdy grupa pierwsza, złożona przede wszystkim z podoficerów, istotnie wróciła bezpośrednio do kraju. Do obu grup dołączono po kilka osób w ostatniej chwili przywiezionych z obozów w Kałudze i Ostaszkowie.

Dzieje grupy trzeciej, pozostałych w obozie kilkudziesięciu oficerów i podoficerów, są najmniej znane. W skład jej weszli zarówno ci, którym wytoczono procesy sądowe przed trybunałami OSO już po przewiezieniu do moskiewskich więzień, jak i świadkowie oskarżenia, zwerbowani spośród obozowych kolaborantów. Ci ostatni, po wypełnieniu swego haniebnego zadania wracali do Polski w glorii męczenników i szczerych patriotów, ufni, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Na szczęście rola ich w denuncjowaniu kolegów i kolaboracji była tak jasna, że po powrocie spotykali się z powszechną pogardą wśród byłych jeńców, którzy po powrocie z obozu utrzymywali między sobą bliskie stosunki mimo stalinowskiego terroru trwającego w Polsce do połowy lat pięćdziesiątych.

Uwięzieni w procesach moskiewskich stopniowo wracali do kraju po upływie terminów wyroków, sięgających od trzech do dziesięciu lat więzienia lub obozu, chociaż wielu z nich nie wytrzymało trudnych warunków i zmarło na wygnaniu. Jako ciekawe świadectwo ich niezłomnej postawy przytoczyć warto barwne wspomnienie o majorze Kaweckim, napisane przez Lwa Kopielewa, który posłużyć miał później jako model postaci Lwa Rubina w powieści Sołżenicyna *Krąg pierwszy*. Pisząc o swoim pobycie na Butyrkach w sierpniu 1946 roku, Kopielew tak przedstawia jednego ze współtowarzyszy celi Nr 96:

Dwaj Polacy, rotmistrz Kazimierz K. i podchorąży Juliusz T., pomagali mi kontynuować naukę polskiego.

I rotmistrza i chorążego aresztowali na podstawie paragrafu 58.10 za antysowiecką agitację w obozie internowanych oficerów AK.

Rotmistrz wyjaśniał, pogardliwie wzruszając ramionami: „Jeden pan słyszał, że powiedziałem 'zasrana demokracja'. A może mówiłem o angielskiej czy amerykańskiej demokracji?”

Chętnie opowiadał, jak przed wojną był mistrzem Polski w kilku rodzajach sportu jeździeckiego, zbierał nagrody za skoki i woltyżerkę. Dobrze mówił po rosyjsku, dumny był z tego, że pułk ułanów, w którym służył, uważał się za spadkobiercę tradycji rosyjskich pułków huzarów niżegorodskich i grodzieńskich.

— Przechowywaliśmy fanfary i sztandary tych pułków. Służyli też u nas rosyjscy oficerowie, nawet pewien książę Baratynski, Żora, chwacki jeździec, strzelec najwyższej klasy, a jak tańczył lezginkę... Płynął w powietrzu jak anioł, tak nie potrafiłby żaden artysta...

Znał na pamięć wiele wierszy Mickiewicza, Słowackiego, romanse Werdyńskiego, piosenki Liszczenki i stare, rosyjskie oficerskie pieśni „Czarni huzarzy”, „Wzlećcie sokoły jak orły”, „Bronią błyskając w słońcu”.

Niewysoki ale zgrabny, młodzieńczy, wychodził na spacer w ciemnozielonej rogatywce i dopasowanym płaszczu, kroczył szybko, lekko, zgrabnie.

— Trzeba набrać zapasu powietrza, rozprostować nogi. Spacer to nie chodzenie, a trening. Polecam panu majorowi chodzić rytmicznie, w tempie. Tylko w celu można sobie położyć bez pośpiechu. A tu powietrze, chociaż niezbyt czyste, ale zawsze powietrze, z wiatrem. Trzeba w tempie...

... Wkrótce potem, jak zabrano ich z celi z rzeczami, znaleźliśmy w łazni umówione znaki: K-OSO-10, J-OSO-8²⁰.

Należy dodać, że mjr Kawecki wrócił do Polski i przed paru laty zmarł w Warszawie, otoczony powszechnym szacunkiem.

A skoro już o obcych świadectwach mowa, warto chyba przytoczyć fragment innego wspomnienia, nie wiążącego się bezpośrednio ze Stalinogorskiem, ale mówiącego o losach komendanta Okręgu Wileńskiego, gen. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, którego po okresie uwięzienia w Moskwie przeniesiono do obozu AK w Riazaniu, a następnie, po rozbiciu tego obozu na mniejsze grupy, do Griazowca, gdzie osadzony był m.in. znany niemiecki pilot Assi Hahn. W wydanych po repatriacji wspomnieniach Hahn tak oto pisze o spotkaniu z polskimi jeńcami:

Rok 1947 przyniósł nam w Rosji piękne, gorące lato. Założyliśmy sobie mały ogródek i w dobrym stanie fizycznym spędzaliśmy te miesiące na *dolce far niente* bez przeszkód ze strony Rosjan czy antyfaszystów. W początkach lata przybył do Griazowca transport polskich oficerów z kilkoma kobietami i dziećmi. Polacy ci byli czynni podczas niemieckiej okupacji jako partyzanci w białostockich

20. Lew Kopielew, *Chranit' wieczno*, Ann Arbor 1975, str. 463-464. Skróty na końcu oznaczają inicjał skazanego, OSO (trybunał specjalny) i ilość lat wyroku.

lasach i byli zaopatrywani rozkazami i sprzętem przez sztab generała Andersa z Londynu. Po wycofaniu się Niemców z Polski kazano im się stawić w okolicach Warszawy na rozmowy z rosyjskim generałem. Na rozmowy te czekali ciągle jeszcze w lecie 1947 roku. W międzyczasie, razem ze swymi kobietami przeszli długą drogę krzyżową przez szereg obozów dla niemieckich jeńców wojennych i teraz wylądowali w Gрязowcu. Znajdował się pomiędzy nimi pewien generał, który po przybyciu do obozu uciekł razem z pewnym księdzem i dwoma oficerami. I podczas kiedy półżywych z pobicia księdza i jednego z oficerów przyprowadzono z powrotem do obozu po paru tygodniach i wsadzono do karceru, generałowi wraz z drugim Polakiem udało się przejść. Po pół roku doszły od niego pierwsze wiadomości z Londynu. Polacy nosili swoje mundury z dystynkcjami i polskim orłem na czapkach. Rosjanie traktowali ich gorzej niż nas. Obok pewnej młodej, przystojnej kobiety, która właśnie powiła dziecko, i wielu innych niezamężnych Polek, przybyła również do obozu śpiewaczka operowa Irena Zawadzka. Razem z nią spędziłem następne dwa lata w Gрязowcu i Czerepowcu²¹.

Pomijając oczywiste nieścisłości w biografii generała Krzyżanowskiego, wyjaśnione w szkicu pióra dr. Jana Morelewskiego²², to niemieckie świadectwo podkreśla męczeństwo uwieczionych Polaków i warte jest zapamiętania. Zakończyć też chyba ze uwagi o losach deportowanych do Rosji Polaków można słowami Sołżenicyna, który choć nie dostrzegł masowości zjawiska, potrafił znaleźć jego cechy charakterystyczne i utrwalić je w króciutkim opisie postawy Polaka podczas buntu w obozie Ekibastuz, w styczniu 1953 roku:

I wtedy zrozumiałem, co znaczy polska дума i o co szło w ich pełnych samozaparcia powstaniach. Ten sam inżynier Polak, Jerzy Węgierski, był teraz w naszej brygadzie. Kończył odsiadywać swój ostatni, dziesiąty rok. Nawet kiedy był majstrem, nikt nie słyszał, żeby podniósł głos. Był zawsze cichy, uprzejmy, miękki.

A teraz twarz mu się zmieniła, zeszpecona gniewem i pogardą. Z męką odwrócił głowę od tej wędrowki po jałmużnę, wyprostował się, i złym, dzwięcznym głosem krzyknął:

— Brygadier! Nie budźcie mnie na kolację! Nie pójdę!

Wspiął się na pryzę, odwrócił do ściany i nie wstał. My poszliśmy wieczorem jeść, a on nie wstał! Nie dostawał paczek, był samotny, nigdy nie syty — a nie wstał. Wizja dymiącej kaszy nie mogła mu zastąpić olśniewającej wolności!

Gdybyśmy wszyscy byli tak dumni i twardzi, jaki tyran zdołałby się utrzymać?²³

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

21. Assi Hahn, *Ich spreche die Wahrheit!*, Esslingen 1951, str. 228.

22. Jan „Roland” Morelewski, „Komendant ‘Wil’ Krzyżanowski”. *Orzeł Biały* nr 210/1357, 211/1358, 213/1360.

23. Sołżenicyn, *op. cit.*, cz. V, str. 279.

JESIEŃ 1938 — JESIEŃ 1939 (Narastanie konfliktu polsko-niemieckiego)

Notatka sporządzona przez byłego członka Ambasady RP w Berlinie zawierająca jego świadectwo o początku konfliktu polsko-niemieckiego jesienią 1938 roku, o kolejnych fazach jego narastania, o agresji niemieckiej 1 września 1939 roku i o ewakuacji Ambasady z Berlina do Polski.

Wstęp

Na początku grudnia 1937 roku objąłem stanowisko I sekretarza Ambasady RP w Berlinie, na czele której stał Józef Lipski. Pozostałem na tym stanowisku do 1 września 1939 roku, tj. do agresji zbrojnej dokonanej przez Trzecią Rzeszę przeciw Polsce, a potem uczestniczyłem w ewakuacji Ambasady z Berlina do Polski, poprzez Danię, Szwecję, Finlandię, Estonię i Łotwę.

Choć oczywiście nie mogłem wiedzieć o tym w tym czasie, przyjazd mój do Berlina miał miejsce w zaledwie miesiąc po odbytej 5 listopada 1937, w pałacu kanclerskim na Wilhelmstrasse tajnej konferencji z udziałem najwyższych dygnitarzy cywilnych i wojskowych Rzeszy, w ciągu której Hitler wyłożył swój pogląd o konieczności dla Niemiec wykorzystania sprzyjających warunków lat najbliższych celem zrealizowania programu niezbędnej, według niego, ekspansji terytorialnej, przy użyciu wszystkich środków nacisku, nie wykluczając akcji militarnej. Wbrew tezie wysuniętej przez historyka angielskiego A. J. P. Taylora w jego kontrowersyjnej książce pt. „The origins of the Second World War”, w której stara się pomniejszyć znaczenie tej konferencji, należy ją niewątpliwie uznać za punkt zwrotny w polityce Trzeciej Rzeszy: Po kilkuletnich przygotowaniach wojskowych, ekonomicznych, dyplomatycznych i propagandowych, Hitler uznał iż nadszedł czas kiedy III Rzesza mogła przystąpić do dynamicznej, pełnej zaskoczeń, konsekwentnej, choć nie pozbawionej ryzyka, realizacji kolejnych zamierzeń i rozgrywek, w której element przemocy i zagrożenia wojskowego miał odgrywać główną rolę. Znaczenie konferencji odbytej 5 listopada 1937 polegało właśnie na tym, iż zamarkowała ona zakończenie okresu przygotowań i decyzję Hitlera rozpoczęcia „wielkiej awantury”

wcielenia w życie wizji „Mein Kampf”. Potwierdzeniem tej zmiany kursu były też zmiany personalne w kierownictwie wojska i spraw zagranicznych, przeprowadzone w lutym 1938.

Nie zamierzam komentować tutaj poszczególnych faz tych akcji, które poprzez *Anschluss*, Monachium, zagarnięcie pogranicza sudeckiego, a w późniejszym okresie, poprzez wojskową okupację Czech i Słowacji, oraz wreszcie aneksję Kłajpedy, znaczyły drogę do agresji na Polskę. Są to rzeczy dobrze znane, szeroko udokumentowane i obficie opisane.

Żądania niemieckie i okres „inkubacji” konfliktu z Polską

Kolejne fazy rozwojowe konfliktu polsko-niemieckiego, poprzedzające napad zbrojny 1 września 1939, są również nieźle udokumentowane, i stanowią przedmiot wielu opracowań zarówno zagranicznych jak i polskich. Nie mogę wszakże nie opisać, choć pokrótce, tego rozwoju wydarzeń skoro, jako współpracownik Ambasady, wprawdzie nie odgrywający pierwszoplanowej roli, miałem niezwykłą sposobność, iż się tak wyrażę, zza mojego biurka zapoznawać się na bieżąco z instrukcjami szyfrowymi Ministra Spraw Zagranicznych, ze sprawozdaniami z rozmów prowadzonych przez Ambasadora Lipskiego i z innymi licznymi materiałami dotyczącymi rozwoju wypadków i wreszcie uczestnicząc często w naradach czy odprawach pod przewodnictwem Ambasadora. Świadomy też jestem okoliczności iż pozostałem niemal ostatnim, który może utrwalić na piśmie pewne szczegóły. Opis ten jest oparty tylko częściowo na mojej pamięci. Dane o których nie pamiętałem i fakty które wyszły na jaw dopiero po wojnie zapożyczyłem z różnych publikacji, głównie z papierów Ambasadora Lipskiego wydanych przez Wacława Jędrzejewicza pt. „Diplomat in Berlin” (Columbia University Press), oraz z „The Rise and Fall of the Third Reich” Williama L. Shirera (Simon and Schuster, 1960), a także z E. Raczyńskiego „W Sojuszniczym Londynie”.

Jak wiadomo, złowróżbne propozycje niemieckie dotyczące „normalizacji całokształtu stosunków Niemiec z Polską (*Gesamt-lösung*)” zostały po raz pierwszy wysunięte przez Ministra Spraw Zagranicznych Rzeszy Ribbentropa w czasie śniadania, na które zaprosił Ambasadora Lipskiego. Śniadanie miało mieć miejsce w Grand Hotelu w Berchtesgaden, 24 października 1938. Ambasadador prosił mnie bym mu towarzyszył w tej podróży na wy-

padek gdyby potrzebował mojej pomocy, np. gdyby okazało się konieczne powiadomienie natychmiast telegramem szyfrowym Rządu polskiego o treści rozmowy — Lipski przeczuwał że mogła ona dotyczyć spraw wielkiej wagi. Po drodze zatrzymałem się w Monachium, by odebrać w Konsulacie Generalnym RP materiały szyfrowe, i stamtąd pojechałem samochodem Konsulatu do Berchtesgaden, gdzie już zastałem Lipskiego w Grand Hotelu. Po zakończeniu rozmowy z Ribbentropem, Ambasador, najwyraźniej dość poruszony, zamiast wysyłać szyfr do Warszawy, zdecydował zaraz pociągami popołudniowymi wrócić do Berlina, i na-
zajutrz porannym samolotem polecieć do Warszawy, by ustnie złożyć sprawozdanie ministrowi Beckowi. Ja zaś wróciłem samochodem do Monachium i po zwróceniu materiałów szyfrowych w Konsulacie Generalnym zdążyłem złapać nocny Express do Berlina¹.

Sugestie Ribbentropa pomyślane były, jak już wspomniano jako próba rozwiązania całokształtu problemów między Niemcami a Polską, i przedstawione były wcale nie w formie ultymatywnej, ani nawet formalnej — Ribbentrop napomknął, iż Hitler został powiadomiony tylko w ogólnym zarysie, a same sugestie wyszły z inicjatywy osobistej Ministra — jako plan do dyskusji przedstawiony po przyjacielsku Rządowi polskiemu do rozważenia bez pośpiechu; w swoim czasie sprawy te mogłyby stać się znówu przedmiotem wymiany poglądów.

W wielkim skrócie sugestie te dotyczyły następujących punktów: 1. Zgoda ze strony Polski na wcielenie W. M. Gdańska do terytorium Rzeszy z gwarancją utrzymania polskich interesów ekonomicznych włącznie z istniejącymi przywilejami portowymi i kolejowymi; 2. Zgoda ze strony polskiej na wybudowanie przez Niemcy poprzez tzw. korytarz eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej łączących Prusy Wschodnie z resztą Rzeszy; 3. Prze-

1. Podczas spotkania Lipskiego z Ribbentropem pozostałem w apartamencie hotelowym postawionym do naszej dyspozycji i, kazawszy przynieść z restauracji coś do zjedzenia, umieściłem się na leżaku na balkonie, by podziwiać wspaniałą panoramę gór bawarskich. Teczke z szyframi ustawiłem obok leżaka. W pewnej chwili doszedł mnie lekki szelest pochodzący z sypialni Ambasadora. Zerwałem się z leżaka unikając robienia hałasu i szybko uchyliłem drzwi sypialni. Zastałem tam najwyraźniej grzebiącego w walizce Ambasadora SS-mana — zmieszał się, bąknął coś o pomyłce i szybko wycofał się z pokoju. Służby wywiadowcze największych potęg nie gardzą używaniem podobnych prymitywnych metod! A komuż otrząskanemu z realiami życia, a coś dopiero wysokiej rangi dyplomacie, mogłoby przyjść na myśl pozostawiać w walizce tajne dokumenty! I gdzie — w trzecim Reichu, u samego boku jego Führera!

dłużenie ważności układu polsko-niemieckiego z 1934 roku na następne 25 lat z gwarancją niemiecką dla granic Polski z Niemcami; 4. Współpraca w sprawach kolonialnych i w sprawie zorganizowania emigracji Żydów z Polski; 5. Przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego i współpraca polityczna polsko-niemiecka w sprawach dotyczących Rosji.

Sformułowanie propozycji Ribbentropa co do Gdańska i eksterytorialnych połączeń Prus Wschodnich z resztą Rzeszy było bardzo zręczne, gdyż znacznej części opinii publicznej demokracji zachodnich, a także kół rządowych, mogło wydawać się raczej umiarkowane. Pamiętajmy przecież, że ze wszystkich zmian terytorialnych wprowadzonych w życie przez Traktat wersalski, tzw. „korytarz” i wyłączenie Gdańska z granic Rzeszy uważane były przez liczne koła w tych krajach za sprawę najbardziej kontrowersyjną, za decyzję którą można by najłatwiej, a może należałoby najprędzej zrewidować celem zaspokojenia wciąż powtarzających się żądań niemieckich i zapewnienia w ten sposób pokoju w Europie. Otóż wcielenie Wolnego Miasta do Rzeszy i połączenie eksterytorialne z Prusami Wschodnimi mogło wydawać się rozwiązaniem praktycznym, nie pozbawiającym Polski dostępu do morza, zapewnionego przecież przez budowę nowoczesnego portu w Gdyni. Poza tym oferta gwarancji niemieckiej dla granic Polski mogłaby oznaczać zrzeczenie się przez Rzeszę wszelkich innych roszczeń terytorialnych. Możliwość, a nawet prawdopodobieństwo takiej interpretacji sugestii niemieckich przez szerokie koła w krajach demokracji zachodnich nakazywało więc Rządowi polskiemu zajęcie bardzo ostrożnego stanowiska i utrzymywania jak najdłużej negocjacji z Niemcami, przy zachowaniu przynajmniej pozorów poprawnych stosunków. Taktyka ta na tyle wydała owoce, iż nagle decyzja Hitlera, w połowie marca 1939, zmuszenia Prezydenta po-monachijskiej Czechosłowacji, Hachy, do przyjęcia protektoratu niemieckiego nad Czechami i Słowacją, uznaną za osobny twór państwowy oraz wkroczenie wojsk niemieckich do obu tych krajów, wywołało gwałtowną reakcję negatywną w angielskiej opinii publicznej, która z kolei przyniosła ofertę gwarancji brytyjskiej dla Polski. Pozostały jednak i w Anglii i we Francji wpływowe koła nadal poszukujące kompromisu z Hitlerem. Symbolem tych tendencji stał się ogłoszony w kilka miesięcy później głośny artykuł znanego dziennikarza francuskiego pt. „Dlaczego żołnierz francuski ma umierać za Gdańsk”, a ich wynikiem, wahania francuskie i angielskie w ostatnich dniach przed agresją niemiecką i nieudane próby doprowadzenia do nawiązania rozmów przedstawicieli polskich z Rządem Rzeszy

w warunkach w których Polska nie miałaby żadnych szans ocalenia swej niepodległości.

Mimo uznania konieczności kontynuowania ostrożnej gry dyplomatycznej w tym okresie, Rząd polski nie miał od początku żadnych złudzeń w ocenie sugestii niemieckich, wysuniętych przez Ribbentropa, a mianowicie że stanowiły one poważne zagrożenie samych fundamentów suwerennej państwowości i niepodległości Polski. Nie miała też takich złudzeń jednolita opinia publiczna narodu, gdy po kilku miesiącach dowiedziała się o zaistniałej zmianie sytuacji i narastającym zagrożeniu niemieckim. Wszyscy zdawali sobie sprawę z nauk wypływających z poprzednich rozgrywek Hitlera: proces „rozmiękczenia” przeciwnika zaczynał się zawsze od raczej umiarkowanych propozycji; w razie okazanej chwiejności warunki stawały się coraz ostrzejsze. Proponowane rozwiązania terytorialne miały po prawdzie znaczenie drugorzędne. W istocie chodziło o atak na niepodległość Państwa polskiego. Przyjęcie zaś propozycji współpracy politycznej z Niemcami w sprawach rosyjskich oznaczało zrezygnowanie z polityki równowagi między dwoma sąsiednimi mocarstwami, co niechybnie postawiłoby Polskę w położeniu państwa-satelity coraz bardziej uzależnionego od swego patrona niemieckiego. Istotnym zamiarem Hitlera było rozprawienie się z Polską jako czynnikiem polityki samodzielnej, by przekształcić ją w powolne narzędzie niemieckie, prawdopodobnie przeciw Rosji; potem można byłoby narzucić jej dalsze ustępstwa, terytorialne i inne.

Po rozważeniu sprawozdania Ambasadora Lipskiego z jego tak brzemiennego w skutki spotkania z Ribbentropem, Rząd polski już w początku listopada udzielił mu instrukcji dla przeprowadzenia nowej rozmowy z Ministrem Spraw Zagranicznych Rzeszy. Rozmowa ta odbyła się, z pewnym opóźnieniem, 19 grudnia, w Berlinie. Lipski, zgodnie z instrukcją, w formie stanowczej przypomniał wielokrotne ostrzeżenia, iż stanowisko Niemiec w sprawie Statutu Wolnego Miasta i uprawnień polskich opartych o ten statut, było przez Rząd polski zawsze uważane i jest nadal uważane jako probież zamiarów niemieckich w stosunku do Polski i że wobec tego trwanie przy sugestii wcielenia W. M. Gdańska do Rzeszy musi prowadzić do konfliktu, który nie mógłby pozostać konfliktem zlokalizowanym. Co do innych punktów sugestii wysuniętych przez Ribbentropa Lipski unikał dania wyraźnej odpowiedzi, zasłaniając się stwierdzeniem, że są one jeszcze przedmiotem rozważań Rządu. Było to pierwsze zastosowanie taktyki kontynuowania negocjacji z równoczesnym jednak zaakcentowa-

niem mocnego stanowiska w sprawie Gdańska. Przy okazji tej rozmowy ustalono, że Beck w drodze powrotnej z południa Francji, gdzie miał spędzić wakacje, zatrzyma się w Berchtesgaden, by spotkać Kanclerza Rzeszy i Ribbentropa. W miesiąc później miał przyjechać Ribbentrop do Warszawy z wizytą oficjalną, do złożenia której Lipski przekazał mu zaproszenie Rządu polskiego.

Cały ten okres, od pierwszej rozmowy Lipskiego z Ribbentropem w końcu października, aż po połowę marca 1939 gdy Hitler ostatecznie zniszczył republikę czechosłowacką i dokonał zajęcia jej przez wojska niemieckie, można by nazwać okresem „inkubacji” konfliktu polsko-niemieckiego, którego cechy charakterystyczne były następujące:

1. Brak ze strony Hitlera ostatecznego wyboru strategii do zastosowania w rozgrywce z Polską; choć z pewnością był zdecydowany kontynuować tę rozgrywkę aż do końca, żywił jeszcze nadzieję że uda mu się osiągnąć pożądany wynik, przy pomocy „appeaserów” zachodnich, bez konieczności użycia siły wojskowej. Równocześnie rozważał alternatywną koncepcję ataku w kierunku zachodnim tj. na Francję, połączonego może z masowym nalotem bombowców na Londyn. Ze strony polskiej, Minister Beck, mimo zdawania sobie sprawy z powagi niebezpieczeństwa zawartego w propozycjach Ribbentropa, uważał że są one oparte o *bluff* i że przy zastosowaniu zdecydowanej, nieustępliwej w punktach zasadniczych, ale giętkiej i zawsze gotowej do rokowań dyplomacji uda się może Polsce wywikłać z ciężkiego położenia.

2. Kontynuowanie spotkań i rozmów na wysokim szczeblu na tematy poruszone z inicjatywy Ribbentropa, i utrzymanie kontaktów między obu rządami poprzez normalne kanały dyplomatyczne. Tak więc Beck spotkał się z Hitlerem w Berchtesgaden 5 stycznia 1939 i następnego dnia rozmawiał z Ribbentropem w Berlinie. Między 25 a 27 stycznia miała miejsce zapowiadzana wizyta oficjalna Ministra Spraw Zagranicznych Rzeszy w Warszawie. Ambasador Lipski widywał się kilkakrotnie w tym okresie nie tylko z Ribbentropem, ale także z innymi przodującymi przedstawicielami reżimu hitlerowskiego. Niemiecki ambasador w Warszawie był nieraz przyjmowany przez Becka. W czasie tych licznych kontaktów ze strony polskiej zostały wysunięte dwie sugestie: pierwsza dotyczyła możliwości zastąpienia roli odgrywanej w W. M. Gdańsku przez Ligę Narodów i jej Wysokiego Komisarza przez bilateralne polsko-niemieckie urządzenie pojednawcze; druga, dotycząca kwestii połączeń między Rzeszą a Pru-

sami Wschodnimi proponowała wszczęcie rokowań dla polepszenia i rozszerzenia ułatwień komunikacyjnych poprzez tzw. „korytarz”, bez naruszenia wszakże praw suwerennych Polski na tym obszarze. Żadna z tych sugestii nie wywołała zainteresowania strony niemieckiej. Poza tym w ciągu rozmów wyjaśniono ze strony polskiej niemożność przystąpienia do paktu antykominternowskiego, gdyż podważyłoby to politykę równowagi, do której Polska przywiązywała fundamentalne znaczenie.

3. Wszystkie te rozmowy i spotkania były starannie utrzymywane w tonie nienagannej poprawności i kurtuazji bez użycia bezpośrednich gróźb czy nacisków. Dbano również z obu stron, by aspekty protokolarne były należycie respektowane². Charakterystyczne było także, iż Hitler w swej mowie do Reichstagu z 30 stycznia, wzorem lat poprzednich, zamieścił ustęp podnoszący rolę układu polsko-niemieckiego z 1934 w zapewnieniu pokoju w Europie.

4. Inną cechą tego okresu było to, że zaostrzenie stosunków polsko-niemieckich w płaszczyźnie międzyrządowej nie znajdowało na ogół odzwierciedlenia w prasie czy radiu obu krajów. Z obu stron przestrzegana tajemnica o toczących się rozmowach nie dała również prasie światowej sposobności do komentowania nowej sytuacji. Niewątpliwie wszakże kanałami dyplomatycznymi wiadomości o rozwoju wypadków zaczęły docierać już do rządów najbardziej zainteresowanych.

Nagłe zaostrzenie konfliktu

Raptowne pogorszenie sytuacji nastąpiło w drugiej połowie marca, tj. po ogłoszeniu protektoratu niemieckiego nad Czechami i Słowacją i wkroczeniu wojsk niemieckich do tych krajów. Groźne te wypadki wskazywały na to, iż Hitler rozstrzygnął swoje poprzednie wahania co do kierunku akcji na korzyść działania naprzód w kierunku wschodnim, tj. zlikwidowania państwa czesko-słowackiego a potem rozprawienia się z Polską. Istotnie okupacja Czech, Moraw i Słowacji i obsadzenie bramy morawskiej oraz

2. Tak np. Ambasador Lipski uznał że członkowie Ambasady w pełnym składzie powinni przywitać na dworcu powracającego z oficjalnej wizyty w Warszawie Ribbentropa. Ustawiono nas szeregiem na peronie i Ribbentrop witał się z nami kolejno, po przedstawieniu przez Lipskiego. Podawał każdemu rękę, przytrzymując nasze dłonie przez nienormalnie długą chwilę w mocnym uścisku i równocześnie patrząc nam natargliwie prosto w oczy. Teatralne to zachowanie robiło dziwne wrażenie: napuszony, ponury pajac!

przełęcz karpackich przez oddziały sił zbrojnych Rzeszy stanowiły oskrzydlenie Polski również od południa, pogarszając jej położenie strategiczne w sposób decydujący. Wydaje się jednak, że Hitler nawet w tym momencie nie stracił jeszcze nadziei, że dzięki sukcesowi w ostatniej rozprawie z Czechosłowacją spowoduje załamanie się polskiego oporu i że można będzie uniknąć użycia akcji militarnej.

Zaostrzenie stanowiska niemieckiego ujawniło się wyraźnie już w rozmowie, na którą Ribbentrop wezwał Lipskiego w dniu 21 marca. W tym spotkaniu Minister Spraw Zagranicznych Rzeszy zażądał, w formie już pozbawionej cech dyplomatycznej kurtuazji, ostatecznej odpowiedzi Rządu polskiego na propozycje niemieckie w sprawie Gdańska i eksterytorialnego połączenia Prus Wschodnich z Rzeszą. Równocześnie wyraził życzenie, by Minister Beck przybył w najbliższym czasie do Berlina celem spotkania się z Hitlerem. Było jasne iż taka wizyta stałaby się próbą powtórzenia metod „rozmiękczenia” i zastraszenia rozmówcy polskiego, tak skutecznie zastosowanych w poprzednim roku w wypadku Schuschnigga, i później w wypadku Hachy. Fakt że w dniu następnym po tej rozmowie, tj. 22 marca, nastąpił nowy *coup* Hitlera — zmuszenie Litwinów do odstąpienia Kłajpedy — nie mógł przyczynić się do polepszenia perspektyw na przyszłość.

Odpowiedź polska została udzielona w czasie spotkania Lipskiego z Ribbentropem dnia 26 marca. Lipski doręczył tekst memorandum zrehabilitowanego na podstawie telegraficznej instrukcji, przekazanej z Warszawy, w którym Rząd polski w sposób stanowczy, ale w tonie bardzo umiarkowanym, a nawet pojednawczym, odmówił raz jeszcze przyjęcia propozycji co do W. M. Gdańska i eksterytorialnych połączeń, równocześnie proponując dalsze negocjacje oparte o sugestie wcześniej zakomunikowane ze strony polskiej. Ribbentrop z miejsca odrzucił te propozycje i oświadczył, iż niezrozumiałe stanowisko Rządu polskiego pociągnie za sobą nieokreślone przez Ministra konsekwencje. Rozmowa ta była ostatnim merytorycznym kontaktem Rządu polskiego z Rządem Trzeciej Rzeszy. Było wprawdzie jeszcze kilka spotkań Ambasadora Lipskiego z Ribbentropem oraz Ambasadora Moltkego z Beckiem, ale ograniczały się one do protestów i deklaracji formalnych w sprawach gdańskich i mniejszościowych.

Polityka premiera Chamberlaina i „gwarancja brytyjska”

W tym miejscu chciałbym umieścić kilka uwag na temat po-

lityki brytyjskiej, a zwłaszcza jej głównego protagonisty w tym okresie, Premiera Chamberlaina, w stosunku do narastającego konfliktu polsko-niemieckiego, oraz motywów które skłoniły Rząd brytyjski do ofiarowania Polsce tzw. gwarancji na wypadek zagrożenia jej niepodległości.

Wydaje się pewne iż do konferencji monachijskiej (włącznie) Chamberlain widział zapewnienie pokoju w Europie w osiągnięciu trwałego porozumienia z Niemcami, które uważał za możliwe pod warunkiem zaspokojenia przynajmniej tej części rewindykacji niemieckich która w oczach świata anglosaskiego (a także Francji) miała najsolidniejsze uzasadnienie, a więc przede wszystkim tych dotyczących Europy środkowo-wschodniej. Stąd brak brytyjskiej (i francuskiej) reakcji na *Anschluss* Austrii i stąd aktywne współuczestnictwo w pozytywnym dla Niemiec załamaniu sprawy sudeckiej. Monachium było szczytowym punktem polityki *appeasement*, ale już zaraz potem, zdawszy sobie sprawę z roli jaką Anglia odegrała w wymuszeniu zgody rządu czeskosłowackiego na odstąpienie terytorium sudeckiego Niemcom, brytyjska opinia publiczna zaczęła budzić się z długiego letargu. Ostatecznym, decydującym punktem zwrotnym było oczywiście zajęcie przez Hitlera Pragi i ogłoszenie protektoratu nad Czechami i Słowacją. Zwrot w opinii publicznej Wielkiej Brytanii mógł zagrozić Chamberlainowi utratą władzy, zwłaszcza iż w tym zwrocie brała czynny udział dość liczna i wpływowa grupa konserwatystów pod przewodnictwem Churchilla. Zresztą sam Chamberlain odczuł akcję Hitlera w sprawie czeskiej jako jawne pogwałcenie układu monachijskiego i uważał iż został w tej sprawie osobiście oszukany przez swego głównego kontrahenta. W tych nastrojach uznał, iż musi zająć mocne stanowisko co do żądań niemieckich skierowanych do Polski. Ofiarowanie więc Polsce tzw. gwarancji brytyjskiej miało niewątpliwie za tło konieczności wewnętrzno-polityczne, ale niewątpliwie miało także być stanowczym ostrzeżeniem dla Hitlera, iż Wielka Brytania nie będzie odtąd tolerować dalszych aktów przemocy i gwałtu ze strony III Rzeszy. Gwarancja zatem sygnalizowała koniec polityki *appeasement*. Przekształcenie gwarancji, po rozmowach z Beckiem w Londynie w początku kwietnia w deklarację polsko-brytyjską o współpracy w wypadku zagrożenia niepodległości jednej ze stron, i znacznie późniejsze zawarcie formalnego traktatu sojuszniczego, miały, z punktu widzenia brytyjskiego, za zadanie wzmocnić wiarygodność wykonania przez Wielką Brytanię swych zobowiązań względem Polski.

Żaden z tych doniosłych aktów politycznych i prawnych nie

oznaczał wszakże, iż rząd brytyjski, a zwłaszcza Chamberlain uważał wybuch wojny z Niemcami za nieunikniony, w każdym razie w terminie obliczonym raczej na lata niż na miesiące. Chamberlain bowiem zdawał sobie sprawę z nieprzygotowania Anglii do podjęcia w bliskim czasie walki zbrojnej z III Rzeszą. Potrzebował zyskać na czasie dla dopełnienia rozpoczętego już dozbrojenia. Liczył więc na możliwość, iż gwarancja brytyjska może okazać się pomocną w skłonieniu Hitlera bądź do wycofania, lub co najmniej złagodzenia swych żądań w stosunku do Polski, bądź też do ich odłożenia na później. Liczył też może na to, iż Polska, pod naciskiem niemieckim mogłaby się zgodzić na jakieś rozwiązanie kompromisowe. Niezwykle w praktyce układów międzynarodowych w deklaracji o wzajemnej pomocy sformułowanie *casus foederis*, przewidujące automatyczne wejście w moc zobowiązań brytyjskich z chwilą oświadczenia przez Polskę, iż jej niepodległość jest zagrożona, miało dwa aspekty: pierwszy dający Polsce prawo samodzielnego określenia w jakich warunkach i w jakim czasie miał nastąpić *casus foederis*; drugi zaś, zwalniający Wielką Brytanię od jej zobowiązań, gdyby Polska z własnej woli, bez nacisku ze strony swego sojusznika (ale nie wyłączając nacisku niemieckiego), w rokowaniach bezpośrednich z Rządem Rzeszy, zgodziła się na jakieś ustępstwa. W takim wypadku Chamberlain znalazłby się *off the hook* i prawdopodobnie przyjąłby taki wynik z zadowoleniem, gdyż zyskałby to, czego pragnął najbardziej — pewien okres czasu na dozbrojenie swego kraju.

Takie wytłumaczenie polityki Chamberlaina potwierdzają wielokrotne rady udzielane ze strony angielskiej Beckowi, by unikał aktów, które mogłyby być uznane przez Hitlera za prowokację, oraz by zachować, jak długo można, drzwi otwarte dla możliwości nawiązania bezpośrednich rokowań z Niemcami (Beck zresztą całkowicie podzielał te poglądy i stale oczekiwał momentu w którym można by z powrotem nawiązać kontakty z Rządem III Rzeszy). Stąd też zainteresowanie Chamberlaina niemieckimi propozycjami „pokojowymi” przekazanymi mu w ostatnich dniach sierpnia przez ambasadora Hendersona i przyjaciela Goeringa, niejakiego Dahlerusa; aby dać szansę tej inicjatywie Chamberlain nakłonił, niemal w ostatniej chwili, Rząd polski do przesunięcia o dwa dni mobilizacji generalnej w Polsce, co stworzyło dla polskich sił zbrojnych dodatkowe utrudnienia z chwilą rozpoczęcia działań wojennych.

Choć z pewnym opóźnieniem i przynaglony burzliwą postawą parlamentu, Chamberlain wypełnił jednak formalne zobowiązanie sojusznicze względem Polski przez wypowiedzenie wojny Niem-

com 3 września 1939. Przyznać też trzeba, iż w okresie od gwarancji brytyjskiej do końca sierpnia nie wykorzystywał stosunku sojuszniczego z Rządem polskim dla wywarcia nacisków zmierzających do większej uступliwości względem roszczeń niemieckich. W praktyce jednak niczego nie dokonał by uwiarygodnić aspekty militarne sojuszu: zobowiązania co do akcji brytyjskiego lotnictwa zostały martwą literą, wystąpienie polskie o kredyt na zakup pilnie potrzebnego sprzętu wojskowego nie odniosło pożądanego skutku. W gwarancji brytyjskiej widział przede wszystkim instrument polityczny dla zapobieżenia wojnie przez skłonienie Hitlera do uступstw i nawiązania ponownie negocjacji z Polską bez gróźb przemocy. Do ostatniej chwili przyświecała mu myśl wznowienia rozmów między dwoma antagonistami.

Postawiony sobie cel zyskania na czasie dla dozbrojenia Anglii osiągnął nie dzięki pożądanym rokowaniom polsko-niemieckim, ale dzięki nieuступliwej postawie Polski, która doprowadziła Hitlera do akcji wojskowej przeciw niej, uniemożliwiającej równoczesną akcję na Zachodzie. To pozwoliło zatem Anglii wykorzystanie okresu *Drôle de Guerre* dla rozbudowy swego lotnictwa, co z kolei, po bitwie lotniczej o Londyn, skłoniło Führera do rezygnacji z planów inwazji Anglii.

Stanowisko Francji w stosunku do konfliktu polsko-niemieckiego niewiele różniło się od stanowiska brytyjskiego; w zasadzie powitałaby uratowanie pokoju poprzez uступstwa ze strony polskiej z jeszcze większym zadowoleniem. Nie ma potrzeby poświęcać więcej miejsca na opisywanie szczegółów: w ostatnich latach przedwojennych ważne decyzje polityki zagranicznej dotyczące aliansu anglo-francuskiego zapadały z reguły w Londynie, a nie w Paryżu.

W umyśle ministra Becka porozumienie polsko-brytyjskie nie oznaczało bynajmniej zasadniczego zwrotu w jego polityce względem Niemiec. Łudził się, że to porozumienie może skłonić Hitlera do większej uступliwości i do dalszych rokowań z Polską, podobnie jak Hitler łudził się jeszcze niedawno, iż opanowanie przez Rzeszę Czech i Słowacji może przełamać opór Polski w sprawie roszczeń niemieckich w stosunku do niej. Wydaje się że jedną z głównych charakterystyk przedwojennego konfliktu między Polską a Niemcami było wzajemne niezrozumienie postaw zasadniczych i psychologii, tj. z jednej strony najgłębszych uczuć narodu polskiego i osobistego charakteru Becka, nie dopuszczającego możliwości uступienia przed zdradliwą przemocą i mającego silne poczucie honoru narodowego i osobistego, a z drugiej fundamental-

nie antypolskich nastrojów w Niemczech i nieposkromionej żądy Hitlera narzucenia swego programu.

Jednostronne unieważnienie deklaracji o nieagresji przez Hitlera i przygotowania wojskowe

Reakcja Hitlera zaskoczonego faktycznym aliansem polsko-brytyjskim nie dała na siebie czekać: w gwałtownej mowie wygłoszonej w Reichstagu 28 kwietnia zaatakował on Polskę i jednostronnie ogłosił Deklarację polsko-niemiecką z 1934 jako odtąd nieważną. Pamiętna mowa Becka przed sejmem w dniu 5 maja 1939, stanowcza lecz umiarkowana, była odpowiedzią daną Hitlerowi w imieniu Polski. Mowa ta doskonale odzwierciedlała jednomyślne stanowisko i wolę narodu polskiego, i dzięki temu zyskała Beckowi, przynajmniej na czas jakiś popularność, którą przedtem nigdy się nie cieszył, i o którą zresztą nigdy nie zabiegał.

Jak się okazało z badań nad archiwami niemieckimi zagarniętymi przez aliantów po zakończeniu drugiej wojny światowej, pierwsze dyrektywy Hitlera nakazujące opracowanie planów napadu zbrojnego na Polskę wydane zostały dopiero 3 kwietnia 1939. Przedtem, już w końcu 1938 roku, Hitler kazał opracować jedynie akcję wojskową dla opanowania W. M. Gdańska, na wypadek gdyby proces „rozmiękczenia” stanowiska polskiego pozwalał na podjęcie tego rodzaju akcji „lokalnej” bez wywoływania ogólnego konfliktu zbrojnego z Polską — jeszcze jeden przykład iluzji Führera jeśli chodzi o znajomość charakteru Polaków. Zarządzając przygotowanie planów *Fall Weiss* (*Case White*, zakonodowana nazwa planu agresji przeciw Polsce), Hitler jeszcze raz powtórzył swoją opinię o możliwości załatwienia rozprawy z Polską bez użycia oręża. Natomiast w końcu maja, w czasie konferencji głównych dowódców niemieckich sił zbrojnych dla omówienia przygotowanych już planów wojennych stwierdził, że nie może obyć się bez przelewu krwi i nakazał by wszystko było gotowe do rozpoczęcia działań wojennych przeciwko Polsce najpóźniej 1 września 1939.

Nie czekając na wypracowanie planów strategicznych Niemcy przystąpiły już jakiś czas przedtem, przy zachowaniu tajemnicy, do częściowej mobilizacji swych sił zbrojnych. Ze strony polskiej już wkrótce po zgłoszeniu żądań niemieckich wzmocniono garnizony w rejonie Gdańska, a z biegiem następnych miesięcy zaczęto przez powołania indywidualnych rezerwistów wzmacniać

szeregi pod bronią. W ciągu letnich miesięcy kontakty sztabu polskiego z Generałem Gamelin oraz z Generałem Ironsidem, szefem brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego doprowadziły do dość dokładnego sprecyzowania zobowiązań Francji i Anglii w dziedzinie ich działań wojennych na wypadek agresji niemieckiej przeciw Polsce. Niestety, jak wiadomo, te zobowiązania zostały wykonane przez naszych aliantów w sposób tylko symboliczny.

Rozwój wypadków od połowy marca przerwał wreszcie narzuconą przez rządy ciszę panującą w środkach masowego przekazu na temat narastania konfliktu polsko-niemieckiego. Opinia publiczna w Polsce dopiero teraz mogła uświadomić sobie rozmiar groźnego niebezpieczeństwa, któremu przyszło jej stawić czoło. Jak można było się spodziewać reakcja ludności, choć pełna poważnej troski, była jednolicie zdecydowana.

Równocześnie rozpętała się w Niemczech niepokonowana antypolska kampania prasowa, czasami granicząca z histerią. Prowokacyjne incydenty w Gdańsku i wzdłuż granicy polsko-niemieckiej zdarzały się coraz częściej; wśród mniejszości niemieckiej w Polsce zaczęto natrafiać na ślady przygotowań do akcji dywersyjnej, a w stosunku do ludności polskiej w Niemczech i jej organizacji społecznych zaczęły się mnożyć akty gwałtu. Wszystko to robiło wrażenie dobrze zgranej orkiestry i było niewątpliwie częścią typowo hitlerowskiej wojny psychologicznej przeciw Polsce, mającej za zadanie sianie wśród ludności i władz nastrojów lęku i grozy.

Przerwanie od ostatniego tygodnia marca bezpośrednich merytorycznych rozmów między rządami polskim i niemieckim, dotyczących konfliktu wywołanego przez Hitlera (kilkakrotne sondy w tym względzie ze strony polskiej pozostały bez odpowiedzi) nie oznaczało jednak, by w tym okresie dyplomacja na innych odcinkach była beczynna wokół sprawy polskiej. Mimo że Ambasada polska w Berlinie nie odgrywała roli w tych akcjach dyplomatycznych, niepodobna nie wspomnieć tutaj o odbywających się w Moskwie negocjacjach anglo-francuskich z Mołotowem i Woroszyłowem, ani zwłaszcza powoli i z wahaniem rozwijających się kontaktów Rządu Rzeszy z Rządem sowieckim które, nagle przyspieszone, w końcu lipca zakończyły się tak tragicznym wynikiem dla Polski. O ile o rozpoczętych ze znacznym ociąganiem się, i nie dających konkretnych rezultatów, rozmowach, politycznych i sztabowych, anglo-francuskich, z Rosją, docierały do nas dość częste wiadomości zarówno z Warszawy, jak z Paryża i Londynu, o tyle o kontaktach niemiecko-sowieckich panowała głucha

cisza, choć przypuszczam iż Coulondre, ambasador francuski w Berlinie, dość dobrze zorientowany w tych sprawach i cieszący się — jak się zdaje — własnymi dobrymi źródłami informacji, musiał przekazywać Lipskiemu jakieś sygnały ostrzegawcze. Musiały też takie sygnały docierać do ministra Becka, ale przypuszczalnie przez długi czas polski minister odmawiał wiary tym informacjom, gdyż uważał porozumienie niemiecko-sowieckie za wręcz niemożliwe. Zresztą warto tu zaznaczyć, iż wzajemne stosunki Polski z Rosją były w tym okresie całkowicie normalne i poprawne: pewne zadrażnienie zaistniało po Monachium i akcji polskiej na Zaolziu zostało naprawione w rozmowach w Moskwie w grudniu 1938, co potwierdzał wspólnie wydany wówczas komunikat prasowy. Rozmowy które latem, przy okazji swej wizyty w Warszawie, odbył z Beckiem sowiecki wiceminister Spraw Zagranicznych, Potiomkin, nie wskazywały wcale, by miała nastąpić jakaś zmiana na gorsze.

Tak więc mijały miesiące: maj, czerwiec, lipiec, minęła połowa sierpnia, bez żadnej istotnej zmiany w napiętej sytuacji, co samo w sobie pogłębiało naprężenie tego stanu zawieszenia między wojną, która, byliśmy pewni, stała się już nieunikniona, a rzeczywistym jej wybuchem. Uczucie iż agresja na nasz kraj może nastąpić w każdej chwili, każdego dnia, cechowało więc nasze życie i nasze działalności codzienne w Berlinie.

Może warto w tym miejscu przerwać opowiadanie o kolejnych etapach rozwoju konfliktu polsko-niemieckiego by dać kilka krótkich, „migawkowych” obrazków opartych o osobiste wspomnienia autora, o życiu i działalności Ambasady czy to w jej biurach, czy to w środowisku Berlina w tym szczególnym, nieco niesamowitym okresie.

URYWKI Z OSOBISTYCH WSPOMNIEŃ AUTORA O JEGO PRACY W AMBASADZIE I O INNYCH WRAŻENIACH ODNIESIONYCH W CZASIE JEGO POBYTU W BERLINIE W OKRESIE POPRZEDZAJĄCYM NAPAD NIEMIECKI NA POLSKĘ

Interwencje w sprawach dotyczących obywateli polskich

Pomimo poprawy w stosunkach międzyrządowych polsko-niemieckich, zwłaszcza w dziedzinie politycznej, jaka nastąpiła po znegocjowaniu Deklaracji o nieagresji z 1934 roku, odprężenie

to odzwierciedliło się tylko w małym stopniu w stanowisku ludności niemieckiej i władz Rzeszy, zwłaszcza lokalnych, wobec mniejszości polskiej³, czy też wobec obywateli polskich zamieszkających w tym kraju w liczbie przeszło stu tysięcy. Stanowisko to często nacechowane otwartą wrogością i aktami bezprawia, przerodziło się zaś w systematyczne prześladowanie, od czasu odrzucenia przez Rząd polski żądań Hitlera. W Ambasadzie miałem specjalnie powierzony sobie dział interwencji w *Auswärtiges Amt* w sprawach obywateli polskich, którzy fizycznie, lub na majątku, stali się ofiarami bezprawnych napaści ze strony miejscowej ludności, lub zarządzeń władz lokalnych — w wypadkach gdy polskim urzędom konsularnym, rozsianym dość gęstą siecią na terytorium Rzeszy, nie udało się uzyskać zadośćuczynienia na miejscu. Interwencje takie ze strony Ambasady były podejmowane za każdorazowym upoważnieniem MSZ w Warszawie, które pragnęło przestrzegać zasady wzajemności, a także utrzymać kontrolę nad liczebnością i częstotliwością tych interwencji, których niepodobna było traktować w oderwaniu od aspektów politycznych. Moim zadaniem było w każdym wypadku zredagować *note verbale* z opisem stanu faktycznego, podkreśleniem aspektów prawnych i żądaniem odwołania krzywdzących zarządzeń władz lub dania innego rodzaju zadośćuczynienia. Noty te bardzo często odnosiłem osobiście do *Auswärtiges Amt* by je przedyskutować z moim tam odpowiednikiem, którym był Ministerialrat Bergmann, szef „desku” polskiego. Należał on do „nowej fali” partyjnych urzędników niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, był członkiem SS, pochodził z Bydgoszczy i niewątpliwie miał głębokie urazy antypolskie, choć w mojej obecności nigdy tego nie pokazywał, przeciwnie starał się zawsze być bardzo poprawnym. Mimo to, nieczęsto udawało mi się uzyskać dla moich interwencji wynik pozytywny. Czasami dawał mi do zrozumienia iż argumenty moje są uzasadnione, ale zasłaniał się trudnością przekonania o tym władz centralnych w innych Ministerstwach Reichu, a zwłaszcza lokalnych Gauleiterów partyjnych, których władza była niemal nieograniczona. Gdy od czasu do czasu zawiadamiał mnie o pozytywnym wyniku interwencji, starał się mnie przypisywać zasługę rzekomo dzięki dobrej redakcji i argumentom noty. Z biegiem czasu, gdy stosunki z Polską były już znacznie pogorszone, ilość wypadków będących przedmiotem

3. Sprawy dotyczące mniejszości polskiej w Niemczech, tj. Polaków obywateli niemieckich, były traktowane osobno ze względu na ich odrębny statut prawny.

interwencji ogromnie się powiększyła, a wyniki moich zabiegów coraz mizerniejsze, ogarniało mnie uczucie frustracji, ale oczywiście trzeba było robić dobrą minę do złej gry i kontynuować wysiłki. Szczególnie trudne i bezowocne były interwencje w sprawach obywateli polskich narodowości lub pochodzenia żydowskiego. Bergmann wzruszał ramionami i mówił: „Dziwię się że Pan się tym w ogóle zajmuje — przecież tu nie chodzi o Polaków, a o Żydów”. Gdy jednak nastawałem i sprawa stanowiła wypadek jaskrawego bezprawia, co do którego nie można było mieć wątpliwości, uzyskiwałem zadośćuczynienie, choć to się zdarzało niezmiernie rzadko⁴.

4. W połowie października 1938 roku zostało opublikowane w Polsce Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych (w porozumieniu z Ministrem Spraw Zagranicznych) o jednorazowej kontroli paszportów posiadanych przez obywateli polskich zamieszkających za granicą. Rozporządzenie przewidywało wdrożenie postępowania o pozbawienie obywatelstwa polskiego w wypadkach gdy posiadacze paszportów zaniedbali od wielu lat obowiązek rejestracji w polskich urzędach konsularnych lub też nie mogli wykazać, iż utrzymują nadal rodzinne, ekonomiczne lub kulturalne stosunki z krajem. W takich wypadkach konsulaty miały odmawiać umieszczenia w paszporcie wzmianki o potwierdzeniu jego ważności, co pociągało niemożność przekroczenia granicy polskiej. Rozporządzenie to uderzyło jak grom z jasnego nieba w kilkadziesiąt tysięcy liczącą rzeszę Żydów, posiadaczy paszportów polskich, zamieszkających w Niemczech. Większość z nich rzeczywiście nie miała żadnych związków z Polską, mieszkala poza jej granicami od bardzo wielu lat, ich rodziny często pochodziły nie z ówczesnego terytorium Rzplitej, lecz z zachodnich rubieży Związku sowieckiego, które opuścili korzystając z prawa opcji na rzecz obywatelstwa polskiego, wprowadzonego przez Traktat ryski; nie zapuścili korzeni w Polsce i wkrótce potem przenieśli się na stałe za granicę; niektórzy byli wrogo nastawieni do kraju swego obywatelstwa. Zastosowanie do nich jednak postanowień Rozporządzenia uderzyło w nich bardzo dotkliwie, stawiając ich w niemal beznadziejnym położeniu, zwłaszcza iż zbiegło się w czasie z nową falą ostrych antysemitycznych wystąpień w Niemczech, wywołanych zabójstwem przez Żyda Radcy Ambasady niemieckiej w Paryżu. Toteż reakcja władz niemieckich była szybka i gwałtowna: kilkanaście tysięcy osób zostało załadowanych do wagonów i wywiezionych w kierunku granicy polskiej w Zbąszyniu; władze polskie, stosując przepisy Rozporządzenia, odmówiły im wjazdu do Polski, ale zmuszone były do stworzenia naprędce obozu pod Zbąszyniem, gdzie, jak można sobie wyobrazić, warunki były niezmiernie uciążliwe. Nastąpiły rokowania polsko-niemieckie, które po długich tygodniach dały wynik kompromisowy pozwalający wysiedleńcom powrócić do swych miejsc zamieszkania w Niemczech na krótki okres czasu, celem zlikwidowania mienia i ewentualnego uzyskania wiz do innych krajów; pewną jednak, dość znaczną, ilość tych ludzi Polska musiała w końcu wpuścić na swoje terytorium. Cała ta smutna sprawa polskiego Rozporządzenia, którego podstawy prawne, a zwłaszcza moralne, musiały budzić poważne wątpliwości, wywołała szerokie echo w prasie światowej i w opinii publicznej wielu krajów, uczyniła wiele szkód dla sprawy polskiej, która właśnie w tym momencie potrzebowała więcej poparcia niż kiedykolwiek.

Stosunki poza-urzędowe z Niemcami

Stosunków takich o charakterze towarzyskim prawie nie mieliśmy w czasie mojego i mojej żony pobytu w Berlinie. Część kosmopolityczną arystokracji niemieckiej spotykało się czasem na wielkich przyjęciach dyplomatycznych, ale sfery urzędnicze (włącznie z tymi co pracowali w *Auswärtiges Amt*), koła inteligencji zawodowej, koła finansowe i handlowe na ogół z rzadka tylko brały udział w życiu towarzyskim z cudzoziemcami, a zwłaszcza z Polakami. Odnosiło się wrażenie, że jedynie niektórzy pochodzący z tych kół byli jakby „odkomenderowani” do utrzymywania formalnych zresztą stosunków z dyplomatami polskimi. Tak np. kilkakrotnie byliśmy zapraszani przez inteligentnego i obrotowego urzędnika biura Ribbentropa, Kleista i jego przystojną żonę. Był on członkiem SS, interesował się szczególnie sprawami Europy Wschodniej i odgrywał jakąś, dość niewyjaśnioną rolę w sprawach polskich. Byliśmy też zaproszeni na obiad do majątku p. von Arnina, prezesa *quasi* urzędowego Towarzystwa polskoniemieckiego w Berlinie — atmosfera panowała formalna, chłodna i sztuczna. Ponieważ byłem w częstym kontakcie urzędowym z moim *opposite number* w *Auswärtiges Amt*, Bergmannem, uważałem iż powinienem zaprosić go na śniadanie do domu, razem z kilkoma innymi osobami. Przyszedł, zachował się jak okradziony, nie brał udziału w konwersacji, która toczyła się przeważnie po francusku. Wkrótce odprosił mnie na obiad do restauracji w towarzystwie kilku swoich kolegów — wszyscy wystąpili w czarnych mundurach SS i byli sztywni jakby kije połączni. Na tym zakończyliśmy próbę nawiązania stosunków towarzyskich. W ogóle wydaje mi się, że izolacja członków Ambasady polskiej wśród społeczeństwa niemieckiego, zwłaszcza w ostatnich miesiącach naszego pobytu w Berlinie, miała dużo cech wspólnych z całkowitą izolacją dyplomatów wszystkich niemal krajów, tradycyjnie obowiązującą w Moskwie.

Muszę przyznać że w środowisku niemieckim zawsze czułem się nieswojo. Przyczyniała się do tego także niedoskonała znajomość języka, mimo że uczyłem się go od dzieciństwa, ale widocznie jego pogłębienie natrafiało u mnie na jakieś wewnętrzne opory. Dlaczego MSZ wybrał mnie na stanowisko w Berlinie (które zresztą było dla mnie połączone z awansem) pozostaje tajemnicą — było przecież wielu kolegów, których znajomość Niemiec i ich języka była znacznie lepsza.

Stosunki z korpusem dyplomatycznym

Wśród przedstawicieli dyplomatycznych w Berlinie było sporo osobistości o wysokim poziomie zdolności i doświadczenia. Tłumaczy się to oczywiście wagą polityczną III Rzeszy, źródła zaniepokojenia dla tylu rządów. Do czołówki wybitnych ambasadorów zaliczali się kolejni za moich czasów ambasadorzy francuscy, François-Poncet, błyskotliwie inteligentny i obrotny, oraz Coulondre, odznaczający się rozległym doświadczeniem i znajomością nie tylko Niemiec, ale też i Rosji sowieckiej, a także Attolico, ambasador włoski, były Podsekretarz Generalny Ligi Narodów, nie zdradzający, jak się zdaje, mimo linii politycznej swego rządu, nadmiernego entuzjazmu do reżimu nacjonal-socjalistycznego. Ambasador brytyjski, Sir Nevil Henderson, był przekonany, doktrynerskim *appeaser*'em, bliskim i oddanym współpracownikiem Premiera Chamberlaina. Do czołówki ambasadorskiej należał też niewątpliwie ambasador Józef Lipski, młodszy wiekiem, ale wybijający się zdolnościami, gorliwością w wypełnianiu powierzonych mu misji, wyczuwający instynktownie oznaki i kierunki zmieniających się wiatrów politycznych. Okoliczności odprężenia polsko-niemieckiego w okresie po Deklaracji o nieagresji z 1934 roku, dawały mu łatwy dostęp do najbardziej wpływowych kierowników politycznych Rzeszy (włącznie z Hitlerem i Goeringiem) co potrafił wykorzystać umiejętnie w interesie polityki polskiej. Toteż ambasadorowie i posłowie innych krajów często go odwiedzali i konsultowali, gdyż był dla nich cennym informatorem jeśli idzie o rozwój sytuacji w Niemczech i o poglądy przywódców niemieckich, do których mieli trudniejszy i rzadszy dostęp.

Wśród radców i sekretarzy wielu ambasad i poselstw spotykało się też sporo ludzi poziomu wyższego niż przeciętny. Z kilkoma z nich i ich rodzinami nawiązaliśmy dobre a nawet bliskie stosunki i spotykaliśmy się z nimi dość często. Wymagało to pewnego wysiłku z mojej i mojej żony strony, gdyż powszechnym zjawiskiem w świecie dyplomatycznym jest iż znajomości wewnątrz korpusu nawiązuje się znacznie łatwiej w stolicach mniejszych krajów, gdzie mniejsza liczebność środowiska dyplomatycznego, a także czasem mniejsza zasobność atrakcji kulturalnych, towarzyskich czy rozrywkowych przyczynia się do większej spójności członków przedstawicielstw dyplomatycznych. W wielkich metropoliach którymi są zwykle stolicy większych mocarstw, różne siły odśrodkowe czynią wewnętrzne współzycie korpusu dyplomatycznego mniej spójnym i bardziej rozproszonym w otaczającym

go środowisku. W Berlinie np. spotykało się liczniej zgromadzonych kolegów z korpusu i ich żony tylko z okazji wielkich przyjęć, balów i czasem obiadów, wydawanych przez główne czy zasobniejsze ambasady, co nie dawało sposobności do nawiązywania więcej niż okolicznościowych znajomości. Pamiętam szczególnie kilka takich naprawdę wspaniałych przyjęć i balów wydanych z okazji międzynarodowego konkursu hippicznego w początku 1939 roku. Zwłaszcza bale wydane wówczas przez ambasady francuską i włoską odznaczały się swą wystawnością. Wielki hall włoskiej ambasady i szerokie schody prowadzące do salonów na pierwszym piętrze, przystrojone niebywałą gęstwą kwitnących krzewów mimozy, najwidoczniej specjalnie sprowadzonych z Włoch, robiły szczególnie wielkie wrażenie; ambasador Lipski też wydawał czasem przyjęcia i obiady, gromadzące znaczną ilość gości — choć te uroczyste przyjęcia były zakrojone na nieco skromniejszą skalę, odznaczały się zawsze wytwornością i dobrym smakiem, a w wypadku obiadów, także w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Ze wszystkich kolegów z ambasad byliśmy związani najbliższą przyjaźnią z Donald Heathem, I Sekretarzem Ambasady amerykańskiej, który zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej został zastępcą Murphy'ego, pierwszego Komisarza cywilnego zony amerykańskiej Niemiec okupowanych przez Aliantów zachodnich, a potem ambasadorem Stanów Zjednoczonych kolejno w Bułgarii, Wietnamie i Libanie. Widywaliśmy często jego i jego żonę i wymienialiśmy informacje. W ostatnich tygodniach przed agresją niemiecką na Polskę byliśmy w niemal codziennym kontakcie. Heath dopytywał się ciągle czy aby Polska wytrzyma presję niemiecką, a może też i swoich aliantów i nie ustąpi w ostatniej chwili. Jego szef, *Chargé d'Affaires* amerykański, Kirk, był uparty w swej opinii że Polska będzie zmuszona do przyjęcia warunków niemieckich i że ogólnego starcia zbrojnego nie będzie. Takie poglądy były zresztą w tym okresie dość rozpowszechnione wśród korpusu dyplomatycznego w Berlinie pod wpływem potęgi niemieckiej, precedensów austriackiego i czechosłowackiego, a także może podszeptów *appeaser*ów z ambasady brytyjskiej. Ja natomiast ciągle mu przedkładałem, że Polska nie ustąpi i nie może ustąpić gdyż w obecnym wypadku chodzi o coś znacznie ważniejszego niż o jakąś autostradę czy nawet prawa polskie do W.M. Gdańska, a mianowicie idzie gra o niepodległość Polski, a może nawet po prostu o jej istnienie. Gdy spotkałem Heatha w wiele lat po wojnie w Stanach Zjednoczonych wspomniał, iż mnie zawdzięcza ważny sukces w swej karierze: donosił on swemu szefowi, Kirkowi o naszych rozmowach, ale ten nie dał się

nakłonić do zmiany swego zdania o nieuniknionym wymuszeniu na Polsce poważnych ustępstw, celem zapobieżenia wojnie, i w tym duchu wysyłał raporty do Washingtonu. Heath już całkowicie przekonany przeze mnie wziął na siebie ryzyko przekazywania odmiennego zdania w listach prywatnych, kierowanych do wyższych urzędników w Departamencie Stanu. Później okazało się, że on jeden prawidłowo ocenił sytuację i to mu podobno znacznie pomogło w dalszej karierze.

Alarm w Ambasadzie

W ciągu kilku ostatnich miesięcy kilkakrotnie krążyły w Berlinie niesprawdzone i może umyślnie rozpuszczane pogłoski, o jakoby lada dzień mających się rozpocząć działaniach wojennych przeciw Polsce. Któregoś dnia, w końcu maja czy też na początku czerwca, wydawało się jednak, że te pogłoski były oparte o poważne podstawy. *Attaché* wojskowy ambasady, pułkownik Szymański, przyniósł wiadomość, potwierdzoną przez jego kolegów francuskiego i brytyjskiego, a więc mającą cechę wiarygodności, że jakieś znaczne zgrupowanie wojsk pancernych i wojsk zmotoryzowanych znajduje się w ruchu w kierunku granicy polskiej. Zebraliśmy się wszyscy w gabinecie Ambasadora, by wysłuchać tej relacji i czekać na dalsze wiadomości, które obiecał przekazać nam po ponownym spotkaniu ze swymi kolegami, czy też może pochodzących z innych źródeł, których nie wymienił. Nowe informacje potwierdziły dalsze zbliżanie się tego silnego zgrupowania do granicy. Można sobie wyobrazić stopień napięcia, w jakim byliśmy wszyscy pogrążeni. Po pewnym czasie nadeszła jednak wiadomość, że kolumna niemiecka nie dotarłszy do granicy, zawróciła w kierunku swoich normalnych miejsc postoju. Z westchnieniem ulgi alarm w ambasadzie został odwołany: chodziło zapewne tym razem o ćwiczenia stosunkowo wielkiego zespołu. Ale pozostała świadomość że następnym razem może to być rzeczywiście początek agresji.

Ambasada zakupuje teren pod rozbudowę biur

Z własnego wyczucia, ale też zgodnie z instrukcjami centrali MSZ, usiłowaliśmy utrzymać normalny tok urzędowania do ostatniej chwili, mimo wzrastającego napięcia i głębokiego przeko-

niania iż wojna zbliża się w sposób nieunikniony. Ilustracją, dość niezwykłą, tego stanowiska jest historia nabycia terenu sąsiadującego z gmachem ambasady. Już kilka lat przedtem ambasador Lipski uzyskał zgodę MSZ na rozpoczęcie pertraktacji w sprawie zakupu dość dużego terenu, należącego do sąsiadującej z ambasadą posesji, celem wybudowania na nim dodatkowego pomieszczenia dla biur, które były niezmiernie ciasne i zatłoczone, tak że część personelu musiała pracować w pokojach znajdujących się w ciemnej piwnicy. Pertraktacje wlokły się bez końca, zdaje się z powodu konieczności zakończenia działań między spadkobiercami zmarłego właściciela. W końcu, na początku lata 1939, w sytuacji już bardzo naprężonej, przysłała wiadomość iż sprzedawcy byli gotowi do podpisania kontraktu. Wobec całkowicie zmienionej sytuacji i wysokości ceny terenu Ambasador postanowił prosić MSZ o powzięcie ostatecznej decyzji. W odpowiedzi nadeszła depesza podpisana przez Becka, upoważniająca do podpisania kontraktu i zapłacenia uzgodnionej sumy, zgodnie z polityką Rządu kontynuowania przez ambasadę normalnej działalności. Minister na pewno wziął również pod uwagę fakt, iż wiadomość o wycofaniu się przez ambasadę z transakcji dotarłaby natychmiast do *Auswärtiges Amt*. Nie było oczywiście mowy o rozpoczęciu budowy skrzydła biurowego, ale Ambasador kazał wyporządzić trawnik zajmujący środek terenu, zasadzić kilka krzewów i trochę kwiatów i z wyraźnym zadowoleniem oprowadzał gości po zaimprovizowanym ogrodzie.

Przygotowania w Ambasadzie w obliczu zbliżającej się wojny

Około połowy sierpnia nadeszła z Warszawy obszerna instrukcja co do kroków, które Ambasada miała natychmiast przedsięwziąć wobec spodziewanego w najbliższym czasie ataku niemieckiego. Zarządzono m.in. odwołanie do centrali MSZ urzędników kancelaryjnych i sekretarek, jeśli nie byli niezbędni do wykonywania koniecznych prac bieżących, oraz ewakuację do Polski żon i dzieci całego personelu ambasady i konsulatów, a także służby obywatelstwa polskiego zatrudnionej przez członków tego personelu. Radca ambasady Lubomirski i ja uprosiliśmy Ambasadora o zezwolenie zachowania przy nas naszych żon, które nie mając dzieci pragnęły towarzyszyć nam w dalszych losach. Zarządzono również przystąpienie do przejrzenia według ustalonych kryteriów archiwów ambasady i konsulatów celem wyboru tych, które miały być odesłane do Warszawy pod opieką specjalnego kuriera,

i innych, które miały być niezwłocznie zniszczone. Niestety archiwa przesłane do centrali MSZ wpadły w ręce wroga po wkroczeniu do Warszawy i *Auswärtiges Amt* opublikował potem zbiór fotokopii wybranych dokumentów — nie ma wątpliwości iż nie były to falsyfikaty, o czym mogłem się przekonać znajdując na niektórych z nich moją własną sygnaturę świadczącą, że dokument miałem w ręku i zapoznałem się z jego treścią. Instrukcja nakazywała również sprawdzenie i uzupełnienie inwentarza mebli i urządzeń należących do Ambasady, które w razie ewakuacji miały pozostać na miejscu, a także sporządzenie inwentarza mienia prywatnego pracowników, które po opuszczeniu swych miejsc pobytu mieli pozostawić w swych mieszkaniach. Wreszcie do instrukcji był dołączony spory gęsto opieczetowany pakiet, zawierający rodzaj bomby którą, po uruchomieniu, należało wrzucić do kasy zawierającej materiały szyfrowe i resztę nie wysłanych tajnych dokumentów — w razie usłyszenia umownego sygnału nadanego przez Radio Polskie, albo też w wypadku próby opakowania ambasady.

W kilka dni potem MSZ zawiadomił ambasadę iż Rząd szwedzki, na prośbę Rządu polskiego zgodził się, w razie rozpoczęcia działań wojennych, objąć przez swego ambasadora w Berlinie opiekę nad mieniem i interesami polskimi w Niemczech. Podobną misję w stosunku do mienia i interesów niemieckich w Polsce miał objąć poseł holenderski w Warszawie. Ambasador Lipski zaraz udał się do ambasady szwedzkiej, by przekazać przygotowane inwentarze i omówić ze swym szwedzkim kolegą różne problemy, w których rozwiązaniu interwencja szwedzka mogła okazać się niezbędna.

W ostatnim tygodniu sierpnia zaczęły się zdarzać różne drobne incydenty i prowokacje w stosunku do pracowników ambasady: anonimowe pogrożki telefoniczne w ich mieszkaniach, legitymowanie u wejścia do gmachu ambasady urzędników i odwiedzających przez agentów Gestapo, których co najmniej kilku zaczęło stale się kręcić w pobliżu, itp. Obawiając się poważniejszych incydentów, Ambasador zarządził by wszyscy pozostali w Berlinie pracownicy przenieśli się do siedziby ambasady, i unikali pokazywania się na ulicy. Odtąd biura ambasady wyglądały jak oblężona forteca: łóżka polowe w pokojach i korytarzach, walizki porozstawiane po kątach. Połączenie telefoniczne z Warszawą otrzymywało się z wielką trudnością, to samo dotyczyło rozmów telefonicznych z konsulatami, z którymi usiłowaliśmy utrzymać, póki można było, kontakt. Natomiast nasza stacja radiowa

nadawczo-odbiorcza działała nieprzerwanie i nasz radiotelegrafista trwał przy niej dniem i nocą.

PAKT RIBBENTROP - MOŁOTOW

Zaskakująca wiadomość o podróży Ribbentropa do Moskwy i o zawarciu sowiecko-niemieckiego paktu o nieagresji (któremu towarzyszył ujawniony dopiero znacznie później protokół tajny, określający strefy wpływów obu mocarstw i przewidujący możliwość rozbioru terytorium polskiego między nimi) spadła na świat zupełnie nieprzygotowany do takiego rozwoju wypadków. Dotyczyło to kół politycznych i dyplomatycznych większości krajów (w tym także i Polski), gdyż tylko niewielu w tych kołach słyszało jakieś pogłoski o kontaktach sowiecko-niemieckich, rozpoczętych ostrożnie od dyskusji na tematy wymiany towarowej już na początku 1939 roku, toczących się w głębokiej tajemnicy, powoli i z wahaniem z obu stron przez kilka miesięcy i nagle przerzuconych na płaszczyznę współpracy politycznej dopiero w lipcu. Nikt nawet wtedy nie zdawał sobie sprawy z tej zmiany i jej zasięgu. Ogólną dezorientację pogłębiały jeszcze toczące się równocześnie, także w Moskwie, rozmowy polityczno-wojskowe przedstawicieli Anglii i Francji z przedstawicielami sowieckimi.

Sprawa nawiązania i przebiegu tych rokowań nie jest prosta i w dodatku nigdy nie była wyjaśniona w sposób przekonujący, zwłaszcza jeśli chodzi o stanowisko aliantów zachodnich. Stanowisko Stalina bowiem wydaje się znacznie bardziej przejrzyste. Stalinowi oczywiście chodziło głównie o to, by zyskać na czasie, by nie dać się wpłatać w wojnę od samego jej początku — pragnął zachować swobodę manewru jak najdłużej. Gdy się przekonał, że alianci nic mu konkretnego nie ofiarowują, zwłaszcza w dziedzinie pomocy wojskowej, przychylił się do propozycji niemieckiej, która dawała mu natychmiastowe ogromne zyski terytorialne nic właściwie od niego nie żądając, oprócz dostawy surowców.

Jeśli chodzi o aliantów zachodnich, a zwłaszcza Chamberlaina, wydaje się wątpliwe aby prawdziwym celem rozpoczętych negocjacji było doprowadzenie do zawarcia formalnego sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Późne pojawienie się negocjatorów brytyjskich i francuskich w Moskwie, opieszały przebieg negocjacji,

stosunkowo niska ranga członków delegacji, wreszcie nie bardzo zdeterminowane naciski na Polskę, aby odstąpiła od swej zasadniczej odmowy wzięcia pod uwagę możliwości przemarszu wojsk sowieckich przez jej terytorium, wszystko to wskazywało, iż rządy demokracji zachodnich, a zwłaszcza Chamberlain, nie spieszyły się z zakończeniem rokowań.

Pamiętać należy, iż postawa Chamberlaina i popierającej go grupy konserwatystów, a także, choć w mniejszym stopniu, francuskiego premiera Daladier nacechowana była od dawna wobec Związku Sowieckiego nieufnością i podejrzliwością (uczucia te były zresztą odwzajemniane przez Stalina), oraz niechęcią do dopuszczenia Rosji sowieckiej do czynnego udziału w polityce europejskiej, wreszcie brakiem wiary w skuteczność ewentualnej interwencji armii sowieckiej, osłabionej przez kolejne bezwzględne czystki w jej szeregach. Prawdopodobne jest zatem, iż Chamberlain, przystępując do rokowań z Moskwą miał inne cele na widoku: z jednej strony stworzenie pozorów, jeśli nie rzeczywistości, zbliżenia aliantów zachodnich ze Związkiem Sowieckim mogło stanowić pewien atut w wysiłkach skłonienia Hitlera do większej uступliwości w stosunku do Polski, a z drugiej strony rozpoczęcie rokowań mogło być może także pomyślane, jako rodzaj zadośćuczynienia dla tych kół w Anglii, a zwłaszcza we Francji, które widziały w sojuszu z Sowietami najskuteczniejszą zaporę przeciw agresywności hitlerowskiej. Kto wie czy Chamberlain nie zadowoliliby się najchętniej zapewnieniem przez Sowiety przychyłnej neutralności w wypadku wojny, w której demokracje zachodnie wzięłyby udział w obronie Polski.

Wprawdzie ku końcowi lipca Anglia i Francja poszły na znaczne uступstwa, by uzgodnić ze stroną sowiecką tekst umowy politycznej, a premier Daladier był skłonny przed samym zerwaniem rokowań użyć silnych nacisków na Rząd polski celem zmuszenia go do zgody na prawo przemarszu wojsk sowieckich poprzez jej terytorium na wypadek wojny, ale te wysiłki były spóźnione: Stalin już wybrał porozumienie z Niemcami.

Powracając do paktu Ribbentrop-Mołotow i jego następstw, ograniczę się tutaj do określenia ich jako chyba jednego z największych w historii pomników postawionych kultowi nagiej siły i bezwzględnemu cynizmowi. Twórcami tego pomnika byli dwaj fałszywi geniusze i prorocy o cechach kryminalnych psychopatów: szaleńczy megaloman, rynsztokowy wycirus (*guttersnipe* jak go nazwał kiedyś Churchill), Hitler, i zrusyfikowany Gruzin, kandydat na popa, o sadystycznych instynktach wschodniego satrapy,

Stalin. Pomagali im w tym dziele: pyszałkowaty i ograniczony były komiwojażer drugorzędny szampana i trzeciorzędny dyplomata, Ribbentrop, i konsekwentnie antypolski, twardogłowy, *czugunnyj zad*, szowinista i imperialista wielkorosyjski, Mołotow. Popełnili ten czyn zbrodniczy, nie dopuszczający żadnego usprawiedliwienia nawet w oczach tak licznych w świecie „realistów”, bezwstydnie cofając zegar historii o niemal lat dwieście — gdy ich poprzednicy spiskowali nad rozbiorem Polski; nie zawahali się przed pogwałceniem ówczesnego pojęcia moralności międzynarodowej i głęboko zakorzenionych już w świecie idei wolności i samookreślenia narodów, i to w stosunku do narodu o tysiącletniej historii, który wielokrotnie w swych burzliwych dziejach wykazał swoje głębokie przywiązanie do samodzielnego bytu państwowego.

Hitler i Ribbentrop już zapłacili za ten czyn złowrogi, jak i za inne zbrodnie przez nich popełnione.

Czyny takie jak pakt Ribbentrop-Mołotow, jak zbrodnia katyńska, jak obelga rzucona narodowi polskiemu przez podstępne wywiezienie i osądzenie przez sąd kapturowy nawet nie polski, lecz rosyjski!, autentycznych przywódców podziemnego państwa polskiego przygotowanych do podjęcia rokowań z Rosją — nie mogą być zapomniane przez żaden szanujący się naród, i będą się odbijać czkawką i kością w gardle następcom Stalina i Mołotowa jeszcze przez niezliczone lata, uniemożliwiając jakiegokolwiek prawdziwe unormalizowanie stosunków między narodami polskim i rosyjskim. Mimo odmiennych pozorów świat cywilizowany również nie może przejść do porządku dziennego nad tego rodzaju czynami i nie udzieli rządowi sowieckim i posłusznemu im narodowi rosyjskiemu pełnej legitymizacji jako szanowanego członka wspólnoty międzynarodowej, której tak od lat pragną, póki te czyny nie będą wyrównane.

OSTATNIE DNI SIERPNIA W AMBASADZIE

W ambasadzie wszyscy byliśmy przekonani, iż zawarcie w Moskwie złowróbnego paktu o nieagresji między Rzeszą i Sowietami otworzy drogę do najazdu niemieckich sił zbrojnych na Polskę i że ten najazd nastąpi w ciągu najbliższych dni. Nie wiedzieliśmy wszakże, że już data jego została przedtem ustalona przez Hitlera na dzień 26 sierpnia. Jednak w ciągu 25 sierpnia

dotarły do Hitlera dwie wiadomości: pierwsza dotyczyła podpisania w Londynie przez Halifaxa, Sekretarza Stanu dla spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii i Ambasadora Raczyńskiego formalnego sojuszu polsko-brytyjskiego; druga była ostatecznym potwierdzeniem przez Mussoliniego, iż nie uważa za możliwe dla Włoch w chwili obecnej przystąpienia do wojny równocześnie z Niemcami. Wiadomości te, zwłaszcza pierwsza dotycząca sojuszu polsko-brytyjskiego wprawiła Hitlera w atak furii, gdyż dalej był przekonany, że Anglia w ostatniej chwili wycofa się z poparcia zbrojnego Polski. Nie dał jednak i teraz za wygraną i postanowił raz jeszcze spróbować „rozmiękczyć” stanowisko angielskie; dla tego zabiegu potrzebował trochę czasu, a więc zdecydował się na przesunięcie ataku na Polskę o kilka dni. Zabieg który zamierzał wykonać polegał na sformułowaniu nieoficjalnych propozycji załatwienia konfliktu z Polską w drodze bezpośrednich rokowań polsko-niemieckich w Berlinie, dokąd miał przybyć specjalny przedstawiciel polski zaopatrzony w szerokie pełnomocnictwa. Negocjacje miały dotyczyć włączenia Gdańska do Rzeszy, plebiscytu w okręgu tzw. „korytarza” i może wyrównania granicy na Śląsku na korzyść Niemiec; propozycje były sformułowane ogólnikowo, trochę inaczej niż w kilku znanych wersjach, żadna z nich nigdy nie została oficjalnie doręczona ani rządowi angielskiemu ani polskiemu. Dotarły one do Londynu dwoma kanałami, jednym poprzez ambasadora brytyjskiego w Berlinie, Hendersona, znanego *appeasera*, i drugim, prywatnym, poprzez przyjaciela Göringa (uważanego za bardziej umiarkowanego od Hitlera), szwedzkiego przemysłowca Dahlerusa. Przez kilka następnych dni Henderson i Dahlerus rozwinęli gorączkową działalność, pierwszy wysyłając niezliczone telegramy do Londynu komunikujące o jego rozmowach z Hitlerem i innymi dostojnikami, utrzymując stały kontakt z Dahlerusem który sam niemal codziennie latał do Londynu i wracał do Berlina wieczorem. W Londynie w pierwszej chwili działalność ta trafiła na grunt dość podatny, Dahlerus, ten szczególny „rycerz pokoju” odbył kilka rozmów z Chamberlainem, z Halifaxem i z osławionym w aferze czechosłowackiej zausznikiem premiera, Wilsonem. Henderson przyleciał samolotem postawionym do jego dyspozycji przez Hitlera, komunikowano się z Paryżem i Warszawą, słowem traktowano te zabiegi na serio. Potem jednak w Londynie sfery kierownicze doszły do wniosku, że chodziło tu o nowy, znany już z uprzednich doświadczeń, *trick* Hitlera i zorientowano się iż niemożliwe byłoby nakłonić Polskę i Becka do zmiany, w tak rozstrzygającym momencie, konsekwentnie stosowanej linii politycznej. Beck

jednak, nie chcąc stworzyć wrażenia, że odrzuca całkowicie możliwość rozmów bezpośrednich z Niemcami, do których zawsze dotąd — jak deklarował — gotów był przystąpić, polecił Lipskiemu złożenie Ribbentropowi oświadczenia, iż: „Rząd polski został poinformowany przez Rząd brytyjski o wymianie zdań z Rządem Rzeszy co do możliwości bezpośrednich negocjacji między Polską i Niemcami; Rząd polski rozważa przychylnie sugestie Rządu brytyjskiego i udzieli formalnej odpowiedzi w tej sprawie w ciągu kilku następnych godzin”. Lipski został przyjęty przez Ribbentropa (było to ich ostatnie spotkanie), wieczorem 31 sierpnia. Na zapytanie Ribbentropa czy przychodzi w charakterze specjalnego wysłannika dla rokowań, Lipski odpowiedział że „prosił o audiencję u Ministra Spraw Zagranicznych Niemiec jako ambasador polski akredytowany przy Rządzie niemieckim celem przekazania oświadczenia swego Rządu”, po czym odczytał oświadczenie i pozostawił jego tekst na biurku Ribbentropa. Ten ostatni, bez żadnej dalszej dyskusji zimno pożegnał się z Lipskim. Zaledwie w kilka godzin potem, o świcie dnia 1 września rozpoczął się atak zbrojny na Polskę.

Ale właśnie w tym momencie zaczęła się jeszcze jedna próba odwrócenia biegu wypadków; tym razem głównym protagonistą był Mussolini, który zaproponował natychmiastowe zawieszenie broni na linii frontu, tam gdzie się wojska walczące w tej chwili znajdowały, i zwołanie przez Włochy konferencji dla przedyskutowania konfliktu polsko-niemieckiego. Inicjatywa Mussoliniego poparta została przez francuskiego ministra Spraw Zagranicznych, Georges Bonnet, dobrze znanego ze swej skrajnej gotowości do ustępstw wobec żądań niemieckich kosztem aliantów Francji. Anglia natomiast zajęła stanowisko twardsze: wyraziła swoje zainteresowanie proponowaną przez Włochów konferencją tylko w wypadku gdyby Hitler bezzwłocznie odwołał swoje wojska do ich punktów wyjścia na granicy polsko-niemieckiej. Oczywiście Hitler nie chciał się na to zgodzić i na tym się skończyła ta już ostatnia próba zachowania pokoju za wysoką cenę, którą miałyby zapłacić Polska.

W tych ostatnich naprzężonych dniach przedwojennych normalne kontakty członków Ambasady z urzędnikami *Auswärtiges Amt* zostały niemal całkowicie przerwane. Chcąc stworzyć przynajmniej pozory normalnej działalności, za zgodą Ambasadora, postanowiłem udać się z wizytą do Bergmanna, którego dość dawno nie widziałem, pod pretekstem ponaglenia go o udzielenie odpowiedzi na jakąś poprzednią interwencję. Zgłosiłem się u

niego 30 sierpnia przed południem. Starałem się zacząć rozmowę od wyjaśnienia jaka sprawa mnie tu przyprowadziła, ale Bergmann przerwał mi oświadczając, iż rad jest z mojej wizyty, bo jest to z pewnością nasza ostatnia rozmowa i daje mu okazję pożegnania się ze mną, zwłaszcza iż — jak się wyraził — cenił sobie moje rzeczowe podejście do spraw. Potem dodał iż ma uczucie żalu z powodu sposobu i kierunku, w którym stosunki polsko-niemieckie się potoczyły, a przecież, mówił dalej, mogło być inaczej gdyby Polska zajęła stanowisko rozsądniejsze; teraz jednak już jest za późno, i Polska stoi w obliczu wielkiej pożogi, która ją ogarnie, powodując niezmierne cierpienia całej jej ludności. Odpowiedziałem krótko iż lepiej o tym nie mówić, że wie doskonale z czyjej inicjatywy stosunki polsko-niemieckie nabrały tego nieszczęsnego obrotu. Dodałem jeszcze: „wiem przed czym Polska stoi i że może ona przeżyć bardzo ciężkie chwile; proszę go jednak by zechciał zapamiętać moje słowa: w końcu to wy będziecie żałowali żeście zaczęli tę historię”. Po czym pożegnałem się z Bergmannem. Ciekaw jestem, czy przypomina sobie moje słowa, o ile jeszcze jest przy życiu.

PIERWSZY DZIEŃ WOJNY

Wieczorem 31 sierpnia cały personel Ambasady zajęty był, do późnej nocy, ostatecznym uporządkowaniem pozostałych dokumentów, paleniem mniej ważnych i umieszczaniem resztek tajnych archiwów w kasie ogniotrwałej gdzie miały, wraz z materiałami szyfrowymi, zostać zniszczone w ostatniej chwili. Wskutek tych zajęć wszyscy poszli spać dość późno, i następnego dnia, 1 września nie obudzili się o zwykłej godzinie — po prawdzie wszystkie prace przygotowawcze były już wykonane i nie było żadnego pośpiechu. Jeden tylko radiotelegrafista wstał o normalnej godzinie, by nawiązać kontakt z Warszawą. Dowiedział się w ten sposób o najeździe niemieckim, który zaczął się od świtu — bomby już padały na lotnisko i w innych punktach stolicy. Zaalarmował nas wszystkich. Biedny nasz szyfrant zerwał się z łóżka jeszcze zaspany i przerażony iż „zaspał wojnę” i tak jak wstał pobiegł do zabezpieczonego pokoju z kasą ogniotrwałą, odpiętywał pakiet przysłany z Warszawy, uruchomił bombę i wrzucił ją niezwłocznie do kasy, nie czekając na umowny sygnał Radia polskiego czy też próby zaatakowania ambasady przez Gestapo — na ulicy przed gmachem ambasady kręciło się wpraw-

dzie kilku agentów, jak to miało miejsce od kilku dni, ale nie okazywali swym zachowaniem zamiarów agresywnych. Nastąpił nie bardzo głośny wybuch, trochę śwędu i dymu, a gdy po jakimś czasie kasę otwarto by stwierdzić rezultaty, okazało się że tylko papiery złożone pod samą maszyną piekielną zostały zniszczone — resztę, wraz z materiałami szyfrowymi trzeba było palić w piecu ambasady.

Wkrótce zebraliśmy się wszyscy w gabinecie Ambasadora, który wydał ostatnie zarządzenia — polecił Radcy Lubomirskiemu udać się do Dyrektora Protokołu w *Auswärtiges Amt* i zażądać zorganizowania jak najtrzechlejszej ewakuacji personelu ambasady z terytorium Rzeszy, wyznaczył mnie jako kierownika i koordynatora wszystkich czynności związanych z ewakuacją z Niemiec i dalszą podróżą pracowników ambasady w kierunku Polski, polecił też podjąć ponowne wysiłki nawiązania łączności z 14 placówkami konsularnymi, rozsianymi na terytorium Rzeszy i wreszcie uprzedził nas, iż sądząc z precedensów na początku pierwszej wojny światowej, warunki ewakuacji mogą być ciężkie, i że wobec tego należy ograniczyć bagaż osobisty do jednej walizki na osobę. Rzeczywiście Niemcy Wilhelma II potraktowały członków ambasad alianckich ewakuowanych po wybuchu wojny w 1914 roku bardzo źle, podróż odbywali w brudnych zatłoczonych wagonach, przytrzymywanych kilkakrotnie na bocznicach kolejowych na kilka dni bez dostatecznego pożywienia. Narobiło to w tym czasie dużo hałasu i wywołało wiele nieprzychylnych komentarzy zwłaszcza w prasie krajów neutralnych.

Po jakimś czasie Lubomirski powrócił z wizyty w *Auswärtiges Amt*. Doniósł nam że Dyrektor Protokołu przyjął go najpierw bardzo zdziwiony prośbą o śpieszną ewakuację Ambasady — przecież, mówił, nie ma pośpiechu, lada chwila mogą się rozpocząć rokowania, będziecie tutaj potrzebni. Była to zapewne próba zatrzymania ambasady w związku ze sławetną inicjatywą Mussoliniego. Na nalegania Lubomirskiego w końcu zgodził się podjąć sprawę ewakuacji z czynnikami „miarodajnymi”.

Tegoż dnia po południu goniec z *Auswärtiges Amt* doręczył oficjalną notę proszącą o zakomunikowanie Rządowi polskiemu oświadczenia o następującej treści: „Zważywszy na fakt, iż lotnictwo polskie bombarduje obiekty cywilne w miastach położonych na terytorium Niemiec, Rząd Rzeszy zapowiada, iż będzie zmuszony, w drodze retorsji, polecić swojemu lotnictwu bombardowanie miast polskich”. Wiadomość o bombardowaniu miast

w Niemczech była oczywiście kłamliwa, a zresztą lotnictwo polskie było całkowicie zaangażowane w obronie swego własnego terytorium przed atakami znacznie silniejszych od niego eskadr niemieckich. Po naradzie odesłaliśmy notę do *Auswärtiges Amt* z wyjaśnieniem iż wskutek zbrojnego ataku na Polskę ambasada uważa swoją misję za zakończoną, a skądinąd nie rozporządza już środkami komunikacji z Warszawą. Ku naszemu zdziwieniu późnym wieczorem odezwał się telefon z *Auswärtiges Amt* i jakiś głos nieznajomy zapowiedział, iż za chwilę ambasada zostanie połączona telefonicznie, poprzez Sztokholm z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w Warszawie, celem przekazania Rządowi polskiemu komunikacji od Rządu Rzeszy. Ambasador prosił mnie o przyjęcie połączenia i przekazanie informacji o *démarche* niemieckiej. Rozmawiałem z urzędnikiem MSZ pełniącym dyżur nocny i po podyktowaniu treści noty, mogłem dowiedzieć się nieco szczegółów o położeniu w Warszawie i donieść o stanie spraw w Ambasadzie.

Dnia następnego, tj. 2 września, zapowiedział się z wizytą u Ambasadora Lipskiego Dyrektor Protokołu z *Auswärtiges Amt*. Poinformował, że ewakuacja personelu Ambasady zacznie się wczesnym ranem nazajutrz, 3 września specjalnym pociągami w kierunku Danii, że będzie nam towarzyszył jeden z jego współpracowników z Protokołu Dyplomatycznego; kolumna samochodowa przewiezie nas na dworzec Charlottenburg; personel Konsulatu Generalnego w Berlinie będzie ewakuowany razem z nami; personel innych urzędów konsularnych będzie skierowany do Litwy, jeśli chodzi o urzędy z wschodnich Niemiec i z Prus, a personel innych urzędów miał być naprzód zgromadzony w Wiedniu, a potem skierowany na Węgry. Przekroczenie granicy duńskiej miało być zsynchronizowane w czasie z przekroczeniem granicy rumuńskiej przez ewakuowany personel ambasady niemieckiej w Warszawie.

Tego dnia wiele godzin spędziliśmy nasłuchując komunikatów radia z Warszawy, które były często przerywane zapowiedziami alarmów lotniczych i wzajemnymi nawoływaniami myśliwców polskich, ostrzegających kolegów o zbliżających się samolotach niemieckich. Radio berlińskie triumfalnym tonem donosiło o szybkich postępach armii niemieckiej. Nie dawaliśmy zbytnej wiary tym doniesieniom, przypisując je, co najmniej częściowo, propagandzie Goebbelsa. Zaniepokojenie nasze jednak wzrastało.

PRZEBIEG EWAKUACJI

W dniu 3 września wszyscy wstaliśmy bardzo wcześnie i zauważyliśmy od razu że długi odcinek Kurfürstenstrasse, przy którym stały gmachy ambasady i sąsiadującego z nią Konsulatu Generalnego był otoczony zwartym kordonem agentów Gestapo, którzy równie gęsto obstawili tyły tych budynków. Ruch samochodowy i pieszy na tych odcinkach ulic był całkowicie wstrzymany. Po chwili nadjechała długa kolumna samochodów osobowych wraz z kilkoma ciężarówkami. Przybył też zapowiadany przedstawiciel Protokołu — wyszedłem na jego spotkanie, omówiłem z nim porządek zajmowania miejsc w samochodach i przy okazji zapytałem czy przewidziane były jakieś ograniczenia co do ilości bagażu; oświadczył że żadnych ograniczeń nie ma i że w razie potrzeby sprowadzi dodatkowe ciężarówki. Poinformowałem Ambasadora i członków personelu o możliwości zabrania z sobą dodatkowego bagażu i niektórzy koledzy postanowili z tej możliwości skorzystać. Wkrótce bagaż został załadowany, wszyscy zajęli miejsca i kolumna samochodowa ruszyła pod eskortą agentów Gestapo na motocyklach. Gdy zbliżaliśmy się do dworca kolejowego w Charlottenburgu spostrzegliśmy zaraz iż dworzec był wymieciony z publiczności, a plac przed nim otoczony kordonem policyjnym. Przeprowadzono nas na peron przy którym stał pociąg specjalny, złożony z wagonu salonowego dla Ambasadora, szeregu wagonów sypialnych I-ej klasy, wagonu restauracyjnego itp. Wszystkie te wagony wyglądały jakby były pierwszy raz w użyciu, w metalowych ścianach zewnętrznych i w szybach okien można było się przejrzeć jak w lustrze. Po zajęciu miejsc pociąg natychmiast ruszył. Zauważyłem że w wagonach sypialnych przeznaczonych dla personelu, co drugi przedział zajęty był przez agentów Gestapo w czarnych mundurach. Po chwili do naszego przedziału zastukał przedstawiciel Protokołu i poprosił o chwilę rozmowy. Powiedział mi, że szef eskorty Gestapo domaga się sprawdzenia paszportów ewakuowanego personelu celem przekonania się, że osoby, które wsiadły do pociągu są identyczne z tymi, których nazwiska figurują na liście ewakuacyjnej dostarczonej uprzednio *Auswärtiges Amt*. Aby uniknąć sprawdzania paszportów przez Gestapo, przedstawiciel Protokołu zaproponował mi bym obszedł wszystkie przedziały w jego i szefa Gestapo towarzystwie, przy czym ja miałem prosić kolegów o okazanie paszportów, sam miałem je brać do ręki i przeglądać, a szef Gestapo zaglądałby do nich poprzez moje plecy. Uznałem że nie mogę odmówić prawa sprawdzenia czy osoby jadące w

pociągu są upoważnione do wzięcia udziału w ewakuacji i że zaproponowana procedura tego sprawdzenia nie wywołuje wątpliwości, więc wyraziłem zgodę i przystąpiliśmy do obejścia wagonów.

W jakiś czas potem zaproszono nas do wagonu restauracyjnego gdzie podany był obiad. Wybór dań, win i innych trunków był na poziomie, który chyba rzadko można zaobserwować w wagonach restauracyjnych nawet najbardziej luksusowych pociągów.

Po wielu tygodniach naprężenia i dość wyczerpującej pracy w tej dziwnej atmosferze oczekiwania lada chwila wybuchu wojny nastąpiła teraz, zwłaszcza wśród młodszych wiekiem pracowników, naturalna reakcja jakiejś ulgi, że nasze zadania już wypełnione i że nastąpi teraz przerwa, z której należy skorzystać dla odprężenia, gdy nie wiadomo co przyszłość przyniesie i dla naszego kraju, i dla nas osobiście. Nastroje więc wśród smacznego jedła i znakomitych win były raczej wesołe i odprężone, ale bez przeciągania struny. Wieczorem pociąg zatrzymał się na bocznicy niedaleko od wybrzeża morskiego Fryzji, nad morzem Północnym. Przedstawiciel Protokołu powiadomił nas iż dostał polecenie zatrzymania pociągu w oczekiwaniu wiadomości o przebiegu ewakuacji personelu ambasady niemieckiej z Warszawy.

Nazajutrz, 4 września, gdyśmy wstali pociąg nadal stał na bocznicy. Pogoda była słoneczna i upalna, jak cały czas tego pamiętnego miesiąca, i w nagrzanym wagonach zaczęło być dosyć duszno. Przedstawiciel Protokołu zawiadomił mnie, że postój może się przedłużyć, więc dla urozmaicenia zamówił kilka taksówek, które mogłyby nas zawieźć na spacer na plażę. Wielu z nas zgodziło się i niebawem byliśmy na rozległej, czystutkiej plaży, gdzie znajdowało się jeszcze sporo wczasowiczów. Kilku z nas, młodszych, wyraziło chęć popływania w morzu. Przedstawiciel niemiecki wydał polecenie, i po chwili dwa rzędy SS-manów ustawiły się na skrajach odcinka plaży, z którego naprzód wygoniono publiczność. Po wykąpaniu się powróciliśmy do pociągu. Zapytałem naszego niemieckiego opiekuna ile mam mu zwrócić za koszty odbytej wycieczki. Z oburzeniem odmówił zwrotu pieniędzy twierdząc, że koszt oczywiście będzie pokryty z funduszu ewakuacyjnego, który przewiduje tego typu wydatki, gdyż nakazano mu dbać o wygodę podróżnych.

W pociągu sytuację znaleźliśmy bez zmiany: dalej nie było wiadomo kiedy ruszymy w dalszą drogę. Ambasador prosił o urządzenie połączenia telefonicznego z ambasadorem Szwecji w Berlinie który, jak się okazało, był już w kontakcie poprzez Sztokholm z Posłem holenderskim w Warszawie, sprawującym opiekę

nad personelem ambasady niemieckiej. Dowiedział się iż personel niemiecki znajduje się już na granicy rumuńskiej, ale nie można doliczyć się dwóch członków, zastępcy *Attaché* wojskowego i II-go Sekretarza Ambasady. Na naleganie Lipskiego, który uważał za swój pilny obowiązek jak najszybsze dotarcie do ministra Spraw Zagranicznych celem złożenia mu raportu o swej działalności w ostatnich dniach pobytu w Berlinie, ambasador Szwecji wysunął propozycję uzgodnienia z władzami niemieckimi i z Warszawą możliwości zatrzymania tymczasowo w Niemczech dwóch członków personelu ambasady, mających rangi podobne do rang zagubionych członków ambasady niemieckiej, z tym iż Ambasador i pozostały personel polski a również pozostały personel ambasady niemieckiej mogliby bez dalszej zwłoki kontynuować podróż. Lipski wyraził zgodę na tę propozycję, wyznaczył do roli „zakładników” zastępcę *attaché* wojskowego majora Białego i *attaché* ambasady Szuberta i wezwał do siebie obu wyznaczonych dla uzyskania ich zgody. Uzgodnienie propozycji szwedzkiej z władzami niemieckimi i polskimi, które musiały być konsultowane za pośrednictwem Sztokholmu i Pośła holenderskiego w Warszawie zajęło kilka godzin, aż wreszcie, już późnym wieczorem, nadeszło potwierdzenie. Ambasador Lipski wezwał cały personel do swego wagonu salonowego, wytłumaczył powody skłaniające go do pośpiechu w kontynuowaniu podróży, poinformował zebranych o uzgodnionym rozwiązaniu trudności na jaką napotkała się sprawa przekroczenia granicy niemieckiej i w kilku słowach pożegnał się z majorem Białym i *attaché* Szubertem. W tej chwili poprosił o pozwolenie wejścia do wagonu przedstawiciel Protokołu i powiedział, że chciałby w obecności Ambasadora i ich kolegów zapewnić obu zatrzymanych, że obejmie nad nimi bezpośrednią opiekę, że nic im nie zagraża, i że dopilnuje by mogli udać się w dalszą drogę, gdy tylko dwaj członkowie ambasady niemieckiej w Polsce zostaną odnalezieni. W rzeczywistości zatrzymanie naszych kolegów okazało się krótkotrwałe: przybyli oni do Kopenhagi zaledwie kilka godzin po nas.

Zanim opiszę pokrótce dalsze etapy naszej podróży chciałbym w tym miejscu uczynić kilka uwag na temat tej bardzo poprawnej a nawet w luksusowych warunkach odbytej ewakuacji z Niemiec. W tym wypadku całkowicie przyzwoitego postępowania niemieckiego nie tłumaczy ani wzgląd na wzajemność, ani też nawet prawdopodobna decyzja nie powtórzenia popełnionego błędu tj. złego traktowania dyplomatów alianckich w czasie ich ewakuacji po wybuchu pierwszej wojny światowej. Nie dziwiłbym się gdyby decyzja zapewnienia poprawnych warunków ewa-

kuacji personelu ambasady polskiej była powzięta na wysokim szczeblu, może nawet osobiście przez Hitlera. Ten tak psychicznie pokręcony człowiek, którego zwykle cechowała skrajna brutalność i barbarzyństwo — czego jednym z dowodów są nakazane osobiście przezeń zbrodnie popełnione w Polsce — wykazywał czasem niespodziewane emocje: mimo nienawiści do narodu polskiego, którą głosił w czasie wojny, miał zdaje się prawdziwy podziw dla osoby Marszałka Piłsudskiego, lubił także poprzednika Lipskiego na stanowisku w Berlinie, Połta Wysockiego, któremu włos z głowy nie spadł w Warszawie w czasie lat okupacji, lubił i cenił Lipskiego, i szanował Becka, który, o ile wiem, ani razu nie stał się obiektem jego brutalnych napaści osobistych w przepełnionych furją nienawiści jego wojennych przemówieniach. Może nuta ta była też obecna w decyzji o warunkach ewakuacji. Poza tym niepodobna nie wspomnieć o kurtuazyjnym, subtelnym wykonywaniu swych obowiązków przez towarzyszącego nam przedstawiciela Protokołu niemieckiego.

Poprawne potraktowanie personelu Ambasady i Konsulatu Generalnego w Berlinie w sprawie ewakuacji nie stało się jednak, niestety, wzorem dla traktowania przez władze III Rzeszy personelu innych polskich urzędów konsularnych, których w momencie wybuchu wojny było na terytorium tzw. Wielkich Niemiec nie mniej niż 14. Pracownicy tych urzędów byli internowani często w ciężkich warunkach po kilka miesięcy w oczekiwaniu na ewakuację lub zwolnienie; najgorszy los spotkał urzędników polskich placówek konsularnych w dawnych Prusach Wschodnich i w rejonach przygranicznych. Wielu z nich bito i przesładowano na różne sposoby, umieszczono w obozach koncentracyjnych i więzieniach, a kilku zostało zamordowanych.

Pociąg ewakuacyjny ruszył późną nocą, dotarliśmy zatem do duńskiej stacji granicznej dopiero wczesnym rankiem. Uderzyło nas od razu że stacja, gdzie mieliśmy oczekiwać pociągu pośpiesznego do Kopenhagi, była przystrojona flagami polskimi. Szef stacji zaprosił nas do bufetu gdzie stały stoły, również ozdobione barwami polskimi, uginające się pod rozłożonymi półmiskami wędlin, różnego rodzaju chlebem i bułkami, dzbanami kawy i butelkami akwawitu i piwa. Byliśmy wzruszeni tą gościnnością i podziwialiśmy odwagę gospodarzy manifestujących tak otwarcie swą sympatię dla Polski na samej granicy niemieckiej. Fakt że przed samym odjazdem pociągu szef stacji doręczył mi słony rachunek za przyjęcie, tylko trochę przytłumił naszą wdzięczność.

Do Kopenhagi przyjechaliśmy po południu 5 września, wita-

ni na dworcu przez posła Starzewskiego, członków Poselstwa i sporą grupę dziennikarzy. Dopytywaliśmy się o wiadomości z Polski, które nie były dobre; zastaliśmy w Poselstwie instrukcje o przydzieleniu trzech współpracowników ambasady do poselstwa w Kopenhadze dla wzmocnienia tej placówki, wysłaliśmy też telegramy do MSZ w Warszawie i do poselstw w Sztokholmie, Helsinkach i Rydze, prosząc o pomoc w zorganizowaniu dalszych etapów podróży, nagłąc by pobyty w tych stolicach były możliwie najkrótsze.

Nazajutrz byliśmy już w drodze do Sztokholmu; po kilkogodzinym zatrzymaniu się wsiedliśmy na statek który nas dowiózł do Helsinek. Stamtąd pociągiem poprzez Tallin i Rygę dotarliśmy wreszcie do Wilna wieczorem 9 września. Dowiedzieliśmy się tutaj, iż Rząd z towarzyszącym mu korpusem dyplomatycznym osiadł w Krzemieńcu na Wołyniu. Ambasador uzyskał od władz kolejowych przyłączenie dodatkowego wagonu osobowego dla personelu ambasady i wyruszyliśmy 10 września wieczorem w kierunku Baranowicz, a potem Łunińca (na granicy sowieckiej), Sarn, Równego i Dubna, skąd prowadziła bocznica do Krzemieńca. Przed wyjazdem pożegnaliśmy *attaché* wojskowego pułkownika Szymańskiego i jego zastępcę, majora Białego, którzy zameldowali się do władz wojskowych. W drodze byliśmy dwukrotnie bombardowani przez samoloty niemieckie, ale bomby wybuchały w polu. Podróż ta, dość długa, pozwoliła nam zauważyć iż kolejarze, mimo warunków wojennych, pełnili swą służbę sumiennie i bez żadnych oznak paniki czy dezorganizacji, które już dawały się obserwować wśród niektórych odłamów publiczności a także władz. Do Dubna przybyliśmy 12 września po południu. Okazało się że pociąg do Krzemieńca już odjechał, a następny miał wyruszyć dopiero nazajutrz. Ambasador przypadkiem spotkał jednak znajomego oficera, który właśnie wybierał się samochodem do Krzemieńca i miał dwa miejsca wolne. Na prośbę Lipskiego zgodziłem się, zabrawszy z sobą żonę pojechać zaraz do Krzemieńca, miasta które znałem z kilkakrotnych poprzednich pobytów; moim zadaniem miało być zorganizowanie kwaterunku dla bądź co bądź około 25 osób składających się na naszą grupę, co, wobec ogromnego natłoku w tej prowizorycznej stolicy Polski musiało być problemem niełatwym do rozwiązania.

Podróż do Krzemieńca nie trwała długo i pod wieczór byliśmy już u celu, w gmachu Liceum. Spotkałem od razu mnóstwo znajomych i kolegów, m.in. Drymmera, Dyrektora Departamentu Ogólnego MSZ, od którego dowiedziałem się że Rząd, Korpus

Dyplomatyczny i Ministerstwa nazajutrz, tj. 14 września miały przenieść się do Kut i Zaleszczyk, tuż koło granicy rumuńskiej; zaciągnął mnie też od razu na konferencję ewakuacyjną; kwestia pomieszczeń dla personelu ambasady i konsulatu nie stanowiła już problemu, gdyż nagły wyjazd Rządu i administracji opróżniał oczywiście większość lokali; natomiast chodziło mi o uzyskanie środków lokomocji, by móc Ambasadora i personel przewieźć do nowej siedziby Rządu. Drymmer wyznaczył mi autobus, podał mi jego numer i powiedział gdzie mniej więcej się znajduje. Widząc co się naokoło dzieje, wyruszyłem natychmiast na poszukiwanie autobusu, celem zabezpieczenia go na użytek Ambasady. Mimo dwugodzinnych poszukiwań w ciemnościach i dopytywań nie mogłem go odszukać; zawiadomiłem o tym spotkanego Drymmera, będącego najwidoczniej u skraju sił i nerwów, i nie był w stanie czemukolwiek zaradzić. Udałem się więc z żoną na kolację do rektarza Liceum. Wydawało się, że przy długich stołach zasiadło kierownictwo ówczesnej Polski: ministrowie, podsekretarze stanu wielu resortów, marszałkowie Sejmu i Senatu, korpus dyplomatyczny, wyżsi urzędnicy itd. Zameldowałem się u ministra Becka, w mundurze pułkownika artylerii konnej, na pozór spokojnego, ale robiącego wrażenie, że to co mu mówiliśmy o ostatnich dniach w Berlinie i naszej ewakuacji, w ogóle do niego nie docierało. Wiceminister Szembek zaprowadził mnie do stołu, gdzie siedzieli ambasadorowie Francji (Noël) i Wielkiej Brytanii (Kennard), bym im opowiedział o naszej ewakuacji z Berlina. Noc spędziliśmy kątem na jakichś materacach, przegarnięci przez przyjaciół. Następnego rana byliśmy świadkami wyjazdu karawany samochodów urzędowych w kierunku Kut, po czym spędziłem znów dłuższy czas na poszukiwaniu tego nieśczęsnego autobusu, którego wszakże nadal nie mogłem odnaleźć. Zaczęły mi przychodzić myśli do głowy, że przyłączanie się do tej masy ludzkiej, nie mającej już zorganizowanego kierownictwa i gnającej, jak stado owiec, byle dalej, bez wyraźnego planu, nie ma wielkiego sensu. Ale jaka była alternatywa? Na razie musiałem udać się na stację kolejową, położoną dość daleko od Krzemieńca, a o zdobyciu jakiegoś samochodu czy nawet dorożki, mowy nie było. Wyruszyłem więc piechotą, przystając tu i ówdzie, aby zapytać się czy by nie można wynająć choćby furmanki i paru koni na przewiezienie bagażu. W końcu udało mi się znaleźć człowieka, który zgodził się ze mną pojechać na dworzec. Pociąg z Dubna, z przyczepionym wagonem personelu ambasady przyjechał z małym tylko opóźnieniem. Wyłumaczyłem Ambasadorowi i kolegom sytuację i załadowaawszy bagaż na furmankę

zaczęliśmy w ślad za nią, iść do Krzemieńca. W gmachu Liceum, jak zresztą w całym Krzemieńcu, były już pustki — wszyscy co mieli wyjechać, wyjechali. Mogliśmy się więc jako tako rozmieścić w wielkich salach dormitorium licealnego, a jedzenie mieliśmy na razie zapewnione w refektarzu. Po południu przyłączył się do naszej grupy Józef Potocki, wicedyrektor Departamentu Politycznego MSZ, który po odwiezieniu żony i dzieci do Ołyki przyjechał do Krzemieńca, by objąć swe funkcje w MSZ. Wieczór spędziliśmy dość markotny, zastanawiając się nad ogólnym położeniem, i nad naszym dalszym losem — nie bardzo bowiem wierzyliśmy w obietnicę Drymmera przysłania po nas autobusu z Kut. W smętnym nastroju położyliśmy się wcześniej do łóżek ustawionych długimi rzędami w salach dormitorium, mężczyźni w jednej, a panie w drugiej. Dobrze po północy obudzili nas dwaj młodzi koledzy z MSZ, Maliszewski i Meysztowicz, przybyli z Kut dwoma osobowymi samochodami, aby zabrać wyższy personel ambasady. Było akurat dosyć miejsc aby zabrać Ambasadora, Lubomirskich, Konsula Karę i nas dwoje. Zacząłem się bić z myślami: jak możemy zostawić tak nagle resztę personelu, liczącego jednak jeszcze koło dwudziestki osób? A co z Potockim, który odesłał samochód z szoferem do Ołyki? Po co właściwie mamy jechać do Kut i co tam będziemy robić? Tutaj przecież w Krzemieńcu i okolicach mogę odszukać kilku znajomych, znam ten kraj, gdzie niegdyś spędzałem wakacje letnie; tu można przeczekać jakiś czas póki się sytuacja nie wyjaśni, a potem może starać się dotrzeć do Warszawy. Podzieliłem się tymi myślami z żoną, która miała samotną, schorowaną matkę w Warszawie i o nią bardzo się niepokoiła; zgodziła się ze mną, więc podszedłem do Ambasadora komunikując mu moją gotowość pozostania celem m.in. zajęcia się resztą personelu, zastanowienia się co dalej robić, a równocześnie ustąpienia naszych miejsc Józefowi Potockiemu, który będąc starszym rangą i mając określone stanowisko w MSZ, okaże się przecież bardziej przydatny ode mnie w otoczeniu rządowym. Lipski zgodził się na tę zamianę. Tak więc moje poprzednie wątpliwości same wypadki rozwiązały. Nazajutrz zwołałem zebranie pracowników Ambasady i Konsulatu Generalnego, wypłaciłem każdemu z nich trzymiesięczną odprawę z funduszy uzyskanych w ostatniej chwili z MSZ, wyłumaczyłem im okoliczności wyjazdu Ambasadora i oświadczyłem iż odtąd zdani są na własną przedsiębiorczość, chociaż póki zostają w Krzemieńcu, będę się starał utrzymywać z nimi kontakt i, o ile możliwe reprezentować ich w rozmowach z władzami w sprawach dotyczących naszej grupy. Z wyjazdem ambasadora

Lipskiego do Kut celem złożenia sprawozdania Rządowi i wypłacenia odprawy urzędnikom, Ambasada RP w Berlinie, jako osobna jednostka administracyjna przestała faktycznie istnieć. Uważam zatem iż jest to miejsce właściwe, by zakończyć moje opowiadanie o przebiegu jej ewakuacji z Niemiec do Polski⁵.

Karol KRACZKIEWICZ

5. Na wypadek, gdyby Czytelnik chciał się dowiedzieć, jakie były moje i mojej żony dalsze losy, wspomnę iż wiadomość o wtargnięciu wojsk sowieckich do Polski, w dniu 17 września, skłoniła nas do opuszczenia Krzemieńca i rozpoczęcia podróży w kierunku granicy rumuńskiej tegoż dnia, zanim jeszcze miasto zostało ogarnięte inwazją sowiecką. Stało się to dzięki inicjatywie mało mi znanego człowieka, przypadkiem spotkanego na ulicy, który zaofiarował mi kilkanaście miejsc w autobusie zmobilizowanym jakoś przezeń dla tej podróży, licząc, na to, iż moje „urzędowe” stanowisko będzie pomocne w uzyskaniu benzyny; pomoc moja okazała się zbędna, gdyż władze wojskowe wydawały benzynę bezpłatnie każdemu kto miał do dyspozycji transport motorowy. Udało mi się też zapewnić miejsca wszystkim tym byłym pracownikom ambasady, którzy zdecydowali się wziąć udział w tej nieco ryzykownej imprezie. Dojechaliśmy nad ranem do Stanisławowa, skąd, po dowiedzeniu się, że droga na Rumunię jest już obsadzona przez Rosjan, skręciliśmy ku granicy węgierskiej, którą przekroczyliśmy pod wieczór 18 września wraz z kolumną wojsk polskich spotkaną po drodze. Po krótkim postoju w Użhorodzie, a potem w Budapeszcie, gdzie za resztki waluty zakupiliśmy bilety III klasy do Paryża, natychmiast ruszyliśmy w dalszą podróż, uzyskawszy bez trudności wizy dyplomatyczne jugosłowiańską, włoską i francuską. Dotarliśmy do Paryża 23 września, akurat w trzy tygodnie od opuszczenia Berlina. Nasza turystyka wojenna okrążyła Europę, poprzez kraje skandynawskie i bałtyckie, Polskę, od jej krańca północnego po południowy, Węgry, Jugosławię, Włochy północne i połowę Francji. W kilka dni po przyjeździe do Paryża odszukał mnie p. August Zaleski i zaproponował, żebym powrócił na moje dawne przy nim stanowisko sekretarza osobistego: właśnie został on mianowany ministrem Spraw Zagranicznych w gabinecie generała Sikorskiego. Ale to już początek innej historii.

KARTKA Z DZIENNIKA

Dziwne niespodzianki gotuje w moim wieku uciekająca pamięć. Nagle przypomniałem sobie jedyny wiersz, jaki znałem na pamięć już przed sześćdziesięciu laty, a mianowicie jedną strofę z „Beniowskiego”: *Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu / Na wielkim stepie albo na Golgocie / Ani wśród kolumn, które zamiast dachu / Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie / Ani też uczuć młodości zapachu... / Ani rwąc stokrotnie... i dalej aż po ... On nie jest tylko robaków bogiem / I tego stworzenia co pełza / ... On piórem z ognia jest dumnych szyszaków i dzikich koni nie kietzna / ... Wielki czyn często go ubłaga / Nie tła próżna przed kościoła progiem / Przed nim upadam na twarz, on jest Bogiem.*

Pamiętam jak deklamowałem ten wiersz Mereżkowskiemu na spacerze w lasu pod Mordami. Mereżkowski, który naturalnie nie rozumiał po polsku, powiedział tylko z dość obojętną miną: „No tak, to wiersz typowo nietzscheański!”

Skąd moja pasja do tego wiersza? Przecież nigdy w życiu nie byłem nietzscheaninem, a odruchowo raczej tchórzem. Zachwycał mnie ten zadziwiający amalgamat metafor połączony z porywem genialnego natchnienia. Nie mogę się powstrzymać, żeby tu nie opowiedzieć rzeczy, które znam tylko z rodzinnych wyznań i z encyklopedii sowieckiej.

Już sto razy pisałem, że Cziczerin, wieloletni komisarz spraw zagranicznych Lenina, był moim krewnym i spędził w 1905 roku kilka miesięcy u mojej babki w Krakowie. I to chyba nie pierwszy raz. Jedyną osobą, którą Cziczerin poza moją babką chciał widywać, był Profesor Zdziechowski. Myślę, że łączyło ich jedynie apokaliptyczne przeczucie bliskiej przyszłości. Pamiętam, że w rozdzierającym liście do Zdziechowskiego pisał, że Rosja będzie zniszczona, że sama siebie zniszczy i wypowiedział to zdanie w trzech językach jednocześnie: „Zdawało mi się — wyznawał Cziczerin po pierwszym ataku japońskim na rosyjską flotę — że torpedowce japońskie przeszyły ciało moje. Położenie nasze jest straszne, straszne... *la Russie deviendra un désert, le peuple russe wird aussterben müssen...*”. Ten Cziczerin, „człowiek chory”, jak o nim mówił Zdziechowski, wieczory spędzał z moją babką czytając jej głośno „Napoléon et Alexandre” Alberta Vendela.

Doszukałem się w encyklopedii, wydanej w Polsce komunistycznej, takich to danych o karierze Cziczerina: „Początkowo urzędnik carskiego ministerstwa spraw zagranicznych, od 1904

roku brał udział w działalności rewolucyjnej we francuskim i angielskim ruchu robotniczym. W ciągu 12 lat (1918-1930) piastował funkcje początkowo zastępcy, następnie komisarza ludowego do spraw zagranicznych ZSRR. Podpisał m.in. traktat brzeski, umowę ZSRR z Niemcami w Rapallo, z Turcją, Iranem, Afganistanem. Podczas konferencji w Genui przedstawił po raz pierwszy na forum międzynarodowym zasady polityki zagranicznej Rosji Radzieckiej, opartej na idei pokojowego współistnienia, oraz program rozbrojenia". Ten tekst spisany z encyklopedii jest mi potrzebny, żeby zastanowić się nad postacią Cziczierina. Gorący patriota rosyjski w 1905 — świadczy o tym list do Zdziechowskiego — potem internacjonalista socjalistyczny, aż wreszcie komunistą (bolszewik) — minister spraw zagranicznych i przyjaciel Lenina. To Cziczerin właśnie, w zastępstwie Trockiego, podpisał traktat brzeski (*ni mir, ni wajna* — jak ten traktat nazywano). A kiedy wracał z Brześcia (on sam opowiadał o tym mojemu wujowi Meyendorffowi, z pewnym — jak sobie wyobrażam — masochistycznym humorem), na stopniach jego auta przejeżdżającego przez Psków stali dwaj oficerowie niemieccy z pistoletami, bo cała ulica krzyczała: „Swołocz, swołocz”. A kiedy indziej, gdy wuj Meyendorff zaszedł do Cziczierina jako ministra spraw zagranicznych, żeby dał pozwolenie na wyjazd za granicę ich wspólnemu krewnemu, Cziczerin zgodził się na to bardzo niechętnie. W czasie tej rozmowy wszedł do gabinetu marynarz, który gryzł ogórek. Wuj zamilkł, a po chwili powiedział: „No, każ mu wyjść”, a Cziczerin odparł: „O nie, on ma prawo tu wszędzie chodzić, bo musi nas kontrolować. *Tu n'a pas idée comme il est amusant, c'est tout à fait un type de Sardou*".

W czasie, kiedy jeszcze byłem sam w Petersburgu, Meyendorff wyrażał się o Cziczerinie najniechętniej. Kiedy zacząłem wypytывать go, chcąc się dowiedzieć więcej, powiedziałem: „Ale przecież ten człowiek, który przeżył taką rewolucję, musi być człowiekiem ideowym”. Mój wuj odpowiedział lakonicznie i z pasją: „Wcale nie był ideowy, jest tchórzem i jeszcze kiedyś za tą moją kanapą będzie się chował. Najprościej wiedział, że między ogromną masą wielkiej Rosji a cieniutką warstwą rządzącą musiało dojść do konfliktu. *Il a préféré se mettre du côté des masses*".

Meyendorff widział jeszcze Cziczierina w chwili, kiedy rząd sowiecki przenosił się do Moskwy. Wtedy mu powiedział, że bolszewicy zniszczyli Rosję, a Cziczerin na to: „Zapaliliśmy rewolucję w całej Europie i o to nam tylko chodziło”.

Jedna z moich ciotek, bardzo beczelna i do tego ogromnie dbająca o swoje dobytki, złożyła kilka miesięcy przed rewolucją swoje brylanty do sejfów jakiegoś banku. Rewolucja naturalnie to wszystko zmioła, ale ona w naiwności uważała, że skoro jej mąż ma krewnego ministra, będzie mogła przez niego swoje brylanty odzyskać. Po wielkich trudnościach dotarła do niego.

Naturalnie minister Cziczierin ani myślał ratować jej brylantów, a ona, wygarnawszy mu co chciała, zakończyła: „*La seule chose qui me reste, c'est prier Dieu qu'il vous rende la raison*”. A Cziczierin odpowiedział swym świetnym grasejącym francuskim: „*Le Bon Dieu? Je le considère comme non-existant*”.

I jeszcze jeden, bardzo istotny szczegół: kiedy Cziczierin był w Polsce, o czym już na wstępie pisałem, jako poliglota natychmiast zaczął się uczyć polskiego i roznamiętnił się do polskiej poezji. „Poeci polscy — pisał do Mariana Zdziechowskiego — są dla mnie prawdziwym objawieniem, książkę pana przeczytałem jednym tchem. Cytaty ze Słowackiego i Krasińskiego są prze cudowne (*eto do biezumia czudno*), ten gigantyczny *Schwung*, ta moc nieskończoności, ta wspaniałość obrazów, melancholia i radość zarazem, nieporównane bogactwo barw, niepodobna zestawić ich z suchutkim Shelleyem, pedantycznym, jak wszyscy angielscy esteci”. Cziczierin porównywał polskich mesjanistów do poezji *fin de siècle*, zestawiał ich z Zarathustrą Nietzschego. A kiedy wysłaliśmy pierwszego ambasadora do Związku Sowieckiego, Cziczierin — minister spraw zagranicznych — wydał obiad na cześć nowoprzybyłego ambasadora i zaczął mu podczas obiadu deklamować Słowackiego. Biedny ambasador nawet nie wiedział, czyje to były wiersze.



Tego samego Cziczierina spotkał wiele lat później nasz serdeczny przyjaciel, Weissberg-Cybulski, przyjaciel Koestlera i Einsteina. Jako namiętny komunista wyjechał do Charkowa, gdzie go Rosjanie postawili na czele wielkiej fabryki. Opowiadał nam, że widział przez okno ludzi dosłownie umierających z głodu w chwili kiedy na łamach *Izwestii* i *Prawdy* pokazywano szczęśliwe twarze zdrowych i świetnych robotników. Niedługo potem, po strasznych torturach w Moskwie, został zesłany do obozu, ale Stalin, po pakcie Ribbentrop-Mołotow, łaskawie oddał go w prezencie Hitlerowi. Weissberg trafił prosto do krakowskiego getta, z którego później uratowała go jego przyszła żona — Polka. Po wojnie napisał bardzo głośną książkę „*Hexensabbat*”^{*}.

Otóż jeszcze w Moskwie Weissberg-Cybulski spotkał Cziczierina u pewnego Austriaka, któremu rząd sowiecki za zasługi oddane Sowietom darował „osobniak”. Kiedy zobaczył go wynędzniałego, w łachmanach, zapytał grzecznie: „Dlaczego pan nie zgłosił się do jednego z domu starców dla dygnitarzy sowieckich?”, a Cziczierin mu na to: *Niczewo nie chocz u imiet' obszczewo s etoj swołoczju*.

Co ma wspólnego patriota z 1905 roku, potężny komisarz sowiecki i przyjaciel Lenina z prawie że *clochard*-em, którego spot-

^{*} Aleksander Weissberg-Cybulski, *Wielka Czystka*, Instytut Literacki, Paryż 1967.

kał Weissberg? Myślę, że ten człowiek, dosłownie urzeczony Słowackim — bo czuł w nim niesamowity poetycki poryw — musiał być tak samo urzeczony rewolucją. Przypominam sobie sławny wiersz Błoka, napisany w okresie, gdy i on uległ rewolucji. Ten głośny wówczas utwór „12” kończył się marszem rewolucyjnych robociarzy, a wśród nich w *biełom wiencykie iz roz / szoł Jisus Christos*. Błok wtedy tłumaczył, że jeżeli zachwycaliśmy się dysonansami nowoczesnej muzyki i innych dzieł sztuki, musimy też przyjąć dysonanse rzeczywistości. Błok bardzo prędko stracił wszelkie złudzenia i w czasie spotkań autorskich nigdy nie chciał tego wiersza deklamować. Naturalnie droga tych dwóch ludzi, Cziczierina i Błoka, musiała być inna, ale zastanawia mnie, dlaczego Cziczerin tak długo pozostał w aparacie sowieckim. Dopiero w 1931 roku — nie godząc się z poglądami Stalina na politykę międzynarodową — podał się do dymisji. Wyrok śmierci go ominął, został zapomniany. Umarł samotnie i w nędzy. Nie opuściła go jedynie jego stara kucharka.

Józef CZAPSKI

Anna M. CIENCIAŁA

KŁAMSTWA O MINISTRZE BECKU

Z artykułu pt. „Watykan—Niemcy—Polska” (*Przegląd Tygodniowy* nr 38/129, 1984, str. 10), Jerzego Wisłockiego, Docenta Dr. Hab., Historii Państwa i Prawa, UAM Poznań, dowiadujemy się (po raz który?), że Watykan prowadził w latach 1919-1972, politykę „proniemiecką”.

Nic tu nowego. Wiemy, że od dawna opinie Polaków o polityce Watykanu wobec Polski, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej, są podzielone. Nie wchodząc w meritum sprawy, należy jednak czytelnikowi zasygnalizować — czego Wisłocki nie zrobił — obiektywną i źródłową książkę Zofii Waszkiewicz, *Polityka Watykanu wobec Polski, 1939-1945* (PWN, 1980). Należy się też zastanowić, dlaczego Wisłocki wystąpił z takim artykułem właśnie teraz? Czyżby było nań „zapotrzebowanie”?

Abstrahując od tego zagadnienia, zwróćmy uwagę, że w swym artykule Wisłocki cytuje rzekomą wypowiedź Józefa Becka. Będąc internowany w Rumunii, Beck miał jakoby w lutym 1940 roku tak ocenić własną politykę zagraniczną z lat 1932-1939:

Jednym z głównych czynników odpowiedzialnych za tragedię mojego kraju jest Watykan. Uświadomiłem sobie zbyt późno, że w polityce zagranicznej realizowaliśmy właśnie cele kościoła katolickiego. Należało prowadzić politykę przyjaźni z Rosją Radziecką i w żadnym wypadku nie popierać Hitlera.

Przecieramy oczy. Wypowiedź ta stoi w rażącej sprzeczności z oceną polityki polskiej w pamiętnikach, które Beck właśnie dyktował, a które ukazały się w 1952 roku pt. *Dernier Rapport*. Nie ma też takiej wypowiedzi w polskim oryginale, który jest teraz w rękach piszącej te uwagi i ukaże się drukiem za kilka miesięcy. Nie można też podobnej wypowiedzi znaleźć we wspomnieniach dwóch sekretarzy osobistych Becka, Starzeńskiego i Rogoyskiego.

Skąd więc pochodzi ta rzekoma wypowiedź?

Wisłocki powołuje się na pracę Avro Manhattana, *Der Vatikan und das XX Jahrhundert* (Berlin Zachodni, 1958). Otóż, jest to niemieckie tłumaczenie książki wydanej po angielsku pt. *The Catholic Church Against the Twentieth Century* (London, Watts & Co., 1974). „Wypowiedź” Becka jest podana na str. 300. W przypisie czytamy: „Wyjątek z listu faszystowskiego ambasadora w Bukareszcie do Mussoliniego. Ambasador twierdzi, że z nim m.in. rozmawiał płk Beck”. Nie ma wyjaśnienia, czy ten list, względnie ten wyjątek listu, trafił do rąk p. Manhattana, czy też został gdzieś wydrukowany.

Posłem (a nie ambasadorem) włoskim w Bukareszcie był w owym czasie Pellegrini Ghigi. W swoich telegramach do min. Ciano ze stycznia i lutego 1940 roku nie wspomina on o Becku (*Documenti Diplomatici Italiani* 9-ta seria, tom 3). Nie jest wykluczone, że mógł się z Beckiem spotkać, gdy minister bawił w Bukareszcie w drugiej połowie stycznia. Natomiast, poseł wspominałby chyba o tak znamiennej wypowiedzi polskiego ministra spraw zagranicznych.

Skoro nie posiadamy takiego dokumentu, i ponieważ wypowiedź cytowana jest tak rażąco odrębna od znanych myśli i wypowiedzi ministra, należy zaznaczyć się z autorem który ją podaje. Avro Manhattan, urodzony w Mediolanie w 1914 roku, wykształcony na Sorbonie i uniwersytecie londyńskim, pracował podczas wojny w BBC oraz w brytyjskim MSZ, w wydziale „Wojny Politycznej”. Napisał kilkanaście książek, w których ustawicznie atakował Watykan (patrz: *Contemporary Authors*, t. 1/12, 1st Revision, Gale Research Co., Detroit, Mich., 1947, str. 567). Nienawiść do Watykanu była obsesją jego życia. Rzekoma wypowiedź min. Becka znajduje się w rozdziale: „Polska a Watykan”.

Czegoż się tu dowiadujemy? Otóż, że min. Beck przyznał się jakoby w styczniu 1940 roku, że: „Polska zawarła prawdziwy sojusz z Hitlerem”. A skąd natchnienie do tego? Manhattan pisze, że pochodziło ono z małpowania faszystów w Polsce oraz z inspiracji mocarstw zachodnich, które, wraz z Watykanem, miały nadzieję, że Hitler rzuci się na Rosję (str. 299).

Dalej, Manhattan pisze, że Pius XII doszedł do porozumienia z Hitlerem co do „czasowej” okupacji ziem polskich — a to

dlatego, że „wielka strategia” Watykanu dążyła do spowodowania ataku na Rosję Sowiecką. Tej „strategii”, Polska miała służyć jako instrument. W tym właśnie kontekście jest cytowana rzekoma wypowiedź Becka, podana niby przez posła włoskiego w Bukareszcie.

Ale nie koniec na tym. Manhattan twierdzi, że rząd polski w Londynie kontynuował politykę swego poprzednika, a więc „intrygował” przeciwko Rosji Sowieckiej z Watykanem oraz z mocarstwami zachodnimi. Szczyt tej polityki autor widzi w Powstaniu Warszawskim, a za jej dobrze zasłużony rezultat uważa piąty rozbiór Polski. Wreszcie Manhattan twierdzi, że polityka Rosji Sowieckiej wobec Polski — wraz z ustanowieniem nowego rządu polskiego w 1945 roku — wymierzona była przede wszystkim przeciw swemu „największemu wrogowi”, tj. Watykanowi. To Watykan właśnie, jak twierdzi Manhattan, zamierzał użyć Polski dla osiągnięcia swego wielkiego celu — zawładnięcia całym kontynentem europejskim (! str. 300-301).

Wyżej streszczone wypowiedzi Manhattanu wystarczą chyba do wyrobienia sobie należytej oceny „naukowości” jego dzieła, jak też prawdopodobności rzekomej wypowiedzi min. Becka.

Fakt, że z takiego „dzieła” skorzystał polski naukowiec, w artykule oskarżającym Watykan o politykę „proniemiecką”, nasuwa czytelnikowi dość smutne myśli o poziomie naukowym Jerzego Wiślockiego.

Anna M. CIENCIAŁA

„KIERUNKI” A NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kierunki (paxowski „tygodnik społeczno-kulturalny katolików”) w numerze 43 z 21 października 1984 zamieścił „*Tajne zapiski ambasadora Raczyńskiego, dotyczące przejścia Naczelnych Władz Polskich do Rumunii i rezygnacji b. Prezydenta RP, Prof. Ignacego Mościckiego, opatrując „Zapiski” swoim pełnym nieścisłości wstępem, w którym m.in. znajduje się zdanie „Raport Rogera Raczyńskiego bezpośredniego świadka wydarzeń sprzed 45 laty jest cennym, powszechnie nieznanym (podkreślenie red. Z.H.) przyczynkiem do naszej historii najnowszej”, oraz „W maju 1940 roku, na osobiste polecenie gen. Władysława Sikorskiego, Raczyński przedstawił szczegółowy raport o warunkach internowania władz Rzeczypospolitej w Rumunii oraz okolicz-*

ności rezygnacji ze stanowiska prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego. Kopia tego niezwykłego dokumentu przekazana została gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu i drukujemy ją poniżej.

Przed wszystkim należy podkreślić, że „Zapiski” (jedynie bez dodatku *Kierunków*: „Tajne”) nie są tak „powszechnie nieznanne” gdyż zostały w całości wydrukowane w nr. 9-10 *Kultury* z 1948 roku, w dziale „Najnowsza historia Polski”, str. 116-129. Zapiski te bynajmniej nie zostały napisane na „osobiste polecenie gen. Sikorskiego”, natomiast zostały wspólnie opracowane, celem utrwalenia tych wydarzeń, przez ambasadora Rogera Raczyńskiego, ministra Alfreda Ponińskiego i Jerzego Giedroycia, którzy brali bezpośredni udział w pertraktacjach przekazania urzędu przez prezydenta Mościckiego. Oryginał „Zapisków” był przesłany amb. Edwardowi Raczyńskiemu do Londynu. *Żadna kopia nie została przekazana gen. Sosnkowskiemu.*

Najzabawniejszy w tym wszystkim jest fakt, że przedrukowując „cenny i powszechnie nieznaną przyczynkę do najnowszej historii Polski”, redakcja *Kierunków* ocenzurowała, albo zgodziła się na ocenzurowanie trzech ustępów tekstu co zostało zaznaczone: [— — — Ustawa z dn. 31. VIII. 81 r. o kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983. Dz.U. nr 44, poz. 204)].

Aby zaspokoić zrozumiąłą ciekawość czytelników *Kierunków* w Polsce podajemy ustępy skonfiskowane:

W zdaniu: „W urzędzie gminnym spotkałem płk. Tadeusza Schaetzla, wicedyrektorów Michała Łubieńskiego, Józefa Potockiego oraz szereg innych urzędników MSZ” opuszczono koniec „, którzy poinformowali mnie o przejściu wojsk sowieckich, o dramatycznej rozmowie Grzybowski-Mołotow i wytworzonej inwazją sowiecką o godz. 4-tej z rana nową sytuacją”.

W zdaniu: „W tym momencie p. Łepkowski zwrócił uwagę na niewłaściwe pomieszczenie Głowy Państwa w Biczanie, kładąc nacisk na trudny dojazd, bliskość granicy sowieckiej jak również węgierskiej” opuszczono koniec zdania: „i wynikające stąd niebezpieczeństwa w razie nagłej agresji sowieckiej”.

W zdaniu: „Ambasador oświadczył, że mówi bezpośrednio z polecenia premiera Daladier: primo grono poważnych Polaków, zgrupowanych dokoła Ambasadora R.P. w Paryżu wysunęło, niezależnie od rządu francuskiego, propozycję kandydatury b. marszałka Senatu, Władysława Raczkiewicza; secundo Rząd Francuski wita tę kandydaturę z całą życzliwością i stwierdza, że Rząd powołany przez p. Raczkiewicza będzie uznany i będzie mógł korzystać z wszelkich przywilejów na terytorium francuskim, tertio wobec otrzymanych wiadomości”; ustęp skonfiskowany brzmi: „o nowym porozumieniu sowiecko-niemieckim” Rząd francuski nalegałby, aby p. prof. Mościcki powziął natych-

miastową decyzję, gdyż obecna sytuacja grozi poważnymi komplikacjami.

Zwracamy uwagę redakcji *Kierunków*, że kontynuując oryginalną metodę drukowania materiałów historycznych powinna zapoznać się z inną relacją dramatycznych wydarzeń rumuńskich, a mianowicie z artykułem Alfreda Ponińskiego pt. „Wrzesień 1939 w Rumunii. Udział Ambasady R.P. w Bukareszcie w rozwiązaniu polskiego kryzysu państwowego”, zamieszczonym w nr. 6 *Zeszytów Historycznych* z 1964 roku.

RECENZJE

T. P. DOBRZYŃSKI

„SOLIDARNOŚĆ” OCZYMA I PIÓREM POLSKIEGO HISTORYKA

Czterdzieści lat rządów komunistycznych w Polsce jest w rzeczywistości niekończącym się pasmem walki narodu polskiego z tą nową formą okupacji sowieckiej. Obok prób zorganizowanego oporu zbrojnego widać równie silny nurt działań pokojowych, zmierzający do osiągnięcia wolności na drodze parlamentarnej. Wobec fizycznej eksterminacji warstwy przywódczej narodu polskiego przez Niemcy i Związek Sowiecki, a także na skutek narastającego terroru w Polsce „ludowej”, obydwa nurty walki zostały w zasadzie zlikwidowane w latach 1947-1948.

Rok 1956 pokazał, że Polaków nie udało się skomunizować, mimo tylu lat stalinowskiej nocy. Podobne zapędy Gomułki wywołały poważne rozruchy inteligencji w 1968 roku, a grobem ortodoksyjnej koncepcji komunizmu dla Polski stał się krwawy protest robotników Wybrzeża 1970 roku. Odtąd proces komuniżowania narodu polskiego — czyli próba kompletnego ubezwłasnowolnienia go na wzór narodów Związku Sowieckiego — ulega stopniowemu zahamowaniu i zaczyna zanikać w miarę upowszechniania oświaty, wzrostu świadomości narodowej, powstawania nowych prądów ideowych, a po kolejnym proteście robotniczym 1976 roku — dynamicznego rozwoju zorganizowanej opozycji.

Wielokierunkowa działalność tej opozycji i wybór papieża-Polaka wyrwały przeciętnego Polaka z kompleksu niższości i ogół-

nej niemożności, umiejętnie sączonych przez propagandę rządową; dodawały sił i otuchy na przyszłość.

„Polskie lato” 1980 roku z determinacją, solidarnością i mądrością polityczną Wybrzeża, a potem całej Polski, i w konsekwencji utworzenie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” było więc tylko kwestią czasu.

Działalność „Solidarności” — reprezentacji najszerszych kręgów społeczeństwa polskiego — stała się najważniejszym jak dotąd etapem w walce z komunizmem w Polsce i na świecie. Wywołała więc ogromne zainteresowanie, czego wynikiem jest olbrzymia ilość publikacji w wielu językach świata, z których najwartościowsze chyba ukazały się po angielsku¹.

Dobrze więc się stało, że otrzymaliśmy także pracę po polsku i to napisaną przez autora krajowego, bezpośredniego świadka tamtych dni².

Autor książki jest znanym historykiem najnowszych dziejów Polski, o bogatym dorobku naukowym, charakteryzującym się ogromną wolą ukazania prawdy, o co w badaniach dziejów najnowszych zawsze było najtrudniej³. Jego protestacyjne wystąpienie z organizacji partyjnej Uniwersytetu Warszawskiego wzbudziło powszechny podziw środowiska: krok taki groził wtedy (jesień 1979 r.) większymi nawet konsekwencjami, aniżeli porównywalna działalność w tak zwanej „opozycji demokratycznej”.

Książka — wbrew podtytułowi „Geneza i historia” — nie wydaje się być ani historią, ani nawet monografią. Jest natomiast obszernym, kronikarskim zapisem najważniejszych działań „Solidarności”, z próbami szerszego naświetlenia związków przyczynowo-skutkowych niektórych wątków i wydarzeń.

Działalność strony rządowej jest przedstawiona dość wyraźnie, włącznie z omówieniem powstających frakcji i grup rozłamowych w rozpadającej się Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Trudno powiedzieć, niestety, jaka jest baza źródłowa książki. Autor wspomina co prawda o nieosiągalności niektórych ważnych materiałów związkowych, ze względów konspiracyjnych głęboko ukrytych lub też obecnie zniszczonych, nie mówiąc już o niedostępnych dokumentach strony rządowej. Potrafił jednak w jakiś sposób zdobyć, czy też zachować wykonane uprzednio zapisy bezcennych obecnie nagrań magnetofonowych wielu ważnych

1. Tytułem przykładu: T. G. Ash, *Polish Revolution „Solidarity”*, Charles Scribner's Sons, New York 1984; K. Ruene, *The Polish Challenge*, Parkwest Publication, New York 1984; L. Biondi, F. Mocha, L. Kolakowski i in., *Poland's Solidarity Movement*, Loyola University of Chicago, 1984.

2. Jerzy Holzer, „Solidarność” 1980-1981. *Geneza i historia*, Instytut Literacki, Paryż 1984.

3. Do najważniejszych należą prace o polskim socjalizmie oraz kapitalne kompendium: *Z geografii politycznej Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1974.

rozmów i ustaleń. Należy więc przypuszczać, że ze względów konspiracyjnych nie znajdujemy w książce odsyłaczy. Jednakże brak zestawu najważniejszych źródeł i prasy trudno sobie wytłumaczyć pośpiechem, którego piętno wyraźnie odbija się na kartach książki⁴.

Pośpiech jest też zapewne przyczyną braku indeksu osób, niezbędnego w tego rodzaju wydawnictwie.

Holzer zaznacza, że wobec opisywanych wydarzeń i osób pragnie zachować maksymalnie bezstronne stanowisko. Słusznie nie kwapi się ze zbyt pochopną oceną działalności swych bohaterów związkowych, twierdząc, że nie mogą się oni w większości bronić spoza krat więzień Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Chociaż... nie wszyscy są więźniami, a część działaczy przebywa na emigracji.

Mimo szczególnych warunków, w jakich praca powstawała, niektóre sformułowania i oceny wydają się przesadnie oględne, często wbrew przytaczanemu w książce materiałowi dowodowemu, jak chociażby ocena agenturalnej działalności H. Sienkiewicza w jastrzębskiej „Solidarności” (str. 128-129). Oczywiście zastrzeżenie budzi stałe używanie formy „radziecki” zamiast jedynej poprawnej „sowiecki”, jak też określeń zdevaluowanych nadużywaniem przez komunistyczną propagandę, takich jak: „rewizjonizm”, „kapitalizm”, „lewica”, „prawica” itp. Szczególnie ostatnie dwa terminy nie wyjaśniają niczego w państwie komunistycznym. Zdarzają się eufemizmy: „wydarzenia marcowe”, czy też deklarowanie ... „lojalności dla socjalizmu”... (str. 157), których historyk winien bądź unikać, bądź poszukać poprawniejszego określenia.

Zdecydowany sprzeciw budzi natomiast eufemizm „walka bratobójcza”, z której powodu społeczeństwo polskie jakoby wzdrygało się przed podjęciem walki zbrojnej. Trzeba tu powiedzieć *expressis verbis*, że straszakiem „walki bratobójczej” szeroko i skutecznie szermowała i szermuje do dziś propaganda komunistyczna, sugerując domniemanie o równości liczebnej, równorzędności moralnej i perspektywicznej wspólnoty celów rządzonych i rządzących, narodu i komunistów. Dziwnie też pojmuję Autor „politykę realną”, nie pochwalając np. rozpowszechniania prawdy o stosunkach polsko-sowieckich, prawdy publikowanej jako odpowiedź na kłamliwą i agresywną wobec „Solidarności” propagandę sowiecką (str. 313). Niezrozumiały jest również wyraźny brak entuzjazmu — a nawet zarzut mesjanizmu — wobec przyjęcia przez Pierwszy Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” *Postańcia do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Autor wydaje się podzielać — wzorem ogromnej większości ekspertów ... „od Mazowieckiego i Geremka prawdopodobnie aż po Kuronia”... włączając

4. Musimy sobie zdawać sprawę z konspiracyjnych warunków zbierania materiałów i samego pisanja książki.

Wąsę i ludzi bliskich Episkopatowi (str. 269-270) — pogląd, iż działanie „z cicha pękł” i niedrażnienie ZSSR za wszelką cenę były jedynym warunkiem przetrwania „Solidarności” (trwać by trwać?). Historia przecież niedługo już, bo w kilka miesięcy potem przyznała rację większości zjazdowej i *Postaniu*. Ten godny i piękny w swej treści dokument stał się symbolem odwiecznej postawy Polaków walczących o wolność waszą i naszą. Wzniął on już, być może, iskrę zrozumienia prostej prawdy, że bez współpracy z Węgrami, Słowakami, Ukraińcami, Białorusinami, Litwinami i innymi sąsiadami trudno będzie zarówno Polsce odzyskać niepodległość, jak i *vice versa*.

W świetnie na ogół opisanych uwarunkowaniach strony rządowej brakuje zaakcentowania równorzędnej niemalże pozycji ministra spraw wewnętrznych wobec pierwszego sekretarza partii w krajach zdominowanych przez Moskwę⁵. Wyjaśniłoby to lepiej grę sił w PZPR. Przytaczane cytaty z rozmów i „wystąpień” kacyków partyjnych stanowią doskonałą ilustrację ich niskiego poziomu umysłowego i zakłamania. Zaskakuje zwłaszcza niesłychanie prymitywny język i wulgarne, wąskie pojmowanie rzeczywistości, prawie wyłącznie w kategoriach walki i destrukcji.

Praca jest napisana przejrzyście, dzięki zastosowaniu klasycznej konstrukcji pokazującej walkę dwu stron: komunistycznego państwa i zbuntowanego, coraz bardziej świadomego swych praw narodu.

W początkowych partiach książki znajdujemy omówienie polskich doświadczeń ostatniego czterdziestolecia na tle sytuacji w ZSSR i innych europejskich krajach satelickich. We wnioskach końcowych Holzer uważa, że przypadki liberalizacji tak w Sowietach, jak i u satelitów były świadomie „nakręcane” w Moskwie po to, by zdobyć odpowiednie korzyści na Zachodzie. Granice owej sterowanej liberalizacji widziano zawsze bardzo wąsko, co wykazały interwencje w Berlinie Wschodnim 1953 r., na Węgrzech 1956 r., w Czechosłowacji 1968 r. i próba interwencji w Polsce 1956 r. Powyższa teza ma uzmysłwić czytelnikowi, jak wielkim zaskoczeniem, ale i kamieniem obrazy dla Moskwy musiały być powstanie i działalność „Solidarności”.

Sprzedanie Polski przez Zachód pod koniec drugiej wojny światowej jak też późniejsze, tragiczne polskie sam na sam z sowieckim kolosem legło niejako u podstaw najważniejszego polskiego doświadczenia. Świadomość osamotnienia w tej nierównej walce przyjęta została jako założenie generalne przez wszystkie polskie ruchy protestu, łącznie z „Solidarnością”. Doświad-

5. Jest to zwyczajne asekuranctwo Kremla. Dodatkowe teoretyczne wyjaśnienie (doskonałe!) daje L. Kołakowski, „Pałka i teoria”, *Kultura* nr 3/438, 1984.

czenie historyczne uczyło, że w razie otwartej walki nie należy mieć złudzeń co do ewentualnej pomocy Zachodu.

Tym tylko należy tłumaczyć nacisk na legalizm i wybór pokojowych środków działania przez kształtujące się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych opozycyjne ugrupowania antykomunistyczne. Tą samą drogą starali się iść strajkujący robotnicy Wybrzeża. Podobne zasady przyjęła „Solidarność”.

Obok szeregu mniej czy więcej znanych przyczyn, które złożyły się na sierpniowe zwycięstwo, książka nie wymienia działalności polskojęzycznych audycji z Zachodu, które mimo zagłuszania hamowały jednak skutecznie komunistyczny monopol kłamstwa i dezinformacji. Od dziesiątków lat podnosiły poziom świadomości politycznej Polaków, a w okresie najgorętszym, wobec zablokowania połączeń telefonicznych i komunikacyjnych Wybrzeża z resztą kraju, Radio Wolna Europa było przez kilka dni niejako ośrodkiem komunikacji strajkujących rejonów.

Trudno także przecenić rolę *Kultury* i jej wydawnictw w kształtowaniu świadomości polskiej elity intelektualnej.

W opisie słynnego sierpnia brakuje nam owej niezapomnianej, niezwykle napiętej atmosfery tamtych dni. Znienawidzony powszechnie propagandysta R. Wojna⁶ w głównej emisji dziennika TVP straszy zbuntowanych robotników możliwością ... „katakлизmu na skalę schyłku osiemnastego wieku”...⁷, czyli ponownym rozbiorem. Wkrótce w tym samym dzienniku usłyszymy prymasa nawołującego społeczeństwo do zaniechania strajków⁸. Polacy są zaskoczeni, nie wierzą propagandzie, pozostają w aktywnym oporze i... wygrywają.

W Szczecinie, Gdańsku a potem w Jastrzębiu zostają wreszcie podpisane porozumienia władzy „ludowej” ze zbuntowanym ludem.

Dotychczasowy strach i niepewność, ale też i krańcowa determinacja („lepiej umrzeć niż żyć na kolanach”) przeradzają się w euforię. Nowa era wydaje się otwarta. Po raz pierwszy w dziejach doszło w sposób pokojowy do klęski komunizmu na tak wielką skalę. Solidarność całego społeczeństwa — dotąd z takim

6. Jego złą sławę najlepiej ilustruje kalambur warszawskiej ulicy oparty na starym sloganie: „Nigdy więcej wojny — Ryszarda!”.

7. Wypowiedź opublikowały centralne pisma krajowe, jednak bez podanego cytatu, który przytaczam z pamięci. Dysponenci propagandy uznali widocznie, że można straszyć towarzyszami „radzieckimi” słownie, lecz nie w druku. Straszaka sowieckiego używała strona rządowa często jako ostatecznego argumentu w przetargach z „Solidarnością”. Wydaje się, że czynnik ten sparaliżował w dużym stopniu wolę walki przywódców nowego związku, jakkolwiek musi zadziwiać zaniechanie przygotowań na wypadek interwencji sowieckiej.

8. Towarzysze z TVP przedobrzyli. Ocenzowali krytyczną wobec władz część wypowiedzi Wyszyńskiego, przez co umocnili tylko słuchaczy w przekonaniu, że wszystko jest od a do zet spreparowane.

powodzeniem sztucznie dzielonego na klasy, warstwy i co tam jeszcze przewidywała „przodująca idea” — wydała wreszcie owoce. Aby z nich korzystać, należało teraz walczyć o realizację owych porozumień.

Komunistyczna władza, po chwilowym oszołomieniu i bezradności, starała się przywrócić jednak *status quo ante*. Do końca sprzeciwiała się zarejestrowaniu nowego związku, a gdy się to nie udało, usiłowała przyhamować jego żywiołowy rozwój organizacyjny. W ciągłej atmosferze kłamstw i pogroźek próbowała nie dopuścić do realizacji żadnego z punktów porozumień. Wreszcie w marcu 1981 roku przeprowadziła próbę generalną przygotowania organizacyjnego i psychologicznego „Solidarności” do samoobrony poprzez umiejętnie przeprowadzoną prowokację w Bydgoszczy. Wspaniała kontrakcja nowego związku zmusiła zapewne rząd do przesunięcia ataku w czasie. Stąd też kolejne ustępstwo i zgoda w początkach maja na rejestrację NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Przedtem jeszcze, pod niebywałą presją całych organizacji regionalnych, usunięto ze stanowisk partyjnych i administracyjnych bardziej skompromitowanych działaczy.

Ustępstwa te spowodowane były niezwykle intensywnym rozwojem organizacyjnym „Solidarności” oraz sukcesywnym rozpadaaniem się PZPR i postępującą inercją aparatu administracyjnego. Nawet w milicji, uważanej dotąd za filar ustroju (obok wojska), powstał załączek organizacyjny niezależnego związku.

Holzer słusznie zauważa, że gdzieś od wczesnej wiosny 1981 roku, bezpośrednio po objęciu premierostwa przez Jaruzelskiego, widać oznaki podjęcia decyzji użycia siły w rozprawie z „Solidarnością”. Sowietki zamach na papieża, zsynchronizowany z przypuszczalnym rychłym zgonem prymasa tysiąclecia, oraz prowokowane 16 i 17 maja zajścia uliczne w Katowicach, każą przypuszczać, że po doświadczeniach wspomnianej próby generalnej w Bydgoszczy pierwszy termin ataku wyznaczono gdzieś na połowę maja.

Nachalne ponaglenie, noszące wszelkie cechy jawnej interwencji, wysłane w początkach czerwca przez Kreml do „towarzyszy polskich⁹” tłumaczone być może tylko wściekłością Breżniewa i Andropowa, że ich naciski na razie nie odniosły skutku. Wygląda też na to, że Stanisław Kania, ówczesny pierwszy sekretarz PZPR, nie kwapił się zbyt do wojny z narodem, za co go w końcu wymieniono na Jaruzelskiego.

Skala zwycięstwa sierpniowego zaskoczyła nie tylko komunistyczne władze, ale także przywódców zwycięskich strajków z Lechem Wałęsą na czele. Świadczą o tym dość długie opory Wałęsy wobec jedynie wtedy możliwej koncepcji centralnego zorganizowania związku. Podczas lektury książki Holzera nasuwa się

9. List KC KPZS do KC PZPR, *Życie Warszawy* nr 135, 11. VI. 1981.

nieodparta myśl, że początkowo bardzo umiarkowany w swych dążeniach nowy związek stawał się wobec nacisków i nieustępliwości władz coraz bardziej reprezentantem wyzuteego ze swych suwerennych praw całego społeczeństwa polskiego. Z niezwykle wielkiego, co prawda, ale jednak związku zawodowego, przekształca się z czasem w ruch społeczny albo inaczej: w reprezentację walczącego o swe prawa społeczeństwa. Charakterystyczne jest zawsze umiarkowane stanowisko centrali związkowej wobec nieporównanie większego radykalizmu działaczy terenowych. Ci ostatni, zdeterminowani nastrojami mas, byli inicjatorami usuwania skompromitowanych przedstawicieli terenowych władz partyjnych i administracyjnych. Zgłaszano wypadki niegospodarności jednostek gospodarki państwowej, mające wszelkie cechy akcji sabotażowej. Indywidualni rolnicy zaczęli zagospodarowywać (o zgrozo!) leżące odłogiem, doskonałe ziemie Państwowych Gospodarstw Rolnych¹⁰. Gdy władze państwowe nie ustępowały, wybuchały strajki, rozprzestrzeniające się często na wiele regionów. Było to raczej skutkiem nieumiejętności centralnego kierowania nowym ruchem, niż dezaprobaty czy niesubordynacji organizacji lokalnych wobec centrali.

O narastającym radykalizmie organizacji terenowych — czego książka nie odnotowuje — świadczy najlepiej prasa terenowa, wydana głównie przez organizacje związkowe wielkich zakładów przemysłowych. Wrzenie oddolne potwierdza też przebieg Pierwszego Krajowego Zjazdu „Solidarności”, gdzie nawet Wałęsa nie był pewny zwycięstwa na skutek oskarżeń o nadmierną ugodowość wobec rządu. Postępująca radykalizacja nastrojów miała miejsce także na wsi¹¹. W tej sytuacji nie wydaje się prawdziwe twierdzenie Holzera, że społeczeństwo powszechnie i za wszelką cenę pragnęło uniknąć konfrontacji (str. 353-354). Wydaje się raczej, że gdyby społeczeństwo zostało powiadomione o komunistycznych przygotowaniach do ataku — a te musiały być chociażby częściowo znane kierownictwu „Solidarności”¹² — na pewno opowiedziałyby się za przygotowaniem czynnej obrony. Przykładów woli walki nie brakuje w pierwszych dniach „wojny jaru-

10. *Tygodnik Solidarność* nr 30 z 23. X. 1981.

11. Według relacji (w moim posiadaniu — T.P.D.) doradcy protestujących rolników w Siedlcach (listopad 1981 r.), dr. B.W., dość częste były głosy o bezsensowności dotychczasowej taktyki obu central związkowych (robotniczej i rolników indywidualnych). Myślano i mówiono o konieczności... „chwycenia za kosy i obrzyny”...

12. Oczywiście jest, że przygotowania do tak wielkiej operacji nie mogły być w całości ukryte. O jej przygotowaniach świadczą oficjalne enuncjacje strony rządowej, które znajdujemy w książce jak też głosy półoficjalne, np. „wystąpienie” Siwaka w KW PZPR w Jasle, czy też tajne ostrzeżenia oficerów-patriotów pod adresem władz związkowych, A. Gładysz, T. Bojarski, *Wewnętrzna inwazja Polski*, Wydawnictwo Promyk, Philadelphia 1982, str. 61.

zelskiej”¹³ czy też w późniejszej, skrajnej determinacji wieluset-tysięcznych, bezbronnych tłumów manifestujących w maju, sierpniu, listopadzie i później, mimo jasnego od początku braku widoków na zwycięstwo tego rodzaju taktyki.

Oczywistą rację ma autor *Kultury*¹⁴, że rzekomy dylemat centrali związkowej między samoograniczaniem się („samoograniczająca się rewolucja”) a dynamizowaniem walki z komunistyczną władzą był kwestią taktyki, a nie celów perspektywicznych. Centralnie władze związkowe próbowały pacyfikować coraz bardziej zrewoltowany teren, ale pod jego naciskiem żądały bardziej stanowczo wykonywania zawartych uprzednio porozumień z rządem. Rząd z kolei przygotowywał się powoli, lecz konsekwentnie do rozbicia „Solidarności” i był coraz mniej skłonny do rzeczywistych ustępstw. Konfrontacja zbliżała się nieuchronnie.

Sledząc szesnastomiesięczny rozwój „Solidarności”, trudno oprzeć się wrażeniu, że gdzieś od lata 1981 roku na posunięciach politycznych i tworzonych programach kładzie się cień jak gdyby niewiary we własne siły i w to, co się robi. Potwierdza to wyraźnie ogólnikowy program przyjęty na Pierwszym Krajowym Zjeździe. Wobec zbliżającej się katastrofy gospodarczej, mimo prosolidarnościowego nastawienia prawie całej nauki polskiej, nie stworzono konkretnego planu (lub planów) ratowania gospodarki polskiej¹⁵.

W dwudniowej dyskusji na forum Kongresu Kultury Polskiej — poza dwoma chlubnymi wyjątkami Andrzeja Kijowskiego i Andrzeja Szczypiorskiego — nie widać szerszych horyzontów myślowych, ani też właściwych ocen w obliczu dramatycznej sytuacji w kraju¹⁶. Ta atmosfera ogólnej niemożności zdaje się wynikać z dość powszechnego przekonania, że bez zdecydowanych i radykalniejszych metod walki komunistyczna władza nie ustąpi. Nierealne więc, i nieprzydatne być może, wydawać się musiały wtedy bardziej szczegółowe programy dotyczące np. naprawy gospodarki w sytuacji, w której właścicielem ogromnej większości dóbr było komunistyczne państwo.

Nowe koncepcje, oparte po części na tradycjach Konfederacji Polski Niepodległej, zaczęły kształtować się w tworzonych jesienią 1981 roku Klubach Służby Niepodległości (B. Komorowski,

13. Por.: A. Gładysz, T. Bojarski, *op. cit.*, str. 52-87; Wywiad z Władysławem Frasyniukiem, *Tygodnik Mazowsze* nr 13 z 12.V.1982, str. 2.

14. *Kultura* nr 5/440, 1984, str. 141.

15. *Ibidem*, str. 142.

16. Celną ocenę Kongresu daje Szczypiorski: „Oto w kraju dzieją się sprawy doniosłe, może rozstrzygające dla losu narodowego, a w tej sali elita intelektualna Polski debatuje powściągliwie i dystygnowanie o kwestiach na pewno ważnych i na pewno godnych uwagi, jednak trochę osobliwych w takim momencie. Jak to ujął obrazowo pewien publicysta — 'Parter płonie, a na piętrze podlewają kwiatki'”, *Kongres Kultury Polskiej* [11-12.XII.1981], str. 69 (przedruk fotooffsetowy z konspiracyjnego wydania krajowego).

A. Macierewicz, W. Ziemiński i in.). Są one w książce zaledwie odnotowane, podobnie jak zupełnie nowy i bardzo realistyczny głos Grzegorza Palki w I turze zjazdu¹⁷.

Konkludując, u podstaw klęski „Solidarności” jako organizacji leży realizowana do końca koncepcja budowy w pełni demokratycznego związku, stosującego jawne i pokojowe środki działania w antydemokratycznym otoczeniu komunistycznego państwa.

Następnym błędem było trzymanie się do końca haseł i metod działania właściwych związkowi zawodowemu, gdy w rzeczywistości była to organizacja bezwzględnej większości społeczeństwa polskiego walczącego z komunistycznymi właścicielami PRL o swe prawa. Sytuacja wymagała więc od przywódców wyjścia z opłotków związkowych w sferze programowej, oraz tworzenia konkretnych atutów politycznych wobec przeciwnika znanego aż za dobrze ze swej nieuczciwości i bezwzględności. Jeden z najstarszych i najprawdziwszych kanonów politycznych — *si vis pacem para bellum* — chcesz mieć pokój, gotuj wojnę — nie znalazł zrozumienia ani u przywódców „Solidarności”, ani wśród grona doradców.

Wyglądające początkowo na dowód siły manifestacje woli społeczeństwa (strajki, pochody, demonstracje) w istocie nią nie były¹⁸. Aby stać się rzeczywistą siłą, wymagały dalszych kroków zarówno w sferze ideowej (określenie celów bliższych i dalszych, określenie przeciwnika oraz wyznaczenie środków do walki z nim), jak i organizacyjnej (mnóstwo wzorów dla jawnego i tajnego działania z niedawnej przeszłości), których jednak nie podjęto¹⁹. Mimo narastającej nieustępliwości i agresywności strony rządowej oraz mnożących się oznak i ostrzeżeń o zbliżającym się ataku (o czym znowu w książce głucho), przywódcy nie przygotowali swej organizacji do walki w zmienionych warunkach²⁰.

Łatwość, z jaką rozbito „Solidarność” zaskoczyła samych komunistów. Gorzej, stała się prawdopodobnie dla ZSSR spraw-

17. *Tygodnik Solidarność* nr 25 z 18. IX. 1981, str. 4 (Diariusz zjazdu).

18. Zrozumiała to doskonale strona rządowa i wyciągnęła odpowiednie wnioski. Kto wie, czy właśnie bezkrytyczna wiara przywódców „Solidarności” w siłę strajku powszechnego i brak innych, bardziej realnych przygotowań obronnych, nie przyspieszyły ataku komunistów.

19. Wygląda na to, że tylko ZR Dolny Śląsk wydał bardziej szczegółowe instrukcje na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego. Zob. wspomniany wywiad z W. Frasyniukiem, *op. cit.*, str. 1.

20. Wobec wielkości klęski „Solidarności”, porównywalnej tylko z analogiczną klęską Polskiego Stronnictwa Ludowego, czy może nawet z Powstaniem Warszawskim (olbrzymi ładunek nadziei w wypadku zwycięstwa), zaskakujący jest zupełny brak tak zwanego nurtu rozliczeniowego w ukazujących się pamiętnikach i wywiadach, jak też w podziemnej i emigracyjnej publicystyce politycznej. Dziwi to tym bardziej w porównaniu z ogromem polemik wokół Powstania, nie mówiąc już o nieprzytomnej nagonce „sikorszczyków” na pilsudczyków i „sanację” z powodu września 1939 roku.

dzianem polskiej woli walki²¹. Ma to złowrogie znaczenie na przyszłość. Może bowiem utwierdzić Moskwę w przekonaniu, że Polacy nie zdobędą się na rzeczywistą obronę w wypadku zastosowania przez Kreml bardziej radykalnych rozwiązań²².

Stąd dość smutny wniosek, że kolejny, wspaniały zryw wolnościowy Polaków nie wyłonił znowu odpowiedniego kalibru przywódców²³.

Na przyszłego Piłsudskiego musimy nadal czekać.

T. P. DOBRZYŃSKI

21. Po raz pierwszy zwraca na to uwagę głos z Kraju: Rocznik 1955 (pseud.), *Kultura* nr 5/440, str. 174.

22. W świetle powyższych rozważań Holzer zupełnie nie ma racji, widząc dla „Solidarności” alternatywę kapitulacji lub porażki (str. 354).

23. Potwierdza to w całej rozciągłości zatrwajająca bezradność organizacyjna i ideowa tak podziemnej „Solidarności” (TKK), jak też działaczy ujawnionych, czy też żyjących i działających na emigracji.

Józef GARLIŃSKI

WOJENNE POKOLENIE*

Na kilka lat przed ostatnią wielką wojną zdarzył się w Warszawie niecodzienny wypadek. W gimnazjum im. Królowej Jadwigi dziewczęta najwyższych klas nie wstały, gdy grano hymn narodowy. Natychmiastowe zbadanie sprawy wykazało, że wcale nie chodziło o obrazę narodowych uczuć. Odwrotnie: dziewczęta zareagowały w ten sposób, by zmanifestować swój protest przeciwko słowom hymnu, które według nich przestały już być aktualne, nie odpowiadały bowiem aspiracjom odrodzonego kraju.

Był to odruch wyjątkowy, ale nie jedyny. W tym samym czasie, gdy starsze pokolenie, wychowane w okresie niewoli i rządzące krajem we wszystkich dziedzinach jego życia, borykało się głównie z problemem unifikacji trzech zaborów, pokolenie następne stało już przed innymi problemami. Nie wszyscy aktywni młodzi ludzie zajęci byli polityką i mniejszościami, wielki ich procent, wychowany już w niepodległym kraju, najbardziej interesował się jego obecnym poziomem. Dla nich było jasne, że jest

* Jan Erdman, *Droga do Ostrej Bramy*, Odnova, Londyn 1984, str. 441, indeks, ilustracje.

on bardzo zacofany, że pozostał daleko w tyle za społeczeństwami zachodu i że należy wyżyć wszystkie siły, by go unowocześnić. Chodziło nie tylko o poziom życia, o zagadnienia gospodarcze, o rozwój przemysłu i techniki, chodziło przede wszystkim o nowoczesny sposób myślenia. Jednocześnie przed oczami tego pokolenia majaczył już mit wielkości, możliwość i konieczność wyprowadzenia własnego kraju na godne miejsce w Europie.

Zagadnienie to dotyczyło także obronności kraju, który tak niedawno odzyskał wolność i był bardzo wyczulony na każde jej zagrożenie. Granic jego miała bronić odrodzona armia, którą podobnie jak i innymi dziedzinami życia rządziło pokolenie wychowane pod zaborami, ale której niższe szczeble rok po roku obsadzone były przez najmłodsze oficerskie roczniki. Była to piękna młodzież, pełna zapału i gotowości do poświęceń, ale jednocześnie widząca wszystkie braki armii, przeciwna konserwatyzmowi wyższych dowódców i marząca o zmianach. Najwybitniejsi, najbardziej aktywni nie poprzestawali na dyskusjach w zamkniętym gronie kolegów: odważali się na wystąpienia zewnętrzne, choć mogły one zaważyć na ich karierach.

Pokolenie to zmaltretowała i wybiła wielka wojna. Najlepsi poginęli, często w okropnych warunkach, w łągach, w niemieckich obozach śmierci, od strzałów w tył głowy, w walce partyzanckiej i podziemnej, która nie zna pardonu. Tylko najszczęśliwszym dane było zginąć w mundurach, z bronią w ręku.

O pokoleniu tym pisano już wiele i oddano mu co należne, ale dopiero po raz pierwszy, jednemu z wielu tysięcy, poświęcono całą, osobną, dużą książkę. Od razu trzeba powiedzieć, że Jan Erdman, autor tej książki, dokonał właściwego wyboru. Jeżeli kto miał być wysunięty na czoło, wywołany głosem historii z pierwszego szeregu, to właśnie Maciej Kalenkiewicz. Sam autor najlepiej, najlapidarniej uzasadnił swój wybór w pierwszym rozdziale: „Bo jest symbolem. Jego życiorys ogniskuje wszystkie elementy polskiego eposu. Bił się z wrogiem w mundurze, w cywilu, w partyzantce, w polu, w puszczy, w sztabie, w kraju obcym i własnym. Walczył o ziemie kresowe do ostatka; nawet jako inwalida nie dał sobie wydrzeć broni. I padł od kuli sojusznika”.

Ten skrót nie przedstawia, oczywiście, całej sylwetki człowieka, który istotnie zasłużył sobie na rolę symboliczną. Uderzało w nim to, że zupełnie nie wyglądał na oficera i herosa. Znowu korzystam z tekstu Erdmana: „Był średniego wzrostu, delikatny, szczupły, mówił tenorkiem, nie używał koszarowego języka, unikał alkoholu i wyglądał jak urzędnik bankowy”. Ale w tym niepozornym ciele krył się wybitny umysł, kryło się serce zdolne do wielkiego uczucia i każdego wysiłku, i kryła się wola, dla której nie istniały bariery i niemożliwości.

Taki człowiek musiał, wprost mimochodem, być wszędzie prymusem, w Korpusie Kadetów, w Oficerskiej Szkole Inżynierii, we

wstępnym egzaminie do Wyższej Szkoły Wojennej; musiał iść pod prąd, jak to miało miejsce w roku 1926, w czasie wypadków majowych, ale nie to było najważniejsze. Jego analityczny, kryształowy umysł w połączeniu z twórczą wyobraźnią, kazał mu ciągle szukać nowych dróg, nowych rozwiązań, by duma z własnego kraju stała się uzasadniona. Dlatego, gdy po kampanii wrześniowej i partyzantce u Hubala znalazł się we Francji, musiał być prekursorem najbardziej eksperymentalnej ówczesnej broni: zrzutów spadochronowych. Temu zagadnieniu poświęcił najlepsze godziny i wszystkie siły, uparcie pukał do drzwi najwyższych władz wojskowych i przysyłał im memoriały a gdy znalazł się na Brytyjskich Wyspach, był jednym ze współtwórców Brygady Spadochronowej.

Kalenkiewicz musiał także należeć do konspiracyjnej organizacji młodych oficerów, która powstała we Francji i wraz z wojskiem przeniosła się do Wielkiej Brytanii. Miała ona bardzo krytyczny pogląd na stosunki jakie panowały w armii na zachodzie, na przeciążenie jej starymi oficerami, na wadliwy klucz stosowany przy awansach, chciała to poprawić, chciała dać oparcie gen. Sikorskiemu. Konspiratorom dano nazwę „Młodoturków”*, złączyli się w najlepszych intencjach, dobro Polski było ich naczelnym celem. Konspiracja jest w zasadzie złem, które w normalnych warunkach należy tępić, ale czasy były nienormalne, na emigracji i w armii rządziły różne koterie i to usprawiedliwiało istnienie „Młodoturków”. Wiedzieli o nich generałowie Sikorski i Sosnkowski i tolerowali ich istnienie, choć było ono sprzeczne z zasadami na jakich opiera się wojsko. Konspiratorzy doprowadzili do poprawy stosunków na wielu odcinkach, przez dłuższy czas ich linia ideowa była nieskażona. Nad tym czuwał Kalenkiewicz, który wysunął się na czoło, choć organizacja tego nie przewidywała, bo nie miała ani statutu, ani preza, ani żadnego kierowniczego zespołu.

Powrót do pierwszej linii, do walki, został zapoczątkowany skokiem do kraju, w nocy z 27 na 28 grudnia 1941 roku. Już tej samej nocy walka stała się rzeczywistością, bo błąd w rozpoznaniu doprowadził do zrzutu na teren przyłączony do Rzeszy i spadochroniarze musieli bronią otworzyć sobie dalszą drogę. Dwóch padło, Kalenkiewicz został ranny.

Po dwóch latach pracy sztabowej w podziemnej Warszawie Kalenkiewicz w lutym 1944 roku znalazł się na swej ziemi rodzinnej, na północno-wschodnich kresach, w doraźnej misji. Miał ją

* Był to polityczny ruch w Turcji pod koniec XIX i na początku XX wieku dążący do reform społecznych i gospodarczych, mających unowocześnić kraj. Należało doń wielu wojskowych, przywódcą był Mustafa Kemal Pasza, generał i polityk, który po upadku sułtana został prezydentem i przeprowadził szereg reform. W roku 1934 zmienił nazwisko na Kemal Atatürk.

wykonać i powrócić do Komendy Głównej AK, ale pozostał na miejscu i objął dowództwo partyzanckiego Zgrupowania Zanieńskiego. W walce z Niemcami stracił prawą rękę, ale nie wyszedł z linii a gdy ruszyła sowiecka ofensywa, wycofywał się na tyłach niemieckich oddziałów, nie chcąc być ogarnięty przez Czerwoną Armię i zmuszony do złożenia broni. W obronnej walce z „sojusznikami” osiągnęła go śmiertelna sowiecka kula.



Maciej Kalenkiewicz ożenił się przed wojną z siostrą Jana Erdmana, wszedł do jego rodziny, znali się doskonale, więc książka jemu poświęcona jest zarazem pamiętnikiem jej autora. To bliskie, rodzinne powiązanie pozwoliło na zgromadzenie wielu szczegółów z prywatnego życia Kalenkiewicza, uzupełniło jego sylwetkę, pokazało go z codziennej, rodzinnej strony, stworzyło szeroką panoramę jego działalności, ale jednocześnie rozwinęło akcję książki na dwóch torach. Przez to została ona przeładowana szczegółami, które nie były konieczne. W pamiętniku nawet drobne problemy rodzinne, często bardzo osobiste i sentymentalne, są uzasadnione, w monografii dotyczącej innej osoby, mogą być nużące.

Tak też się stało. Książka jest bardzo sumiennie opracowana, autor nie pominął żadnego dostępnego źródła, wykorzystał wszystko, co tylko mógł, ale z tego powodu wpadł w pewną przesadę, nie był dosyć zdecydowany w selekcji posiadanych informacji. Książka jest za długa. Większa zwartość dodałaby jej blasku, fascynująca sylwetka Kalenkiewicza nabrałaby jeszcze wyraźniejszych konturów, całość zyskałaby na wyrazie artystycznym.

Książka zawiera także kilka błędów konstrukcyjnych. Podaje najjaskrawszy. Na stronie 79 zaczyna się rozdział „Z początku o warsztacie, potem o Francji”, w którym Erdman na kilku stronach przedstawia początek swojej pracy nad zebraniem materiałów, wymienia osoby, które udzieliły mu pomocy i zachęciły do napisania monografii, oraz dzieli się z czytelnikami swoimi zahamowaniami i trudnościami. Wszystko to powinno się było znaleźć w przedmowie, na początku książki.

To są słowa przyjaznej krytyki, które, mam nadzieję, zechce mi autor wybaczyć (przeważnie autorzy nie wybaczą). Ale nie na nich zamierzam skończyć moje uwagi. Z racji mych badań historycznych przeczytałem setki opracowań, wspomnień, życiorysów i raportów — i muszę z naciskiem podkreślić, że książka Jana Erdmana należy do najlepszych. Maciej Kalenkiewicz był mu bliskim człowiekiem, był dlań także uosobieniem rycerza godnego najwyższych wyróżnień, a jednak w swej monografii potrafił uchronić się od jednostronności, od brązownictwa, od wpadania w przesadę i piętrzenia przymiotników. Kalenkiewicz

ukazał się czytelnikom prawdziwy, żywy, składający się nie tylko z cnoty, mający wielkie zalety, ale także i wady.

Jan Erdman napisał piękną książkę, niech więc moje uwagi zostaną zakończone jego własnymi słowami, którymi ją zamyka.

„Lubię przebywać z Maciejem, chociaż jest żołnierzem, który nie wygrał żadnej większej bitwy. Działaczem *de publicis*, który nie odwrócił biegu historii. Głową rodziny, który poświęcił szczęście najbliższych i szczęście własne na rzecz wyższych obowiązków. Człowiekiem, który nie zawsze postępował trafnie, ale zawsze uczciwie, szlachetnie i bezinteresownie. Który nie chował się, nie kluczył, nie unikał, ale wychodził naprzeciw niebezpieczeństwu i szukał sposobności poświęcenia się dla Sprawy. Lubię obcować z Maciejem, bo każdy potrzebuje wzorów do naśladowania. Jestem dumny, że znam osobiście Reytana.

Niech mu ziemia ojczyzta lekką będzie”.

Józef GARLIŃSKI

Z.

PRZYCZYNNKI DO DZIEJÓW PSL

Przed kilkoma miesiącami pojawiła się książka Romana Buczka „Na przełomie dziejów. Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1947”, wydana przez Century Publishing Company Limited w Toronto. Autor nie jest debiutantem. Prócz wielu artykułów opublikował w 1975 wartościową monografię „Stronnictwo Ludowe 1939-1945. Organizacja i polityka”, w której omówił historię konspiracyjnego ruchu ludowego oraz jego zagranicznego przedstawicielstwa, opierając się na bogatej bazie archiwalnej, a zwłaszcza na słabo znanym historykom Archiwum Stanisława Mikołajczyka. Ta praca zwróciła nań uwagę jako na badacza, który ma wiele do przekazania. Toteż wiadomość o wydaniu kolejnej książki o historii PSL mogła wzbudzić zainteresowanie. Zainteresowanie to nie opuszcza czytelnika w czasie lektury, ale towarzyszy mu również irytacja, która momentami zmusza wręcz do odłożenia książki. Katalog pretensji które można przedłożyć autorowi jest bardzo długi. Oto kilka zarzutów dotyczących spraw ogólniejszych i parę uwag szczegółowych, które bynajmniej nie wyczerpują listy błędów i uchybień.

Nie wiadomo więc, kiedy książka naprawdę została ukończona: na stronie tytułowej czytamy „Toronto 1983”, ale na następnej „Copyright 1981”. Jest to istotne, bowiem w końcu 1981 ukazały się w Wydawnictwie „Głos” w Warszawie protokoły posiedzeń NKW PSL z okresu lipiec 1945 - czerwiec 1946, które ogromnie rozszerzają wiedzę o stronnictwie, dylematach jego kierownictwa, sprawach organizacyjnych, linii politycznej itd. Niewykorzystanie tego podstawowego źródła musi bardzo ograniczyć wartość opracowania. Ale skoro książka została oddana do druku wcześniej, trudno mieć do autora pretensję. Nie można natomiast niczym usprawiedliwić pominięcia trzech zasadniczych artykułów Jana Borkowskiego, wydrukowanych w latach 60-tych, które są rozdziałami jego nigdy nie wydanej pracy doktorskiej. Mam na myśli artykuły: „Kształtowanie się antymikołajczykowskiej opozycji w kierownictwie PSL 1946-1947 (w świetle dokumentów władz PSL)” — „Polska Ludowa”, tom 1, Warszawa 1962; „O powstaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego i kształtowaniu się jego naczelnych władz” — „Polska Ludowa” tom 3, Warszawa 1964; „Pertraktacje przedwyborcze między PPR i PPS a PSL (1945-1946)” — *Kwartalnik Historyczny* nr 2 z 1964. Te trzy artykuły przynoszą dużo materiału, opierają się bowiem na aktach PSL-owskich, protokołach, sprawozdaniach władz PPR o rozwoju PSL w terenie (wynik był miazdzący dla PPR i jej Stronnictwa Ludowego). Linie polityczną Borkowskiego, który jest zdecydowanym komunistą, można odrzucić, ale nie sposób przejść do porządku nad cytowanym przezeń materiałem. Wynik jest oczywisty. Omówione obszernie przez Borkowskiego początki PSL są przez Buczkę potraktowane lakonicznie. To samo dotyczy problemu narastania opozycji (czy dywersji, zależy od oceny) w okresie po referendum, a zwłaszcza po wyborach. Nie uwzględnił Buczek niektórych opracowań dziejów ruchu ludowego w regionach (np. Hemmerlinga o Wielkopolsce i Pasierba o Dolnym Śląsku) lub organizacjach związanych z PSL (np. książka Jareckiej-Kimlowskiej o „Wiciach”). Książki te, pisane z antypeeselowskich pozycji, dostarczają jednak wiele szczegółowego materiału. Autor ominął też artykuły i dokumenty drukowane w pismach niecenzurowanych, np. w *Krytyce* nr 6 z 1980, która ma edycję na Zachodzie, jest więc bez trudności dostępna.

Wadliwa konstrukcja pracy powoduje wiele powtórzeń, niedoprowadzenie wywodu do konkluzji, przemilczanie wydarzeń, które miały spore znaczenie. Zaskakuje pominięcie Kongresu PSL, niezanalizowanie nawet oficjalnego materiału — przemówień, rezolucji, programu, podstawowych danych o „aktywie” PSL-owskim. Nie dowiadujemy się nawet, kogo Kongres wybrał do władz naczelnych PSL — Naczelnego Komitetu Wykonawczego, Prezydium Rady Naczelnej, nie znamy też składu prezydium Klubu PSL w Krajowej Radzie Narodowej i Sejmie. Nie ma omówienia postulatów programowych, gospodarczych, oświatowo-kul-

turalnych, których PSL nie ma powodu się wstydzić. Nie trzeba dodawać, że program PSL był drukowany i jest powszechnie dostępny, a prasa — na której wykorzystanie powołuje się Buczek — przynosiła wiele artykułów na te tematy. Kompletny bałagan w pierwszej części książki powoduje omówienie najpierw sprawy porwania 16-tu, a dopiero potem uchwał jałtańskich, kiedy wiadomo, że przywódcy podziemia szli na spotkanie wierząc, że chodzi o rozmowy na temat wykonania uchwał konferencji krymskiej. Buczek nie wspomina o przejściowym wywiezieniu Witosa w niezbyt jasnym celu, wkrótce po porwaniu „szesnastu”, który to fakt był już nie raz omawiany i analizowany. Dziwi wzmianka o zabójstwie zastępcy sekretarza naczelnego PSL Bolesława Scibiorka umieszczona jedynie pod jego zdjęciem i w angielskim streszczeniu.

Sporo jest błędów szczegółowych. Prof. Stanisław Kutrzeba nie był członkiem SN (str. 49), w 1945 Delegatura nie miała już „wielkiej maszyny”, funkcjonowały tylko 3 departamenty (str. 72), w 1942 nie było w PPS żadnego rozłamu z Osóbką-Morawskim na czele, który by przeprowadzali komuniści (str. 130), RPPS trudno nazwać „trockistami” (str. 131), skład Zarządu Głównego konspiracyjnego SN podany przez Buczka jest odmienny od podawanego we wszystkich dotychczas dokonanych opracowaniach, ale autor nie informuje, skąd czerpie nowe wiadomości (rewelacyjne, jeśli uwzględnić udział Rymara, Korneckiego, Stojanowskiego). Marszewski miał na imię Włodzimierz, nie Kazimierz. Nie istniał Narodowy Związek Zbrojny, tylko Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, którym kierował w tym czasie (1945 rok) nie Władysław Owoc, ale Tadeusz Danilewicz (wszystko strona 134). Rażą niektóre niepoahamowane opinie negatywne, których nie powinno być w poważnej pracy, np. o Jerzym Braunie jako ideologu „groteskowej organizacji 'Unia'” i autorze „mętniackiego 'manifestu unionistycznego'” (str. 72), albo zwykłe zniesławienia, jak to, że Rzepecki „starał się po prostu ukryć swoją współpracę z wszelkiej maści sanatorami, ONZ-owcami i piśsudczykami. Stąd wypychanie dolarami kieszeni Józewskiemu, osławionemu Lipińskiemu i Muzyczce” (str. 27). Przypomnijmy, że płk Wacław Lipiński zapłacił za swą działalność życiem — zmarł lub został zamordowany w więzieniu bezpieki. Nikt nie zmusza Romana Buczka do sympatii dla tych osób, ale obowiązują dobre maniery i pewien umiar ocen.

Wiele miejsca poświęca Roman Buczek opisowi pogromu kieleckiego i próbie odtworzenia mechanizmu tej prowokacji. Z narracji jednak trudno się zorientować, czy odpowiedzialność ponosi urząd bezpieczeństwa, antysemityzm tłumu czy pomordowani Żydzi. Dowiadujemy się więc np., że to Żydzi pierwsi otworzyli ogień do oblegającego ich domy tłumu i dobijającej się do drzwi milicji. Szczegółowość, z jaką Buczek referuje tę sprawę, pozwala przypuszczać, że posiada dokładny materiał, w pierwszym

rzędzie stenogram procesu przeciw uczestnikom pogromu. Niestety, także tu, jak w innych przypadkach nie pisze wyraźnie, co jest podstawą jego analizy i wniosków odmiennych od dotychczas przyjmowanych.

Autor monografii PSL nie dostrzega u ludzi kierujących stronnictwem, o którym pisze, żadnych wahań ani kontrowersji wynikających z uczciwych pobudek. Jeżeli krytykują istotne posunięcia Mikołajczyka, czynią to z uwagi na własną karierę lub z obcego poduszczenia. Niebezpieczna to argumentacja, przypominająca zupełnie inny typ publicystyki. Szczególnie to wyraźne przy wspominaniu (bo nie dokładnym referowaniu) kontrowersji w PSL wokół rokowań o blok wyborczy z PPR i PPS w 1946 roku oraz wokół dalszej linii stronnictwa po wyborach 1947 roku. Wspomniane wyżej protokoły obrad NKW PSL pokazują, jak głębokie różnice dzieliły kierownictwo w pierwszej kwestii, jak inna była ocena sytuacji i propozycje Kiernika i Załęskiego. Protokołów tych Buczek nie znał, ale powinien znać wypowiedzi cytowane przez Borkowskiego, które pozwalają się zorientować w ich stanowisku. Autor nie próbuje zrozumieć motywów działania grupy opozycyjnej, zwłaszcza tej z 1947, którą kierował Niećko. Zadowala się argumentem o agenturalnej robocie, jaką wykonywali. W 1947 roku „agentów” tych namnożyło się ponad miarę. Nie kwestionując istnienia niewątpliwych agentów w PSL ani roli takiego czynnika, jak nadzieja na własną karierę, nie można przemilczać kontrowersji, wynikających z troski o przyszłość ruchu ludowego. Po wyborach 1947 PSL znajdowało się w stanie rozbitcia, co Buczek sugestywnie opisuje. Mikołajczyk nie miał koncepcji na przyszłość. Przegrał swoją historyczną walkę o kompromis z Rosją i stworzenie niekomunistycznego systemu w Polsce, czemu służyć miały wybory. Został opuszczony przez aliantów zachodnich, którzy ograniczyli się do papierowych protestów. Z miesiąca na miesiąc szedł w ruinę wieloletni dorobek ruchu ludowego, mnożyły się aresztowania, niszczenie ogniw stronnictwa, rujnowanie organizacji społecznych — Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, usuwanie ludowców z wszelkich ogniw samorządowych, samopomocy chłopskiej itp. Musiało to obudzić w działaczach chłopskich nastroje ratowania tego co się da, za cenę rezygnacji z oporu, poddania się w sprawach zasadniczych PPR-owi, byle utrzymać pewien zakres możliwości pracy gospodarczej, samopomocowej, oświatowej, wychowawczej. Trzeba pamiętać, że ruch ludowy nie był tylko organizacją polityczną, ale w równej mierze społeczną, gospodarczą, oświatową. To było zasadniczym motywem politycznym opozycji antymikołajczykowskiej. Opozycji tej można zarzucić wiele, można ją uznać za naiwną, ale nie wystarczy się zadowolić zarzutem agenturalności.

Roman Buczek nie rozumie jednak także motywów działania

Mikołajczyka. Z narracji i sprzecznych nieraz komentarzy nie wyłania się Mikołajczyk jako polityk z koncepcją. Nie wiadomo czemu służą takie zdania jak np.: „Kraj nie uważał Mikołajczyka i jego grupy (...) za zdrajców” (str. 74). Kto przytomny sformułował zarzut zdrady narodowej wobec Mikołajczyka?

Jak z tego wynika, książka Buczka nie jest dobra. Nie może być uznana za wyczerpującą historię Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jednakże zawiera sporo interesujących fragmentów, które wyraźnie rozszerzają naszą wiedzę o tych latach. Do fragmentów wartościowych należy omówienie przebiegu narad moskiewskich nad stworzeniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w czerwcu 1945 oraz dyskusji w Poczdamie. Referowane na podstawie protokołów zachowanych przez Stanisława Wójcika rozmowy PSL z PPR i PPS są bardzo interesujące i wnoszą wiele nowego do dotychczasowej wiedzy na temat zamiarów PSL, ale i PPS. Ciekawa jest np. wypowiedź Cyrankiewicza na spotkaniu Mikołajczyka, Bańczyka, Wójcika z Cyrankiewiczem i Szwalbem 28 sierpnia 1946, a więc już po referendum: „Idąc poza porozumieniem, wszystko zrobią (PPR — przyp. Z.) abyście wyszli jak najstabsi, a co najważniejsze skazujecie się tym samym na rolę opozycji, co pociąga za sobą przy tych metodach eliminowanie was ze wszystkich dziedzin życia.

Idąc na porozumienie będziecie mogli razem z nami przeciwdziałać hegemonii. Na nas możecie liczyć w każdym razie jako na tych, którzy lojalnie będą przyjęte zobowiązania realizować. Tym bardziej, że w zasadniczych kwestiach nie będzie między nami różnic” (str. 222). Są dane pozwalające na wniosek, że nie była to wypowiedź podyktowana tylko względami taktycznymi, ale że był to jedyny chyba moment w dziejach powojennej PPS, kiedy myślano o pewnym usamodzielnieniu od PPR.

Bardzo interesujące są rozdziały zawierające opis walki przedwyborczej. Oprócz danych o terrorze, eliminowaniu PSL z życia społecznego, zwraca uwagę metoda zastosowana przy uniemożliwianiu składania list PSL i unieważnianiu ich. W wielu różnych okręgach stosowano podobną procedurę, co świadczy o istnieniu szczegółowej instrukcji. Niemal zawsze w lokalu wyborczym nie było kompetentnej osoby, która mogłaby przyjąć listę. Po przewycięzeniu trudności i złożeniu listy następowało zakwestionowanie wielu nazwisk osób zgłaszających jako pozbawionych praw wyborczych lub rzekomo przymuszonych do podpisu. W bardzo krótkim terminie (orzeczenie podawano niemal w ostatniej chwili) PSL musiało organizować nowe podpisy, by zyskać liczbę przekraczającą znacznie wymagane minimum. Nadwyżka była konieczna z uwagi na ponowne skreślanie i zmuszanie przez UB do wycofania podpisów już po ponownym złożeniu listy. Do tego dochodziły próby aresztowania osób zbierających podpisy, konfiskowanie list itp. Główny Komisarz Wyborczy nie reagował na żadne skargi kierowane do niego w tych sprawach przez PSL.

Unieważnienie list stronnictwa objęło 10 okręgów na 52, z tym że były to zwykle tereny o największej sile ruchu ludowego, gdzie wybierano przed wojną wielu posłów PSL, np. Kieleckie, Przemyśl, Myślenice, Chrzanów, Cieszyn, Radomskie. Usunięto PSL-owców z komisji wyborczych przez zastosowanie zadziwiająco oryginalnej procedury ich powoływania: były wybierane przez rady narodowe, ale nie proporcjonalnie, tylko przez głosowanie radnych na dwie listy — blokową i PSL-owską. Ponieważ w mianowanych radach PSL nigdzie nie miało większości, lista stronnictwa zawsze otrzymywała mniejszość głosów, co oznaczało że nikt na niej umieszczony nie był powoływany do komisji wyborczej.

Te trzy fragmenty książki, dodajmy że fragmenty bardzo obszerne, są najciekawsze i najwięcej wnoszą. Decydują o tym, że książka Romana Buczka pomimo wszystkich braków, błędów, przemilczeń i uchybień jest warta przeczytania i jest opracowaniem, którego nie będzie mógł pominąć nikt, kto zechce kompetentnie pisać o Polskim Stronnictwie Ludowym.

Z.

Michał BORWICZ

HENRI MICHEL: „I WARSZAWA ZOSTAŁA ZBURZONA”

Przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Historii Drugiej Wojny Światowej, założyciel i wieloletni redaktor naczelny *Revue d'Histoire de la II^e Guerre Mondiale*, kierownik kolekcji *Esprit de la Résistance* (w wydawnictwie Presses Universitaires de France), autor ponad dwudziestu ważkich książek dotyczących okresu wojennego, laureat (w 1980) wielkiej państwowej nagrody historii, prof. Henri Michel należy bezspornie do najwybitniejszych historyków rzeczzonej epoki.

Jego najnowsza książka pt. „I Warszawa została zburzona”^{*} zaczyna się od wymownej paraleli: „W sierpniu 1944 na dwóch krańcach Europy, dwie zwyciężone i okupowane stolicy, Paryż i Warszawa, powstały przeciw temu samemu wrogowi. W Paryżu

^{*} Henri Michel, *Et Varsovie fut détruite*. Wyd. Albin Michel, Paryż 1984, str. 455.

powodzenie było całkowite: straty w ludziach i szkody materialne minimalne. Z utworzonym rządem jedności narodowej identyfikowała się większość Francuzów. Francja uczestniczyła w końcowym zwycięstwie i odzyskała rangę wielkiego narodu. Warszawa, przeciwnie: z jednej strony koniec koszmaru, z drugiej smutek i śmierć, żałoba nadziei, niepewność jutra. Po dwóch miesiącach zaciętych walk, opór został zmiażdżony, tysiące walczących i 200.000 cywilnych warszawian poległych, 300.000 innych uprowadzonych do niewoli: Polacy, podobnie jak we wrześniu 1939, bili się samotni. Gdy Armia Czerwona po nieprzerwanej serii powodzeń doszła do Wisły, zatrzymała się, i wznowiła atak dopiero wtedy, gdy powstanie było zmiażdżone". „Polska — pisze dalej autor — pierwsza podjęła walkę przeciw hitlerowskim Niemcom. Nie przestawała walczyć zarówno na frontach Europy Zachodniej, jak i Europy Wschodniej, Afryki i innych”.

Jedną z głównych cech i zalet tej książki jest duże bogactwo materiału a zarazem celowość wykładu: dwudziestolecie międzywojenne; kampania wrześniowa, obrona Warszawy i zniszczenia; piąty rozbiór Polski; germanizacja terytoriów wcielonych do Reichu; sowietyzacja ziem zabranych przez Związek Sowiecki; eksploatacja ekonomiczna; nędza codzienna; *régime* terroru; Żydzi i antysemityzm.

Zacytowałem wyżej przykładowo zaledwie kilka rozdziałów pierwszych dwóch (spośród sześciu) części. Są one tylko wprowadzeniem. Tekst zagęszcza się w miarę, jak Henri Michel postępuje w opisie ruchu Oporu. Czytelnik poznaje zarówno historię, części składowe i instancje polskiego podziemia, jak i zakres jego działalności, strukturę Armii Krajowej, osiągnięcia jej wywiadu (ważne nie tylko dla walk w kraju, ale również i nade wszystko dla aliantów), sabotaże, zamachy, oddziały leśne; powstanie warszawskiego getta, represje okupanta na ludności cywilnej.

Część książki p.n. „Polska i jej wielcy sprzymierzeńcy” zawiera m.in. rozdziały o Anglikach i Amerykanach, o Stalinie, o perypetiach polsko-sowieckiego paktu, o wzrastających konfliktach. W tej części znajdują się także rozdziały o kolejach losu polskiej armii (gen. Andersa) w Związku Sowieckim i oddzielnie o armii Berlinga, o odkryciu masakry w Katyniu i o następstwach tego odkrycia, jak również o marionetkowym rządzie w Lublinie.

Szczególnie ważna część książki poświęcona jest naturalnie powstaniu warszawskiemu: wahania głównego dowództwa A.K. i przyczyny decyzji, przebieg walk, błędy diagnozy sztabu A.K., cyniczna gra Stalina i jej etapy, hamletyzm zachodnich aliantów, ruchy Czerwonej Armii. Wreszcie część ostatnia: nowy *régime*.

Celowo kontynuowałem to szeregowanie omówionych przez autora tematów. Czy daje ono jednak pojęcie o bogatej zawartości tej książki? Tylko bardzo częściowe. Wykład każdego z tych

wydarzeń i zagadnień jest bowiem prawdziwą mozaiką wiadomości, oświetlających różne jego rozgałęzienia, przy czym każda informacja odwołuje się do świadków i dokumentów, na których się opiera¹ oraz do ich krytycznej konfrontacji. Tam, gdzie brane jest pod uwagę zjawisko czy wydarzenie, jego motywacje lub konsekwencje są przedmiotem sprzecznych relacji czy dyskusji, Henri Michel — przed ustaleniem stanu faktycznego — przytacza zręcznie różnice w relacjach czy tezy polemistów. Przedmiotnika „zręcznie” użyłem tutaj w tym znaczeniu, że autor nie czyni tego w formie specjalnych dygresji (jakie — przerywając — obciążyłyby opis), lecz umie wcielić je organicznie w tok opowiadania. Dzięki temu przedmioty kontrowersji, nieuniknione dla uściślenia stanu faktycznego, zamiast hamować opis wzmagają jego atrakcyjność, jego wartość, jego potoczność.

Oprócz wykorzystania bardzo rozległej bibliografii, odnoszącej się do samego tematu (a właściwie — tematów, gdyż zakres dzieła obejmuje ich mnóstwo), Henri Michel czerpie ze swojej przysłowiowej już erudycji, dotyczącej drugiej wojny światowej w ogóle, nie tylko w części o Polsce i wielkich aliantach, lecz od początku do końca książki. W rezultacie, sytuacje w Polsce oraz wysiłki, rozbieżności i konflikty na scenie międzynarodowej oświetlone bywają każdorazowo stanowiskiem i intencjami wielkich mocarstw,

Chociaż autor podkreśla, że nie jest zadaniem historyka osą-

1. Pomyłki są bardzo rzadkie. Chodzi zresztą raczej o chochliki drukarskie lub chochliki transkrypcji. Np. (str. 152) ZWZ oznaczało w rzeczywistości *Związek Walki Zbrojnej* (a nie *Narodowe Siły Zbrojne*). Tekst nie powoduje zresztą nieporozumienia, gdyż pełne nazwy tych formacji tłumaczone są bardzo wiernie, a kontekst dokładnie je określa i umiejscawia. Str. 155: *Komorowski* to było prawdziwe nazwisko głównego komendanta A.K., zaś *Bór* to jego pseudonim, a nie odwrotnie. Str. 139: wiersz Wł. Broniewskiego „Bagnet na broń” był napisany i ogłoszony w ostatnich miesiącach przed wojną; natomiast z emigracji, przez radio, dochodziły do kraju inne wiersze tego poety. Str. 21: Rozwiązanie w 1938 roku polskiej partii komunistycznej przez Stalina za „dewiacjonizm” nie mogło mieć większego wpływu na „rekrutację” do PPS. Ta ostatnia, już od zarania niepodległości była bezsprzecznym rzecznikiem najszerzych mas robotniczych, podczas gdy partia komunistyczna posiadała w masach robotniczych wpływy znikome. Poza tym Jerzy Mond, na którego świadectwo autor się powołuje, pomylił się, informując go, że „satyra (zwłaszcza piosenkarze) korzystała w Polsce z pełnej swobody (*se donne libre cours*) a Piłsudski nawet zapraszał do siebie tych, którzy krytykowali go najwięcej. Chodzi tu niewątpliwie o propiśsudczykowską „szopkę warszawską” Skamandrytów, więc o satyrę raczej pochlebiającą. Nadto: wypadek z zaproszeniem i zaprodukowaniem tejże szopki w Belwederze zdarzył się raz jedyny i to w pierwszym okresie niepodległości, kiedy Piłsudski był bożyszczem także wielkiego odłamu przyszej opozycji.

Chodzi więc — jak świadczą te przykłady — o drobiazgi, które nigdzie nie zmieniają sensu wykładu. Zwłaszcza, że we wszystkich tych wypadkach, kontekst jest bezbłędny.

dzanie, to przecież osąd bywa w jego tekście zwykłą konkluzją beznamiętnego przedstawienia kulisów wydarzeń. Pisząc np. o „braku realizmu” większości przywódców polskiego ruchu oporu, kontynuuje: „Przeegrali całkowicie militarnie i politycznie, ale moralnie zwyciężyli. (...) Nawet jeśli powstanie Warszawy wydaje się dziś romantycznym anachronizmem (...) zostaje sławną kartą w polskiej historii, (...) jednym z tych legendarnych wydarzeń, jakie karmią zbiorową świadomość narodów”. Albo, przytoczywszy oświadczenie Bieruta w spotkaniu z Churchilllem w Poczdamie, że Polska pozostanie daleko od komunizmu, że „rozwinie się według zasad demokracji zachodniej... na wzór zwłaszcza Anglii”, Henri Michel informuje po prostu, że „ambasador sowiecki Lebediew za kulisami pociąga sznurki rozlicznych środków informacji i nacisku, a nikt spośród rządzących w Polsce nie odważyłby się nie zastosować do jego rad!”. Po opisie układów jałtańskich: „w przeciwieństwie do rozpowszechnionej legendy, nie są one szkodliwe i nie powinny być podarte; prawdziwy problem polega na tym, że nie były zastosowane”. Nadto: pakt rosyjsko-polski z 21 kwietnia 1945 stypuluje, w artykule 2-gim, że „przyjazna współpraca między obydwojoma krajami” winna być ustalona „zgodnie z zasadą poszanowania ich niepodległości i ich suwerenności” oraz „*niemieszania się do ich spraw wewnętrznych*”. „Dlaczego — komentuje autor w konkluzji — nie zastosować tych zasad w praktyce... czterdzieści lat po ich ustanowieniu?”.

Z wielką korzyścią, zainteresowaniem, a nawet z pasją przeczyta tę książkę każdy, nawet jeżeli posiada tylko nikłe wiadomości o sprawach polskich.

Michał BORWICZ

Anna M. CIENCIAŁA

KSIAŻKA JACKA JĘDRUCHA

Jacek Jędruch, urodzony w Polsce w 1927 roku, w czasie wojny brał udział w ruchu oporu. Po wojnie kształcił się w Anglii i Stanach Zjednoczonych: jest specjalistą w dziedzinie energii nuklearnej. Jest także znanym działaczem kulturalno-społecznym w kołach polonijnych w Pittsburgu. Z zamiłowania jest historykiem życia materialnego oraz instytucji konstytucyjnych Polski.

Niniejsza praca* stanowi bardzo ciekawy i pożyteczny przewodnik w tej dziedzinie. Można ją polecić nie tylko czytelnikom anglosaskim, ale również młodzieży polonijnej.

Na szczególną uwagę zasługują w tej bogato ilustrowanej książce dane oraz omówienie sejmów i prawodawstwa Drugiej Rzeczypospolitej oraz zniekształcenia tychże w PRL.

Przydałyby się tu i ówdzie przypisy. Na przykład w sprawie Górnego Śląska, gdzie trzecie powstanie — z 1921 roku — wybuchło nie z powodu zbyt małego przydziału dla Polski, lecz z powodu wiadomości o takiej propozycji ze strony Wielkiej Brytanii, popieranej wówczas przez Włochów (str. 372). Nie należy porównywać Armii Krajowej i ruchu oporu w Polsce z ruchem we Francji, który był przecież bardzo słaby. Można by też poświęcić parę słów instytucjom i bogatemu życiu politycznemu podziemia, o którym czytelnik anglosaski wie bardzo mało albo zgoła nic. Dobrze jest natomiast krótkie naświetlenie sławnego referendum — „Trzy razy tak” — z 1947, wraz z mapką Polski, na której zaznaczono okręgi wyborcze, w których „zdyskwalifikowano” głosy Stronnictwa Ludowego (str. 399). Słusznie też autor piętnuje zwyrodnienie konstytucji i sejmów w PRL.

Tu i ówdzie wkrały się błędy drukarskie: np. podwyżka cen poprzedzająca manifestacje poznańskie z czerwca 1956 roku miała miejsce w styczniu tegoż roku a nie w 1953 roku (str. 478). Należy w ogóle sprawdzać daty. Bardzo cenna natomiast jest bibliografia, opatrzona krótkimi uwagami autora. W przygotowywanym drugim wydaniu książki należałoby uwzględnić nowe pozycje oraz podać wykaz prac z historii politycznej, gospodarczej i społecznej. Na przykład zasługuje na miejsce w takim spisie książka redagowana przez J. K. Fedorowicza, *A Republic of Nobles. Studies in Polish History to 1864* (Cambridge University Press, 1982), książka Piotra Wandycz *The Lands of Partitioned Poland, 1795-1918* (University of Washington Press, Seattle 1974) i wreszcie wspaniałe, choć nierówne dzieło Normana Daviesa *God's Playground. A History of Poland* (Oxford University Press, 1981, Columbia University Press, 1982).

Pracę dr. Jędrucha można nabyć w każdej księgarni lub wprost u wydawcy — cena \$36,25 w twardej oprawie, \$23,75 w miękkiej. W Wielkiej Brytanii praca jest do nabycia w Orbis Books Ltd., 66 Kenway Rd., London, SW5 ORD — £26.90 lub £17.95.

Czekamy niecierpliwie na drugie, uzupełnione wydanie.

Anna M. CIENCIAŁA

* Jacek Jędruch, *Constitutions, Elections and Legislatures of Poland, 1493-1977. A Guide to their History*, University Press of America, (P.O. Box 1901, Washington, D.C. 20036), str. XXI + 590.

OKRUCHY HISTORII

POLAK ZZA BUGA

LOSY TRUMNY STANISŁAWA AUGUSTA

Jesienią 1983 roku pewnemu Polakowi udało się ustalić w miasteczku Wołczyn (obecnie obwód brzeski ZSSR), gdzie powinny znajdować się prochy Stanisława Augusta Poniatowskiego, złożone tu w lipcu 1938 roku. Miasteczko to znajduje się w samym środku wybrzuszenia granicy sowiecko-polskiej, na północny-zachód od Brześcia. Praktycznie jest ono z trzech stron otoczone polskim terytorium, a najkrótsza odległość do granicy wynosi około 5 km. Odległość natomiast do byłej granicy sowiecko-polskiej do 1939 roku znajduje się znacznie dalej, bo około 400 km na wschód. Do wojny więc Wołczyn znajdował się prawie w geograficznym centrum Polski i mało kto w II Rzeczypospolitej mógł przewidzieć, że po pewnym czasie i to miejsce spoczynku ostatniego polskiego króla znajdzie się poza granicą kraju. Od kiedy Wołczyn znalazł się na terenie ZSSR, jego rozwój ekonomiczny zatrzymał się całkowicie. Z ożywionego ośrodka targowego województwa brzeskiego, zamieszkałego w znacznej części przez ludność żydowską, Wołczyn zmienił się w średnią, niebogatą wieś białoruską, w której znajduje się kołchoz im. Żdanowa, zatrudniający mieszkańców tego okręgu. Liczba ludności, po stratach wojennych i powojennych, nie odnowiła się do dnia dzisiejszego. Spośród Żydów praktycznie nikt nie przeżył wojny, natomiast prawie wszyscy Polacy — usłuchawszy wezwania swojego proboszcza — wyjechali do Polski. Do wojny mieszkało w Wołczynie ponad tysiąc osób, dzisiaj nie mieszka tu nawet 800.

Istnieją co prawda nadal, oprócz sklepów, punkty usługowe (krawiecki i szewski), co na wsi białoruskiej jest rzadkością, ale znanych na całą okolicę młynów wodnych na rzece Pulwie niesie-ty już nie ma.

Odległość z Brześcia do Wołczyna wynosi zaledwie 46 km, ale autobus trasę tę pokonuje w 1,5-2 godziny. Warunki jazdy są bardzo złe, a po drodze jest sporo przystanków. Dla niewtajem-niczonych dostanie się z Brześcia do Wołczyna to prawdziwy problem. Ponieważ Wołczyn włączony jest do terytorium przy-granicznego, żeby do niego pojechać niezbędna jest specjalna przepustka, bez której nie można kupić biletu autobusowego. Obrotnym może się to udać i bez przepustki.

Przyjeżdżającego Wołczyn wita — znajdującą się zaraz obok przystanku autobusowego — małą, schludną, drewnianą, nie-dawno odremontowaną cerkiewką, zbudowaną prawdopodobnie w końcu ubiegłego wieku. Cerkiew jest czynna i ma wiernych, chociaż do wojny prawosławni byli tu w znacznej mniejszości. Tak jak i inne podobne miasteczka na tym obszarze, Wołczyn to praktycznie jedna ulica, wzdłuż której stoją parterowe domki, prawie wszystkie drewniane, zbudowane na początku naszego wieku. Jest tu również kilka starszych domów, np. miejscowy szpital to duży budynek z kolumnami postawiony przez Czarto-ryskiego z przeznaczeniem na jedną z jego rezydencji. Za cerk-wią można ponadto zauważyć resztki posadzonego na początku XVIII wieku znanego wołyńskiego parku. Choć zachowały się tylko pojedyncze drzewa, można jeszcze — choć z trudem — roz-poznać typowy, precyzyjny włoski projekt. Jak twierdzą specja-liści, park ten był w swoim czasie bogato ozdobiony neoantycz-nymi mitologicznymi rzeźbami. Park prowadzi wprost do koś-cioła, który według planu jego twórcy był uwieńczeniem całego kompleksu dworskiego. Kościół zbudowany został przez Czarto-ryskiego w 1733 roku dla upamiętnienia narodzin Stanisława Augusta. Był to kamienny ośmiościan pokryty namiotowym da-chem, który koronowała nieduża, ażurowa, oryginalna kopuła. Fasada ozdobiona była pilastrami w stylu korynckim i wyciosa-nymi z kamienia rzeźbami. Kościół zbudowany został w czystym stylu barokowym i w ówczesnej Rzeczypospolitej nie było żad-nego innego do niego podobnego.

Stanisław August bywał w tym kościele i zawsze zachwycał się jego osobliwościami. Po wojnie władze zamknęły kościół (miejscowi twierdzą, że w 1947 roku) i obecnie przedstawia on żałosny widok. Miejscowy kołchoz przez wiele lat wykorzysta-wał pomieszczenia kościelne jako magazyn, najpierw ziarna, a później do przechowywania nawozów sztucznych. Zwłaszcza skła-dowana tam saletra słodowa działała katastrofalnie na stan wnętrza kościoła. Z czasem całkowicie zniszczone zostały bogate rzeźbienia, mocno ucierpiały pomieszczenia naw bocznych, a zwłaszcza póśsutereny: w jednej z nich znajdował się grobowiec

z prochami Stanisława Augusta. Po kilku latach takiego barbarzyńskiego wykorzystywania kościoła okazało się, że budynek grozi zawaleniem i kołchoz zmuszony został do zrezygnowania z niego jako magazynu. Od tego czasu nikt się kościołem nie zajmuje, a ten z każdym dniem bardziej przeobraża się w ruinę. Pięć czy sześć lat temu zawalił się unikalny sklepiony dach wraz z kopułą, grzebiąc pod sobą zachowane resztki wystroju wnętrza kościoła.

Samo wejście do kościoła okazało się proste, bo ktoś już dawno temu wyłamał drzwi, uprzednio zabite na stałe przez władze. Jednak poruszanie się wewnątrz kościoła jest rzeczywiście niebezpieczne, gdyż zwisają jeszcze resztki dachu, gotowe zawalić się przy silniejszym porywie wiatru.

Wystrój wnętrza kościoła nie istnieje. Nie ma nawet pamiętkowych marmurowych płyt w ścianach. Freski są całkowicie zniszczone, niewyraźne i zatarte. W stosunkowo niezłym stanie znajdują się tylko nawy boczne, które były poza zasięgiem walącego się głównego dachu. W jednej z naw, w prawej niszy, powinny znajdować się prochy Stanisława Augusta. O tym, aby znaleźć gdzieś żelazną kratę zamykającą grobowiec, nie ma nawet mowy. Sam grobowiec jest do połowy zasypany ziemią i różnymi rupieciami. Przekopywanie ziemi, żeby dostać się do środka, było dla jednego człowieka po prostu niemożliwe. Dlatego też odpowiedzi na pytanie, czy zachowały się w tym zrujnowanym kościele szczątki ostatniego polskiego króla, można byłoby udzielić tylko po wykonaniu wykopów i przeprowadzeniu poszukiwań przy wykorzystaniu nowoczesnej techniki archeologicznej, umożliwiającej klasyfikację pochodzenia grobów.

Sukcesem tej wyprawy było jednakże odnalezienie wśród ruin kilku oderwanych detali przebogatej dębowej trumny, w środku której, jak mówią kroniki historyczne, znajdowała się trumna ołowiana. Ona to właśnie pozwoliła przypuszczać, że krypta ta była rzeczywiście miejscem powtórnego pochowania króla Stanisława Augusta.

Rozmowy z miejscową ludnością, przede wszystkim oczywiście z ludźmi starszej generacji, którzy pamiętają przedwojenne dramatyczne wydarzenia w wołyńskim kościele, przyniosły dodatkowe informacje. Zastanawia szczególnie to, że o historycznym znaczeniu kościoła i o tym, że zostały tam pochowane prochy polskiego króla Stanisława Augusta wiedzieli praktycznie wszyscy, z kim udało się porozmawiać, łącznie z dziećmi w wieku szkolnym.

Pewna staruszka — prawie tak dokładnie, jak zostało to opisane w *Polityce* — przekazała wojenną epopeję kościoła. Pamiętała ona również wydarzenia z 1944 roku, kiedy to królewską krypta po raz pierwszy została rozgrabiona. Natomiast opowiadania o powojennych losach kościoła były już skrajnie różnorodne. Na ich podstawie udało się odtworzyć następujący, prawdopodobny przebieg wydarzeń powojennej historii wołyńskiego kościoła.

Systematyczne ograbianie i doprowadzanie go do ruiny zaczęło się już od 1947 roku. Po przymusowym wyjeździe do Polski proboszcza z większością wiernych, miejscowa ludność — głównie prawosławna — wynosiła z kościoła wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość lub mogło się przydać w gospodarstwie domowym. Nie oszczędzono nawet królewskiej trumny. Jeśli wierzyć opowiadaniom, to została ona rozbita, kości rozrzucone, a bogaty, jeszcze w dobrym stanie mundur wojskowy, w którym król został pochowany, złożone epolety i osobistą bogato zdobioną broń króla rozkradli „najbardziej przedsiębiorczy” mieszkańcy wsi. Pewien „rzemieślnik” wykorzystał ołowianą trumnę do zmontowania w swoim domu „wspaniałych” zbiorników na wodę. Szkoda, że żaden z rozmówców nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć, czy zachowały się u kogoś z miejscowych jakieś resztki z królewskiej krypty, przedmioty kościelne itp. Mieszkańcy Wołczyna byli całkowicie obojętni, a niektórzy zadowoleni nawet z takiego losu historycznych wartości narodu polskiego.

Prawdopodobieństwo, że w na pół zasypanych piwnicach wołczyńskiego kościoła zachowały się jeszcze prochy Stanisława Augusta, jest bardzo małe, ale jest. Wyjaśnienie tej sprawy należy do przyszłości.

POLAK ZZA BUGA

Tadeusz WYRWA (opracował)

GENERAŁ SIKORSKI A RZĄD PRZEDWRZEŚNIOWY

Lubimy się chełpić, że nasz kraj nie zaznał nigdy rewolucji, a więc że nie mordowaliśmy się wzajemnie, jak to się działo gdzie indziej. Czasem można co prawda spotkać odosobnione głosy, iż brak nam było rewolucji, która — jako „przeczyszczający” środek — jest niezbędna w procesie kształtowania struktur społeczno-politycznych i ustalania obyczajowych norm, czego przykładem może być historia Anglii. Jeśli chodzi o Polaków, to nie ulega chyba wątpliwości, że nie mają rewolucyjnych skłonności do ścinania głów swoim przeciwnikom politycznym, ale delektują się moralnym ich unicestwianiem, co często jest bardziej okrutne.

Skutki tych skłonności były również widoczne w stosunku do internowanego rządu w Rumunii. Bez względu bowiem na ocenę działalności tego rządu, sympatię czy antypatię, jakimi każdy miał prawo darzyć poszczególnych jego członków, metody stosowane wobec nich na wygnaniu chluby naszym przywódcom nie przynoszą. Dokumenty niżej przytoczone — znajdujące się w aktach prezydium Rady Ministrów w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie — stanowią jeden z przykładów tego rodzaju postępowania.



List odręczny Felicjana Sławoj-Składkowskiego do Ministerstwa spraw wojskowych — przez *attaché* wojskowego w Bukareszcie.

Baile Herculane, 11 listopada 1939 r.

„Proszę o przyjęcie mnie do Wojska Polskiego jako lekarza wojskowego w dowolnym stopniu i funkcji”.

Odpowiedź generała Sikorskiego z dnia 30 listopada 1939 r.

„Otrzymałem Pańskie zgłoszenie się do służby czynnej. Żąda Pan w swym podaniu rzeczy niemożliwej. Nie rozporządzam tak silną policją, ani żandarmerią, by ochronić Pana od zniewag i zamachów, które spotkać Go muszą w każdym większym skupieniu polskim.

Pan, Prezes Rządu odpowiedzialnego za bezprzykładny pogrom, jakiegośmy doznali, powinien zrozumieć, że jedno mu teraz pozostaje: dać o Sobie zapomnieć”.



List Tadeusza Kasprzyckiego do ministra spraw wojskowych w Paryżu.

Baile Herculane, 11 listopada 1939 r.

„Otrzymałszy informacje, że również oficerowie służby czynnej WP. winni zgłaszać swą gotowość do służby w wojsku polskim formowanym we Francji, proszę o jakikolwiek przydział.

Melduję, że mam ukończony kurs *Ecole Supérieure de Guerre* w Paryżu”.

Odpowiedź generała Sikorskiego z dnia 30 listopada 1939 r.

„List Pana Generała z 11 listopada wywiera na mnie wrażenie, że Pan Generał nie zdaje sobie sprawy, jaki jest stosunek wojska i społeczeństwa do Jego osoby. Opinia w wojsku, na emi-

gracji, w kraju widzi w Panu jednego z głównych sprawców naszej klęski.

Powołać Pana do służby czynnej w nowym wojsku polskim nie mogę. Pan jest odpowiedzialny za nieprzygotowanie narodu i wojska do wojny nowoczesnej, a więc i za poniesioną przez nas klęskę, która nie jest wolna od hańby.

Niech Pan Generał pozostaje w Baile Herculane.

Ojczyzna nie chce Jego usług.

Jego zjawienie się wśród wojska mogłoby wywołać odruchy, do których nie wolno mi dopuścić”.



Najważniejsze wyjątki pisma Sławoja Składkowskiego i Eugeniusza Kwiatkowskiego do prezydenta R.P. w sprawie zarzutów stawianych byłym członkom rządu R.P.

Baile Herculane, 17 listopada 1939 r.

„Dnia 13 b.m. otrzymaliśmy przy liście p. *Chargé d’Affaires* Ambasady Polskiej w Bukareszcie odpowiedź p. Prezesa Rady Ministrów na poprzednie nasze pismo z dnia 9 października br. skierowane do Pana Prezydenta¹.

...Jesteśmy jak najbardziej dalecy od chęci... prowadzenia polemiki z bezzasadnymi oskarżeniami Pana Prezesa Rady Ministrów.

...Odpieramy te zarzuty z całą mocą nie tylko wewnętrznego przekonania, że są niesprawiedliwe i niezgodne ze stanem faktycznym, ale również w imię politycznej świadomości, iż przypisywanie źródła wrześnieowej klęski Polski — niewłaściwej działalności władz polskich osłabia — wedle naszego zdania — postawę Polski na zewnątrz, uwalnia naszych sprzymierzeńców od wszelkiego samokrytycyzmu ich postępowania w stosunku do Polski na przestrzeni całego dwudziestolecia, a w momencie zbliżenia się i trwania wojny niemiecko-polskiej w szczególności.

...Gdyby kolumny wojsk sowieckich nie dążyły wyraźnie do ujęcia władz naczelnych Rzeczypospolitej — nigdy nie opuścilibyśmy terenu Polski, przy słabej choćby nadziei organizowania oporu. Przekraczając granicę Rumunii wierzyliśmy najgłębiej,

1. Listów z 13. XI. 1939 i z 9. X. 1939 w archiwum nie znalazłem, ale być może są one w jednej z teczek, których jeszcze nie przeglądałem. Niemniej jednak jest rzeczą charakterystyczną, że wyżej cytowane listy (w fotokopiach) Sławoja-Składkowskiego i Kasprzyckiego oraz odpowiedzi Sikorskiego zostały złożone przez T. Modelskiego w Instytucie Sikorskiego dnia 11. VIII. 1982 roku, po uporządkowaniu już i skatalogowaniu akt prezydium Rady Ministrów. Nie jest wykluczone, że fotokopie te zachowały się tylko dzięki późniejszemu oddaniu ich do Instytutu. Przypuszczalnie kopii innych listów T. Modelski nie posiadał i dlatego nie znajdują się one w w/w aktach. *Vide*: PRM 2/6 i PRM 7/16.

że spełniamy najprzykrzejszy i najcięższy w ciągu całego okresu naszych rządów obowiązek wobec Polski, tłumiąc w sobie te uczucia, które znalazły satysfakcję w innym rozwiązaniu sprawy.

... Panie Prezydencie! Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że każdy działający rząd, szczególnie w okresach trudnych i zmiennych musi popełnić pewną ilość błędów i niedopatrzeń. I nasz rząd nie może być wolny od tego. Działając w czasach trudniejszych, niż kiedykolwiek dawniej, popełniliśmy prawdopodobnie więcej błędów niż inni. Ale jedyną pobudką i istotnym źródłem naszej działalności publicznej było dobro i rozwój całości państwa, było postawienie spraw armii i obrony narodowej na pierwszym miejscu, było — tak wpajane przez J. Piłsudskiego — poczucie odpowiedzialności za nasze czyny.

... Byliśmy rządem, który doprowadził do sojuszu wojskowego z Wielką Brytanią... który zawarł porozumienie wstępne co do tworzenia nowej, polskiej armii we Francji, który wysłał pierwsze kadry lotnicze za granicę, przez co usytuował pozycję nowego Rządu polskiego we Francji.

Ale ponadto — nikt nam nie odbierze tej świadomości — iż byliśmy rządem, który pierwszy w Europie nie ugiął się pod naporem Niemiec hitlerowskich, choć gięły się przed nim państwa bogatsze i zasobniejsze w sprzęt wojenny... Byliśmy tym rządem, który wybrał raczej wojnę niż splamienie honoru Polski i nieodwołalną, choć zamaskowaną niewolę narodu. Mieliśmy do czynienia z dwoma najgroźniejszymi przeciwnikami równocześnie, którzy niezależnie od własnych bogactw naturalnych i bezmiernych możliwości przemysłowych, ugruntowanych w Niemczech od kilkudziesięciu lat, otrzymali od tych państw, przeciwko którym dziś działają wżwyż 50 miliardów złotych w okresie powojennym na rozbudowanie swego przemysłu wojennego. Obecnie dwa najpotężniejsze państwa Europy, poparte pomocą materialną i moralną połowy kuli ziemskiej, w ciągu dwu i pół miesiąca nie decydują się na rozpoczęcie aktywnych działań wojennych przeciwko siłom niemieckim, nadwerężonym już w wojnie z Polską.

Te same dwa państwa znoszą wszelkie prowokacje ze strony Sowietów, byle tylko powstrzymać rozwój współdziałania Rosji z Niemcami. Na dwa miesiące przed wybuchem konfliktu zbrojnego zdziły się one, że mogą zawrzeć sojusz wojskowy z Sowietami przeciwko Niemcom. Nie poddawaliśmy się temu złudzeniu, ale nie leżało to w mocy ludzkiej, by przeciwstawić się najazdowi obu przeciwników na Polskę, która w znaczeniu militarnym nie doznała we wrześniu r.b. jakiegokolwiek realnej i efektywnej pomocy od Aliantów.

Toteż odrzucamy z całą mocą próbę P. Prezesa Rady Ministrów nazywania nas „rządem klęski narodowej”.

W nieznosnych warunkach życia Europy nasze zdecydowane stanowisko wywołało wielki, historyczny przełom, przez który

Polska skrwawiona, upokorzona i gnębiona, chwilowo rozdarta i złamana, dąży do wolności, do nowego życia i do zwycięstwa.

Tego zwycięstwa — jako obywatele polscy — życzymy szczerze i serdecznie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, Panu Prezesowi Rady Ministrów i Naczelnemu Wodzowi Wojsk Polskich”.

(—) *Stawoj Składkowski*
(—) *Eugeniusz Kwiatkowski*



W instytucie Sikorskiego znajduje się nadto dokument (sygnatura: PRM 59B, 7/2-3), którego treść — gdyby nie odręczne na nim pismo gen. Sikorskiego — należałoby przypisać propagandzie niemieckiej.

Na blankiecie ministerstwa spraw zagranicznych z datą: Londyn, 6 sierpnia 1941, podany jest odpis telegramu, jaki został wysłany dnia 2 sierpnia 1941 z Madrytu i przekazany do wiadomości prezesa Rady Ministrów. Nie ma nazwiska osoby, która nadała telegram, przypuszczalnie Marian Szumlakowski, ówczesny poseł w Madrycie. Treść przejętego w Londynie przez Dziadulską telegramu jest następująca:

„Otrzymałem pewne wiadomości, że b. min. Beck z rodziną przebywa w Bukareszcie. Razem z nim jest sekretarz i minister Roman z żoną. Warunki dobre, mają samochód do dyspozycji. Beck jest w stałym kontakcie ze znaczną grupą polskich oficerów we Francji. Niedawno miał się wyrazić, że spodziewa się prędkiego powrotu do Polski”.

Na tym samym arkuszu gen. Sikorski dopisał odręcznie, zachynając między liniami telegramu i kontynuując pod spodem, co następuje:

„Otrzymaliśmy zupełnie pewne wiadomości, że b. min. Beck z rodziną przebywa na wolności w Bukareszcie. Razem z nim jest jego sekretarz i b. minister Roman z żoną. Warunki życia bardzo dobre, mają nawet samochód urzędowy z wiedzą niemieckich władz do dyspozycji. Beck przy cichym poparciu Niemców jest w stałym kontakcie z pewną grupą polskich oficerów we Francji, pracującą w jego duchu, z płk. Fydą na czele. Oficerowie ci usiłowali ostatnio stworzyć legion polski, któryby szedł przeciw Rosji w składzie armii niemieckiej. Te zdradzieckie usiłowania spełży na niczym wobec patriotycznej i niezachwianej postawy oficerów i żołnierzy polskich, internowanych na rozkaz Hitlera przez rząd Vichy w obozach francuskich. Gdyby p. Beck

odważył się powrócić do Polski, wie dobrze, co go tam czeka. Nawet potężne Gestapo niemieckie nie potrafi mu zagwarantować bezpieczeństwa osobistego. Rząd polski przyjął te wiadomości z największym spokojem”.

Elaborat ten został przekazany Strońskiemu, ministrowi informacji, z myślą zapewne o prasie i radiu, gdyż jest wzmianka „do B.B.C.”. Figuruje też na nim, dopisane ołówkiem na górze, nazwisko Kułakowskiego, sekretarza Sikorskiego, który być może miał zlecone przepisanie tego, co ręcznie skreślił Sikorski.

Tadeusz WYRWA

Jerzy GIEDROYC

ZE WSPOMNIEŃ NIENAPISANYCH (Dwa spotkania)

Na początku maja 1939 roku wyjechałem do Stanów Zjednoczonych wraz z min. Przemysłu i Handlu Antonim Romanem (byłem urzędnikiem politycznym tegoż ministerstwa) na inaugurację polskiego pawilonu na Światowej Wystawie w Nowym Jorku i rokowania handlowe polsko-amerykańskie.

Dwutygodniowy pobyt w Stanach, przy bardzo intensywnym zwiedzaniu, zostawił mi dwa zasadnicze wrażenia: potęgi Stanów Zjednoczonych (choć kraj ten dopiero powoli wychodził z kryzysu) i kompletnej nieorientacji jeśli idzie o problemy Europy Wschodniej.

Po powrocie do Warszawy skomunikowałem się z gen. Kazimierzem Sosnkowskim, którego znałem dzięki Rogerowi Raczyńskiemu i Czesławowi Świrskiemu, z którym się przyjaźniłem, a który był człowiekiem bliskim Generałowi. Przedstawiwszy Generałowi swoje wrażenia wysunąłem koncepcję, że wobec zbliżającej się wojny byłoby rzeczą pierwszorzędną wagi zająć się intensywnie Ameryką. Ponieważ wiedziałem, że gen. Sosnkowski, na skutek nieporozumień z marszałkiem Rydz-Śmigłym, jest w wojsku na bocznym torze, zasugerowałem mu, by wyjechał do Stanów na czele specjalnej misji wojskowo-politycznej. Generał wysłuchał mnie z zainteresowaniem i powiedział, że się zastanowi.

Po upływie mniej więcej 10 dni, ppłk Kowalczewski, oficer

do zleceń gen. Sosnkowskiego, zawiadomił mnie, że Generał się zgadza, jeżeli min. Beck mu taką misję proponuje. Sytuacja była paradoksalna. Min. Becka nie znałem a w hierarchii urzędniczo-politycznej byłem zbyt nisko, by móc takie sprawy załatwiać. Ponieważ jednak z natury jestem uparty doprowadziłem do tego, że min. Beck wyraził swoją zgodę. Stało się to jednak na dwa dni przed wybuchem wojny, co całkowicie przekreśliło ten pomysł. Tym niemniej taką misję powierzono Władysławowi Raczkiewiczowi, uważając, że jako prezes Światopoli najlepiej nadaje się do takiej pracy. Raczkiewicz jednak z trudem dojechał szosą zaleszczycką tylko do Bukaresztu, no i dalszy ciąg jest wszystkim znany.



W sierpniu 1944 roku urzędowałem w Rzymie jako kierownik Wydziału Prasy i Wydawnictw 2-go Korpusu. Sytuację polską uważałem za beznadziejną, a wybuch Powstania Warszawskiego za katastrofę. W tym czasie gen. Sosnkowski był we Włoszech. Dzięki życzliwości kpt. Ludwika Łubieńskiego — było to w sierpniu, dokładnej daty nie pamiętam — gen. Sosnkowski zgodził się przyjąć mnie w hotelu, w którym mieszkał.

Przedstawiłem Generałowi moją ocenę sytuacji — uważałem, że wchodzimy w noc i że za wszelką cenę trzeba zachować pewne imponderabilia, które byłyby drogowskazem na ciężki okres, który zapowiadał się na bardzo długo. Do takich imponderabili zaliczałem legendę Naczelnego Wodza i wojska.

Krótko mówiąc proponowałem Generałowi, żeby z małą grupą polskich żołnierzy skakał z samolotu do Warszawy. Dla Legendy trzeba było, by obok trupów żołnierzy Armii Krajowej znalazły się także „Poland’y” żołnierzy polskich walczących na Zachodzie.

Zdaję sobie sprawę, że to co piszę, brzmi dzisiaj ogromnie melodramatycznie, ale dotąd jestem przekonany, że moja myśl wówczas była zimnie realistyczna. Zrozumiałe, że zgłosiłem się sam jako uczestnik lotu.

Byłem przyjęty przez Generała około godziny 14-tej. Dyskusje, analizy trwały do bardzo późnego popołudnia. Ilość czasu w tak dramatycznej sytuacji — duża. W końcu Generał mój pomysł zaakceptował. Miałem się zameldować u niego następnego dnia. — Nie zostałem przyjęty. — Było to moje ostatnie spotkanie z gen. Sosnkowskim.



Wiele lat później żona Generała, p. Jadwiga Sosnkowska, przysłała mi szereg przekładów poezji francuskiej zrobionych przez Generała — nie pamiętam dziś jakich autorów. Przekłady były poprawne. Odmówiłem druku.

Jerzy GIEDROYC

POLACY W ARMII RADZIECKIEJ

Z okazji 40-lecia ludowego Wojska Polskiego i 40-tej rocznicy powstania Polski Ludowej odbyła się w Tarnowie (17.12.1983 r.) sesja popularnonaukowa, zorganizowana przez KW PZPR, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, TPPR oraz Środowisko Kombatantów Polaków Byłych Żołnierzy Armii Radzieckiej w Tarnowie...

[...]

Mjr dr E. Pawłowski omówił udział Polaków w Armii Radzieckiej podczas II wojny światowej. Na wstępie wskazał, że Polacy w Armii Radzieckiej wywodzili się głównie z radzieckiej Polonii i Polaków, których los wojny rzucił na tereny ZSRR. Przed wojną zamieszkiwało w ZSRR ok. 1 mln obywateli radzieckich polskiego pochodzenia. Po przyłączeniu w 1939 roku do zachodnich republik Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi wraz z woj. białostockim w Kraju Rad znalazło się ok. 4,5 mln Polaków, a w roku następnym, w związku z wejściem w skład ZSRR Litwy, Łotwy i Estonii, ich liczba wzrosła o 300 tys. Sporą grupę stanowili jeńcy polscy z września 1939 roku, których liczbę oficjalną statystyka radziecka z września 1940 roku określała na ok. 200 tys., w tym 9 tys. oficerów. Na terytorium radzieckim znalazła się ponadto spora liczba Polaków uciekinierów z innych obszarów państwa polskiego — ok. 150 tys. Ogółem na terytorium Kraju Rad jesienią 1940 roku znalazło się ok. 6150 tys. Polaków i obywateli radzieckich polskiego pochodzenia.

29.11.1939 r. Rada Najwyższa ZSRR w myśl radzieckiej ustawy o obywatelstwie z 11.8.1938 r. nadała obywatelstwo radzieckie tym obywatelom polskim, którzy 1 i 2.11.1939 r., tzn. w dniu przyłączenia Zachodniej Ukrainy, Zachodniej Białorusi i woj. białostockiego do ZSRR, znaleźli się na wyżej wymienionych terenach, oraz osobom, które przybyły do ZSRR na podstawie umowy z Niemcami z 16.11.1939 r.

W konsekwencji nadania wszystkim mieszkańcom tzw. Kresów Wschodnich obywatelstwa radzieckiego władze radzieckie powołały w 1940 i w pierwszej połowie 1941 roku z tych terenów ponad 100 tys. Polaków do Armii Radzieckiej. Wcielono wówczas (wiosną 1940 roku) rocznik 1918, a jesienią 1940 i wiosną 1941 roku roczniki 1919 i 1920. Poza tym ok. 80 tys. skierowano do pracy w Zagłębiu Donieckim i centralnych rejonach ZSRR. Ponadto — według szacunkowych obliczeń — w przedwojennej Polonii radzieckiej co najmniej 50-60 tys. jej członków pełniło wówczas służbę w Armii Radzieckiej. Łącznie więc w czerwcu 1941 roku służyło w Armii Radzieckiej ok. 150-160 tys. Polaków i obywateli radzieckich polskiego pochodzenia.

W latach 1941-1944 do Armii Radzieckiej zostało powołanych ok. 20 tys. Polaków z ponad półtoramilionowej rzeszy naszych rodaków, którzy przebywali wówczas w Kraju Rad. W latach 1944-1945 powołano do Armii Radzieckiej dalszych 80 tys. Polaków z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Blisko 11 tys. Polaków walczyło w radzieckim ruchu partyzanckim, w tym ok. 7 tys. w oddziałach na Ukrainie, a ok. 3 tys. na Białorusi.

Ogółem więc w okresie II wojny światowej w Armii Radzieckiej i radzieckim ruchu partyzanckim służyło ponad 260 tys. Polaków i obywateli radzieckich polskiego pochodzenia.

Służbę Polaków w Armii Radzieckiej referent podzielił — według propozycji Bazylego Braiłowskiego — na trzy okresy:

— okres pierwszy — lata 1940-1941, tj. od powołania Polaków do Armii Radzieckiej do chwili napaści Niemiec na Związek Radziecki. Polacy odbywali wówczas służbę prawie we wszystkich rodzajach wojsk i służb. Wielu z nich dostało się do pułkowych szkół podoficerskich, pozostali pełnili służbę w regularnych jednostkach wojskowych jako szeregowi;

— okres drugi — 22.6.1941 r. do 1944 r., tj. do chwili rozpoczęcia wyzwolenia przez Armię Radziecką terenów, które do 1939 roku wchodziły w skład ówczesnego państwa polskiego. W początkowym okresie wojny niemiecko-radzieckiej znaczna liczba Polaków, jak tzw. „zapadnicy” została przetrzucona do „strojbatów” (bataliony budowlane).

Według niepełnych danych szacunkowych w bitwie stalingradzkiej walczyło ok. 8-10 tys. Polaków; w obronie Moskwy ok. 3 tys.; Leningradu broniło co najmniej 2,5 tys. Nie było takiego odcinka frontu walki z Niemcami, na którym nie walczyliby Polacy. Rozproszeni w tysiącach jednostek na wszystkich frontach, na równi z żołnierzami radzieckimi znosili trudy wojny. Wielu z nich obronę radzieckiej ziemi okupiło życiem;

— okres trzeci — po wyzwoleniu Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Ponownie wzrosła liczba Polaków w Armii Radzieckiej. Polacy w tym czasie brali udział w wyzwoleniu Chełma i Lublina, Tarnowa i Krakowa, Częstochowy i Kielc, Sandomierza i Gdyni, Gdańska i Katowic, Opola i Wrocławia, Szczecina i Koszalina oraz wielu innych polskich miejscowości. Ponadto uczestniczyli w wyzwoleniu Belgradu i Budapesztu, Sofii i Pragi Czeskiej, wyzwolali również Wiedeń. Brali udział w ostatnich operacjach II wojny światowej w Europie — w operacji berlińskiej i praskiej.

9 maja 1945 roku zakończyła się wojna w Europie, ale trwała jeszcze do pierwszych dni września 1945 roku na Dalekim Wschodzie. Wiele jednostek radzieckich zostało wówczas tam przerzuconych, a wraz z nimi służący w nich Polacy. Łącznie było ich ok. kilkunastu tysięcy...

WOJSKOWY PRZEGLĄD HISTORYCZNY nr 2/84.

LISTY DO REDAKCJI

Paryż, 6 września 1984.

Drogi Panie Redaktorze!

W numerze 69 *Zeszytów Historycznych*, na stronie 238, p. Doman Rogoyski, nawiązując do raportu Adrien Thierry, ambasadora Francji w Bukareszcie — i do jego, oraz ministra Grigore Gafencu, stosunku do Józefa Becka — wysuwa wątpliwość czy miał on rangę ambasadora czy posła. Wątpliwości te, kilkakrotnie już spotykane, wypływają z faktu, iż nominacja Thierry miała miejsce zaledwie cztery i pół miesiąca przed wojną. Do Bukaresztu Thierry był wysłany 30 maja 1936 roku, w charakterze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego (*envoyé extraordinaire et ministre plénipotentiaire*) a 14 kwietnia 1939 roku został mianowany ambasadorem.

Łączę najlepsze pozdrowienia

T. WYRWA



Paryż, 19 września 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

W ponurym „Słowniku biograficznym komunistów polskich represjonowanych w ZSRR”, ogłoszonym w nr. 69 *Zeszytów Historycznych*, Al. An. Myszkowski przytoczył wśród trzystu kilkudziesięciu innych nazwisk nazwisko Wiktora Altera, aresztowanego 4 grudnia 1941 w Kujbyszewie wraz z Henrykiem Erlichem i „zaginionego” wraz z nim od tej pory. Umieszczenie na tej liście obu tych nazwisk jest nieściśle i krzywdzące. Ani Alter ani Erlich nie byli komunistami, lecz wręcz przeciwnie, należeli do kierownictwa socjalistycznego Bundu (Ogólno-Żydowskiego Związku Robotniczego w Polsce), zajmującego zawsze postawę niezależną i daleką od KPP.

Łączę serdeczny uścisk dłoni

Władysław ŻELEŃSKI

P.S. Przy tej sposobności prostuję parę błędów drukarskich, które wkradły się do mego świadectwa „W cieniu Stefana Ołpińskiego” w tymże 69 numerze *Zeszytów Historycznych*. I tak na str. 164 u góry opuszczony został cały wiersz, brzmiący „lecz — wręcz przeciwnie — wniosek wyszedł od owego prokuratora”. Na str. 159 w wierszu 15 od góry data prawdziwa jest 1923 a nie 1823, na str. 165 w wierszu 5 od góry: 1896 a nie 1986, w przypisie na str. 189 u dołu należy czytać 1993 a nie 1933, na str. 211 w wierszu 11 od dołu nazwa więzienia wojskowego brzmi Cherche Midi a nie Cherches Midi.

SPIS TREŚCI

Martin Malia: <i>Wieżnie powracająca Polska</i>	3
Jolanta Strzelecka: <i>Działalność Sejmu PRL po 13 grudnia 1981 roku</i>	30
Zbigniew Jasiński: <i>Pieśń o Powstaniu</i>	49
Wł. Bartoszewski, T. Żenczykowski: <i>Wydział „R” w BIP KG AK (Rozmowa z Tadeuszem Żenczykowskim)</i> ..	60
<i>Załącznik: Społeczny Komitet Antykomunistyczny — Instrukcje (z archiwum KC PZPR)</i>	77
Józef Garliński: <i>Pomoc lotnicza dla Warszawy</i>	80
Jan Łukocz: <i>Powstańcze wytwórnie granatów</i>	86

DOKUMENTY

<i>Sprawa Grzegorza Przemyka</i>	95
--	----

WSPOMNIENIA

Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Ostatni etap: Stalinogorsk</i>	139
Karol Kraczkiewicz: <i>Jesień 1938 - jesień 1939 (narastanie konfliktu polsko-niemieckiego)</i>	156
<i>Urywki z osobistych wspomnień autora o jego pracy w ambasadzie i o innych wrażeniach odniesionych w czasie jego pobytu w Berlinie w okresie poprzedzającym napad niemiecki na Polskę</i>	169
<i>Pakt Ribbentrop-Mołotow</i>	178
<i>Ostatnie dni sierpnia w ambasadzie</i>	180
	239

<i>Pierwszy dzień wojny</i>	183
<i>Przebieg ewakuacji</i>	185
Józef Czapski: <i>Kartka z dziennika</i>	194

POLEMIKI

Anna M. Cienciała: <i>Kłamstwa o ministrze Becku</i>	198
„Kierunki” a najnowsza historia Polski	200

RECENZJE

T. P. Dobrzyński: „Solidarność” oczyma i piórem polskiego historyka	203
Józef Garliński: <i>Wojenne pokolenie</i>	212
Z.: <i>Przyczynki do dziejów PSL</i>	216
Michał Borwicz: <i>Henri Michel: „I Warszawa została zburzona”</i>	221
Anna M. Cienciała: <i>Książka Jacka Jędrucha</i>	224

OKRUCHY HISTORII

Polak zza Bugu: <i>Losy trumny Stanisława Augusta</i>	226
Tadeusz Wyrwa (opr.): <i>Generał Sikorski a rząd przedwrzesniowy</i>	229
Jerzy Giedroyc: <i>Ze wspomnień nienapisanych (Dwa spotkania)</i>	234
<i>Polacy w Armii Radzieckiej (z nru 2/84 Wojskowego Przeglądu Historycznego)</i>	236

LISTY DO REDAKCJI

T. Wyrwa, W. Żeleński	238
-----------------------------	-----

Achevé d'imprimer le 23 novembre 1984
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 4^e trimestre 1984.
N° d'imprimeur 6646.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

